

LISA

GARDNER

w ukryciu

ROZDZIAŁ 1

KIEDY MIAŁAM SIEDEM LAT, ojciec wytłumaczył mi, że świat to tylko rządzący się pewnymi prawami system, nic więcej. Systemem jest też szkoła. I sąsiedztwo. Miasta, rządy, każda większa grupa ludzi. Idąc dalej, systemem jest też ludzkie ciało, napędzane do życia mniejszymi biologicznymi podsystemami.

Sądownictwo karne - system, nawet nie ma co gadać. Kościół katolicki. Zawody sportowe, Organizacja Narodów Zjednoczonych i oczywiście konkurs Miss America.

— Nie wszystkie systemy muszą ci się podobać - tłumaczył - nie musisz w nie wierzyć ani się z nimi zgadzać, ale musisz je zrozumieć. A jeśli poznasz prawa, którymi się rządzą, na pewno przetrwasz.

Rodzina to też system.

TAMTEGO DNIA, gdy wróciłam ze szkoły, zastałam oboje rodziców w salonie. Tata, profesor matematyki na MIT, rzadko wracał do domu przed dziewiętnastą, dziś czekał jednak przy ukochanej kwiecistej kanapie mamy, z pięcioma walizkami u stóp. Mama płakała. Kiedy otworzyłam drzwi, próbowała się odwrócić, zasłaniając twarz, ale trudno było nie zauważyć, jak drżą jej od płaczu ramiona.

Oboje mieli na sobie grube wełniane płaszcze, co wydawało się dziwne, zważywszy, że październikowe popołudnie było

dosyć ciepłe.

Pierwszy odezwał się ojciec

- Musisz iść do swojego pokoju. Weź tylko dwie rzeczy
Jakiegokolwiek chcesz. Ale pospiesz się, Annabelle; nie mamy
zbyt wiele czasu.

Mamie coraz bardziej drżały dłonie. Położyłam tornister.
Poszłam do swojego pokoju i stałam tam przez chwilę,
starając się ogarnąć wzrokiem swoje różowo-zielone
królestwo.

Ze wszystkich chwil swojego dzieciństwa to właśnie do tej
najchętniej cofnęłabym się w czasie. Do tych trzech minut,
które spędziłam w dziecięcym pokoju, delikatnie gładząc
wyklejone nalepkami biurko, omijając oprawione zdję-
cia dziadków, przeskakując nad grawerowaną posrebrzaną
szczotką do włosów i dużym podręcznym lusterkiem. Omi-
nęłam książki. Kolekcja szklanych kulek odpadła na wstępie,
podobnie jak stos przedszkolnych prac plastycznych. Pamię-
tam bolesny wybór pomiędzy moim ulubionym pluszowym
psem a najnowszym skarbem, wystrojoną w strój weselny
Barbie, W końcu wzięłam psa, Boomera, a potem chwyciłam
ukochany kocyk z ciemno różowej flaneli wykończony
jasnoróżową satyną.

Nie pamiętnik. Nie pakiet śmiesznych pogryzdzanych liścików
od najlepszej przyjaciółki, Dori Petracelli. Nawet nie album,
dzięki któremu miałabym jakieś zdjęcia mamy na wszystkie
te czekające mnie lata.

Byłam małą, przerażoną dziewczynką i zachowałam się
dziecinnie.

Myszę, że tata wiedział, co wybiorę. I chyba też wiedział, co
nas czeka. Już wtedy wiedział.

Wróciłam do salonu. Tata na zewnątrz pakował rzeczy do
samochodu. Mama stała przytulona do kolumny oddzielającej
salon od jadalni. Przez moment wydawało mi się, że nie bę-

dzie w stanie jej puścić, że postawi się ojcu, zażąda, by skończył z tą błazenadą.

Ale ona zbliżyła się do mnie i delikatnie odgarnęła kosmyk moich długich ciemnych włosów.

— Tak bardzo cię kocham. — Objęła mnie i mocno przytuliła, przyciskając czubek mojej głowy do swych mokrych od łez policzków. Po chwili odepchnęła mnie, pospiesznie wycierając twarz. — A teraz szybko przed dom, kochanie. Tata ma rację, musimy się pospieszyć.

Ściskając obiema rękami kocyk, z Boomerem pod pachą, podążyłam za nią do samochodu.

Każdy zajął swoje miejsce: tata na siedzeniu kierowcy, mama jako pilot na siedzeniu i ja z tyłu.

Tata wycofał naszą niewielką hondę z podjazdu. Za szybami samochodu tańczyły unoszone na wietrze żółto-pomarańczowe bukowe liście. Przytknęłam palce do szyby, jakbym próbowała je złapać.

— Pomachaj sąsiadom — nakazał ojciec. — Udawaj, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

Wtedy po raz ostatni widzieliśmy otoczoną dębami ślepą uliczkę, przy której stał nasz dom.

Rodzina to system.

Pojechaliśmy do Tampy, bo — jak twierdził ojciec — mama zawsze chciała zobaczyć Florydę. Czyż po tylu zimach w Nowej Anglii nie byłoby wspaniale zamieszkać wśród palm i piaszczystych plaż?

Skoro mama wybrała lokalizację, tata wybrał nasze nowe imiona. Teraz nazywałam się Sally. Tata miał na imię Anthony, a mama Claire. Ale zabawa! Nowe miasto, nowe imię. To dopięto przygoda!

Na początku miewałam koszmary. Straszne, okropne sny, po których budziłam się z krzykiem: Widziałam coś! Widziałam coś!

- To tylko zły sen- uspokajał mnie tata, głaszcząc po plecach.
— Ale ja się boję!

— Ciiii. Jesteś jeszcze za mała, żeby wiedzieć, czym jest strach. Od tego są tatusiowie.

Nie mieszkaliśmy wśród palm i piaszczystych plaż. Rodzice nigdy o tym nie mówili, ale patrząc na to teraz, z perspektywy dorosłej osoby, wiem, że doktor matematyki, zwłaszcza pod przybranym nazwiskiem, nie mógł liczyć na posadę równie dobrą, jak ta, którą zostawił. Tata został więc taksówkarzem. Polubiłam jego nową pracę. On mógł większą część dnia spędzać w domu, a ja wracać codziennie ze szkoły osobistą taksówką.

Moja nowa szkoła była większa. Nauczyciele więcej wymagali. Pewnie nawiązałam jakieś przyjaźnie, ale z czasów, kiedy mieszkaliśmy na Florydzie, tak naprawdę niewiele pamiętam. Mam raczej ogólne niewyraźne wspomnienia miejsca i czasu, który upływał mi, jak każdemu pierwszoklasiście, na przyswajaniu szkolnych technik przetrwania. Czasu, kiedy nawet rodzice wydawali się być z innej planety.

Ojciec nic tylko snuł się po niewielkim mieszkaniu, nieustannie nas zamęczając.

- Co ty na to, Sally? A może byśmy udekorowali palmę na Boże Narodzenie? O tak, doskonała zabawa!

Mama nuciała sobie pod nosem zamyślona malując salon w koralowych odcieniach, chichotała, kupując strój kąpielowy w listopadzie, i wydawała się szczerze zaskoczona, ilekroć odkrywała kolejny przepis na przyrządzenie filetów z białej ryby.

Wydaje mi się, że rodzice byli szczęśliwi na Florydzie. A przynajmniej bardzo się starali. Mama urządziła nasze mieszkanie. Tata powrócił do dawnego hobby i znów rysował. W te wieczory, kiedy nie pracował, mama

siadywała przy oknie, żeby mu pozować. Leżąc na kanapie, czerpałam prawdziwą przyjemność z obserwowania zręcznych dłoni ojca, które kilkoma zwinnymi pociągnięciami węgla drzewnego potrafiły uwiecznić zalotny uśmiech mamy.

Aż do dnia, w którym po przyjściu ze szkoły ujrzałam spakowane walizki i ponure miny rodziców. Tym razem nie musiałam pytać. Sama pomaszerowałam do swojego pokoju. Zabrałam Boomera. Chwyciłam kocyk. Wróciłam do samochodu i zajęłam miejsce z tyłu.

Jeszcze długo jechaliśmy w kompletnej ciszy. Rodzina to system.

DZIŚ ciężko by było zliczyć wszystkie miasta, w których mieszkaliśmy. I wszystkie nazwiska, które przybraliśmy. Moje dzieciństwo przypomina kolaż nowych twarzy, nowych miejsc i tych samych starych walizek. Przyjeżdżaliśmy na miejsce, szukaliśmy najtańszego lokum. Tata wychodził kolejnego dnia wcześniej rano i wracał, oznajmiając, że znalazł pracę jako kierownik w McDonalddie, sprzedawca albo że zahaczył się w punkcie wywoływania zdjęć. Mama rozpakowywała nasz skromny dobytek. Mnie posyłali do kolejnej szkoły.

Przestałam być taką gadułą jak kiedyś. Mama też jakoś markotniała.

Tylko tata był konsekwentnie, na przekór wszystkiemu, pogodny.

- Phoenix! Zawsze chciałem przekonać się, jak to jest mieszkać na pustyni. Cincinnati! Wreszcie miasto dla mnie. St. Louis! Wprost idealne miejsce dla naszej trójki!

Nie przypominam sobie, żebym miewała koszmary. Albo przestały mnie nawiedzać ot tak, albo zostały zepchnięte

gdzieś na bok przez bieżące problemy, z którymi przyszło mi się borykać. Kiedy wracałam ze szkoły, mama coraz częściej leżała kompletnie zamoczona na kanapie. Musiałam przejść przyspieszony kurs gotowania, bo nie była już w stanie wstawać. Zaparzałam kawę i usiłowałam wmusić w nią choć odrobinę. Szperałam po jej torebce w poszukiwaniu portfela, żeby zrobić jakieś zakupy, zanim ojciec wróci z pracy. Tak naprawdę po dziś dzień nie mam pewności, ale wolę wierzyć, że on musiał wiedzieć, że dla mnie i dla mamy każda zmiana nazwiska wiązała się z oddaniem kawałka samych siebie. I tak stawałyśmy się coraz bardziej małomówne, z dnia na dzień upodabniając się do eterycznych cieni, którym przyszło podążać za porywistym nurtem wyznaczanym przez ojca.

Zrobiła to, kiedy miałam czternaście lat. W Kansas City. Mieszkaliśmy tam dziewięć miesięcy. Tata awansował na dyrektora oddziału motoryzacyjnego Sears. Ja szykowałam się do pierwszej potańcówki.

Wróciłam do domu. Mama - wtedy nazywała się Stella - leżała na sofie twarzą w dół. Tym razem żadne szturchnięcia jej nie obudziły. Jak przez mgłę pamiętam bieg przez korytarz. Dobijanie się do drzwi sąsiadów.

- Moja mama, moja mama, moja mama! - krzyczałam. A biedna pani Torres, której nikt z nas nigdy nie uraczył uśmiechem ani kiwnięciem ręką, otworzyła drzwi, popędziła korytarzem, by za chwilę ze łzami w oczach stwierdzić, że mama nie żyje.

Przyjechała policja. I karetka. Patrzyłam, jak wynoszą jej ciało i jak z kieszeni wyslizguje się pomarańczowa fiołka po tabletkach na receptę. Jeden z policjantów podniósł ją z podłogi.

Popatrzył na mnie pełen współczucia

- Czy powinniśmy kogoś zawiadomić?

- Tata będzie niedługo w domu. Zostałam u pani Torres. Siedziałyśmy w jej salonie wśród unoszącego się zapachu papryki jalapeño i tamale. Podziwiałam jej krzykliwe kwieciste poduszki na zniszczonej brązowej kanapie i zasłony w jaskrawe pasy. Zastanawiałam się, jak by to było mieć znowu prawdziwy dom.

W końcu wrócił tata. Gorąco podziękował pani Torres i pospiesznie wyprowadził mnie z jej mieszkania.

- Rozumiesz, że nie możemy im nic powiedzieć? - powtarzał w kółko, dopóki nie znaleźliśmy się w naszym mieszkaniu. - Zdajesz sobie sprawę, że musimy być ostrożni. Nie możesz pisać ani słówka, Cindy. Ani słówka. Stąpamy po cienkim lodzie.

Kiedy wrócili policjanci, to on z nimi rozmawiał. Ja podgrzewałam w tym czasie rosół w naszej maleńkiej kuchni, bo choć nie byłam głodna, bardzo chciałam, żeby w naszym mieszkaniu zapachniało jak u pani Torres. Strasznie chciałam też, żeby była znów z nami mama.

Zostałam później ojca skulonego na kanapie, jak tulił postrzępiony różowy szlafrok mamy i nie mogąc się dłużej powstrzymać, szlochał, szlochał i szlochał.

Wtedy po raz pierwszy spał w moim łóżku. Wiem, co myślicie, ale zapewniam, że nie chodziło o żadną z t y c h rzeczy.

Rodzina to system.

NA WYDANIE CIAŁA mamy czekaliśmy trzy miesiące, gdyż śledczy domagali się przeprowadzenia sekcji zwłok. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego. W końcu nam ją wydano. Towarzyszyliśmy jej w drodze z kostnicy do domu pogrzebowego. Ciało ułożono w pudle podpisanym obcym nazwiskiem i wsunięto do pieca.

Tata kupił wcześniej dwie małe fiolki na łańcuszku. Jedną dla siebie. Jedną dla mnie.

W ten sposób - wytłumaczył mi - mama zawsze miała być blisko naszych serc.

Leslie Ann Granger. Tak się naprawdę nazywała. Tata nappełnił fiolki popiołem. I zawiesiliśmy je sobie na szyi. Resztę rozrzuciliśmy na wietrze.

Po co kupować grobowiec, który tylko scementowałaby kłamstwo?

Wróciliśmy do mieszkania i tym razem ojciec nie musiał nawet nic mówić, walizki spakowałam już trzy miesiące wcześniej. Nie musiałam się też już martwić o Boomera i kocyk. Włożyłam je do drewnianego pudła ze zwłokami mamy, aby razem z nią poszły do ognia.

Kiedy umiera ci matka, czas najwyższy wydorosnąć.

WYBRAŁAM DLA SIEBIE imię Sienna, a dla taty Billy Bob, choć pozwoliłam mu używać skrótu B.B. Przewrócił tylko oczami i jakoś to przeboleał. Skoro tym razem to ja wybrałam imiona,

jemu pozostawiłam wybór miasta, a ponieważ zawsze chciał pojechać na zachodnie wybrzeże, udaliśmy się do Seatle.

Radziliśmy tam sobie całkiem nieźle, każde na swój sposób.

Tata ponownie zatrudnił się w Spears i nawet nie ujawniając faktu, że kiedyś już dla nich pracował, piął się po szczeblach kariery, awansując na coraz to wyższe stanowiska. Mnie przyjęto do kolejnej przepełnionej, niedofinansowanej szkoły, gdzie zniknęłam w bezimiennym tłumie przeciętniaków.

Zaliczyłam też swój pierwszy bunt młodzieńczy: wstąpiłam do kościoła. Niewielki Kościół Kongregacyjny miał siedzibę przecnicę dalej. Przechodziłam tamtędy codziennie

w drodze do szkoły i z powrotem. Któregoś dnia z ciekawości wsunęłam głowę do środka. Kolejnego dnia usiadłam.

Trzeciego dnia ucięłam sobie pogawędkę z wielebnym.

Bardzo chciałam wiedzieć, czy Bóg wpuści do nieba kogoś, kogo pochowano pod innym nazwiskiem.

Tego popołudnia długo z nim rozmawiałam. Miał okulary grubości denek od słoika, rzadkie siwe włosy i miły uśmiech.

Kiedy wróciłam do domu, było już po szóstej, tata czekał na mnie, na stole zaś nie było żadnego jedzenia. - Gdzie byłaś? - zapytał.

- Trochę się spóźniłam, bo...

- Nawet nie wiesz, jak się martwiłem.

- Nie zdążyłam na autobus. Zagadałam się z nauczycielką o pracy domowej. I... musiałam wracać na piechotę do domu. Nie chciałam cię niepokoić w pracy - paplałam bezładu i składu. Policzki mi płonęły i sama słyszałam, że moje wykręty nie brzmią przekonująco. Tata długo marszczył brwi.

- Zawsze możesz po mnie zadzwonić - powiedział nagle. - Tkwimy w tym razem, maleńka.

Zmierzył mi włosy, a ja poczułam ogromną tęsknotę za mamą.

Przygotowując w kuchni zapiekanekę z tuńczyka, odkryłam, że od kłamstwa, tak jak od każdej innej rzeczy, można się uzależnić. Wiedziałam już, że powiem ojcu, że zapisałam się do jakiejś grupy dyskusyjnej, a dzięki temu będę mogła spędzać popołudnia w kościele, słuchając prób chóru, rozmawiając z wielebnym i zwyczajnie chłonąc atmosferę tego miejsca.

Zawsze miałam długie włosy. Kiedy byłam mała, mama zaplatała mi je w warkocz. Jako nastolatka zaczęłam ich używać jako zasłony, pod którą starałam się ukryć jak największą część twarzy. Któregoś dnia doszłam jednak do

wniosku, że nie ma sensu zasłaniać tego, co mam najładniejsze, wstąpiłam więc do fryzjera i ścięłam je.

Tata nie odzywał się do mnie przez tydzień.

Potem, siedząc w kościele i obserwując przewijających się tam ludzi, odkryłam, że moje za duże bluzy są bez wyrazu, a powypychane spodnie niedopasowane. Podobali mi się ludzie, których ubrania były w żywych kolorach. Podobał mi się sposób, w jaki ich twarze wzbudzały zainteresowanie i sprawiały, że każdy zwracał uwagę na ich uśmiech. Ci ludzie wyglądali na szczęśliwych. Normalnych. Kochających. Założę się, że kiedy ktoś pytał ich o imię, nie musieli się najpierw ładnych kilka se-kund zastanawiać nad odpowiedzią.

Tak więc kupiłam nowe ciuchy. Niby na potrzeby grupy dyskusyjnej. Zaczęłam też spędzać każdy poniedziałkowy wieczór w jadłodajni dla bezdomnych — szkolny wymóg, wyjaśniłam ojcu. Każdy musiał odpracować pewną liczbę godzin na rzecz społeczności. Był tam taki jeden chłopak, też pracował jako wolontariusz. Szatyn. Brązowe oczy. Matt Fisher.

Matt zabrał mnie pewnego razu do kina, nie pamiętam już, co to był za film, ale pamiętam, jak poczułam jego rękę na swoim ramieniu, potem swój własny przyspieszony oddech i pocące się dłonie. Po kinie poszliśmy na lody. Padało, a on przytrzymał swój płaszcz nad moją głową.

A potem, gdy stałam opatulona w jego skropiony wodą kolońską płaszcz, po raz pierwszy mnie pocałował.

Do domu wracałam jak na skrzydłach. Rękami obejmowałam się w talii, na twarzy miałam rozmarzony uśmiech.

Tata powitał mnie przy drzwiach wejściowych. Z głębi domu majaczyło pięć walizek.

- Wiem, co robiłaś - oznajmił.

- Ciiii - powiedziałam i przytknęłam palec do ust.

Tańcząc, minęłam osłupiałego ojca i udałam się do swojego małego pokoiku bez okien. I przez osiem godzin po prostu leżałam, pozwalając sobie na bycie szczęśliwą.

Do dzisiaj myślę czasem o Matcie Fisherze. Czy jest żonaty? Czy doczekał się trójki dorodnych dzieciaków? Czy czasem wspomina dziewczynę, którą raz pocałował i której nie spotkał już nigdy więcej.

Kiedy wstałam rano, ojca nie było. Wrócił koło południa z kolejnymi fałszywymi dokumentami.

- I nie chcę słyszeć żadnych narzekań na imiona — zazna-
czył, widząc, jak krzywię się na widok danych Tanyi Nelson,
córkę Michaela. - I tak kosztowało mnie to dwa patyki.

- Ale to ty wybrałaś imiona.

- Tylko takie mogli mi zaoferować.

- Tak czy siak, to ty załatwiłaś imiona — upierałam się.

- W porządku, w porządku, niech będzie.

W obu rękach trzymał już walizki. Wyprostowałam się, ręce skrzyżowałam na piersi. Starłam się być stanowcza.

- Ty wybrałaś imiona, ja wybieram miasto.

- W porządku, jak tylko wsiądziemy do samochodu.

- Boston - oznajmiłam.

Zauważyłam jak lekko rozszerzyły mu się źrenice. Byłam niemal pewna, że walczy ze sobą, że bardzo chciałby się sprzeciwić. Ale zasady to zasady.

Rodzina to system.

KIEDY CAŁE ŻYCIE UCIEKASZ przed Czymś Straszny, musisz się czasem zastanawiać, jak to będzie, kiedy To cię wreszcie dopadnie. Tata nigdy się o tym jednak nie przekonał.

Policja poinformowała mnie, że nieostrożnie zszedł odrobinę z krawężnika, czekając na przejściu dla pieszych. Pędząca

taksówka nie dała mu szans. Zginął na miejscu. Jego ciało zostało odrzucone na 6 metrów, a latarnia, na której się zatrzymał, wygięła się od ogromnej siły uderzenia.

Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Wreszcie przebrnęłam przez z pozoru nieskończoną ścieżkę edukacyjną.

Pracowałam w Starbucks. Dużo spacerowałam. Odkładałam pieniądze na maszynę do szycia. Założyłam własny interes: zajmowałam się dekoracją okien oraz projektowaniem ozdobnych poduszek.

Polubiłam Boston. Wróciłam do miasta swojego dzieciństwa i wcale nie paraliżował mnie strach. Wręcz przeciwnie. Czulałam się całkiem bezpiecznie wśród ciągle przemierzających się tłumów. Uwielbiałam przechadzać się po Public Garden, oglądać wystawy sklepowe na Newbury Street. Polubiłam nawet powroty jesieni, kiedy co w powietrzu czuło się zapach dębów, a noce stawały się rześkie i coraz chłodniejsze. Znalazłam niewyobrażalnie małe mieszkanie, w pobliżu Mikes, tak by móc wpadać na ulubione cannoidy, kiedy tylko miałam ochotę. Powiesiłam zasłony. Kupiłam psa. Nauczyłam się nawet przyrządzać tamale. Wieczorami, wyglądając przez zakratowane okno na piątym piętrze, obserwowałam anonimowych przechodniów, ściskając w ręku fiolkę z prochami mamy.

Powiedziałam sobie, że jestem już dorosła, że nie mam się czego bać. Przeszłością kierował mój ojciec. Ale przyszłość należała do mnie i nie zamierzałam jej spędzić na ucieczce. Nie przez przypadek wybrałam Boston i to tu chciałam zapuścić korzenie.

I nagle pewnego dnia wszystko wróciło. Spojrzałam na pierwszą stronę „Boston Herald”. Po dwudziestu pięciu latach obwieszczono światu, że nie żyję.

ROZDZIAŁ 2

DZWONIŁ TELEFON.

Bobby przewrócił się na bok Chwycił poduszkę. Przycisnął ją do ucha.

Telefon dzwonił.

Cisnął poduszkę w kąt. Naciągnął kołdrę. Telefon dzwonił.

Jęk. Niechętnie uniósł jedną powiekę. 2:32 w nocy. Cholerny świat... Wyciągnął rękę, wymacał słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Czego?

- Przyjemniaczek jak zawsze...

- Bobby Dodge, detektyw policji Massachusetts - wymamrotał głośniej. — To mój drugi dzień. Nie mówcie mi, proszę, że wzywacie mnie w drugim dniu. Bez przesady!

Komórki mózgowy z opóźnieniem wracały do pracy.

- Poczekaj!

- Wiesz, jak dojechać do dawnego szpitala psychiatrycznego w Mattapan? - zapytała na drugim końcu linii detektyw D.D. Warren z bostońskiej policji.

- A czemu?

- Mamy tu miejsce zbrodni.

- Wy, czyli bostońska policja. Powodzenia. Ja wracam spać.

- Masz trzydzieści minut.

- D.D... — Bobby usiadł, teraz już zupełnie obudzony i w nastroju ani trochę żartobliwym. Niejedno razem przeszli ale 2:30 w nocy to 2:30 w nocy.

- Ty i twoi kumple chcecie podręczyć trochę nowicjusza, postawić się w jak najlepszym świetle. Jestem za stary na tego

typu numery.

- Musisz to zobaczyć - stwierdziła krótko.

- Zobaczyć co?

— Trzydzieści minut, Bobby. Nie włączaj radia. Nie słuchaj żadnych komunikatów. Chcę, żebyś to zobaczył na świeżo. Na chwilę przerwała. A potem cicho dodała:

- Bobby, przygotuj się, ze tym razem będzie naprawdę paskudnie.

I rozłączała się.

WYCIĄGANIE Z ŁÓŻKA w środku nocy nie było dla Bobby'ego Dodge'a niczym nadzwyczajnym. Prawie osiem lat służył jako

snajper w Stanowym Wydziale do Zadań Specjalnych Policji w Massachusetts, gotowy na wezwanie 24 godziny na dobę i ganiany do pracy w większość weekendów i dni wolnych.

Wtedy mu to nie przeszkadzało. Traktował to jak wyzwanie, czuł dumę, że jest członkiem tak elitarnej drużyny.

Ale dwa lata temu jego kariera stanęła pod znakiem zapytania. Bobby zastrzelił człowieka. Władze uznały oczywiście użycie broni za uzasadnione, ale od tej pory wszystko się zmieniło. Kiedy sześć miesięcy temu złożył rezygnację, nikt nie próbował odwieść go od tej decyzji. Ale od niedawna, odkąd pomyślnie zdał egzamin na detektywa, wszyscy się zgadzali, że to może być dla niego nowy początek.

I tak oto dwa dni temu znalazł się w wydziale zabójstw. Przydzielono mu kilka spraw, z których żadna nie była priorytetowa, i czekano, aż powinie mu się noga. Jeśli tylko udowodni.

że nie jest skończonym idiotą, to może pozwolą mu poprowadzić śledztwo. A jeśli nie, to może będzie tym

szczęśliwcem, którego wyrwą z łóżka w środku nocy do naprawdę wielkiej sprawy. Detektywi lubili żartować, że wszystkich zabójstw dokonuje się między 3:05 rano a 4:50 po południu. Tak aby musieli zaczynać pracę wcześniej rano, a kończyć późną nocą.

Telefony o północy stanowiły niezmienny element scenariusza. Z jednym wyjątkiem, były to telefony od współpracowników wydziału, a nie od detektywów z bostońskiej policji.

Bobby znów zmarszczył brwi, próbując to sobie jakoś wszystko poukładać. Z reguły bostońscy policjanci nie palili się do wpuszczania władz stanowych na swoje podwórko. Co więcej, gdyby naprawdę potrzebowali konsultacji, zwróciliby się do swojego przełożonego, który z kolei skontaktowałby się z przełożonym Bobby'ego i cała procedura odbyłaby się z odpowiednią dozą jawności i zaufania.

Ale D.D. zadzwoniła bezpośrednio do niego! Dlatego wciągając pospiesznie spodnie, usiłując naciągnąć koszulę z długim rękawem i ochlapując twarz strumieniami zimnej wody, coraz mocniej się upewniał, że D.D. nie potrzebowała pomocy policji stanowej, tylko potrzebowała jego pomocy. I to wzbudziło jego niepokój.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy oświetlonej jedynie nocną lampką garderobie. Znalazł odznakę, pager, swojego gloc-ka 40 i niezastąpiony sprzęt każdego detektywa, minidyktafon Sony. Zerknął na zegarek.

D. D. chciała, żeby był na miejscu za pół godziny. Powinno mu się udać w dwadzieścia pięć minut. A to dawało mu dodatkowe pięć minut na wykombinowanie, co tak naprawdę jest grane.

Z MIESZKANIA BOBBY'EGO można się było dostać do

Matta-pan drogą 1-93. Tylko w godzinach między 3 a 5 nad ranem nie przypominała ona wijącego się i stale pęczniejącego węża samochodów, Bobby miał więc niezły czas.

Zjechał na Granite Avenue, kierując się w lewo, w stronę Gallivan Boulevard, a następnie w Mortori Street. Na światłach zatrzymał się obok starego szewroleta, którego dwóch czarnoskórych pasażerów wymownie spojrzęło na jego forda crown victoria. Gapili się przez chwilę na niego z niezdradzającymi najmniejszych emocji minami. Bobby odpowiedział im radosnym kiwnięciem ręki. Gdy tylko zapaliło się zielone światło ruszyli z piskiem opon, oddalając się z minami pełnymi pogardy.

To tyle, jeśli chodzi o współpracę policji ze społecznością lokalną.

Ciągi sklepów zmieniły się teraz w budynki mieszkalne. Bobby minął boczne uliczki, przy których tłoczyły się rzędy trzypiętrowych domów, a każdy kolejny był bardziej zaniedbany i zniszczony od poprzedniego. Dużą część Bostonu odnowiono w ciągu ostatnich lat, nad wodą wybudowano nowoczesne budynki mieszkalne. Nieczynne nabrzeża przekształcono w centra konferencyjne. Całe miasto poddano strategicznym i kosmetycznym przeróbkom na potrzeby wielkiej przebudowy tranzytowego układu komunikacyjnego. Niektóre dzielnice wiele na tym zyskały. Mattapan najwidoczniej się do nich nie zaliczał.

Kolejne światła. Bobby zwolnił i zerknął na zegarek. Zostało mu osiem minut. Skręcił w lewo i postanowił objechać cmentarz Mt. Hope. Ten manewr pozwolił mu obserwować przez boczną szybę powoli wyłaniającą się zapomnianą ziemię, na której znajdowały się pozostałości Państwowego Szpitala Psychiatrycznego. Te sto siedemdziesiąt akrów

bujnie zalesionego terenu w samym środku metropolii stanowiło smakowity kąsek dla licznych inwestorów budowlanych. W miejscu, które przez długi czas dawało schronienie obłąkanym i szaleńcom, do dziś pozostało coś upiornego.

Na szczycie wzgórza stały dwa rozpadające się budynki, zerkając na mieszkańców oknami oszalałymi od roztrzaskanego szkła. Olbrzymie przerośnięte dęby i buki zdawały się sięgać nocnego nieba, a ich nagie konary przypominały zdeformowane ludzkie dłonie.

Podobno szpital zbudowano w środku lasu, aby zapewnić pacjentom „pogodne” otoczenie. Po kilkadziesiąt lat przepełnienia oddziałów, przerażających krzyków w środku nocy i dwóch brutalnych morderstw okoliczni mieszkańcy ciągle opowiadali historie o świadach wydobywających się czasem z ruin, o upiornych jękach, które zdawały się dochodzić z piętrzących się zwałów cegieł, i o niewyraźnych sylwetkach przemykających niczym cienie w gęstwinie drzew.

Na razie żadna z tych historii nie odstraszyła potencjalnych deweloperów. Towarzystwo Przyrodnicze Audubon przejęło część terenu, przemieniając go w rezerwat przyrody.

Rozpoczęto już przygotowania do olbrzymiej inwestycji, jaką była budowa nowoczesnych laboratoriów Uniwersytetu Massachusetts, ale cała dzielnica huczała od plotek, że mają tam być budynki komunalne albo nowy gmach szkoły.

Postęp wdzierał się wszędzie. Nawet do nawiedzonych szpitali psychiatrycznych.

Bobby dojechał do odległego końca cmentarza i wreszcie wypatrzył ekipę policyjną. W lewym rogu po szkieletach bruków wtapiających się w gęstą, bezgwiazdną noc ślizgały się ostre strumienie światła. W miarę przybywania radiowozów światła było coraz więcej, małe niebieskie i czerwone

punkciki tańczyły po konarach drzew. Chciał jeszcze stąd spojrzeć na sylwetkę dawnego szpitala, niewielką trzypiętrową ruinę, ale radiowozy skręcały, kierując się w głąb lasu.

D. D. nie kłamała. Bostońska policja miała tu miejsce zbrodni, a patrząc na rozmiary akcji, nie była to pierwsza lepsza zbrodnia. Bobby przerwał okrążanie cmentarza. Została mu minuta, wjechał w zionącą ciemnością bramę i ruszył w stronę ruin na szczycie.

JUŻ PO CHWILI natknął się na stojącego na straży policjanta w pomarańczowej kamizelce odblaskowej, uzbrojonego w potężną latarkę. Wyglądał jak wyrośnięty dzieciak. Niemniej jednak, dokładnie przyglądając się odznace Bobby'ego, popatrzył na niego spode łba, starając się przybrać groźną minę. Kiedy zorientował się, że Bobby jest z policji stanowej, odchrząknął podejrzliwie.

- Jest pan pewien, że to właściwy adres? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Tak sobie wstukałem adres w GPS i oto gdzie mnie przywiało.

Gołową tępo się w niego wpatrywał. Bobby westchnął:

- Osobiście zaprosiła mnie detektyw Warren. Jeśli masz jakiś problem, załatwiał to sobie z nią.

- Chodzi panu o sierżant Warren?

- Sierżant. No proszę, proszę.

Gołową oddał Bobby'emu odznakę, a ten skierował się w stronę wzgórza.

Pierwszy opuszczony budynek ukazał się po lewej stronie, każda z drobnych szyb migotała odbijającym się światłem reflektorów jego samochodu. Ceglany szkielet zapadł się, drzwi wejściowe były zamknięte na kłódkę, między dachem a resztą budynku widać było ogromne szpary.

Bobby skręcił w prawo, minąwszy kolejny budynek w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż poprzedni. Dalej na poboczu stały ciasno zaparkowane samochody, jeden za drugim, niemal stykając się zderzakami. Radiowozy, furgonetki koronera i techników walczyły o przestrzeń.

Światła reflektorów wciąż było widać z oddali. Odległa łuna tonęła w spowitym w ciemności lesie. Bobby słyszał dochodzący z furgonetki techników szum generatora, ściągniętego do oświetlenia miejsca zbrodni. Wszystko wskazywało na to, że czeka go piesza wędrówka.

Zaparkował na zarośniętym polu obok trzech radiowozów. Chwycił latarkę, papier, długopis, a po chwili zastanowienia również ciepłą kurtkę.

Listopadowa noc była chłodna, kilka stopni na plusie, i spowita rzadką mgłą. W pobliżu nie było nikogo, ale światło latarki wystarczało, żeby podążać ścieżką wydeptaną przez śledczych, którzy przybyli tu przed nim. Jego buty przy każdym kroku powodowały głośnie szuranie.

W dalszym ciągu słyszał szum generatora, ale nie docierały do niego jeszcze żadne głosy. Schylił się, przedzierając się przez krzaki. Nim na powrót się wyprostował, ziemia pod stopami zaczęła się robić grząska. Mijając niewielką polanę, zauważył stertę odpadów - gnijące drewno, cegły, plastikowe wiadra. Nielegalny wywóz śmieci był w tym rejonie problemem od lat, ale dotyczył zazwyczaj terenów w pobliżu ogrodzenia. Nikt by się raczej nie zapuścił tak głęboko.

Musiały to być śmieci jeszcze z czasów szpitala, albo może pozostałości po którymś z projektów budowlanych. Przy słabym świetle latarki nie dało się określić, jak długo tu leżały. Szum stawał się coraz głośniejszy, stopniowo przechodząc w głuche wycie. Bobby wtulił głowę w kołnierz kurtki, starając się osłonić uszy. Mając za sobą dziesięcioletni staż, widział już niejedno miejsce zbrodni. Dosko-

ale znał te odgłosy, ten zapach.

Ale tym razem był na miejscu zbrodni w roli detektywa. I może dlatego wszystko wydawało się odrobinę inne. Minął jeszcze kilka drzew i nagle się zatrzymał.

Ludzie. Wszędzie. Większość w garniturach, około piętnastu, może osiemnastu detektywów, do tego tuzin mundurowych i siwiejący dostojni mężczyźni ubrani w grube wełniane płaszcze. Wyżsi rangą oficerowie, Bobby kojarzył ich z okolicznościowych imprez pożegnalnych, które organizowano odchodzącym na emeryturę szychom. Dojrzał też policyjnego fotografa i w końcu zauważył samotnie stojącą kobietę - jeśli go pamięć nie myliła, asystentkę prokuratora okręgowego.

Mnóstwo ludzi, zważywszy na fakt, że według dawno wprowadzonych w życie przepisów, każda z osób, która wkraczała na teren miejsca zbrodni, była zobowiązana złożyć pisemny raport.

To zazwyczaj wystarczało, aby odstraszyć niższych rangą policjantów, a co ważniejsze — żeby odstraszyć grube ryby. Ale dziś byli tu wszyscy, przemieszczali się w niewielkich grupkach w świetle policyjnych reflektorów, przytupując, aby się trochę rozgrzać. Strefa zero musiała się znajdować przy końcu polany, gdyż nad tą częścią rozciągnięto niebieski dach płócienny. Stąd jednak Bobby w dalszym ciągu nie mógł dojrzeć niczego, co by sugerowało, że jest to miejsce zbrodni, nawet pod osłoną brezentu.

W zasięgu wzroku miał jedynie polanę, rozciągającą się nad jej częścią namiot i mnóstwo bardzo cichych śledczych.

To wystarczyło, by ciarki przebiegały po plecach.

Z lewej strony doszedł go szelest. Odwrócił się i ujrzał dwoje ludzi nadchodzących drugą ścieżką. Na przedzie szła kobieta w kombinezonie ochronnym, tuż za nią młody mężczyzna, jej asystent. Bobby od razu ją poznał. Christie Callahan z

biura okręgowego koronera. Callahan pełniła funkcję antropologa sądowego.

O cholera.

Znowu jakiś ruch. Nagle spod niebieskiego zadaszania wyłoniła się D.D. Spojrzenie Bobby'ego omiotło jej bladą twarz o regularnych rysach i kombinezon ochronny, a następnie powędrowało w stronę nieprzeniknionych ciemności, z których się wyłoniła. O cholera - murknął raz jeszcze, ale było już za późno. D.D. już zmierzała w jego kierunku.

- Dzięki, że przyjechałeś — powiedziała.

Stali tak przez chwilę, nie bardzo wiedząc, czy uścisnąć sobie dłonie na przywitanie, czy może cmoknąć się w policzki. W końcu D.D. dała mu wyraźny sygnał, splatając z tyłu ręce.

Ostatecznie byli tu służbowo.

- Nie wystawiłbym do wiatru sierżanta - powiedział Bobby, kładąc nacisk na słowo „sierżant”.

D.D. lekko się uśmiechnęła na dźwięk swojego nowego stopnia, ale powstrzymała się od komentarza. To nie był ani odpowiedni czas, ani miejsce.

— Fotograf zrobił już pierwsze zdjęcia — powiedziała szybko. -Czekamy, aż uwinie się operator kamery i będziesz mógł zejść.

— Zejść?

— Miejsce zbrodni znajduje się w podziemiach, zejście osłania daszek. Nie martw się, jest tam drabinka. Zresztą nietrudno tam się dostać.

Bobby trawił przez chwilę te informacje.

— Jak duże są te podziemia?

— Pomieszczenie ma jakieś metr osiemdziesiąt na trzy metry. Tak mi się wydaje. Pilnujemy, żeby nie przebywały tam więcej niż trzy osoby jednocześnie, bo wtedy ciężko się poruszać.

— Kto to odkrył?

— Dzieciaki. Zeszłej nocy. Pewnie urządzili sobie popijawę albo oddawali się innym przyjemnościom. Wydawało im się, że to świetna meta, dlatego wrócili tu dzisiejszej nocy. Już więcej tego nie zrobią.

— Są ciągle gdzieś w pobliżu?

— Nie, ekipa medyczna podała im środki uspokajające i zabrała ich. Tak będzie lepiej. Dla nas i tak są bezużyteczni.

— Mnóstwo tu detektywów.

— Owszem.

— Kto dowodzi?

Jej podbródek uniósł się nieznacznie do góry.

— Padło na mnie.

— Przykro mi. D.D.

Wykrzywiła usta. Teraz, kiedy stali tylko we dwoje, jej przygnębienie stało się bardziej widoczne. -Tak, szkoda gadać.

Usłyszeli za sobą chrząknięcie.

— Pani sierżant?

Z namiotu wyłonił się operator kamery i czekał na dalsze

— Będziemy filmować poklatkowo - powiedziała D.D. do operatora, wracając do zgromadzonych mas. — Mniej więcej co

godzinę, żeby mieć wszystko na bieżąco. Napij się gorącej kawy, jeśli masz ochotę, jest w furgonetce. Ale nie oddalaj się, Gino, tak na wszelki wypadek.

Operator skinął głową i udał się do furgonetki, gdzie na pełnych obrotach pracował generator.

— W porządku, Bobby. Idziemy.

Ruszyła, nie upewniając się, czy Bobby podąży za nią. Pod daszkiem Bobby znalazł kombinezon i buty ochronne oraz specjalną siatkę na włosy. Włożył kombinezon, a D.D.

wymieniła ubłocone obuwie ochronne na nowe. Obok leżały też maski z wydętymi otworami na oczy i usta, ale skoro D.D. je zignorowała, Bobby postanowił zrobić tak samo.

- Pójdę pierwsza - powiedziała D. D. - Krzyknę „droga wolna”, kiedy dotrę na sam dół. Wtedy ty zaczniesz schodzić. Wskazała w głąb. 21 niewielkiego otworu o wymiarach mniej więcej sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, sączyło się światło. Wystawał z niego koniec metalowej drabinki. Bob-Jby miał dziwne uczucie déjà vu, jakby gdzieś już to widział, ale nie umiał dokładnie określić, gdzie.

A wtedy nagle dotarło do niego. Wiedział, czemu D. D. po niego zadzwoniła. I wiedział już, co zobaczy na dole.

D. D. delikatnie dotknęła dłonią jego ramienia, przeszedł go dreszcz, a ona natychmiast cofnęła rękę. Jej niebieskie oczy patrzyły posępnie, a na tle bladej twarzy wydawały się nienaturalnie duże.

- No to widzimy się za chwilę - powiedziała cicho. Ruszyła w dół drabinki i zniknęła.

Dwie sekundy później usłyszał jej głos:

— Droga wolna. Bobby zszedł w otchłań.

ROZDZIAŁ 3

W ŚRODKU BYŁO DOŚĆ JASNO. W rogu ustawiono reflektory, z sufitu zwisały dodatkowo przenośne świetlówki. Ekipa techniczna potrzebowała dużo światła do zebrania próbek.

Bobby starał się skupić wzrok tylko na tym, co miał tuż przed sobą, oddychając płytko przez usta i ogarniając pomieszczenie wzrokiem stopniowo, kawałek po kawałku.

Było wysokie przynajmniej na metr osiemdziesiąt. Spokojnie mógł się wyprostować, nie dotykając głową sufitu. Wystarczająca szerokie, by stanęły w nim ramię w ramię trzy osoby i długie co najmniej na trzy i pół metra. Od razu uznał, że nie jest to żaden lej kresowy, lecz pomieszczenie wykonane celowo i z mozołem.

Było chłodno, ale nie zimno. Przypomniały mu się jaskinie, które zwiedzał w Virginii. Panowała w nich stała temperatura, około dwunastu stopni, więc człowiek czuł się, jakby wchodził do lodówki.

Zapach nie był tak nieznośny, jak się spodziewał. Ziemisty, z odrobiną odoru rozkładu. Cokolwiek się tu wydarzyło, już dawno było po wszystkim, stąd obecność antropologa sądowego.

Dłonią w rękawiczce dotknął ziemnej ściany. Była mocno ubita i nierówna, ale nie aż tak, żeby można ją było wykopać łopatą. Zresztą tak dużego pomieszczenia i tak pewnie nie dałoby się wykopać łopatą. Podejrzewał, że jaskinię najpierw wykopano koparką. Może był to jakiś przepust, który

następnie pomysłowo dostosowano do innych celów.

Przesunął się do przodu o jakieś pół metra, podchodząc do pierwszej belki nośnej, wykonanej ze starego, rozłupującego się bala. Tworzyła część prymitywnej konstrukcji przyporowej. Kolejna przypora znajdowała się mniej więcej w odległości około metra.

Palcami dotknął sufitu. Tylko sklejka, żadnej ziemi.

D. D. zauważyła jego ruch.

- Cały sufit jest z drewna - powiedziała. - Na zewnątrz przykrywają go śmieci i gruz, z wyjątkiem wyjścia, przykrytego drewnianą płytą, którą można było podnosić i opuszczać. Kiedy tu dotarliśmy, myśleliśmy, że to po prostu kupa gruzu na środku zarośniętego pola. W życiu bym nie wpadła... Nie przyszłoby mi do głowy... - westchnęła, spojrzała w dół i chyba próbowała się z tego otrząsnąć.

Bobby tylko przytaknął. W pomieszczeniu panował jako taki porządek, urządzono je raczej spartańsko. Stare plastikowe I dwudziestolitrowe wiadro stojące obok drabiny (napisy na nim wyblakły ze starości, pozostały po nich ledwie widoczne ślady); składane metalowe krzesło nadgryzione rdzą, oparte o ścianę po lewej, i metalowy regał na całej długości ściany w głębi, zasłonięty ledwo trzymającymi się bambusowymi roletami.

- Jaka tu była drabina? - zapytał.

- Łańcuchowa - opowiedziała D. D. - Już ją zapakowaliśmy jako dowód rzeczowy.

- Mówiłaś, że wejście było przykrywane płytą ze sklejki? Znaleźliście jakie dobre patyki?

- Jeden długości mniej więcej metra, grubości czterech centymetrów. Ze zdartą korą. Można uznać, że używano go do podpierania pokrywy.

- A półki? - Zrobił krok w ich kierunku.

- Jeszcze nie - ostro podniosła głos.

Zaskoczony wzruszył jedynie ramionami, obracając się w jej stronę. W końcu to ona tu dowodzi.

- Nie widzę zbyt wiele tabliczek dowodowych — powiedział w końcu.

- To dlatego, że jest tu tak czysto. Jakby to miejsce zostało zamknięte. Używał go, mogę się założyć, dosyć krótko, a potem pewnego dnia po prostu się wyniósł.

Bobby przyglądał jej się wyczekująco, ale nie rozwinęła myśli.

- Wygląda na dosyć stare - stwierdził.

- Porzucone - uściśliła.

- Wiesz już kiedy?

- Nic potwierdzonego. Musimy poczekać na raport Christie.

- Znowu czekał, aż powie coś jeszcze, ale i tym razem nie podała żadnych dodatkowych informacji.

- No dobra - powiedział po chwili - wygląda mi to na jego robotę. Ale my znamy szczegóły z drugiej ręki.

Skontaktowałam się już z detektywami, którzy byli na tamtym miejscu zbrodni? Pokręciła głową.

- Jestem tu od północy. Nie miałam kiedy zerknąć do tamtych akt. To było tak dawno temu. Detektywi, którzy nad tym pracowali, są już pewnie na emeryturach.

- Osiemnasty listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku - powiedział cicho Bobby.

- D.D. zacisnęła usta.

- Wiedziałałam, że będziesz pamiętać! — uśmiechnęła się smutno. Wyprostowała ramiona.

- Coś jeszcze?

- Dół był mniejszy, metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt. Nie przypominam sobie, żeby w raporcie z oględzin miejsca zbrodni była jakaś wzmianka o belkach nośnych. Myślę, że spokojnie możemy stwierdzić, że ta kryjówka jest bardziej wyszukana. Boże, co innego przeczytać o tym w raporcie, a

co innego zobaczyć to na własne oczy. Boże.
Raz jeszcze dotknął ściany, czując pod palcami ubitą ziemię.
Dwunastoletnia Catherine Gagnon spędziła w takim wię-
zieniu prawie miesiąc. Żyła w nieprzeniknionych
ciemnościach, straciwszy zupełnie poczucie czasu. Jej
wegetację przerywały je-dynie wizyty oprawcy, Richarda
Umbrio, który uczynił z niej - swoją seksniewolnicę. Na
krótce przed Świętem Dziękczynienia znaleźli ją myśliwi,
którzy zaczęli stukać w płytę zakrywającą otwór i usłyszeli
wydobywające się z głębi ciche łkanie. Cahe-rine uratowano,
a Umbrio wylądował w więzieniu.

Na tym historia powinna się zakończyć, ale się nie
zakończyła.

— Nie pamiętam, żeby podczas procesu Umbria była mowa o
jakichś innych ofiarach - mówiła teraz D. D.

- Nie było.

— To nie znaczy, że to był jego pierwszy raz.

- Nie znaczy.

Mogła być jego siódmą ofiarą, ósmą, dziewiątą, dziesiątą.
Nie należał do gadatliwych, więc wszystko możliwe.

- Zgadza się. Wszystko możliwe. - Zrozumiał, co D.D.
miała na myśli. „Przecież nie mogli go zapytać”. Umbrio nie
żył od dwóch lat, zastrzelony przez Catherine Gagnon, w
okolicznościach, które zwiastowały też koniec kariery
Bobby'ego. Zabawne, jak niektóre zbrodnie powracają echem
nawet wiele lat później.

Bobby ponownie spojrzął na zasłonięte półki, których wi-
doku D.D. konsekwentnie unikała. Nie zadzwoniła po niego
o drugiej w nocy, żeby mu pokazać podziemną kryjówkę. Bo-
stońska policja nie postawiła w stan gotowości całego
oddziału z powodu jakiejś pustej jamy.

- D.D.? - zapytał cicho. W końcu skinęła głową.

- Możesz równie dobrze sam to zobaczyć. To są te, Bobby,

których nie zdołano uratować. Te, które na zawsze zostały w tych ciemnościach.

Bobby bardzo delikatnie obchodził się z roletami. Wyglądały na bardzo stare i prawie rozlatywały mu się w dłoniach.

Niektóre pędy plecionego bambusa rozszczepiały się na cieńsze, zahaczając o sznurek, co utrudniało podciągnięcie ich w górę. Zapach przybierał na sile. Słodki, niemal cierpki. Choć bardzo starał się nad sobą panować, ręce mu drżały, a serce łomotało w piersiach.

Zdystansuj się. Nie myśl o tym, gdzie jesteś ani co robisz.

Skup się tylko na tym, żeby zrobić to dobrze.

Zwinął pierwszą z rolet. Potem drugą.

Uratowało go kompletne niezrozumienie.

Worki. Niebieskie plastikowe worki na śmieci. Sześć worków. Trzy na górnej półce, trzy na dolnej, jeden przy drugim, zawiązane starannie u wylotu.

Worki. Sześć worków. Przezroczysta folia.

Zatoczył się w tył.

Brakowało mu słów. Zdawał sobie sprawę, że ma otwarte usta, ale nie potrafił wydobyć z nich żadnego dźwięku. Po prostu patrzył.

Patrzył i patrzył, bo nie mógł uwierzyć, że to, co ma przed oczami, rzeczywiście istnieje. Jego umysł w kółko rejestrował obraz, a następnie odrzucał go. Przecież on nie mógł... To nie mogły być....

Uderzył plecami o drabinę. Chwycił zimny metalowy szczebel i ścisnął tak mocno, by ostre krawędzie wbiły mu się w dłoń. Skupił się na tym odczuciu, na przeszywającym ostrym bólu. Uchwycił się go niczym ostatniej deski ratunku. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać się od krzyku.

D. D. wskazała palcem na sufit, w miejsce, z którego zwisały świetlówki.

- To nie my przytwierdziliśmy tamte dwa haki - powiedziała

cicho. - One już tu były. Nie znaleźliśmy żadnych latarni, więc zakładam, że...

- Wiem - przerwał jej szybko Bobby, wciąż oddychając przez usta.

- No i krzesło, rzecz jasna.

- Jasne. Pierdolone krzesło.

— To jedna z metod mumifikacji, zwana mokrą — wyjaśniła D.D. drżącym głosem, z trudem nad nim panując - Tak twierdzi Christie. Wiązał ciała, wkładał je w worki na śmieci, górę związywał. Kiedy zaczynał się proces rozkładu... płyny nie miały żadnego ujścia. Zasadniczo, ciała kisiły się we własnych płynach.

— Skurwysyn.

— Nienawidzę swojej pracy, Bobby — wyszeptała D.D.

— O Boże, nigdy nie chciałam oglądać takich rzeczy.

Zasłoniła usta dłonią. Przez moment wydawało mu się, że D. D. za chwilę się rozklei, ale ona zebrała się w sobie. Odwróciła się jednak od półek. Nawet dla doświadczonego policjanta niektóre sprawy są zbyt dużym wyzwaniem.

— Musimy wracać na górę — stwierdziła D. D. krótko.

— Christie już tam pewnie czeka. Musi zabrać worki z ciałami.

— Dobra — odpowiedział, ale nie zrobił ani kroku w kierunku drabiny. Podszedł natomiast z powrotem do półek, rejestrując obraz, który jego mózg nieustannie odrzucał, a który miał zostać w jego pamięci już zawsze.

Ciała z czasem przybrały kolor mahoniowy. Nie wyglądały jak wysuszone łupiny, które widywał na wystawach mumii egipskich. Wyglądały solidnie, jak wykonane z wyprawionej skóry, każda rysa twarzy była doskonale rozpoznawalna.

Bobby widział nieprawdopodobnie chude ramiona obejmujące lekko zaokrąglone nogi. Widział po dziesięć palców zaciśniętych wokół kostek. Rozpoznawał rysy twarzy

kolejnych ofiar, zapadnięte policzki i oparte o kolana wystające kości podbródka. Ich oczy były zamknięte. Usta zasnurowane. Włosy zmierzwiłone, w długich, prostych pasmach opadające na ramiona.

Wszystkie były drobne. Wszystkie były nagie. Wszystkie płci żeńskiej, Dzieci, po prostu dzieci, skulone wewnątrz przezroczyстых worków na śmieci, z których nigdy nie było im dane się uwolnić.

Teraz już wiedział, czemu wszyscy na górze zachowywali się tak cicho.

Wyciągnął dłoń w stronę jednego z worków i dotknął go delikatnie. Sam nie wiedział, po co. Nic już nie mógł powiedzieć, nic zrobić.

Dotknął cienkiego metalowego łańcuszka. Wyszarpnął go ze ściśniętego wylotu foliowego worka i zobaczył niewielki srebrny medalion. Widniał na nim napis Annabelle M. Granger.

— Przywieszał im identyfikatory? — spytał i zaklął siarczyście.

— Bardziej mi to wygląda na trofea. — D.D. stanęła za nim. Sięgnęła za drugi worek i ostrożnie wyciągnęła maleńkiego, zniszczonego niedźwiadka wiszącego na sznurku. Wydaje mi się... Cholera, nie wiem, ale do każdej z toreb jest coś przy-czepione. Coś, co miało dla niego jakieś znaczenie. Albo coś, co miało jakieś znaczenie dla dziewczynek.

- O Boże.

Poczuł dłoń D. D. na ramieniu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak mocno miał zaciśniętą szczękę.

— Musimy wracać na górę, Bobby.

- Tak...

— Christie musi dokończyć swoją robotę.

— Wiem... - Bobby...

Gwałtownie cofnął dłoń. Popatrzył na nie po raz ostatni,

czując potrzebę, wręcz obowiązek uwiecznienia ich w swojej pa-mięci. Tak jakby świadomość że nie zostaną zapomniane, mogła im przynieść jakieś pocieszenie, tak jakby miało to jakieś znaczenie, że nie są już same w tych ciemnościach. Skierował się w stronę drabinki. Gardło go paliło. Nie mógł mówić.

Wziął trzy głębokie wdechy i wy dostał się przez otwór pod niebieskim daszkiem.

Znalazł się na powrót w ciemnościach chłodnej mglistej nocy. Na powrót w świetle reflektorów, wśród hałasu helikopterów łowców sensacji, którzy już zdążyli zwąchać dobry temat.

BOBBY NIE WRÓCIŁ DO DOMU. Nie potrafił. Przyjechał na prośbę D.D. Potwierdził to, co podejrzewała. Nikt nie miałby mu za złe, gdyby opuścił już to miejsce.

Nalał sobie kubek gorącej kawy w furgonetce ekipy technicznej. Stał chwilę, opierając się o bok samochodu, otulony szumem wyjącego generatora. Kawy nawet nie wypił, bawił się tylko kubkiem, obracając go w drżących palcach.

Zrobiła się godzina szósta, słońce zaczęło wstawać nad horyzontem. Christie i jej asystent wynieśli ciała, teraz w czarnych workach. Na noszach mieściły się po trzy, trzeba więc było odbyć dwa kursy do karetki. Ta miała najpierw pojechać do policyjnego laboratorium, żeby zdjąć odciski palców z worków na śmieci. Następnie miała przewieźć szczątki do Biura Głównego Koronera, gdzie można będzie zrobić sekcję.

Po odjeździe Christie rozjechała się też większość detektywów. W takich miejscach zbrodni działał głównie antropo-

log sądowy, skoro ona nie miała tu już nic do roboty, oni tym bardziej.

Bobby wylał swoją zimną już kawę, a kubek wyrzucił do śmieci.

Czekał na siedzeniu pasażera w samochodzie D.D., kiedy ona sama w końcu wyłoniła się spomiędzy drzew. A potem, ponieważ kiedyś łączyła ich miłość, a potem przyjaźń, przytulił jej głowę do swojego ramienia i pozwolił jej się wypłakać.

ROZDZIAŁ 4

MÓJ TATA UWIELBIAŁ POWIEDZONKA. „Przypadek sprzyja przygotowanym" należało do jego ulubionych. Gotowość, zdaniem mojego taty, znaczyła wszystko. I zaczął mnie przygotowywać w chwili, kiedy uciekliśmy z Massachusetts.

Lekcje rozpoczął od prostych zakazów i nakazów dla siedmiolatki. Nigdy nie przyjmować słodyczy od obcych. Nigdy z nikim nie wychodzić ze szkoły, nawet ze znajomą osobą, chy-

ba że ta będzie znała wcześniej ustalone hasło. Nie podchodzić do jadących w moim kierunku samochodów. Jeśli kierowca zapyta o drogę, odesłać go do dorosłej osoby. Jeśli będzie szukał zgubionego psa, odesłać go na posterunek policji.

A jeśli w środku nocy pojawi się w moim pokoju ktoś obcy? Krzyczeć, wrzeszczeć, walić w ściany. Tata tłumaczył mi, że czasem ciężko wystraszonemu dziecku wydobyć z siebie głos, wówczas kazał kopać w meble, zrzucić na ziemię lampkę nocną, stłuc jakieś drobne przedmioty, zagwizdać w czerwony gwizdek, który dostałam na wypadek sytuacji awaryjnych, zrobić cokolwiek, byle narobić jak najwięcej hałasu. Obiecywał, że nawet jak przewrócę cały dom do góry nogami, ani on, ani mama nigdy nie będą się na mnie złościć. Walcz, mówił tata. Kop w rzepkę kolanową, wbijaj palce w oczy, gryź w gardło. Walcz, walcz, walcz.

Z wiekiem wtajemniczał mnie w bardziej wyszukane metody. Lekcje karate dla wyrobienia zręczności. Treningi

biegania, aby poprawić prędkość. Cały wachlarz wskazówek i dobrych rad. Nauczyłam się zawsze zamykać drzwi wejściowe, nawet w środku dnia. Jeśli usłyszałam pukanie, najpierw spoglądałam przez judasza i nigdy nie wpuszczałam obcych.

Mówił też, żeby głowę trzymać wysoko podniesioną i chodzić pewnym krokiem, Nie unikać kontaktu wzrokowego z przechodniami, ale też nie przedłużać go. To miało wystarczyć, żebym sprawiała wrażenie osoby która czuje się pewnie w swoim otoczeniu, ale nie ściąga na siebie niepotrzebnej uwagi. Jeśli kiedykolwiek poczułabym się nieswojo, miałam dołączyć do najbliższej grupy ludzi i trzymać się blisko nich. Gdyby ktoś zaatakował mnie w toalecie, miałam krzyknąć "pożar", ludzie szybciej reagują na zagrożenie ogniem aniżeli na wołanie o pomoc gwałconych. W awaryjnych sytuacjach w centrum handlowym miałam podejść do pierwszej lepszej kobiety. Kobiety reagują chętniej, mężczyźni angażują się z oporami. A gdyby ktoś celował do mnie z broni, miałam uciekać. Nawet najlepiej wyszkolonemu snajperowi dużo trudniej trafić w ruchomy cel.

Wychodząc z domu czy z pracy, zawsze trzymaj kluczyki od samochodu w taki sposób, aby choć jeden wystawał z zaciśniętych palców niczym improwizowany nóż. Nie otwieraj drzwi, jeśli stoi za tobą nieznajomy. Nie wsiadaj do środka, dopóki nie sprawdzisz tylnych siedzeń. Zawsze zamykaj drzwi od środka, a jeśli ci duszno, uchyl okno na centymetr.

Tata nie miał zaufania do broni, wyczytał gdzieś, że kobiety bardzo łatwo dają ją sobie odebrać, a w efekcie jest użyta przeciwko nim. Dlatego dopóki nie skończyłam czternastu lat, nosiłam zawsze na wypadek awaryjnej sytuacji gaz łzawiący i zawieszony na szyi gwizdek.

Wtedy jednak podczas szkolnego sparringu znokautowałam

przeciwnika. Zrezygnowałam z karate na rzecz kickboxingu i okazało się, że byłam w tym naprawdę niezła. Tłum na widowni był przerażony. Matka chłopaka, któremu spuściłam łanie, nazwała mnie potworem.

Tata zabrał mnie na lody i pochwalił, że świetnie się spisałam.

— Nie myśl, że toleruję przemoc. Ale jeśli kiedykolwiek coś ci będzie zagrażać, Cindy, nie wahaj się. Jesteś silna, jesteś szybka, masz instynkt wojownika. Najpierw atakuj, potem zadawaj pytania. Musisz być przygotowana na każdą ewentualność.

Tata pozwolił mi walczyć w jeszcze kilku pojedynkach. Udoskonaliłam dzięki temu technikę i nauczyłam się kontrolować agresję. Jestem szybka. Jestem silna. Rzeczywiście mam instynkt wojownika. Wszystko układało się świetnie, dopóki nie zaczęłam zbyt często wygrywać. To wzbudziło niepotrzebne zainteresowanie moją osobą.

Koniec pojedynków. Koniec życia.

Skończyło się na tym, że rzuciłam ojcu w twarz jego własne słowa:

- Przygotowanie? Tylko jaki sens się przygotowywać, jeżeli my tylko ciągle uciekamy?

-Tak, kochanie - powtarzał niestrudzenie tata. — Ale możemy bez przeszkód uciekać tylko dzięki temu, że zawsze jesteśmy przygotowani.

UDAŁAM SIĘ NA POSTERUNEK policji w Bostonie prosto po rannej zmianie w Starbucksie. Musiałam przejść kawałek piechotą, żeby dotrzeć na stację metra, stamtąd zaś pomarańczową linią mogłam się dostać na Ruggles Street. Dobrze się przygotowałam do tej wizyty, co odzwierciedlał mój strój: stare, nisko opuszczone dzinsy, których przydługie

postrzępione nogawki ciągnęły się po ziemi. Czekoladowy cienki bezrękawnik zarzucony na czarną obcisłą bawełnianą koszulkę z długim rękawem. Wielobarwny, czarno-czekoladowo-biało-różowo-niebieski szalik przewiązany w talii. Na ramieniu zaś olbrzymia niebieska torba w kwiaty od April Cornell.

Włosy zostawiłam rozpuszczone, ciemne pasma opadały do połowy pleców. Założyłam też olbrzymie srebrne kolczyki w kształcie kół. Mogłam z powodzeniem uchodzić za Latynoska zresztą niejednokrotnie brano mnie za takową. Zdecydowałam, że takie przebranie będzie najbezpieczniejsze, biorąc pod uwagę moje popołudniowe plany.

Ulica State Street jak zawsze tętniła życiem. Wrzuciłam żeton i ruszyłam schodami w dół, wtapiając się w intensywny zapach moczu, który był nieodłącznym elementem każdej stacji metra. Wokół mnie kłębił się typowo bostoński tłum: czarni, Azjaci, Latynosi, biali, bogaci, biedni, biznesmeni, robotnicy, członkowie gangów. Barwny wielkowiejski obrazek. Liberałowie uwielbiali takie pierdoły. Niemal każdy z nas marzył o wygranej na loterii i kupnie własnego samochodu.

Wypatrzyłam starszą panią, która ciągnęła za sobą nastoletnią wnuczkę i stanęłam obok nich. Wystarczająco daleko, żeby nie przeszkadzać, ale wystarczająco blisko, żeby można było pomyśleć, że podróżujemy razem. Wszyscy wpatrywaliśmy się w ścianę, żeby nie patrzeć na siebie nawzajem.

Kiedy nadjechał skład, jedną gęstą masą ruszyliśmy w kierunku drzwi, szczelnie wypełniając stalową tubę. Drzwi zamknęły się ze świstem i wagon wjechał w ciemności tunelu.

Na tym odcinku trasy zawsze brakowało miejsc siedzących. Stałam, przytrzymując się metalowej rury. Czarnoskóry dzieciak ubrany w za dużą bluzę, luźno wiszące spodnie i

czerwoną chustę na głowie ustąpił miejsca starszej pani.

Podziękowała mu. Nie odpowiedział.

Kołysałam się lekko ze wzrokiem utkwionym w przyklejoną nad drzwiami mapkę, próbując kątem oka ogarnąć wszystkich podróżnych.

Bo prawej stronie siedział starszy mężczyzna. Azjata, klasa robotnicza, głowa zwieszona, przygarbiony. Ktoś, kto chce tyl-

ko przeżyć kolejny dzień. Starsza pani na siedzeniu obok, tuż przy niej wnuczka. Obok pięciu czarnoskórych młodzieniaszków ubranych w charakterystyczne stroje gangowe. Ich ramiona poruszały się w rytm pędzącego pociągu, siedzieli w milczeniu, wbijając wzrok w podłogę.

Za mną stała kobieta z dwójką małych dzieci. Była Latynoską, a dzieci, sześć- i ośmioletnie, były białe. Musiała więc być opiekunką, która zabierała swoich podopiecznych do parku. Obok niej stały dwie odpicowane nastolatki. Włosy splecione w dziesiątki drobnych warkoczyków, gigantyczne diamentowe kolczyki w uszach. Zdecydowałam, że lepiej mieć je na oku. Dziewczyny, jako bardziej nieprzewidywalne od chłopaków, są bardziej niebezpieczne. Po chłopcach zazwyczaj widać, że coś się święci, dziewczyny atakują zniemacka, nim się obejrzyysz, wymachują ci nożem przed nosem.

Ze strony tych dwóch nie spodziewałam się jednak większego zagrożenia. Zdążyłam je rozpracować, a niebezpieczeństwo czaiło się przecież tam, gdzie trudno je dostrzec.

Pociąg spokojnie dojechał do Ruggles Street. Drzwi się otwały. Wyszłam. Nikt nie zaszczycił mnie dłuższym spojrzeniem.

Poprawiłam torbę na ramieniu i ruszyłam w stronę scho-]
dów.

Nigdy nie byłam w nowym komisariacie w Roxbury. Słyszałam jedynie opowieści o nocnych strzelaninach na parkingu i ludziach, których obrabowano przed głównym wejściem. Zmiana siedziby była najwidoczniej decyzją polityczną i miała na celu podniesienie statusu Roxbury albo przynajmniej poprawę bezpieczeństwa mieszkańców. Z tego co czytałam w internecie, żadnego z tych celów strategicznych nie udało się jednak osiągnąć.

Szłam, ściskając pod pachą torebkę i stawiając stopy na samych kłębach palucha, gotowa działać, gdyby zaistniała taka potrzeba. Stacja na Ruggles Street była olbrzymia, zatłoczona i zatęchła. Energicznie torowałam sobie drogę przez tłum, starając się wyglądać na zdecydowaną i skupioną. Przecież nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że czuję się zagubiona, choć wialnie tak się czułam.

Kiedy pokonałam strome schody prowadzące do wyjścia, zauważyłam po prawej antenę radiową i postanowiłam tam się skierować. Kiedy maszerowałam chodnikiem, usłyszałam za sobą szyderczy głos:

- Niezła jesteś, meksykowo! Co byś powiedziała na burri-to z prawdziwą parówką?

Odwróciłam się i zauważyłam trójkę czarnoskórych dzieciaków. Pokazałam im środkowy palec. Wybuchnęli śmiechem. Najstarszy, który miał jakieś trzynaście lat i wyglądał na przywódcę, chwycił się za krocze. Teraz to ja się uśmiełam.

To odebrało im trochę pewności siebie. Odwróciłam się i pomaszerowałam dalej spokojnym równym krokiem. Zaciśnęłam dłonie w pięści, żeby ukryć ich drżenie.

Kwaterę główną bostońskiej policji ciężko byłoby przeczyć. Po pierwsze, była to olbrzymia budowla ze szkła i metalu wyróżniająca się na tle sąsiednich brązowych, rozpadających się budynków mieszkalnych. Po drugie,

betonowe barykady ustawione wokół całego wejścia głównego sprawiały wrażenie, że oto jesteśmy w samym centrum Bagdadu. Ideę bezpieczeństwa narodowego potraktowano tu bardzo poważnie.

Moje kroki nie były już takie pewne. Odkąd zdecydowałam się dzień wcześniej na tę wyprawę, starałam się zbyt dużo o tym nie myśleć. Wszystko zaplanowałam. Przeszłam do działania. I oto znalazłam się na posterunku w Roxbury

Położyłam na ziemi torebkę. Wyciągnęłam z niej sportową sztruksową marynarkę w kolorze kawy z mlekiem.

Włożyłam ją, próbując ukryć wcześniejsze przebranie. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Nie miałam przecież dowodów. Detektywi albo mi uwierzą, albo nie, krótka piłka.

W środku stanęłam w kolejce do bramki. Strażnik najpierw chciał zobaczyć moje prawo jazdy. Potem przeszukał moją po-

każnych rozmiarów torbę. W końcu zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby oczekiwał, że za chwilę sama się przyznam, że chcę przemycić na posterunek policji broń/bombę/ narkotyki. Ponieważ nic takiego nie nastąpiło, przepuścił mnie w końcu.

Podchodząc do głównego stanowiska, wyciągnęłam artykuł z gazety, żeby sprawdzić raz jeszcze nazwisko detektywa, choć szczerze mówiąc, znałam je na pamięć.

— Czy jest pani umówiona? — zapytał umundurowany policjant z surowym spojrzeniem. Był tęgi i miał gęste wąsy, dlatego od razu skojarzył mi się z Dennisem Franzem.

- Nie.

Po raz kolejny zmierzono mnie od stóp do głów.

— Zdaje sobie pani sprawę, że pani sierżant jest teraz bardzo zajęta?

— Proszę jej tylko powiedzieć, że przyszła Annabelle Granger. Powinno ją to zainteresować.

Policjant chyba nie był na bieżąco ze śledztwem. Wzruszył ramionami, podniósł słuchawkę telefonu i przekazał moją wiadomość. Ponownie wzruszył ramionami, odłożył słuchawkę i kazał mi czekać.

Za mną ustawiała się już sporych rozmiarów kolejka, wzięłam więc torbę i przeniosłam się na środek długiego, sklepionego korytarza. Ktoś urządził tam wystawę dokumentującą historię posterunku. Przyglądałam się każdemu ze zdjęć, czytałam podpisy, przechadzając się w tę i z powrotem. Mijały kolejne minuty. Drzenie rąk się nasilało. Przeszło mi przez myśl, że jeszcze mogę uciec. Potem ogarnęły mnie nudności.

W końcu usłyszałam kroki.

W moją stronę zmierzała pewnym krokiem kobieta. Miała na sobie obcisłe džinsy, wysokie kozaki na szpilce, obcisłą koszulę z białym kołnierzykiem i naprawdę wielką spluwę w kaburze w talii. Jej twarz okalała burza blond loków. Można ją było

wziąć za modelkę z okładki kolorowego magazynu, dopóki nie spojrzało się jej w oczy. Skupione, bez wyrazu, bez najmniejszego śladu rozbawienia.

Spojrzała na mnie i przez krótką chwilę wydawało mi się, że jakiś cień przemknął po jej twarzy. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Stała przy mnie, odcinając mi drogę ucieczki.

Wzięłam głęboki oddech.

Tata nie miał racji. Są takie sytuacje w życiu, na które nie można się przygotować. Takie jak śmierć matki, kiedy masz zaledwie kilka lat. Albo jak strata ojca, jeszcze zanim przestaniesz go nienawidzić.

— O co, do cholery, chodzi? - zapytała sierżant D.D. Warren.

— Nazywam się Annabelle Mary Granger — powiedziałam.

- Chyba mnie pani szuka.

ROZDZIAŁ 5

BIURA wydziału zabójstw przypominały gabinety w ubezpieczalni. Ogromne jasne okna, podwieszane na ponad trzech metrach sufity, ładny niebiesko-szary dywan. Ścianki działowe, beżowe i eleganckie, dzieliły zalaną słońcem przestrzeń na boksy, w których czarne segregatory, szafki na akta i szare szafki wiszące przyozdobione były kwiatami, zdjęciami rodziny i najświeższymi pracami plastycznymi dzieci.

Całość ogromnie mnie rozczarowała. Tyle, jeśli chodzi o moich ukochanych Nowojorskich gliniarzy.

Kiedy weszłyśmy, recepcjonistka uśmiechnęła się ciepło do sierżant Warren. Potem zerknęła na mnie, otwarcie, nie-nachalnie. Odwróciłam wzrok, nerwowo bawiąc się torebką. Ciekawe, czy wyglądałam na przestępcę? Informatora? A może członka rodziny którejś z ofiar? Starłam się spojrzeć na samą siebie oczami recepcjonistki, ale nie zdołałam dojść do żadnych sensownych wniosków.

Sierżant Warren zaprowadziła mnie do małego pokoju bez okien. Prostokątny stół zajmował prawie całą przestrzeń, ledwie zostawiając miejsce na krzesła. Rozglądałam się wokół, zastanawiając się, czy mają tu lustro weneckie. Starłam się znaleźć

cokolwiek, co pasowałoby do wyobrażeń, które zbudowałam sobie na podstawie seriali telewizyjnych. Ściany w kolorze ecru, nagie. Ciągle nie mogłam się odprężyć.

- Kawy? — spytała.
- Nie, dziękuję.
- Wody, mineralnej, herbaty?
- Nie, dziękuję.
- Proszę się rozgościć, zaraz wracam.

Zostawiła mnie samą w pokoju. To musiało oznaczać, że jednak nie wyglądam na przestępcę. Położyłam torbę, w dalszym ciągu lustrując wzrokiem wnętrze. Nie było na czym zatrzymać wzroku. Nic, czym można by się zająć.

Pokój był zbyt mały, umeblowanie zajmowało zdecydowanie za dużo miejsca. Od razu poczułam niechęć do tego pomieszczenia.

Drzwi ponownie się otwarły. Wróciła Warren, niosąc dyktafon. Natychmiast pokręciłam głową.

- Nie.

Obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

- Myślałam, że przyszła tu pani złożyć zeznania.
- Żadnego nagrywania. - Dlaczego?
- Bo już ogłosiła pani, że nie żyję, a ja chciałabym, żeby tak pozostało.

Ustawiła dyktafon, nie włączając go. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie. Wytrzymałam jej spojrzenie.

Byłyśmy równego wzrostu, około metra sześćdziesiąt pięć.

Ważyłyśmy też chyba tyle samo. Patrząc na jej szerokie ramiona i wyraźne bicepsy, wiedziałam, że podobnie jak ja ćwiczyła z ciężarkami. Miała co prawda broń, ale broń ma to do siebie, że trzeba ją wyjąć, wymierzyć, nacisnąć spust.

Mnie nie ogra-niczały podobne szczegóły.

Ta myśl pozwoliła mi się po raz pierwszy rozluźnić. Opuściłam swobodnie ręce. Usiadłam. Po chwili ona też usiadła.

Drzwi znów się otwarły. Wszedł mężczyzna ubrany w jasnobrązowe spodnie i granatową koszulę z długim rękawem, z identyfikatorem przypiętym do paska. Też musiał być z

wydziału zabójstw. Nie był wysoki, miał trochę ponad metr siedemdziesiąt, ale jego szczupła, muskularna sylwetka świetle współgrała z pociągłą twarzą o surowych rysach. Na mój widok trochę się zawahał, ale szybko się opamiętał i stał z twarzy wszelki wyraz.

Wyciągnął dłoń w moim kierunku.

- Detektyw Robert Dodge z policji w Massachusetts.

Niepewnie podałam rękę. Skóra na jego palcach była zgrubiała, uścisk mocny. Przytrzymał moją dłoń odrobinę dłużej, mierząc mnie spojrzeniem i starając się wyrobić sobie wstępna opinię na mój temat. Miał chłodne szare oczy, takie, które w mig potrafią ocenić każdą sytuację.

- Napije się pani czegoś? Wody?

- Detektyw Warren już odegrała Marthę Stewart. - Kiwnęłam głową w jej kierunku. - Z całym szacunkiem, chciałabym mieć to jak najszybciej za sobą.

Detektywi wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dodge zajął krzesło stojące najbliżej drzwi. Nagle odniosłam wrażenie, że w pomieszczeniu panuje dok i ścisk. Położyłam dłonie na kolanach, starając się nie bawić palcami.

— Nazywam się Annabelle Mary Granger — zaczęłam. Dodge sięgnął po dyktafon, Warren powstrzymała go delikatnym dotknięciem ramienia.

— Nie będziemy rejestrować — wyjaśniła mu. — Przynajmniej na razie.

Dodge skinął głową, a ja wzięłam kolejny głęboki oddech, starając się pozbierać rozbiegane myśli. Ostatnie czterdzieści osiem godzin powtarzałam tę historię w głowie raz po raz, obsesyjnie czytając wszystkie pierwszostronicowe artykuły o „grobie” znalezionym w Mattapan i o ukrytych tam szczątkach sześciu osób. Informacje były skąpe: policyjny antropolog potwierdził

jedynie, że były to zwłoki dziewczynek, rzecznik policji

dodał, że grób istnieje zapewne od dziesięcioleci. Ujawnili tylko jedno nazwisko, moje, reszta pozostawała tajemnicą. Telewizja musiała czymś zapełnić dwudziestoczworogodzinne relacje, a że nowych faktów brakowało, ograniczono się do gorączkowych spekulacji. Teren ten mógł przecież należeć niegdyś do mafii, stanowić spuściznę Whiteya Bulgera, gangstera, którego ofiary do dziś odkopywano w różnych częściach stanu. A może to dawny cmentarz szpitala psychiatrycznego. A może kryjówka, w której dawał upust swojemu niezdrowemu hobby któryś z jego morderczych pacjentów. Mattapan mogło być miejscem kultów satanistycznych. Szczątki mogły też należeć do ofiar procesu czarownic z Salem.

Każdy miał jakąś teorię, każdy oprócz mnie. Ja nie miałam pojęcia, co tak naprawdę wydarzyło się w Mattapan. I nie przyszedłam tu, żeby pomóc policji, tylko żeby to policja pomogła mnie.

— Moja rodzina uciekła po raz pierwszy, kiedy miałam siedem lat - zaczęłam, a potem szybko streściłam swoją historię. Ciągłe ucieczki, nieustannie zmieniana tożsamość. Śmierć mamy. Później śmierć taty. Nie wdawałam się w szczegóły. Detektyw Dodge zanotował kilka faktów. Detektyw Warren przez większość czasu po prostu mnie obserwowała.

Doszłam do końca szybciej, niż się spodziewałam. Żadnego zaskakującego zakończenia. Po prostu koniec historii.

Zaschło mi w gardle. Żałowałam, że jednak nie poprosiłam o wodę. Zapadła kłopotliwa cisza, miałam tę świadomość, że oboje detektywi w dalszym ciągu lustrują mnie wzrokiem.

- W którym roku wyjechaliście? — zapytał detektyw Dodge, stukając ołówkiem.

— W październiku osiemdziesiątego drugiego.

- A jak długo mieszkaliście na Florydzie?

Bardzo starałam się przypomnieć sobie wszystkie miejsca,

daty, nazwiska. Czas zatarł więcej szczegółów, niż mi się wydawało. W którym miesiącu przenieśliśmy się do St. Louis? Miałam dziesięć czy jedenaście lat, kiedy zamieszkaliśmy w Phoenix? No i nazwiska... Czy w Kansas City nazywaliśmy się Jones, Jenkins czy Johnson? Jakoś tak... Zdawałam sobie sprawę, że z każdym pytaniem słabnie moja pewność i że powoli przyjmuję pozycję obronną, a detektywi nie doszli jeszcze do pytań najtrudniejszych.

— Dlaczego? - Warren bez ogródek przerwała moją lekcję geografii Stanów Zjednoczonych. Rozłożyła ręce. - To bardzo ciekawa historia, tyle że nie powiedziała nam pani, dlaczego uciekaliście.

— Nie wiem.

— Nie wie pani?

— Tata nigdy nie wyjawiał mi szczegółów. Wychodził z założenia, że on jest od zmartwień, a ja mam być dzieckiem. Podniosła brew. Wcale się jej nie dziwiłam. Od kiedy skończyłam szesnaście lat, sama zaczęłam odbierać ten komunał sceptycznie.

— Akt urodzenia? - spytała oschle.

- Na prawdziwe nazwisko? Nie posiadam.

- Prawo jazdy, karta ubezpieczenia społecznego? Akt ślubu rodziców? Fotografia rodzinna? Musi coś pani mieć.

- Nie mam. - Nie?

- Prawdziwe dokumenty zawsze mogą się dostać w niepowołane ręce i zostać użyte przeciwko tobie - recytowałam jak katarynka. Zresztą przez większość swojego życia jak najęta powtarzałam wpojone przez ojca slogany.

Sierżant Warren pochyliła się w moją stronę. Z tej bliskiej odległości mogłam dostrzec cienie pod oczami i blade policzki kogoś, kto mało sypia i powoli traci cierpliwość.

- Po co, do cholery, pani do nas przyszła? Nic nam pani nie powiedziała, niczego nowego pani nie wniosła. Ma pani na-

dzieję, że pokażą panią w wiadomościach? O to chodzi?

Próbuje

sobie pani przywłaszczyć osobowość jakiejś zamordowanej biedaczki, żeby dostać swoje pięć minut sławy?

- To nie tak.

— Gówno prawda.

— Powiedziałam już, że miałam tylko kilka minut na spa-kowanie, nie pomyślałam, żeby zabrać album.

- Wygodnie, nie powiem.

— Chwileczkę! — Teraz ja zaczynałam tracić cierpliwość. - Chce pani jakieś dowody? Proszę je zdobyć! To nie ja jestem cholernym policjantem. Mój ojciec pracował na MIT. Russel Walt Granger. Sprawdźcie to, musi być jakaś dokumentacja. Mieszkaliśmy w Arlington na Oak Street pod numerem dwieście osiemdziesiąt dwa. Sprawdźcie to, będą odpowiednie papiery. Przekopcie te swoje pieprzone akta. Do cholery, moja rodzina znikła w środku nocy, coś na ten temat na pewno znajdzie się w waszych aktach.

- Jeżeli pamięta pani tak wiele, to dlaczego sama nie poszła pani tym tropem?

- Nie poszłam tym tropem - wybuchłam - bo nie wiem, kogo tak naprawdę się boję.

Odsunęłam się od stołu, zawstydzona swoim wybuchem.

Detektyw Warren powoli się wyprostowała. Wymieniła z detektywem Dodgem kolejne porozumiewawcze spojrzenie, chyba

tylko po to, żeby mnie zdenerwować. Wstała i wyszła z pokoju. Postanowiwszy, że to nie ja pierwsza przerwę milczenie, wpatrywałam się uparcie w ścianę, czekając na reakcję detektywa Dodge'a.

- Wody? - spytał. Pokręciłam głową.

- Musiało być pani ciężko tak stracić oboje rodziców — rzekł cicho.

- Niech pan sobie daruje. Dobry glina, zły glina. Myślicie, że nie oglądam filmów?

Siedzieliśmy tak w ciszy, dopóki drzwi nie otworzyły się ponownie. Wróciła detektyw Warren z dużą papierową torbą w dłoni.

Założyła lateksowe rękawiczki. Położyła torbę na stole, odwinęła ją i wyciągnęła jakiś przedmiot. Nie był duży.

Dziecięcy delikatny łańcuszek z owalnym medalionem.

Trzymała go na dłoni. Wskazała na kunsztownie wygrawerowane zawijasy na froncie. Potem otworzyła go, ukazując owalne wgłębienia. W końcu odwróciła go. Z tyłu widniało wygrawerowane tylko imię i nazwisko: Annabelle M.

Granger.

— Co może mi pani powiedzieć na temat tego medalionu?

Wpatrywałam się w niego przez dłuższą chwilę. Miałam wrażenie, że usilnie starając się przywołać z podświadomości znajome obrazy, przedzieram się przez mgłę głęboko zakopanych wspomnień.

— To był prezent — wymamrotałam w końcu. Podświadomie dotknęłam palcami szyi, mając wrażenie, że medalion ciągle tam jest, niemal czując na skórze chłód metalu. — Powiedział, że nie mogę go zatrzymać.

- Kto?

— Mój ojciec. Był zły. - Zamrugałam powiekami, próbując sobie przypomnieć coś więcej. - Nie wiem... Nie wiem, dlaczego-

go był taki wściekły. Wtedy chyba też nie wiedziałam.

Bardzo podobał mi się medalion. Pamiętam, że pomyślałam, że jest śliczny. Ale kiedy tata go zobaczył, kazał mi go zdjąć. Powiedział, że muszę go wyrzucić.

- I wyrzuciła go pani?

Powoli pokręciłam głową. Podniosłam głowę, popatrzyłam na nich i nagle poczułam niepokój.

- Wysłałam na zewnątrz, kierując się do śmietnika - wyszeptałam — ale nie mogłam go wyrzucić. — Był taki ładny... Pomyślałam sobie, że tacie w końcu przejdzie złość i pozwoli mi go nosić. Moja najlepsza koleżanka przyszła mnie właśnie odwiedzić.

Obaj detektywi nachylili się w moją stronę, czułam ich napięcie. I wiedziałam już, że wiedzą, do czego zmierzam...

- Dori Petracelli. Dałam go Dori. Powiedziałam jej, że może go sobie pożyczyć. Pomyślałam sobie, że kiedyś mi go odda, że będę go mogła nosić, jak taty nie będzie w pobliżu. Tylko że nie doczekałam tego kiedyś. Po kilku tygodniach spa-kowaliśmy walizki. Od tamtej pory nie widziałam Dori.

- Annabelle - zapytał cicho detektyw Dodge - kto dał pani ten medalion?

- Nie wiem. — Nerwowo pocierałam palcami skronie. — Prezent. Zostawiony na ganku. Zawinięty w pasek komiksowy z Fistaszkami. Specjalnie dla mnie. Ale bez bileciku. Podobał mi się. Ale ojciec... był wściekły. Nie wiem... nie pamiętam. To nie był pierwszy raz, wcześniej też zdarzało mi się znajdować drobne upominki. Ale nic tak ojca nie rozwścieczyło jak medalion.

- I znów moment ciszy. W końcu detektyw Dodge zapytał:

- Czy coś pani mówi imię i nazwisko Richard Umbrio? - Nic.

- A pan Bosu? - Nic.

- Catherin Gagnon.

Warren rzuciła mu złowrogie spojrzenie, choć zupełnie nie wiedziałam, dlaczego. To imię też nic mi nie mówiło.

- Czy... czy znaleźliście ten medalion na jednej z ofiar? To dlatego myśleliście, że to ja?

- Nie wolno nam udzielać informacji dotyczących prowadzonego śledztwa - sucho odparła detektyw Warren.

Zignorowałam ją, zwracając się do detektywa Dodgea.

- Czy to Dori? To Dori znaleźliście? Czy coś jej się stało?

Proszę...

- Nie wiemy - powiedział łagodnie.

Warren znów zmarszczyła brwi, potem wzruszyła ramionami.

- Zidentyfikowanie ciał zajmie kilka tygodni - nagle sama zaczęła. - Na tym etapie niewiele wiemy.

- A więc to mogła być Dori. - Tak.

— Staralam się jakoś przetrwać tę informację. Zrobiło mi się zimno, zaczęłam drżeć. Zacisnęłam lewą dłoń w pięść, przyciskając ją do brzucha.

— Czy możecie ją odnaleźć? Sprawdzić w bazie danych?

Możecie sprawdzić, czy jest gdzieś zameldowana, czy ma prawo jazdy. Te znalezione ciała należały do dziewczynek, więc jeśli ma prawo jazdy...

— Może być pani pewna, że to sprawdzimy — odparła sierżant Warren.

Nie podobała mi się ta odpowiedź. Moje spojrzenie znów pobiegło w stronę detektywa Dodge'a. Zdawałam sobie sprawę, że jest błagalne, ale nie mogłam nic na to poradzić.

— Może zostawi nam pani swój numer? — zaproponował. — Będziemy w kontakcie.

— Nie dzwońcie do mnie. Ja do was zadzwonię — wyszeptałam.

— W porządku. W każdej chwili może pani do nas zadzwonić.

— A jeśli coś się jeszcze pani przypomni a propos medalionu... - dodała sierżant Warren.

- Sprzedam swoją historię tabloidom. Spojrzała na mnie ostro, ale zignorowałam ją.

- Byliby równie sceptycznie nastawieni jak wy, a ja nie mogę sobie pozwolić na powrót ze świata umarłych.

Wstałam, chwyciłam torbę, a potem podałam domowy numer telefonu, wiedząc, że i tak nie obędzie się bez podania

jakiejś formy kontaktu.

W ostatniej chwili, stojąc w drzwiach, odważyłam się zapytać:

- Czy możecie mi powiedzieć, co im się stało? Tym dziewczynkom?

- Ciągłe czekamy na raport - urzędowym jak zawsze to-nem poinformowała sierżant Warren,

- Ale mówimy o morderstwie, tak? Sześć ciał, wszystkie w jednym grobie...

- Czy kiedykolwiek była pani na terenie szpitala psychiatrycznego w Mattapan? - wtrącił się detektyw Dodge. - Lub pani ojciec?

Pokręciłam głową. Cała wiedza na temat tego miejsca opierała się na zasłyszanych w telewizji relacjach z wojen o zagospodarowanie terenu. Nawet jeśli w dzieciństwie otarłam się o szpital dla umysłowo chorych, dziś nazwa ta nie budziła żadnych skojarzeń.

Sierżant Warren odprowadziła mnie do schodów. Szłyśmy w ciszy przerywanej miarowym stukaniem obcasów, odbijającym się echem po całej klatce schodowej.

— Na dole przytrzymała drzwi do holu, wyciągając rękę z wizytówką.

- Będziemy w kontakcie. — Jasne - odpowiedziałam bez przekonania. Popatrzyła na mnie groźnie.

— Annabelle... Pokręciłam głową:

— Tanya. Teraz nazywam się Tanya Nelson. Tak jest bezpiecznie.

Znów uniosła brew.

— Tanyu, jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze w związku z medalionem lub z czasów, zanim wyjechaliście...

Musiałam się uśmiechnąć.

— Niech się pani nie martwi. Uczyłam się od mistrza, jak uciekać.

Wyszłam przez szklane drzwi na rześkie chłodne powietrze i
udałam się do domu.

ROZDZIAŁ 6

BOBBY CHCIAŁ WIERZYĆ, że to jego błyskotliwość i etyka zawodowa zdecydowały o tym, że poproszono go o pomoc w śledztwie w sprawie Bostońskiego Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych. Przebolałby, gdyby chodziło chociaż o jego fizyczne walory, czarujący uśmiech. Ale zdawał sobie sprawę, jak było naprawdę: D. D. potrzebowała go. Był asem w rękawie, schowanym na później. Zawsze wyglądała daleko w przyszłość.

Nie żeby narzekał. Był jedynym przedstawicielem władz stanowych w zespole, ale fakt ten wcale nie poprawiał mu nastroju. Kiedy miał dobry dzień, czuł się w najlepszym razie nieswojo, gdy przychodziła chandra, odczuwał rozżalenie. Cóż, ktoś wyżej podjął taką, a nie inną decyzję. D. D. zadeklarowała, że przyda jej się pomoc kogoś z władz stanowych, i proszę, wypożyczyno go jej. Ponieważ był nowy i niezaangażowany w żadne poważniejsze dochodzenie, przeniesienie przebiegło szybko i sprawnie. Pierwszego dnia zgłosił się na komisariacie, a już następnego pracował w malusieńkim pokoju przesłuchań w Rox-bury. Życie detektywa było doprawdy fascynujące. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że doświadczenie zdobyte przy śledztwie na tak szeroką skalę jest na wagę złota. Zresztą po tym, jak wszedł do tamtej jamy i zobaczył te sześć dziewczynek... To nie był widok, po którym nie można tak po prostu wrócić do codziennych obowiązków. Już lepiej wziąć udział w dochodzeniu, niż próbować o tym zapomnieć, wiedząc, że to i tak na nic i że podziemna kryjówka będzie go

prześladować w sennych koszmarach noc po nocy. Podobne podejście do sprawy miała reszta detektywów. Śledztwo wymagało pracy po godzinach. Bobby nie opuścił siedziby bostońskiej policji już niemal od dwóch dni. Jeśli ktoś na chwilę zniknął, to tylko po to, żeby wziąć prysznic albo się ogolić. Posiłki składały się głównie z zamówionej pizzy lub chińszczyzny pochłanianej pośpiesznie przy biurku lub na odprawach.

A przecież świat nie stanął w miejscu. Detektywi w dalszym ciągu musieli się stawiać na przesłuchania w sądzie i monitorować postępy innych dochodzeń. A to pojawiał się nowy informator. A to zamordowano kluczowego świadka. Inne śledztwa nie mogły stanąć w miejscu tylko dlatego, że pojawiała się jakaś nowa i bardziej wstrząsająca zbrodnia. Poza tym kwestia życia rodzinnego. Telefony w ostatniej chwili z przeprosinami za nieobecność na meczu syna. Zaszycie się w pokoju przesłuchań, który zapewniał odrobinę prywatności, żeby choć krótką rozmową zastąpić wieczorny pocałunek. Detektyw Roger Sinkus miał dwutygodniowe dziecko. Matka detektywa Tony'ego Rocka umierała na serce na oddziale intensywnej terapii.

Głośne śledztwa przypominały taniec, skomplikowaną pracę potoku detektywów, którzy pojawiali się i znikali, uczestni-

czyli we wszystkich ważnych zadaniach i zaniedbywali pozostałe. Samotni, tacy jak Bobby, zostawali do trzeciej nad ranem, aby świeżo upieczeni ojcowie, tacy jak Roger, mogli wrócić do domu o pierwszej. Wszyscy starali się pchnąć do przodu jedną sprawę. I nikt nie był zadowolony.

A gdzieś nad tym wszystkim czuwała D.D. Warren, świeżo upieczona sierżant prowadząca swoje pierwsze poważne śledz-

two. Choć Bobby'emu niełatwo było zaimponować, musiał

przyznać, że postawa D.D. rzeczywiście jest bez zarzutu. Już choćby sam fakt, że przez niemal czterdzieści osiem godzin udało jej się ukryć wydarzenia z Mattapan przed opinią publiczną, graniczył z cudem. Żadnych przecieków z bostoń-skiej policji. Żadnych przecieków z biura koronera. Żadnych przecieków z biura prokuratora. Aż trudno uwierzyć.

Po drugie, niesamowity był fakt, że udało jej się prowadzić całkiem przyzwoite dochodzenie wśród całego tego medialnego szumu, pod ostrzałem reporterów powołujących się na prawo szarego obywatela do rzetelnej informacji i oskarżających policję o ukrywanie przed opinią publiczną czającego się zagrożenia.

Pierwszym krokiem w każdym śledztwie było określenie ram czasowych. Na nieszczęście dla ekipy dochodzeniowej, określało się je na podstawie raportów wiktymologicznych, dzięki którym możliwe było określenie przybliżonego czasu śmierci. Ale testów antropologicznych nie dało się przeprowadzić w jedną noc. Co więcej, antropolog sądowa nawet nie była zatrudniona na cały etat. W praktyce wyglądało to więc tak, że jedna Chistie Callahan zatrudniona na pół etatu próbowała się uporać ze szczątkami sześciu osób. Do tego dochodził zmumifikowany stan zwłok, który, nie było co ukrywać, wymagał całej masy mozolnych, metodycznych i cholernie kosztownych testów. Wyglądało na to, że uzyskanie raportu wiktymologicznego może się pokryć w czasie z wstąpieniem nowo narodzonego synka detektywa Sin-kusa do college'u.

D.D. sprowadziła też do pomocy botanika z Towarzystwa Przyrodniczego Aubudon. Badał zarośla, trawę i drzewka, które puściły korzenie w pobliżu jaskini, jedyne, co był w stanie na ich podstawie uściślić, to okres trzydziestu lat wstecz, plus minus dziesięć.

Takie ramy czasowe nie były może szczytem marzeń, ale stanowiły zawsze jakiś punkt wyjścia.

Jeden trzyosobowy zespół sporządzał teraz listę wszystkich dziewczynek, które zaginęły w Massachusetts od 1965 roku. System został skomputeryzowany w 1997 roku, a to oznaczało, że detektywi musieli przeglądać wszystkie papierowe raporty z okresu 1965-1997, sprawdzając, które ze spraw nieletnich dziewczynek pozostały nierozwiązane, a następnie odszukiwać dane na mikrofiskach. W ciągu każdej kolejnej doby udawało im się zebrać dane z sześciu lat. W ciągu półtorej godziny pochłaniali prawie cztery litry kawy. Gorąca linia, którą uruchomiono specjalnie na tę okoliczność, była ciągle zajęta. Opinii publicznej podano jedynie informację, że na terenie byłego szpitala w Mattapan znaleziono szczątki sześciu dziewczynek i że miejsce zbrodni wygląda na stare. To jednak wystarczyło, żeby odezwała się cała masa świrów. Donosili o dziwnych światłach wydobywających się z ruin szpitala. Powtarzali plotki o kultach satanistycznych w rejonie Mattapan. Dwóch rozmówców opowiadało o swoim porwaniu przez UFO i o tym, że widzieli na pokładzie statku sześć dziewczynek (Nie do wiary, a jak wyglądały? W co były ubrane? Przedstawiły się chociaż?) Tego typu pomyłki rozłączali się stosunkowo szybko.

Niektóre z telefonów były bardziej intrygujące: dziewczyny dzwoniły, donosząc na swoich byłych chłopaków, którzy chełpli się ponoć „robieniem obrzydliwych rzeczy” na terenie byłego szpitala. Najbardziej rozdzierające serce telefony były od rodziców dzwoniących z całego kraju i dopytujących się, czy znalezione szczątki mogą należeć do ich zaginionych dzieci.

Z każdej takiej rozmowy należało sporządzić raport, każdą z informacji musiał sprawdzić któryś z detektywów. Podobna

procedura dotyczyła nawet comiesięcznych telefonów od kobiety w Kalifornii, która upierała się, że jej były mąż był słynnym Dusicielem z Bostonu, głównie dlatego, że nie pałała do niego zbyt wielką sympatią. Aż pięciu detektywów próbowało się uporać z tym bałaganem.

Zespół D.D. zasilony przez Bobby'ego miał więc całą masę spraw do załatwienia. Sporządzenie listy osób, które należało przesłuchać, wśród nich developerów czy uczestników różnych projektów społecznościowych realizowanych w Mattapan. Dotarcie do list pacjentów i personelu zamkniętego trzydzieści lat wcześniej szpitala.

Wprowadzanie wszystkich charakterystycznych cech podziemnej kryjówki do programu VICAP, którego celem było zbieranie informacji na temat przestępstw w konkretnym rejonie i przesyłanie ich do centrali. Dzięki temu natychmiast można było otrzymać listę wszystkich innych przestępstw o pokrywających się szczegółach.

W przypadku tego śledztwa wynik wyszukiwania był tylko jeden - Richard Umbrio - i to nim miał się zająć Bobby. Odzyskał stare akta, wraz z całą kolekcją zdjęć. Skontaktował się też z detektywem prowadzącym tamto śledztwo.

Teraz siedział w małym pokoju przesłuchań, tymczasowo służącym mu za biuro, studiując naszkicowany ręcznie plan jamy, która była niegdyś więzieniem dwunastoletniej Catherine Gagnon.

Z notatek Miersa wyczytał, że Catherine uprowadzono, gdy wracała ze szkoły do domu. Umbrio podjechał do niej i zapytał, czy nie pomogłaby mu poszukać zgubionego psa.

Połknęła przynętę i już.

Facet o tak masywnej budowie jak Umbrio nie miał najmniejszych problemów z obezwładnieniem drobnej szóstokla-sistki. Wepchnął ją do podziemnej komnaty, którą uprzednio przygotował sobie w lesie, i tam zaczęła się jej

gehenna. Prawie trzydzieści dni koszmaru, podczas którego jedynym odwiedzającym był jej gwałciciel. Ociężały kłoc opychający się pszennym chlebem.

Umbrio zabiłby ją pewnie, gdyby myśliwi nie natknęli się na jamę. Dzięki nim przeżyła, zidentyfikowała napastnika i złożyła obciążające go zeznania. Umbrio trafił za kratki. Ale choć ocalenie Catherine graniczyło z cudem, życie, które próbowała

na nowo sobie ułożyć, w cuda raczej nie obfitowało.

Przetrzymywanie przez potwora musiało odcisnąć piętno.

Choć cała sprawa była szokująca, według Miersa, dochodzenie przebiegało dosyć rutynowo. Catherine była wiarygodnym świadkiem, a wszystkie dowody znalezione na miejscu zbrodni - drabina łańcuchowa, plastikowe wiadro, pokrywa ze sklejki - potwierdzały jej wersję.

Umbrio popełnił zbrodnię. Umbrio poszedł do więzienia. Ale dwa lata temu, kiedy przez pomyłkę zwolniono go warunkowo, zaczął znów śledzić Cathetrine, pałając tą samą morderczą żądzą.

Podsumowując, Umbrio był krwiożerczym wybrykiem natury. Z pewnością byłby zdolny do zamordowania sześciu dziewczynek i pogrzebania ich ciał na terenie dawnego szpitala.

Pozostawał jeden szkopuł: pod koniec 1980 roku Umbrio był już dawno za kratkami. A Annabelle Granger dostała znaleziony na miejscu zbrodni medalion nie wcześniej niż w 1982. A to znaczyło...?

Po pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach śledztwa, Bobby nie uzyskał żadnych odpowiedzi, stworzył za to imponującą listę pytań.

D.D. wróciła, odprowadziwszy Annabelle. Gwałtownie przysunęła sobie krzesło i opadła na nie bezwładnie, niczym pacynka, której odcięto sznurki.

- Kurwa jego mać - powiedziała.
- Zabawne, o tym samym myślałem. Przeczesła palcami splątane kosmyki włosów.
- Muszę się napić kawy. Zresztą nie, jeszcze jedna filiżanka, a zacznę sikać kawą. Muszę coś zjeść. Kanapkę. Plaster pieczeni wołowej w żytnim chlebie. Z serem szwajcarskim i ogórkami konserwowymi. I całą paczkę chipsów ziemniaczanych.
- Chyba starannie przemyślałaś menu - Bobby odłożył swój wykres.

Może i D.D. wyglądała jak supermodelka, ale pochłaniała ilości jedzenia nie mniejsze niż kierowca tira. Już jakieś dziesięć lat wcześniej, kiedy oni byli żółtodziobami, a ścieżki ich karier jedną wielką niewiadomą, Bobby odkrył, że w przypadku D.D. najlepsza gra wstępna to bar typu jesz-ile-chcesz-płacisz-tyle-samo.

Na wspomnienie starych dobrych czasów poczuł lekkie ukłucie, zdając sobie jednak sprawę, że to czas i przygniatająca go samotność zatarły gdzieś złe wspomnienia, zostawiając tylko te dobre.

- Jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu, gdy pomyślę o dniu jutrzejszym, to perspektywa lunchu.

— To kiepsko, bo szanse na dorwanie gdzieś w pobliżu przyzwoitej pieczeni wołowej oceniam na jeden do dziesięciu.

— Nawet głupi lunch zostaje w sferze pobożnych życzeń.

Ramiona jej opadły. Bobby milczał, dając jej czas na zebranie myśli. Sam zresztą poczuł lekkie zawroty głowy. Aż do dzisiejszego ranka nie dopuszczał do siebie żadnych analogii między tą sprawą a Richardem Umbrio. Ale potem pojawiła się Annabelle Granger.

Do głowy przychodził mu tylko jeden komentarz: kurwa jego mać.

- Chcesz, żebym ja to powiedziała?

- Dawaj.
- To nie ma żadnego sensu.
- Wiem.
- No dobra, zgadzam się, istnieją pewne podobieństwa. Zdarza się, że dwie osoby są do siebie podobne. Czyż nie mówi się, że każdy z nas ma gdzieś swojego bliźniaka? Bobby tylko patrzył na nią.
- Głośno wypuściła powietrze i oparła się na stole, przybierając swoją ulubioną myślicielską pozę.
- Zacznijmy raz jeszcze od początku.
- Jestem za.
- Richard Umbrio używał podziemnej jamy, podobnie jak nasz morderca z Mattapan — zaczęła D. D.
- Pułapka Umbria miała wymiary metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt i wszystko wskazywało na to, że wykopano ją ręcznie - dodał Bobby, wskazując na leżący przed nim wykres. - Nasz morderca użył jamy metr osiemdziesiąt na trzy metry, którą wzmocnił drewnianymi podporami.
- Czyli tak samo, ale nie do końca.
- Tak samo, ale inaczej - przytaknął Bobby.
- Z wyjątkiem sprzętów: drabina, pokrywa ze sklejk, plastikowe wiadro.
- Dokładnie takie same - zgodził się Bobby.
- D.D. wypuściła znów głośno powietrze, rozdmuchując opadające na czoło loki.
- Może to zupełnie logiczna lista sprzętów, w które należałoby wyposażać każdą podobną kryjówkę.
- Możliwe.
- A teraz metalowe składane krzesło i półki... - Tu mamy różnicę.
- Bardziej wyszukane umeblowanie. To całkiem logiczne, większa przestrzeń, więcej mebli.
- Co od razu prowadzi nas do kolejnej różnicy między tymi

sprawami...

- Richard Umbrio porwał tylko jedną znaną nam ofiarę, dwunastoletnią Catherine Gagnon. Nasz morderca porwał sześć ofiar, sześć dziewczynek.

- Żeby dojść do jakichkolwiek wniosków, potrzebuję więcej danych — rzekł nagle Bobby. — Po pierwsze nie wiemy, czy cała szóstka została uprowadzona w tym samym czasie, co jest raczej wątpliwe, czy uprowadzono je po kolei w dłuższym okresie. Czy istniał jakiś związek między ofiarami? Czy były spokrewnione, jednego wyznania, a może ich tatusiowie byli na usługach mali? Czy każda z dziewczynek siedziała w tej jamie w samotności, czy któreś dzieliły ten los wspólnie? Czy w ogóle trzymano je tam żywe? Założyliśmy tę wersję, znając sprawę Catherine Gagnon. Ale może jama spełniała jedynie funkcję grobowca?

Miejsca, gdzie morderca mógł wpadać, kiedy chciał...pobyć trochę z nimi .Taka gaieria, którą można stale podziwiać. Nie wiemy na tym etapie, co go rak naprawdę kręciło. Możemy spekulować, ale nic nie wiemy na pewno. D.D. skinęła wolno głową.

- Tylko że jest jeszcze Annabelle Granger.

— No właśnie.

- Mój Boże, Annabelle wygląda dokładnie jak ona. Nie oszalałam, prawda? Annabelle mogłaby być jej siostrą bliźniaczką.

- Mogłaby być siostrą bliźniaczką Catherine.

— To jakim cudem mógłby to być przypadek? Dwie kobiety, które wyglądają dokładnie tak samo, dorastają w tym samym mieście i obie padają ofiarami jakiegoś szaleńca, którego kreci porywanie młodych dziewczynek i zamykanie ich w podziemnych jamach?

— No i w ten sposób zmierzamy w ślepy zaułek — zgodził się Bobby

D.D. opadła na oparcie. W kiszkach jej zaburczało. Delikatnie masowała sobie brzuch.

- Co myślisz o jej historii?

Bobby westchnął, oparł się, zakładając ręce za głowę W swojej ulubionej myślicielskiej pozie.

- Ciężko powiedzieć.

- Wygląda na trochę naciąganą.

- Ale bogatą w szczegóły. D.D. parsknęła:

- Te najważniejsze jakoś jej uleciały.

- Tym bardziej wydaje się prawdopodobna - sprzeciwił się Bobby. - Chyba nie oczekiwałaś listy nazwisk i dat od kogoś, kto był w tym czasie dzieckiem.

- Myślisz, że jej ojciec coś wiedział?

- Masz na myśli to, że wiedział, że jego córce coś grozi i dlatego uciekli?

Bobby wzruszył ramionami:

- Nie wiem. Ale tu się wszystko komplikuje, jeśli coś się działo w Arlington jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, nie miało to na pewno nic wspólnego z Richardem Umbrio. Siedział w więzieniu bez możliwości wcześniejszego zwolnienia od końca roku osiemdziesiątego, proces odbył się w osiemdziesiątym pierwszym, a odsiadkę w Walpole zaczął w osiemdziesiątym drugim. Ktokolwiek więc zagrażał Annabell Granger, nie mógł to być Richard Umbrio.

- To wszystko komplikuje. Jest jakaś szansa, że Catherine pomyliła się co do Umbria? Może to ktoś inny ją porwał? Tak, wiem, zidentyfikowała go, ale miała przecież wtedy zaledwie dwanaście lat.

- Późniejsze dochodzenie wykluczyło taką możliwość, zresztą mieli całą masę dowodów rzeczowych.

- Cholera.

Bobby potrząsnął głową równie sfrustrowany:

- Szkoda, że nie możemy przesłuchać jej ojca. Annabelle nie powie nam więcej. Może nie chce nam powiedzieć.

- Dogodnie się złożyło, że oboje rodzice nie żyją - mruknęła D.D. złowrogo. Rzucik mu kolejne ostre spojrzenie: - Oczywiście moglibyśmy zapytać samego Umbria, ale cóż za zbieg okoliczności, on też nie żyje.

Bobby miał swoje zdanie na temat Annabelle.

- Jestem pewien, że dla niej ta cała sytuacja wcale nie jest taka dogodna. Chyba sama chętnie zadałaby ojcu parę pytań.

- Masz listę miast i przybranych nazwisk? — spytała nagle - Sprawdź je, zobacz, czego uda ci się dowiedzieć. Przyda ci się taka typowo detektywistyczna wprawka.

- Kurczę, serdeczne dzięki, pani profesor.

D.D. wstała od stołu, kończąc tym samym ich krótką naradę. Zatrzymała się jednak przy drzwiach.

- Miałaś od niej jakieś wieści? Nie musiała precyzować, od kogo.

- Nie.

- Myślisz, że zadzwoni?

- Dopóki będziemy nazywać to grobem, to pewnie nie. Ale jak tylko media odkryją, że jest to podziemna kryjówka...

D.D. kiwnęła głową na znak, że rozumie. - Daj mi wtedy znać.

- Może dam, może nie.

- Robertcie Dodge...

- Chcesz przesłuchać Catherine Gagnon, to sobie do niej zadzwoń. Nie jestem twoim chłopcem na posyłki. Choć nie podnosił głosu, jego spojrzenie było pełne gniewu. D.D. przyjęła obrazę z klasą, jakiej po niej oczekiwał. Stała sztywno w progu.

- Ja nigdy nie miałam problemu ze strzelaniną, Bobby - wypaliła prosto z mostu. - Ja i wielu policjantów, którzy byli wtedy na miejscu, podziwialiśmy, że zrobiłeś, co do ciebie

należało, i dobrze wiemy, jak niewdzięczna potrafi być praca policjanta. Tu nie chodzi o strzelaninę, Bobby. Tylko o twoje późniejsze nastawienie.

Stuknęła kłykciami o futrynę.

- Praca policjantów opiera się na zaufaniu. Albo w to wchodzisz, albo nie. Przemyśl to sobie, Bobby.

Obdarzyła go jeszcze jednym wymownym spojrzeniem i wyszła.

ROZDZIAŁ 7

NIEDALEKO MOJEJ SZKOŁY był niewielki sklepik, w którym za skromne kieszonkowe kupowałam cukierki. Kiedy miałam dziewięć lat, zakochałam się w jednym z wystawionych na półce kubków. Wszystkie były różowe, widniały na nich malowane kwiaty, motyle i mały tygrysek. Każdy z nich był jednak podpisany innym imieniem. Ja chciałam Annabelle.

Kubek kosztował cztery dolary, musiałam więc przez dwa tygodnie odkładać wszystkie drobne pieniądze, które dostawałam na słodycze. To wyrzeczenie przyszło mi jednak z łatwością.

Potem musiałam jeszcze czekać cały długi, pełen męczarni tydzień, aż do pewnego czwartku, kiedy to mama oznajmiła, że ma kilka spraw do załatwienia i odbierze mnie ze szkoły trochę później. Przez cały dzień byłam rozkojarzona, nie mogłam się na niczym skupić, niczym żołnierz szykujący się na pierwszą akcję w terenie.

O 14:35 wreszcie zadzwonił dzwonek. Dzieci, które nie wracały do domu autobusem, wyległy przed budynkiem, jak kępy kwiatów. Chodziłam do tej szkoły zaledwie pół roku. Nie należałam do żadnej paczki, a więc nikt nawet nie zauważył mojego zniknięcia. A były to czasy, kiedy nie trzeba było rejestrować każdego wyjścia i wejścia dziecka. Zanim na własną rękę zaczęli organizować straż obywatelską ochraniającą ich pociechy. Zanim smutna rzeczywistość nie wymusiła akcji typu Ambert Alerts, a prowadzący te

kampanię nie trąbili, jak ważne są pierwsze dwa-dzieścia cztery godziny po porwaniu. W tamtych czasach jedynie mój ojciec zdawał się mieć bzika na punkcie bezpieczeństwa i wszystkiego tego, co może czyhać na małe dziewczynki. W sklepie wzięłam kubek delikatnie w dłoń. Całą drogę do lady trzymałam go ostrożnie oburącz. Zaczęłam niecierpliwie oduczać swoje ćwierćdolarówki drżącym palcami.

Sprzedawczyni, starsza pani, zapytała, czy mam na imię Annabelle.

Przez moment nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Prawie uciekłam ze sklepu. Przecież nie mogłam być Annabelle. Tata w kółko mi to powtarzał.

- To dla przyjaciółki - zdołałam w końcu z siebie wydusić. Kobieta uśmiechnęła się do mnie i zaczęła owijać w papier moją zdobycz.

Po wyjściu ze sklepu wepchnęłam kubek do plecaka pomiędzy podręczniki i wróciłam na teren szkoły. Minutę później wypatrzyłam naszego sfatygowanego, wypełnionego po brzegi kombiaka, a w nim mamę w zamyśleniu stukającą palcami o kierownicę.

Przepełniało mnie okropne poczucie winy. Miałam wrażenie, że jej spojrzenie niczym skaner prześwietla zawartość mojego plecaka. Patrzyła wprost na mój kubek. Wiedziała, co zrobiłam.

Ale mama, jak gdyby nigdy nic, zapytała, jak minął mi dzień. Odpowiedziałam, że w porządku i wgramoliłam się na siedzenie pasażera. Nawet nie spojrzała na mój plecak. Nie spytała o kubek. Tak po prostu pojechałyśmy do domu.

Trzymałam go na najwyższej półce szafki na ubrania pod stertą tych, z których dawno wyrosłam. Wyciągałam go w nocy,

kiedy rodzice byli pewni, że już dawno śpię. Zabierałam go ze sobą do łóżka, i pod kołdrą, w świetle latarki, podziwiałam

jego różowo perłowy połysk. Palcami delikatnie pieściłam wypukłe pociągnięcia pędzla, którymi twórca wyczarował kwiaty, motyle, tygryska i moje imię.

Bo to było moje imię. Annabelle.

Jakieś sześć tygodni później mama znalazła kubek. To była sobota. Tata był w pracy. Ja chyba oglądałam jakieś kreskówki w pokoju gościnnym. Mama postanowiła zrobić porządki i sprzedać za małe ubrania w sklepie z używaną odzieżą, w którym się zaopatrywaliśmy.

Nie krzyczała. Nie wrzeszczała. Zaniepokoiła mnie raczej cisza, niezmacona, niczym nieprzerywana cisza, nienaturalna w domu, w którym zawsze w tle słychać było krzątanie mamy, czy to składającą sterty prania, czy to urzędującą w kuchni, skąd zawsze dochodził brzęk naczyń lub odgłosy otwierania i zamykania szafek.

Podnosiłam się właśnie ze złotego kosmatego dywanu, kiedy stanęła w drzwiach, trzymając w rękach mój bezcenny skarb. Wyglądała na oszołomioną, ale opanowaną.

- Czy ktoś ci to dał? - zapytała cicho.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa, serce waliło mi jak oszalałe. Pokręciłam tylko głową.

- To skąd go masz?

Nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy i przyznać się do wszystkiego. Wbiłam tylko palce w gęste włosy dywanu.

- Zobaczyłam go... Bardzo.....mi się podobał.

- Ukradłaś go?

Znowu pokręciłam głową.

- Zaoszczędziłam z kieszonkowego.

- Och, Annabelle... - Przykryła usta dłonią. Żeby pokazać mi, jak bardzo była zszokowana, wręcz przerażona? A może z poczucia winy, że niechcący wymknęło jej się moje prawdziwe imię?

Nic byłam pewna. Ale zaraz potem wyciągnęła ręce w moją

stronę, a ja podbiegłam natychmiast, wtulając się w jej talię i wybuchając gromkim płaczem. Tak wspaniale było usłyszeć, jak zwraca się do mnie Annabelle. Tak strasznie tęskniłam do tego, by usłyszeć to z jej ust.

Do domu wrócił ojciec. Zastał nas przytulone. Mama wciąż trzymała kubek w jednej dłoni. Jego reakcja była natychmiastowa. Oczy ciskały piorunami.

Wyszarpał z jej ręki kubek i zaczął wymachiwać nim wściekle w powietrzu.

— Co to do cholery jest? — wrzeszczał.

— Nie chciałam...

— Czy dostałaś go od kogoś obcego?

— N-nie...

— Ona ci go dała? - krzyczał dalej, palcem wskazując na mamę, zupełnie jakby możliwość, że dostałam go od niej, a nie od nieznanego, była nawet gorsza.

- Nie...

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? wydaje ci się, że to jest jakaś zabawa? Myślisz, że zrezygnowałam z pracy na MIT i mieszkamy w tej norze, bo miałem ochotę się pobawić? Co ty sobie wyobrażałaś?

Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej. Gapiłam się na niego z płonącymi policzkami i dziką wściekłością w oczach, zdając sobie sprawę, że jestem w pułapce, daremnie szukając jakiejś ucieczki.

Zwrócił się do mamy.

- Wiedziałaś o tym?

- Właśnie się dowiedziałam - odparła spokojnie. Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go uspokoić. - Russ...

- Hal! Mam na imię Hal! - Odepchnął jej rękę. - Boże, jesteś prawie tak beznadziejna jak ona. Wiem, jak z tym skończyć. Pomaszerował do kuchni, z szuflady pod telefonem wyjął młotek.

- Sophia - powiedział nieznośnym sprzeciwu tonem. -
Podejdź tu.

Posadził mnie przy stole kuchennym. Położył przede mną kubek. W dłoń wsadził mi młotek.

- Zrób to! Pokręciłam głową. - Zrób to!

Znów pokręciłam głową.

- Russ... - głos mamy stawał się błagalny.

- Cholera jasna, Sophia, będziesz tak długo siedzieć przy tym stole, dopóki nie rozbijesz tego kubka. Możesz tu sobie siedzieć całą noc, prędzej czy później weźmiesz ten młotek do ręki!

Nie trzeba było całej nocy, złamałam się gdzieś około trzeciej nad ranem. Kiedy w końcu zrobiłam, czego chciałam, nie uro- niłam ani jednej łzy. Wzięłam młotek w obie dłonie.

Przyjrzałam się celowi. A gdy z całą siłą zadałam ostateczny cios, odrąbałam przy okazji kawałek stołu.

Masz wspólny problem, mój i ojca, nie polegał na tym, że tak bardzo się różniliśmy, tylko na tym, że tak bardzo byliśmy do siebie podobni.

KAŻDE DZIECKO CHCE w rodzicu widzieć nieomylnego i wszystkimogącego opiekuna, który zapewni mu poczucie bezpieczeństwa. Każdy nastolatek chce na siłę odkryć wszystkie niedoskonałości rodzica, bo to jedyny sposób na to, żeby

się usamodzielnąć, stworzyć własne ja. Ja mam dziś trzydzieści lata i najbardziej bym chciała, żeby się okazało, że mój oj-był szalony.

Takie myśli zaczęły mnie nachodzić tuż po jego niespodzie- wanej śmierci. Przecież jego obsesja na punkcie potencjalnych pedofilów, gwałcicieli i seryjnych morderców na nic się zdała. Jego samego nie dopadł żaden potwór, tylko

przepracowany taksówkarz, imigrant, któremu nawet nie postawiono zarzutów.

Zagroził, że pozwie miasto za nieodpowiednie oznakowanie objazdu, co było według niego bezpośrednią przyczyną wypadku, a tym samym obrażeń kręgosłupa, których doznał i które nie pozwoliły mu już wykonywać pracy taksówkarza. Zaczęłam brać pod uwagę możliwość, że ojciec szukał zagrożenia tam, gdzie go wcale nie było. A idąc tym tropem, łatwo przyjąć założenie, że być może wcale nie było się czego obawiać.

A jeśli nie było żadnego potwora? Żadnego seksualnego dewianta pałającego morderczą żądzą i próbującego dopaść małą Annabelle Granger?

Pracownicy akademicy słyną ze swych lotnych umysłów. Zwłaszcza zaś matematycy. A jeśli to wszystko działo się jedynie w jego głowie?

Przypominając sobie wszystkie te lata życia na walizkach, nie kojarzę ani jednej sytuacji, w której zauważyłabym coś dziwnego. Żadnej pary oczu przyglądającej mi się w podejrzany sposób. Nigdy żaden z mijających mnie kierowców nie zwolnił, zaszczycając mnie dłuższym spojrzeniem. Nigdy ani przez moment nie wyczułam żadnego zagrożenia, a wiercie, byłam na nie wyczulona. Szukałam go za każdym razem, gdy wracałam do domu i znów widziałam pięć spakowanych walizek ustawionych przy drzwiach wejściowych. Co poszło nie tak tym razem? Jaki grzech popełniłam? Nie dane mi było poznać odpowiedzi.

Mój tata prowadził swoją własną wojnę. Maniakalnie, obsesyjnie angażując w nią całego siebie.

Ja i mama wybrałyśmy się tylko na dłuższą przejażdżkę po Stanach.

Myślę o tym za każdym razem, gdy wsiadam do wagonu metra pełnego potencjalnych zbrodniarzy, a jednak bezpiecz-

nie docieram na miejsce. Kiedy wychodzę schodami na szybko ciemniejącą noc. Kiedy skręcam w lewo i po raz kolejny kieruję do swojego mieszkania na North End. Moje kroki są energiczne i pewne, podbródek podniesiony, ramiona proste. I nie tylko po to, by zademonstrować pewność siebie. Ja naprawdę się cieszę, że wracam do domu. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Bellę, mojego psa, który po kilku godzinach zamknięcia w moim niewielkim mieszkanku szczerze się cieszy z mojego powrotu. Wyjdziemy pobiegać. Wezmę ze sobą oczywiście paralizator. Ale mimo wszystko pójdziemy, bo i ja, i mój pies uwielbiamy biegać, zresztą co ciekawszego mam do roboty? Żyję. Jestem młoda. I nic nie mogę poradzić na to, że myślę czasem o przyszłości. Chciałabym kiedyś rozwinąć swój interes, zatrudnić dwie albo trzy asystentki, wynająć powierzchnię biurową z prawdziwego zdarzenia. Zająć się nie tylko szyciem, mam przecież doskonałe wyczucie koloru. Myślałam, żeby się zapisać na kurs dekoratorstwa wnętrz, stworzyć swoje małe mocarstwo w stylu Marthy Stewart. Czasem też myślę o poznaniu kogoś wyjątkowego. Należę do niewielkiego kościółka tuż za rogiem. Nawiązałam przelotne znajomości. Od czasu do czasu umawiam się na randki. Może zakocham się kiedyś, wyjdę za mąż. Może któregoś dnia urodzę dziecko. Przeniesiemy się na przedmieścia. Zasadzę tuzin róż, a na ścianach w każdym pokoju wymaluję freski. Mojemu mężowi zabronię kupowania walizek. Będzie sobie myślał, że to takie moje małe zabawne dziwactwo. Będę miała córkę; w snach zawsze mam córkę, nigdy syna. Dam jej na imię Leslie Ann i kupię jej tuzin kubków podpisanych jej imieniem. Myślę sobie o tym, kiedy zmierzam do mojego mieszkania, patrząc w lewo, potem w prawo, wypatrując czających się w

cieniu nieznanomych, potem wyciągając wystający z zaciśniętych palców klucz i otwierając stare solidne drzwi wejściowe do budynku. Jasne światło zalewa niewielką klatkę i zawieszoną po lewej stronie skrzynki na listy. Zamykam drzwi wejściowe, upewniając się, że na pewno się za mną zatrzasnęły.

Sprawdzam pocztę, rachunki, ulotki - dobra wiadomość, czek od klienta. Później zerkam przez szybę kolejnych drzwi, które prowadzą na schody, upewniając się, że nikogo tam nie ma. Nie widać nikogo.

Zaczynam się wspinać po pięciu kondygnacjach wąskich, skrzypiących schodów. Stąd słyszę już Bellę, która wyczuła, że wracam do domu i krząta się niecierpliwie pod drzwiami. Ale jest tylko jeden mały problem z tymi moimi marzeniami, tak sobie teraz myślę. W moich marzeniach nikt nigdy nie nazywa mnie Tanyą. W moich marzeniach mężczyzna mojego życia mówi do mnie: Annabelle.

ROZDZIAŁ 8

WYGLĄDA NA TO, że policja mi nie pomoże. Może i ojciec był paranoikiem, ale w jednym miał rację. Nie bez przyczyny system prawny nazywa się systemem. Cele są jasno określone: pomoc ofiarom, ściganie sprawców i torowanie ścieżek kariery oficerów śledczych. My, świadkowie, jesteśmy warci tyle, ile informacje, które uda się z nas wyciągnąć. Potem odstawia się nas na boczny tor i na pastwę bezlitosnej biurokratycznej maszyny. Mogłabym tak siedzieć w nieskończoność, czekając na telefon, który i tak nie zadzwoni. Mogłam też sama odszukać Dori Petracelli. Moje biurko całe było pokryte strzępami materiałów, odręcznymi projektami wystroju okien i zamówieniami klientów, ciężko było uniknąć bałaganu, gdy mieszkało się w przytulnym, ale niewielkim mieszkanku. Zgarnęłam cały ten bałagan i przeniosłam wszystko na niebezpiecznie rosnącą kupkę na stoliku. Dopiero teraz znalazłam to, czego szukałam: laptopa. Uruchomiłam go i zabrałam się do pracy. Zaczęłam od Krajowego Centrum Pomocy Zaginionym i Wykorzystywanym Dzieciom. Powitały mnie trzy fotografie małych dzieci, które zaginęły w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Jeden chłopiec i dwie dziewczynki, kolejno z Seattle, Chicago i St. Louis.

W każdym z tych miast kiedyś mieszkałam. Zastanawiam się czasem, czy mojej mamy nie wykończyło właśnie to stałe uciekanie. Przecież każda ucieczka pociągała za sobą kolejną, a ta następną. W zasadzie nie istnieje na świecie bezpieczne miejsce, w którym można by wychować dziecko. Pojęcie zbrodni nie jest przyporządkowane do konkretnego obszaru, przestępcy na de seksualnym żyją wszędzie. Wiem, bo nieraz przeszukiwałam bazy danych. Strona Krajowego Centrum Pomocy Zaginionym i Wykorzystywanym Dzieciom ma swoją własną wyszukiwarkę. Wstukałam „płeć żeńska + Massachusetts” oraz „zaginione w ciągu ostatnich 25 lat” Zatwierdziłam wyszukiwanie i skubiąc zębami paznokieć kciuka, czekałam.

Z malutkiej kuchni przydreptała Bella, która najwidoczniej wsunęła już swój obiad. Teraz zbliżała się do mnie z wymownym spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Biegać. Na dwór.

Bierz smycz. Zabawa”.

Bella była siedmioletnim australijskim owczarkiem czystej krwi. Jej długie nogi i atletyczną sylwetkę pokrywała gmatwanina białego włosia, gdzieniegdzie nakrapiana brązowymi i niebieskimi plamami. Jak u wielu australijskich owczarków, jedno jej oko było brązowe, a drugie niebieskie. Fakt ten często budził zainteresowanie przechodniów, co Bella miała w zwyczaju skrzętnie wykorzystywać.

— Daj mi minutkę — powiedziałam do niej.

Pisnęła mi nad uchem, a gdy to też nie pomogło, ciężko opadła na podłogę, przyjmując pełną wyczekiwania pozę.

Dostałam ją w rozliczeniu od jednej z klientek cztery lata wcześniej. Bella właśnie poniszczyła jej szpilki od Jimmy'ego Choo i kobieta miała dość jej nadpobudliwego zachowania. Tak prawdę mówiąc, to owczarki australijskie nie nadają się do mieszkania w bloku. Jeśli nie zapewni im się rozrywki,

mogą narobić nie lada szkód.

Ale my dogadałyśmy się bez większych problemów. Głównie dlatego, że uwielbiałam biegać, a dla Belli, która według I psiego przelicznika była już panią w średnim wieku, wciąż nie było lepszej frajdy aniżeli siedmiokilometrowa przebieżka.

Będę ją musiała w końcu wyprowadzić albo zaryzykować utratę jednej z poduszek lub któregoś ze skrawków materiału. Bella wiedziała, jak postawić na swoim.

Komputer skończył wyszukiwanie. Przed oczami miałam teraz kolumnę pogodnych uśmiechniętych twarzy. Grupowe szkolne zdjęcia, indywidualne fotografie wyjęte z albumu rodzinnego. Na zdjęciach zaginione dzieci zawsze wyglądały na szczęśliwe, co było tym bardziej bolesne. Wynik wyszukiwania: piętnaście.

Chwyciłam myszkę i powoli zjeżdżałam w dół kolumny: Anna, Gisela, Jennifer, Janeeka, Sandy, Katherine, Katie... Patrzenie na fotografie sprawiało mi fizyczny ból. Choć motywy ojca budziły wątpliwości, zawsze zastanawiałam się, czy i ja mogłam się stać jedną z nich. Gdybyśmy nie wyjechali, gdyby ojciec nie upierał się przy tym tak obsesyjnie.

Przed oczami znów stanął mi medalion. Skąd się wziął na moim ganku? I czemu, czemu dałam go Dori?

Jej imienia nie było na liście. Odetchnęłam głośno z ulgą. Bella momentalnie podniosła uszy do góry, wyczuwając nagły spadek napięcia, który mógł oznaczać powrót do naszej codziennej rutyny.

Ale potem zwróciłam uwagę na daty. Wszystkie zaginięcia datowały się po roku 1997. Przeszukanie ostatnich dwudziestu pięciu lat nie było możliwe, bo baza nie sięgała po prostu tak daleko w przeszłość. Znów zaczęłam skubać zębami paznokieć, zastanawiając się, co jeszcze można by

zrobić.

Mogłam zadzwonić na gorącą linię, ale to wiązałoby się z mnóstwem niewygodnych pytań. Zdecydowanie wolałam anonimowość, jaką zapewniał Internet. A przynajmniej nasze o nim wyobrażenie, bo biorąc pod uwagę postęp techniczny w dziedzinie programów do szpiegowania, nie zdziwiłabym się, gdyby Wielki Brat śledził każde moje kliknięcie myszką. Znałam jeszcze jedną stronę, którą warto było sprawdzić. Nie wchodziłam na nią zbyt często, przygnębiała mnie.

Wpisałam adres w wyszukiwarce: www.doenetwork.org. Po dwóch sekundach strona się załadowała.

Zajmowano się tu głównie bardzo starymi przypadkami zaginięć, starając się przyporządkować szczątki odkryte w jakimiś miejscach sprawom, które podlegały jurysdykcji policji na drugim końcu Stanów. Na środku ekranu widniało motto:

Czas nie może przeszkodzić w rozwiązaniu tajemnic

Po plecach przebiegł mi dreszcz, kiedy jedną ręką ścisnęłam fiolkę z prochami mamy, a drugą wstukiwałam parametr wyszukiwania: Massachusetts.

Już pierwszy wynik przyprawił mnie o zawrót głowy. Ujrzałam trzy fotografie tego samego chłopca. Pierwsza przedstawiała trzyletniego malca, a kolejne były symulacjami, jak mógłby wyglądać w wieku lat dwudziestu i trzydziestu pięciu. Zaginął w 1965 roku i uznano go za martwego. W jednej chwili bawił się w ogrodzie, chwilę potem już go nie było. Do zgwałcenia i zamordowania chłopca przyznał się pedofil grasujący w tamtych latach w Connecticut, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie zakopał zwłoki. Tak więc sprawa była w dalszym ciągu otwarta, a rodzice poszukiwali szczątków równie gorączkowo, jak czterdzieści lat wcześniej poszukiwali syna. Zastanawiałam się, co muszą czuć rodzice, patrząc na te komputerowe symulacje. Czy zastanawiają się, kim mogłoby

być ich dziecko, gdyby matka nie weszła na chwilę do domu odebrać telefon, albo gdyby ojciec nie wczuł się pod samochód, żeby wymienić olej...

Walcz, powtarzał mi zawsze ojciec. Siedemdziesiąt cztery procent uprowadzonych dzieci ginie w ciągu pierwszych trzech godzin. Przetrzymaj te trzy godziny. Postaraj się przechytrzyć drania.

Rozpłakałam się, sama nie wiem czemu. Nie znałam tego małego chłopca. Według wszelkiego prawdopodobieństwa umarł ponad czterdzieści lat temu. Mogłam sobie jednak wyobrazić jego paniczny strach. Czułam go, ilekroć ojciec zaczynał jedną ze swych pogadanek bądź zmuszał mnie do kolejnych ćwiczeń. Walczyć? Kiedy jesteś ważącym zaledwie dwadzieścia kilogramów dzieckiem, czy masz jakiegokolwiek szanse w starciu z osiemdziesięciokilowym napastnikiem? Czy jakiegokolwiek ruch z twojej strony może odwrócić bieg zdarzeń? Może i tata wierzył w te swoje iluzje, ale ja zawsze była realistką.

Prawda jest taka, że jeśli jesteś dzieckiem i ktoś chce cię skrzywdzić, nie masz zbyt wielkich szans.

Zaczęłam sprawdzać kolejne przypadki. Śledziłam jedynie daty, nie chciałam już patrzeć na zdjęcia. Kliknęłam myszką jeszcze pięć razy, aż doszłam do 12 listopada 1982 roku.

I nagle przed moim oczami pojawiła się Dori Petracelli.

Patrzyłam na symulację, na której miała trzydzieści lat.

Czytałam informację o tym, co przytrafiło się mojej najlepszej przyjaciółce.

Potem pobiegłam do ubikacji i wymiotowałam tak długo, dopóki żołądek nie miał już co z siebie wyrzucać.

Dwadzieścia, czterdzieści, sama nie wiem, pięćdziesiąt minut później trzymałam w jednej ręce smycz, w drugiej paralizator. Bella tańczyła, próbując mnie staranować, byle tylko szybciej znaleźć się na dworze. Przypięłam smycz do

obroży. I biegłyśmy, biegłyśmy, biegłyśmy.
Kiedy po półtorej godzinie wróciłyśmy do domu, byłam już opanowana. Czułam się wyzuta z jakichkolwiek uczuć, niezdolna do odczuwania jakichkolwiek emocji. Przypomniałam sobie nagle, że ciągle mam jeszcze nasze stare walizki. Już miałam zacząć się pakować. Włączyłam jednak najpierw wiadomości.

BOBBY WRÓCIŁ DO DOMU kilka minut po dwudziestej pierwszej. Miał zaledwie czterdzieści minut, żeby wziąć prysznic, zjeść, wlać w siebie puszkę coca-coli i wrócić do Roxbury. Zatłoczony parking nie ułatwiał mu bynajmniej tego zadania. Jeździł w kółko w promieniu ośmiu przecznic, zanim wkurzył się na dobre i z premedytacją zaparkował na chodniku. Liczył się z niebezpieczeństwem, że jeśli złapie go na tym bostoński policjant, będzie miał dziką satysfakcję z wypisania mandatu jednemu ze stanowych.

Miała niespodzianka: jedna z wynajmujących mieszkanie lokatorek, pani Higgins, zostawiła dla niego talerz ciasteczek. Dołączyła też krótką wiadomość: „Oglądałam wiadomości. Trzymaj się dzielnie”.

Bobby nie miał zamiaru odmówić sobie takiego poczęstunku, obiad zaczął więc od cytrynowego ciasteczka. Zjadł jeszcze trzy, przedzierając się przez stertę poczty rozrzuconą na podłodze, podnosząc tylko tę korespondencję, która zawierała rachunki i czeki od wynajmujących.

Chwycił jeszcze jedno ciasteczko na drogę i pomaszerował wąskim przedpokojem na tyły mieszkania, w stronę sypialni, przeżuwając cytrynowy smakołyk, którego smaku praktycznie nie czuł. Jedną ręką odpiął koszulę, drugą opróżnił kieszenie w spodniach. Zdjąwszy koszulę i spodnie, w samych tylko obcisłych bokserkach i beżowych

skarpetkach udał się do maleńkiej wykafelkowanej na niebiesko łazienki. Puścił wodę pod prysznicem pełnym strumieniem. To była jedna z tych rzeczy, dla których warto było wracać do domu. W czasach gdy należał do oddziałów specjalnych, właśnie perspektywa długiego, gorącego prysznica pozwalała mu przetrwać kolejny morderczy dzień. Długo stał pod chłostającym niczym bicz strumieniem wody. Wdychając parę, pozwalając jej przeniknąć w głąb każdej pory, licząc jak zawsze, że to pomoże mu zmyć z siebie całe to okropieństwo.

W jego głowie wciąż wirowały te same żywe obrazy. Te sześć małych dziewczynek, ich zmumifikowane twarze oblepione plastikowym workiem na śmieci. Stare fotografie dwunastoletniej Catherine, jej blada, zapadnięta na skutek wygłodzenia twarz, jej oczy z olbrzymimi czarnym źrenicami, które przez miesiąc w zamknięciu odwykły od promieni słonecznych.

I oczywiście inny obraz, który będzie go pewnie prześladował do końca życia: wyraz twarzy męża Catherine, Jimmy'ego Gagnona, na chwilę przed tym, zanim kula z broni Bobby'ego zrobiła mu z głowy miazgę.

Dwa lata po całym zdarzeniu Bobby w dalszym ciągu cztery lub pięć razy w tygodniu miewał koszmary, w których na nowo przeżywał strzelaninę. Tłumaczył sobie, że z czasem będzie śnił o tym tylko trzy razy w tygodniu. Później przy odrobinie szczęścia może liczba zmaleje do trzech, czterech koszmarów w miesiącu.

Oczywiście skorzystał z pomocy terapeuty. W dalszym ciągu widywał się ze swoim dawnym porucznikiem, który był dla niego mentorem. Raz albo dwa wziął nawet udział w spotkaniu, w którym uczestniczyli inni policjanci po przejściach. Ale nie zauważył, żeby którakolwiek z tych rzeczy choć trochę pomogła. Zabicie drugiego człowieka

zmienia cię, proste jak drut.

Ale musisz wstawiać każdego poranka i wkładać spodnie, nogawka po nogawce, jak wszyscy.

Miewał dobre dni, złe dni i całą masę czegoś pośrodku.

Wówczas po prostu wegetował. Jak automat robił, co do niego należało. Może D.D. miała rację. Może tak naprawdę było ich dwóch, Bobby Dodge sprzed strzelaniny i Bobby Dodge po strzelaninie. Może tak to już jest z niektórymi sprawami. Bobby stał pod strumieniami prysznic, dopóki woda nie zrobiła się zimna. Owijając się ręcznikiem, zerknął na zegarek. Została mu cała minuta na zjedzenie obiadu, jeśli kurczaka odgrzanego w mikrofalówce można w ogóle było nazwać obiadem.

Włożył dwie piersi z kurczaka do mikrofalówki, nastawił czas i wrócił do łazienki zrobić porządek ze swoim zarostem. Był już pięć minut spóźniony, kiedy włożywszy świeże ubranie, otworzył puszkę coca-coli, położył gorącego kurczaka na papierowym talerzyku i popełnił niewybaczalny błąd — usiadł.

Trzy minuty później spał już na kanapie, z walającym się pod nogami kurczakiem i papierowym talerzykiem wciąż leżącym na udach. Cztery godziny snu, pięćdziesiąt sześć bezsen-nych musiały w końcu zrobić swoje.

ZERWAŁ SIĘ NIEZUPEŁNIE JESZCZE OBUDZONY, oszołomiony i kompletnie zdezorientowany. Wymachiwał rękami, szukając broni. Na Boga, potrzebował broni! Jimmy Gagnon zbliżał się do niego, wyciągając szkielet swoich rąk. Skoczył na równe nogi, zanim ostatni z obrazów na dobre rozmył się w jego głowie. Kiedy oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że stoi na środku pokoju, mierząc zwiniętym w dłoni pa

pierowym talerzykiem do telewizora, w każdej chwili gotowy nacisnąć nieistniejący spust. Serce mu waliło, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Koszmar senny. Policzył od jednego do dziesięciu, a potem wolniej od dziesięciu do jednego. Powtórzył całą procedurę trzy razy, aż do momentu, gdy jego puls się unormował.

Odłożył zgnieciony papierowy talerzyk. Podniósł z podłogi piersi kurczaka. W brzuchu mu burczało. Zdecydował, że posiłek zajmie jakieś trzydzieści sekund i zaczął pospiesznie jeść rękami.

Bobby zetknął się z Catherine Gagnon po raz pierwszy, kiedy został wezwany jako snajper do zakładników domowych: uzbrojony mężczyzna trzymał na muszce swoją żonę i dziecko. Zajął pozycję po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu Gagno-nów, i starał się ocenić sytuację przez lunetę swojej broni. Po chwili zauważył Jimmyego stojącego przy łóżku, wymachującego bronią i krzyczącego tak strasznie, że Bobby mógł zobaczyć napięte do granic możliwości mięśnie na jego szyi. Potem w polu widzenia pojawiła się Catherine, przyciskająca do piersi czteroletniego synka. Rękami przykrywała uszy Nathana, wciskając jego twarz w swoją klatkę piersiową, rozpaczliwie starając się chronić chłopca przed najstraszliwszym.

Sytuacja pogarszała się z chwili na chwilę. Jimmy wyrwał chłopca z objęć Catherine i cisnął nim w głąb pokoju, z dala od tego, co się miało za chwilę wydarzyć. Potem wycelował broń w głowę swojej żony.

Dzięki lunecie Bobby czytał z ust Catherine:

- I co teraz, Jimmy? Co zrobisz?

Jimmy uśmiechnął się nagle i w tym uśmiechu Bobby wyczytał odpowiedź.

Palec Jimmy'ego Gagnona zaczął mocniej naciskać na spust. Ale pięć metrów dalej skryty w ciemności domu sąsiadów

Bobby uprzedził go i jednym strzałem zdjął przeciwnika. Było jasne, że tuż po strzelaninie Bobby popełnił wiele błędów. Po pierwsze, zaczął pić. Po drugie, poznał Catherine osobiście, spotkał ją w miejscowym muzeum. To był prawdopodobnie najbardziej destrukcyjny cios, jaki zadał sam sobie. Catherine Gagnon była piękna, była seksowna, była wdową wdzięczną swojemu wybawcy za uwolnienie od agresywnego męża potwora.

Zaangażował się w ten związek. Nie fizycznie, jak D. D. i inni zakładali. Emocjonalnie, co było dla niego nawet gorsze, dlatego też niczego nie prostował i wołał, żeby reszta myślała, że chodziło jedynie o seks. Przekroczył pewną granicę. Zależało mu na Cat i kiedy ludzie z jej otoczenia zaczęli ginąć przeraźliwą śmiercią, drżał o jej życie.

Jak się okazało, nie bezzasadnie.

Po dziś dzień D. D. uważała Catherine Gagnon za jedną z najniebezpieczniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek mieszkały w Bostonie; kobietę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa (choć nie można było znaleźć żadnych solidnych dowodów na potwierdzenie tej tezy) wystawiła na śmierć własnego męża. Bobby zaś po dziś dzień ilekroć myślał o niej, miał przed oczami zrozpaczoną matkę desperacko próbującą bronić swojego małego dziecka.

Ta sama osoba może być postrzegana przez jednych jako szlachetna, przez innych jako bezduszna, pochłonięta sobą i gotowa do poświęceń zarazem. Opiekuńcza matka lub zimny jak lód zabójca.

D. D. mogła sobie pozwolić na zniechęcenie Catherine.

Bobby doskonale ją rozumiał.

Wyrzucił papierowy talerzyk, zgniótł puszkę coli i wrzucił ją do pojemnika na odpadki metalowe. Zabierał właśnie ze stołu kluczyki samochodu, nastawiając się psychicznie na czekający go pewnie mandat, kiedy zadzwonił telefon.

Sprawdził, kto dzwoni, potem zerknął na zegarek. Jeszcze zanim odebrał, wiedział już, co się stało.

- Catherine - przywitał się opanowanym głosem.

- Dlaczego, do cholery, nic mi nie powiedziałaś? — krzyczała histerycznie.

W ten sposób Bobby dowiedział się, że media właśnie odkryły prawdę.

ROZDZIAŁ 9

W PORZĄDKU, PANIE I PANOWIE - ogłosiła D.D., rozdając najświeższe raporty. — Mamy jakieś - zerknęła na zegarek — siedem godzin i dwadzieścia siedem minut na zminimalizowanie dotychczasowych szkód. Nasi przełożeni są zgodni co do tego, że o ósmej powinna się odbyć konferencja prasowa. — Dajcie mi więc, do cholery, jakikolwiek przełom w śledztwie, o którym możemy z dumą poinformować, albo zrobią z nas wszystkich skończonych kretynów.

Bobby usłyszał jedynie końcową część przemówienia, próbując wśliznąć się niepostrzeżenie do pokoju narad. D.D. zauważyła go natychmiast i rzuciła mu groźne spojrzenie. Wyglądała na jeszcze bardziej wycieńczoną niż ostatnim razem, kiedy ją widział. O ile jemu udało się przespać zaledwie sześć godzin w ciągu ostatnich ponad dwóch dni, to D. D. nie spała pewnie więcej niż trzy godziny. Widać też było, że jest zdenerwowana. Przeleciał wzrokiem pomieszczenie i dostrzegł zastępcę komendanta policji siedzącego w rogu. To wyjaśniało jej zdenerwowanie.

- Jesteśmy zaszczytzeni, że jednak zdecydował się pan do nas dołączyć, detektywie Dodge - wycedziła na użytek widowni.
- Myślałam, że zamierzał pan wyskoczyć na obiad, a nie zaszyć się na sześciogodzinny odpoczynek w spa.

Na swoje usprawiedliwienie miał tylko jedno:

— Przyniosłem cytrynowe ciasteczka.

Położył resztki domowych skarbów pani Higgins na środku

stołu. Detektywi od razu rzucili się na zdobycz. Skosztowanie domowych wypieków przebiło natrząsanie się z kolegi z policji stanowej.

— Jak więc już mówiłam — ciągnęła D.D., lejąc detektywów po łapach, żeby uratować dla siebie choćby jedną sztukę.

— Potrzebujemy świeżych informacji. Jerry?

Sierżant McGahagin, odpowiedzialny za trzyosobowy zespół, który zajmował się tworzeniem listy zaginionych dziewczynek, podniósł wzrok. Pospiesznie strzepnął cukier puder ze swojego raportu. Trzykrotnie próbował trzęsącymi palcami podnieść pierwszą ze stron, w końcu zdecydował, że łatwiej będzie wysilić wzrok i odczytać go ze stołu.

- Mamy dwanaście nierozwiązanych spraw zaginięć dziewczynek poniżej osiemnastego roku życia w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt trzy, siedem od dziewięćdziesiątego siódmego do dwa tysiące piątego, w ten sposób zostaje jeszcze czternaście lat do przejrzania - McGahagin wyrzucił z siebie to wszystko jako jedno zdanie, wściekle mrugając oczami. - Przydałyby mi się dwie dodatkowe osoby, jeśli tylko ktoś dysponuje odrobiną wolnego czasu, będę zobowiązany. No i oczywiście, żeby w ogóle mieć jakiś punkt odniesienia, potrzebujemy raportu antropologa. Nie wspominając już o rym, że należałoby się zastanowić, czy zakładamy, że wszystkie dziewczynki pochodziły z Massachussets, czy rozszerzamy obszar do całej Nowej Anglii: Rhode Island, Connecticut, New Hampshire, Vermont, Maine. Z tym będzie naprawdę ciężko, zwłaszcza bez jakiegokolwiek profilu ofiar. Nawet nie wiem, czy w ogóle idziemy w dobrym kierunku. To tyle, jeśli chodzi o moje sprawozdanie.

D.D. spojrzała na niego.

- Na litość boską, Jerry, ogranicz trochę kawę. Wlewasz ją w siebie hektolitrami. Jak tak dalej pójdzie, trzeba ci będzie

zrobić transfuzję krwi.

- Nie mogę - odpowiedział, twarz wykrzywił mu grymas. -
Głowa mnie rozboli.

- A nie dzwoni ci przypadkiem w uszach? Słyszysz nas w
ogóle?

- Hę?

- O Boże - D. D. westchnęła, zwracając się do reszty: - Jerry
ma rację. Ciężko powiedzieć bez raportów wiktymolo-
icznych, dokąd nasze śledztwo tak naprawdę zmierza. Dwie
godziny temu rozmawiałam z Christie Callahan. Zła wiado-
mość to ta, że będziemy musieli poczekać na raporty jeszcze
przynajmniej dwa tygodnie.

Po sali poniósł się pomruk niezadowolenia. D. D. przerwała
go, unosząc w górę dłoń.

- Wiem, wiem. Wam się pewnie wydaje, że jesteście zawa-
leni robotą. To wyobraźcie sobie, że ona jest jeszcze bardziej
za-rżnięta. Ma sześćcioro zmumifikowanych zwłok, z których
każde wymagają odpowiedniej uwagi, a do pomocy żadnej
błyskotliwej i mogłabym dodać, że uroczej grupy roboczej.
Musি też postępować zgodnie z protokołem. A to oznacza, że
zwłoki należało najpierw odkazić, tak by można było zdjąć
odciski palców. A potem trzeba je było wysłać do Mass
General Hospital na serię zdjęć rentgenowskich i dopiero
teraz wracają do jej laboratorium.

Ten rodzaj mumifikacji jest dosyć specyficzny. Przypadki
naturalnej konserwacji ciał w podobny sposób odnotowano w
torfowiskach w Europie, odnotowano też kilka przypadków
na Florydzie. Ale nigdy nie mieliśmy z czymś podobnym do
czynienia w Nowej Anglii, co oznacza, że Christie tak
naprawdę dopiero uczy się kolejnych procedur postępowania.
Szacuje, że na każde z ciał będzie potrzebować trzech lub
czterech dni. A że mamy sześć ciał, sami sobie policzcie.

- Czy nie może nam składać raportu po skończeniu pracy nad

każdym kolejnym ciałem? - zapytał detektyw Sinkus.

Oplakany stan jego odzieży od razu zdradzał, że to on jest świeżo upieczonym tatusiem.

- Rozważa taką opcję. Ale zgodnie z protokołem archeologicznym, czy jakimś innym głównym tego typu, znalezione zwłoki powinno się traktować jako całość. Jeśli potraktujemy je indywidualnie, możemy przegapić coś, co tylko jako grupa są nam w stanie powiedzieć.

- Co? — zapytał detektyw Sinkus.

- Popracuję nad nią — podsumowała D. D. i zwróciła się do detektywa Rocka, który pracował nad raportami z programu STOP PRZESTĘPCZOŚCI: - Tylko mów prawdę. Ktoś już się przyznał?

— Jakies czterdzieści osób. Szkoda, że większość okazała się niespełna rozumu. — Rock podniósł imponujący plik papierów i zaczął je rozdawać. Był w bostońskiej policji niemal od zawsze. Nawet

Bobby'emu obiły się o uszy historie o niesamowitym talencie Rocka w łączeniu w całość elementów łamigłówek. Nie miał sobie równych w szukaniu powiązań, które od zbrodni A, poprzez poszlaki B, doprowadzały go w końcu do bezlitosnego przestępcy C. Dziś jednak zdawał się skazany na walkę z wiatrakami. W jego krótko przystrzyżonych przy skórze włosach przybyło jakby nagle siwych kosmyków, pod oczami widniały cienie. Przy ciągle pogarszającym się stanie zdrowia jego matki, praca przy takim śledztwie musiała być mordęgą, a jednak niczego nie można mu było zarzucić.

— Skupcie się jedynie na pierwszej stronie. Szczegóły, które zamieściłem na kolejnych stronach polecam tylko tym, którzy będą się śmiertelnie nudzić.

Kilku detektywów zaśmiało się pomimo zmęczenia.

— Jeszcze zanim media ujawniły swoje odkrycia, telefon dzwonił średnio co pięć minut. Swoją drogą, szkoda, że

doszło do przecieku — zwrócił się bezpośrednio D.D.,
najwyraźniej czekając na komentarz.

Skinęła głową prawie niezauważalnie.

— Nie mam pojęcia, Tony, jak do tego doszło. Nie mam ani czasu, ani siły, żeby się nad tym zastanawiać. Szczerze mówiąc, i tak jestem pod wrażeniem, że udało nam się zachować to w tajemnicy tak długo.

Rock wzruszył ramionami. Biorąc pod uwagę natarczywość ze strony mediów i opinii publicznej te pięćdziesiąt dwie godziny i tak wydawały się nie lada osiągnięciem.

— Zanim doszło do przecieku, eliminowanie świrów było dosyć proste. Wystarczyło zapytać, czy pogrzebali ciała razem, czy osobno. Gdy tylko wdawali się w szczegóły, starając się opisać miejsce zbrodni, było jasne, że nie widzieli go na oczy. A więc, mieliśmy, owszem, mnóstwo telefonów, ale praca szła dosyć sprawnie. Wątpię, czy jutro będę mógł powiedzieć to samo.

— Jakieś tropy? — naciskała D. D.

— Kilka. Dzwonił facet, który twierdził, że był pielęgniarzem w szpitalu w połowie lat siedemdziesiątych. Pamięta, że w tamtych latach jednym z pacjentów był syn bardzo zamożnej rodziny z Bostonu, która starała się utrzymać ten fakt w tajemnicy. Nigdy go nie odwiedzali. Jeśli wierzyć plotkom, chłopak robił „nieprzyzwoite” rzeczy ze swoją młodszą siostrą. Rodzina poradziła sobie z problemem, umieszczając go w zakładzie zamkniętym. Nazywa się Christopher Eola. Sprawdzamy go, ale nie udało nam się do tej pory znaleźć żadnego adresu zameldowania ani numeru prawa jazdy. Próbujemy też namierzyć jego rodzinę.

D. D. uniosła brew.

- Brzmi nieźle, lepiej, niż się spodziewałam - powiedziała. -
Przynajmniej mamy jedno nazwisko, które możemy rzucić na pożarcie prasie.

- Pamiętając, że mamy do czynienia z terenem byłego szpitala psychiatrycznego — stwierdził sucho Rock — spodziewałem się dużo większej liczby czubków do sprawdzenia. Ale cóż, cała noc przed nami. - Odetchnął głęboko, podrapał się po kilkudniowym zarostcie i kontynuował: - jak domyślacie się pewnie po charakterze sprawy, mamy też mnóstwo telefonów od rodzin, których dzieci zaginęły. Mam tu listę - dodał, podając ją sierżantowi McGahaginowi. - Niektóre mieszkają poza granicami naszego stanu, co tylko potwierdza słuszność drugiej opcji, czyli rozszerzenia obszaru poszukiwań. I - przeleciał szybko listę przygotowaną przez McGahagina - już widzę, że trzy nazwiska się powtarzają: Atkins, Gomez, Petracelli. Wyraz twarzy D. D. nie zmienił się ani przez sekundę. Bobbyego zdziwiło, że nie podzieliła się z kolegami swoimi informacjami z rozmowy z Annabelle Granger, że ani słowem nie wspomniała o Dori Petracelli. Ale w końcu D.D. nigdy nie lubiła odsłaniać wszystkich kart. Sam poszperał tu i ówdzie, żeby dowiedzieć się czegoś o Dori Petracelli. tak więc obecność jej nazwiska na liście absolutnie go nie zdziwiła. To właśnie ta data - listopad 1982 roku - nie dawała mu spokoju. Detektyw Rock usiadł. Głos zabrał detektyw Sinkus. - A wiec... Zdaję sobie sprawę, że powinienem mieć ze sobą jakiś pisemny raport. Ale jak przejrzałem wczoraj swoje notatki i zdałem sobie sprawę, że jest tego jakieś pięćdziesiąt stron, pomyślałem, a niech to, przecież nikt z obecnych tu nie będzie miał czasu na przejrzenie pięćdziesięciu stron, i dałem spokój. - Dzięki Bogu — odezwał się ktoś z głębi sali. - Jesteśmy wdzięczni — skomentował inny z detektywów. Zastępca komendanta policji odchrząknął wymownie. Wszyscy natychmiast ucichli. Sinkus wzruszył ramionami.

- Otóż moje zadanie polegało na przygotowaniu wstępnej listy wszystkich osób, których ewentualne zeznania mogłyby wniesić coś nowego do śledztwa. Mam tu na myśli przedsiębiorców budowlanych, mieszkańców sąsiedzkich terenów, byłych pracowników szpitala i wszystkich notowanych z tego terenu z ostatnich trzydziestu lat. Listę? Ja bym to raczej nazwał książką telefoniczną. Nie mówię, że nie da się tego zrobić - zaznaczył, rzucając pospieszne spojrzenie w stronę zastępcy komendanta. - Ale żeby zabrać się do tego jak należy, musielibyśmy zwiększyć personel policji bostońskiej czterokrotnie. Krótko mówiąc, bez dokładniejszych informacji, takich jak choćby konkretne granice czasowe, które pomogłyby nam zawęzić listę podejrzanych, nie jesteśmy w stanie wiele zdziałać. Na Boga, ten etap śledztwa aż się prosi o raporty wiktymologiczne.

- Nie dostaniemy ich - ucięła D. D. - Próbuj dalej.

- Wiedziałem, że to powiesz — wymamrotał Sinkus, wzdychając ciężko. Wetknął ręce do kieszeni spodni. — No dobra, to mam inny pomysł.

— No dalej, wyduś to z siebie.

— Mam jutro spotkanie z byłym pracownikiem komisariatu w Mattapan, niejakim Goergem Robbardsem. Pracował jako dyzpozytor od siedziemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Jeśli ktokolwiek pamięta, co godnego uwagi miało miejsce na tym terenie, coś, o czym wspominali miejscowi czy pracujący wówczas policjanci, to tylko on. D. D. oniemiała na moment.

- No proszę, Roger, to wygląda mi na cholernie dobry plan. Sinks uśmiechnął się zmieszany, wciąż stojąc z rękami w kieszeniach.

- Tak naprawdę to był pomysł mojej żony. Zaletą obecności noworodka w domu jest to, że ilekroć wracam do domu, moja

żona jest na nogach, więc cóż możemy robić... rozmawiamy. Pamiętała, jak wspominałem kiedyś, że to pracownicy biurowi stanowią prawdziwy mózg każdego komisariatu. My, detektywi, zmieniamy się. Oni pracują przez większość życia w jednym miejscu.

To była święta prawda. Gliniarze spędzali w jednym komisariacie trzy, może cztery lata. Staż pracowników biurowych, dla odmiany, można było liczyć w całych dekadach.

- No dobra - ze świeżą werwą podsumowała D. D. - Podoba mi się ten pomysł. Właśnie takich potrzebujemy. I jestem gotowa nawet przymknąć oko na dzisiejszy brak pisemnego raportu, jeśli tylko po zakończeniu jutrzejszej rozmowy raport natychmiast znajdzie się na moim biurku. Słyszałam wiele dobrego o Robbardsie. A że sześć ciał znalezionych w jednym miejscu wskazuje na kogoś, kto działał na tym terenie latami, bardzo jestem ciekawa, co Robbards ma do powiedzenia.

D. D. zebrała kopie wszystkich raportów, układając je w jedne kupkę.

- No dobra. Oto jak wygląda sprawa: prowadzimy zakrojone na szeroką skalę śledztwo, strzelamy na oślep, z nadzieją, że któraś kula wreszcie dosięgnie celu. Wiem, że śledztwo jest męczące, skomplikowane i bolesne, ale w końcu dostajemy za to ciężkie pieniądze. Zostało nam - zerknęła ponownie na zegarek - siedem godzin, a czas leci. Ruszajcie do pracy i do siódmej rano meldujcie o wszystkich rewelacjach, które uda wam się odkryć. Osoba, która jako pierwsza da mi coś, co będzie można

wykorzystać na konferencji prasowej, będzie mogła wrócić do domu, żeby się wyspać.

Zaczęła powoli odsuwać krzesło, zanim jednak całkiem wstała, spojrzała na zebranych raz jeszcze, tym razem z

całkowitą powagą.

— Wszyscy widzieliśmy te sześć dziewczynek — stwierdziła szorstko — to, co im zrobiono... — pokręciła głową, przez chwilę niezdolna kontynuować. Detektywi uciekali spojrzeniem na boki. Policjanci z wydziału zabójstw widzieli już mnóstwo gówna, ale sprawy małych dzieci zawsze uderzały w czuły punkt.

D.D. odchrząknęła.

— Chcę, żeby wreszcie wrócili do domów. Minęło trzydzieści lat. Zbyt dużo. Dla nas wszystkich... to jest zbyt bolesne. A więc, zróbmy to, dobra? Wiem, że wszyscy są zmęczeni, zestresowani. Ale musimy posuwać się naprzód. Uda nam się. Oddamy dziewczynki ich rodzinom. A potem będziemy ścigać tego skurwysyna, który im to zrobił. I choćbyśmy mieli się zapuścić w najdalsze zakamarki naszej planety, dorwiemy go. Taki jest plan. Mam nadzieję, że wam też się podoba.

D. D. wstała wreszcie od stołu i energicznym krokiem skierowała się do wyjścia.

Jeszcze dobra minuta minęła w zupełnym milczeniu, a potem detektywi, jeden po drugim, opuścili pomieszczenie, by wrócić do swoich obowiązków.

ROZDZIAŁ 10

BOBBY ZASTAŁ D.D. W JEJ GABINECIE. Siedziała nad komputerem zgarbiona, dzierżąc w zaciśniętej dłoni ołówek i przelatując wzrokiem listę nazwisk. Przewijała stronę za stroną w takim tempie, że Bobby szczerze wątpił, czy w ogóle przyswajała jakiegokolwiek informacje. Może tylko chciała sprawiać wrażenie zapracowanej, na wypadek gdyby ktoś, na przykład on, zajrzał przypadkiem.

— Czego? - zapytała po chwili.

— Dzwoniła do mnie.

— Przerwała czytanie, wyprostowała się i spojrzała na Bobby'ego.

— Podobno nie jesteś moim chłopcem na posyłki.

— Podobno jesteście przyjaciółmi.

— Bobby. Jesteś skończonym palantem. Uśmiechnął się w odpowiedzi na obelgę.

— Dopiero teraz do mnie dotarło, jak bardzo się za tobą stęskniłem. To jak, mogę wejść, czy każesz mi najpierw skoczyć po bukiet róż?

— Chrzanić róże - odpowiedziała — ale ciągle mam ochotę na przyzwoitą kanapkę z wołowiną.

Ton jej głosu zdecydowanie złagodniał. Wskazała na wolny fotel naprzeciwko. Wziął ten gest za zaproszenie, sadowiając się wygodnie w dyrektorskim fotelu z wysokim oparciem. D.

D. odsunęła się od komputera. Z sińcami pod oczami i do krwi obgryzionymi paznokciami wyglądała naprawdę koszmarnie. Będzie wściekła, gdy zobaczy samą siebie w telewizji.

- Catherine przesyła pozdrowienia? — spytała oschle.

- Nie do końca tak to ujęła, ale jestem pewien, że przez cały czas trwania naszej rozmowy, myślała tylko o tym, jak wielką miłością pała do bostońskiej policji.

- No i co takiego mówiła?

- Dojdę do tego. Zmarszczone brwi.

- Dojdiesz do tego?

- Mam kilka innych świeżych wiadomości, którymi chciałbym się podzielić. Odpuść trochę. Pracując wciąż na pełnych obrotach, mam chyba prawo do krótkiej gry wstępnej.

Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie w spontanicznym uśmiechu. Przez moment stanęły Bobby'emu przed oczami stare dobre czasy, a raczej wszystko to, co było wówczas dobre... Szybko wrócił na ziemię, wyprostował się i zaczął kartkować swój notatnik.

- A więc... sprawdziłem Russella Grangera. Postanowiłem popracować nad wersją Annabelle.

Uśmiech z twarzy D. D. natychmiast zniknął. Westchnęła, opierając łokcie na kolanach. Znowu byli tylko dwójką policjantów na służbie.

- Spodoba mi się to, czego się dowiedziałeś? A co ważniejsze, czy przyda mi się na konferencji prasowej?

- Być może. Otóż: Russell Granger złożył doniesienie na policji w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, pierwsze z trzech doniesień w okresie do października tego samego roku. Pierwsze dotyczyło bezprawnego wtargnięcia na teren prywatny. Granger usłyszał w środku nocy, jak ktoś chodzi po jego podworku. Wyszedł na zewnątrz i przysięgał, że słyszał, jak ktoś uciekał pospiesznie.

Kiedy rano sprawdził teren, znalazł ślady stóp w błocie wzdłuż ogrodzenia. Wysłano do niego kilku mundurowych, ci spisali raport z miejsca zdarzenia i to by było na tyle czegoś więcej można by się spodziewać? Nie popełniono żadnej zbrodni, nie można było sporządzić portretu pamięciowego sprawcy. Złożono oficjalny raport. Niech pan do nas zadzwoni, panie Granger, jeśli zdarzy się coś podobnego, bla bla bla. Drugie z doniesień złożono ósmego września, dotyczyło one Podglądacza. Znowu złożył je Granger, tym razem jednak w imieniu swojej sąsiadki, starszej pani, Geraldine Watts która zaklinała się, że widziała młodego mężczyznę skradają-cego się w pobliżu domu Grangerów i zerkającego do środka przez jedno z okien. I tym razem wysłano do Grangera dwóch mundurowych, Staną Jezukawicza i Dana Davisa, znanych barskiej jako duet Stan-i-Dan. Przesłuchali panią Watts, która opisała podglądacza jako białego mężczyznę około metra osiemdziesiąt, może metra osiemdziesiąt pięć. Miał mieć ciemne włosy, nosić szary T-shin i dzinsy, śmiało można go było nazwać „niechlujnym”. Twarzy nie udało jej się dostrzec. Kiedy tylko podniosła słuchawkę telefonu, żeby ostrzec pana Grangera, podejrzany zaczął uciekać.

- Gdzie mieszkała pani Watts?

Po drugiej stronie ulicy naprzeciw domu Grangerów. Chodzi jednak o to, że okno, przy którym czaił się podejrzany, było oknem w pokoju Annabelle, siedmoletniej córki. Kiedy Granger się o tym dowiedział, wściekł się. Okazało się, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy ktoś zostawiał na jego ganku drobne upominki. Raz był to plastikowy konik, innym razem żółta piłeczka, potem niebieska szklana kulka. Prezenty przeznaczone ewidentnie dla dziecka. Granger i jego żona myśleli początkowo, że jakiś dzieciak z sąsiedztwa zadurzył się w Annabelle. Byli przekonani, że ma cichego wielbiciela.

- O cholera - powiedziała D. D. - Medalion. Był zawinięty w pasek komiksowy z Fistaszkami, czy nie tak właśnie mówiła Annabelle.

- Tak. Nasz duet Stan-i-Dan, z pomocnikiem w osobie Rusella Grangera, rozpoczyna więc śledztwo, maszerując od domu do domu w poszukiwaniu jakiegoś tropu. Przesłuchują dziesiątki dzieci, ale żadne nie ma pojęcia, o co chodzi Grange-rowi. On sam zaczyna się irytować, przekonany, że jego córka ma cichego wielbiciela i że ten niewątpliwie dorosły osobnik czai się na nią. Żąda natychmiastowej ochrony ze strony policji i tak dalej. Policjanci cierpliwie tłumaczą, jak ma się sprawa. Bo przecież znów nie popełniono żadnej zbrodni. A tajemniczym wielbicielem mógł być po prostu któryś ze szkolnych kolegów. Zapewniają, że dołożą wszelkich starań, żeby sprawę wyjaśnić. Nasi policjanci składają kolejny raport. Nikt u góry nie interesuje się nim jednak szczególnie, bo przecież nie popełniono żadnej zbrodni. Trzeba jednak przyznać panom Stan-i-Dan, że są wyjątkowo sumienni. Kontynuują poszukiwania na terenie szkoły. Udaje im się załatwić pozwolenie dyrektora na przesłuchanie dzieci z klasy Annabelle. Żadna z tych rozmów nie okazuje się jednak owocna, wygląda na to, że nawet jeśli cichy wielbiciel Annabelle jest jednym z jej szkolnych kolegów, dzieciak jest zbyt nieśmiały, by się do tego przyznać. Wyniki przesłuchań trafiają do akt, sprawa się ślimaczy. Co jeszcze można w takiej sytuacji zrobić? W aktach jest jeszcze informacja o kilku telefonach od Grangera żądającego rozwiązania śledztwa, ale nikt nie ma mu nic nowego do powiedzenia. Proszę być czujnym, informować nas, jak tylko zauważy pan coś niepokojącego, bla bla bla. Osiemnastego października Granger dzwoni ponownie, żądając natychmiastowej interwencji policji. Zgłasza, że do jego domu wtargnął intruz. Dyspozytor wysyła na miejsce cztery radiowozy. Panowie

Stan-i-Dan słyszą komunikat nadawany przez policyjne radio i, z troską o los rodziny, również kierują się w stronę domu Grangerów. Zastają tam całkiem pokaźny tłum gapiów i Grangera odzianego jedynie w piżamę, stojącego na ganku i wściekle wymachującego kijem baseballowym. Tylko dzięki interwencji panów Stan-i-Dan policjanci, którzy przybyli na miejsce jako pierwsi, wstrzymują ogień. Dan odnotował, że Granger rzeczywiście wyglądał fatalnie. Skonany, wycieńczony. Wygląda na to, że nie sypiał zbyt wiele, przez większość nocy „trzymał wartę”. Okazuje się też, że w doniesieniu posłużył się niewinnym kłamstwem. Kiedy przypierają go do muru, przyznaje, że nikt tak naprawdę nie włamał się do jego domu. Usłyszał jedynie kolejny raz podejrzane odgłosy dochodzące z zewnątrz. Pomyślał sobie, że policja nie potraktuje tego wystarczająco poważnie, więc dorobił sobie część historii. Wielu policjantów zaczyna go traktować z rezerwą, ale nasi dwaj dzielni mundurowi nie odpuszczają. W poszukiwaniu śladów badają podwórko Grangera. Zauważają drobne zmiany, które wprowadził od ich ostatniej wizyty - powyrywane krzaki, dwa ścięte drzewa. Cały obszar wokół domu jest teraz zupełnie odsłonięty, ciężko tam o jakąkolwiek kryjówkę. Zaczynają się zastawiać, czy to nie lekka przesada, czy to aby nie pierwszy objaw paranoi, ale chwilę potem dochodzą do okna Annabelle. Tuż pod ramą okienną widać wyraźne wyłobienia świeże i wyglądają, jakby zrobiono je łomem. Ktoś próbował się włamać.

- Ale z Annabelle wszystko w porządku? — spytała D.D., marszcząc czoło.
- Jak najbardziej. Od czasu sprawy Podglądacza, Annabelle nie sypiała w swoim pokoju, tylko w sypialni rodziców. Dziecko nie miało pojęcia o żadnym z trzech incydentów.

Jeśli chodzi o panią Granger, to tak naprawdę nie wiem. Mundurowi nigdy jej nie przesłuchiwali. Wygląda na to, że wszystkim zajmował się Granger. Zawsze rozmawiał z policjantami na zewnątrz. Jego żona zostawała w środku z Annabelle.

D. D. przewróciła oczami. Wiedział dokładnie, co sobie myślała: zaniedbanie ze strony policji. Każde z małżonków należało przesłuchać indywidualnie, podobnie jak siedmioletnią wówczas Annabelle. Ale dwadzieścia pięć lat później niewiele można było z tym fantem zrobić.

— Po znalezieniu śladów włamania — ciągnął dalej Bobby — zespół Stan-i-Dan kontynuuje rundkę po sąsiadach. Kiedy zachodzą do pani Watts, tej, która złożyła doniesienie o Podglądaczu, kobieta wygląda na naprawdę wzburzoną. Żali się, że nie może spać, bo myszy na poddaszu robią za dużo hałasu.

— Myszy?

— No właśnie. Stan-i-Dan też są zdziwieni i w te pędy biegną na poddasze. Widok, jaki zastają nie pozostawia wątpliwo-ści, że to kryjówka jakiegoś włóczęgi: śpiwór, latarka, otwieracz do puszek, butelki z wodą i, uważaj teraz, dwudziestolitrowe plastikowe wiadro, które musiało służyć za toaletę.

— Błagam, powiedz, że znajdziemy to wiadro gdzieś w przechowywanych dowodach.

— To by było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pocięciem mógłby być fakt, że próbowali zdjąć odciski palców. Mielibyśmy dziś kopię, gdyby nie jeden mały problem, nie było żadnych odcisków.

— Dobry Jezu, czy cokolwiek było jak należy w tym śledztwie?

- Nie. Spieprzyli wszystko dokumentnie. Ale wracając do kryjówki w domu pani Watts, kiedy staruszka dowiaduje się,

że ktoś zamieszkiwał jej poddasze, wpada w histerię, która i tak jest niczym w porównaniu z szałem, w jaki wpada Rusell Oranger. Tym razem żąda już samej Gwardii Narodowej do ochrony swojej rodziny. A sprawy przybierają jeszcze gorszy obrót, kiedy detektywi przeszukujący kryjówkę odnajdują całą stertę polaroidowych zdjęć: Annabelle w drodze do szkoły, Annabelle podczas przerwy między lekcjami, Annabelle grająca w klasy ze swoją najlepszą przyjaciółką Dori Petracelli.

D. D. przymknęła oczy.

- Wystarczy. Mów, co było dalej. Bobby wzruszył ramionami.

- Policja niewiele mogła zrobić. Nie mieli pojęcia, jak wygląda podejrzany, a co do osoby samej Annabelle, przecież znów nie popełniono żadnej zbrodni. To było w osiemdziesiątym drugim roku, zanim dla ochrony osób prześladowanych wprowadzono całą serię zaostrzonych przepisów prawnych. Policjanci ponownie udają się na teren szkoły. Przesłuchują kierowców autobusów, woźnych, nauczycieli płci męskiej, wszystkich, którzy mogli okazywać jakiegokolwiek oznaki przywiązania do dziewczynki. Ponownie badają poddasze w domu pani Watts. Nie znajdują jednak żadnych odcisków palców, tak właściwie nie znajdują niczego godnego uwagi. Detektywi wypruwają sobie żyły, ścigając włóczęgę/pedofila, który lubi nękać małe dziewczynki i pomieszkiwać na poddaszach domów starszych pań. Szukają w zakładach dla umysłowo chorych, w jadłodajniach i wszędzie tam, gdzie zbiera się podejrzane towarzystwo. Nie mają na tym polu dużego doświadczenia, tak więc śledztwo spala na panewce. Tymczasem Granger odchodzi od zmysłów. Oskarża policję o opieszałość. Oskarża sąsiadów o świadomą pomoc w ukrywaniu sprawcy. Straszy, że jeżeli coś się stanie Annabel-

le, cała wina spadnie na prokuraturę okręgową. Któregoś dnia policjanci zachodzą do jego domu, żeby zadać kilka dodatkowych pytań, ale dom okazuje się pusty. Tydzień później prokuratura odbiera telefon od Grangera, który informuje, że skoro organy ścigania stanu Massachusetts odmówiły ochrony jego córce, postanowił wyjechać. Zanim go o cokolwiek dopytano, rozłączył się. I to by było na tyle. Przez kolejny tydzień czy dwa policjanci patrolują teren wokół jego domu, ale nie przynosi to żadnych efektów. I tak sprawa umiera śmiercią naturalną, jak setki podobnych spraw tego typu.

- Zaczekaj chwilę. Gdzie ja mam tę cholerną listę? Zgodnie z tym, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, Dori Petracelli zniknęła dwunastego listopada, niespełna tydzień po tych wydarzeniach. Czy to nie powinno było zwrócić czyjeś uwagi?

- Ale Dori nie porwano z domu państwa Petracelli. Była wtedy u dziadków w Lawrence. Inne miasto podlegające innej jurysdykcji, inne okoliczności. Wygląda na to, że policja i Lawrence zwróciła się o kopię akt sprawy kryjówki w domu pani Watts, ale niewiele z tego wyniknęło. Miej na uwadze fakt, że nie znaleziono żadnych odcisków palców, nie było żadnego portretu pamięciowego. Myślę, że przejrzyli te akta pobieżnie, a gdy doszli do tego, że nie ma w nich żadnych konkretów, których śladem można by podążać, postanowili iść własnymi tropami.

D.D. oparła się na krześle.

- Cholera. Myślisz, że to Annabelle była prawdziwym celem, a Dori tylko nagrodą pocieszenia.

— Coś w tym rodzaju.

- Co nam to wszystko daje?

— Jesteśmy o dwadzieścia pięć lat mądrzejsi. — Bobby oparł się wygodnie, założył ręce za głowę. — Nie krytykowałbym

panów Stan-i-Dan. Przejrzałem ich raporty bardzo dokładnie. Poświęcili sprawie Grangera naprawdę sporo uwagi, niewielu mundurowych wykazałoby się podobną inicjatywą. Problem w tym, że żaden z nich nie miał instynktu myśliwego. Kiedy weszli na poddasze, odkryli coś, co wyglądało na tymczasowe lokum włóczęgi. Od tej pory tak właśnie o tej kryjówce mówiono, dodaj do tego opis sprawcy, zwłaszcza to, że określono go jako „niechlujnego”, i łatwo sobie wyobrazić, że to nadało śledztwu konkretny kierunek. To jeden z powodów, dla którego nie łączono tej sprawy ze zniknięciem Dori Petracelli. Naoczni świadkowie zeznali, że facet, który uprowadził Dori, prowadził białą furgonetkę. Posiadanie auta jakoś nie pasowało do profilu Podglądacza z domu pani Watts.

- Szukali raczej bezdomnego, ewentualnie umyślowo chorego.

- Właśnie. Ale według mnie kryjówka tego typu nie wygląda na schronienie włóczęgi, raczej na doskonały punkt obserwacyjny. Tylko pomyśl, naprzeciw domu Grangerów, doskonały widok z trzeciego piętra. Kolesi ma dach nad głową, śpiwór dla większej wygody, przekąski na wypadek głodu i wiadro do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Czegóż więcej trzeba? Prawdzi-

we polowanie wymaga cierpliwości. Ta przemyślana lokalizacja pokazuje tylko, że był gotów czekać naprawdę długo.

- Wszystko wygląda tu na zamierzone i zaplanowane — łagodnie stwierdziła D. D.

- Szczegółowo obmyślane - uściślił Bobby. — Sprytne. Ten facet, Podglądacz... to nie był jego pierwszy raz. Robił wcześniej podobne rzeczy.

- Może nawet pięć razy.

- Tak — cicho przytaknął Bobby. — Być może. Jeśli chcesz

wiedzieć, co ja o tym myślę, to uważam, że na Annabelle czyhał wyrafinowany pedofil, który porwał już wcześniej przynajmniej jedną dziewczynkę. A gdyby ojciec Annabelle nie okazał się takim pieprzonym paranoikiem, to pewnie jej ciało, a nie Dori Petracelli, znaleźlibyśmy w Mattapan. Annabelle Granger wymknęła mu się. Dori nie miała tyle szczęścia.

D. D. potarła dłonią twarz.

- Jesteś pewien, że to był rok osiemdziesiąty drugi? I nie ma najmniejszej szansy na to, że ktoś pomylił datę?

- To był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi.

- I jesteś pewien, na sto procent, że Richard Umbrio był już wtedy za kratkami w Walpole?

- Tak. Ta data powtarza się w kilku raportach. Umbrio nie mógł być Podglądaczem. D.D., tu nie chodzi już nawet o daty. Popatrz na modus operandi. Jest zupełnie inny. Umbrio był drapieżnikiem atakującym znieścacka, tu i teraz, hej dziewczynko, zgubiłem pieska, może go gdzieś widziałaś. Sprawa z Podglądaczem jest bardziej skomplikowana, jego działania noszą znamiona jakiegoś rytuału. To psychol zupełnie innej kategorii.

— Ale ta podziemna kryjówka — wybuchnęła D.D. — to fizyczne podobieństwo między Annabelle Granger a Catherine Gagnon. Chyba nie powiesz mi, że to czysty zbieg okoliczności

— Jest wiele możliwości. Po pierwsze, możemy mieć do czynienia z naśladowcą. Do sierpnia osiemdziesiątego drugiego roku proces Umbrio już dawno się zakończył, szczegóły porwania były świetnie znane opinii publicznej. Mogły stać się dla kogoś „źródłem natchnienia”.

— Ale prokuratura nigdy nie ujawnia zdjęć ofiar, zwłaszcza dzieci - obstawała przy swoim D. D. — Jak więc wyjaśnisz fi-

zyczne podobieństwo między Annabelle a Catherine?

— Zdjęcia, owszem, nie są udostępniane podczas procesu, ale kiedy Catherine uznano za zaginioną, jej fotografia musiała być pokazywana dosyć często, a poszukiwania trwały przecież przez cztery tygodnie.

— Hmm — D.D. trawiła te informacje, przygryzając dolną wargę.

Bobby opuścił ręce.

— Umbrio nie był zbyt rozmownym typem. Nigdy nie podzielił się z policją informacjami na temat tego, co zrobił, nawet po tym, jak go złapano. Możemy więc zakładać, że były też inne ofiary. Mógł też mieć pomocnika.

— Ucznia, który pozostał anonimowy?

— Właśnie. Umbrio miał zaledwie dwadzieścia lat, kiedy go skazano, był właściwie jeszcze dzieciakiem. Wiesz, do czego może być zdolna para gówniarzy, by spełnić swoje mroczne fantazje.

— Jak Klebold i Harris.

— Takie przypadki miały już miejsce. Zastanawiam się też nad kolegą z celi albo korespondencyjnym przyjacielem.

Pedofile bardzo często dzielą się wrażeniami w sieci.

Przypomnij sobie te wszystkie fora internetowe i strony z dziecięcą pornografią, które policja odkryła w ostatnim czasie. Pedofile to grupa, która, jak żadna inna, szuka kontaktu z osobnikami o podobnych fantazjach. A teraz pomyśl, że Umbrio, idąc do więzienia, został okrzyknięty sprytnym geniuszem, niezwykle kreatywnym w swoim działaniu. Może ktoś bardzo szukał kontaktu z nim.

— Coraz mniej mi się to wszystko podoba. - D. D. popatrzyła na niego spode łba. — Myślałam, że masz dla mnie coś, co mogę wykorzystać na konferencji prasowej. Co, do cholery, z tego, co mi właśnie powiedziałaś, mogę wykorzystać w rozmowie z prasą?

Bobby przerwał jej, unosząc rękę.

- Jeszcze jedna rzecz. Coś, czego nijak nie da się poprzeć dowodami, ale nie możemy tego tak po prostu zignorować: to instynkt gliny. Poczulaś to zaraz, jak weszłaś do tamtego grobowca. Podobnie jak ja. Mattapan ma na pewno jakiś związek ze sprawą Catherine Gagnon. Nie mam pojęcia, skąd to przecucie, ale tak jest. I wiem, że czujesz to samo. Właśnie dlatego telefon od Catherine jest taki istotny.

D. D. ożywiła się momentalnie. W jej oczekiwaniu była ogromna, trudna wręcz do opisanego nadzieja.

- Catherine przyjeżdża do Massachusetts? Chce z nami rozmawiać? Da się wreszcie aresztować za zorganizowanie śmierci własnego męża?

- Niezupełnie. Nie zgodzi się na przyjazd do Massachusetts, jak to mówią, z przyczyn technicznych. My odwiedzimy ją.

- Jasne, dwóch detektywów poleci sobie ot, tak do Arizony. Nasi szefowie będą zachwyceni tym pomysłem.

- Gwarantuję ci - odpowiedział Bobby, uśmiechając się zalotnie — że jak tylko poinformujesz prasę, że właśnie dokonał się przełom w śledztwie i lada chwila przesłuchasz nie jednego, ale dwóch potencjalnych świadków, nie będą stawiać oporu.

Bobby wstał z krzesła i skierował się w stronę drzwi. To był moment, w którym należało się ewakuować. Nie był jednak wystarczająco szybki.

- Co masz na myśli, mówiąc o dwóch świadkach? — zawołała za nim D. D. - Catherine Gagnon jest jedna.

- Aaa... nie mówiłem? Miałem na myśli Granger. Catherine stawia pewien warunek w zamian za współpracę z nami.

Chce poznać Annabelle.

ROZDZIAŁ 11

BOBY'EMU UDAŁO SIĘ BEZ PROBLEMÓW dostać do środka apartamentowca na North End. Jeden z mieszkańców właśnie wychodził z klatki i dając się zwieść jego spodniom khaki, koszuli z kołnierzykiem i sportowej tweedowej marynarce, przytrzymał zamykające się drzwi, wpuszczając go tym samym do środka. Zabawne, że wystarczyło się ubrać jak dobrze zarabiający przedstawiciel klasy średniej, a już traktowali cię jak swego, bezwarunkowo udzielając ci kredytu zaufania.

Bobby przeleciał wzrokiem skrzynki na listy, zatrzymując się na tej z właściwym nazwiskiem. Najwyższe piętro w budynku bez windy idealnie pasowało do Annabelle.

Wspinaczka wąską klatką schodową zapowiadała się na prawdziwy trening siłowy. Ruszył w kierunku schodów, wspominając stare dobre czasy, kiedy należał do elitarnego oddziału, a efektowne wejścia były jego specjalnością.

Czołganie się przez bagna, wśród dymu czy spalin motocykli było na porządku dziennym. Jediną rzeczą, jaką wówczas widział, był majaczący przed nim cel. Jediną rzeczą, którą słyszał, był kolega z drużyny czołgający się tuż obok.

Na wysokości trzeciego piętra dał o sobie znać brak snu.

Zwolnił tempo, próbując złapać oddech. Na czwartym przystanął, by wytrzeć z czoła pot. Z zażenowaniem zauważył, że czas najwyższy wziąć się za siebie, bo jego godna pożałowania kondycja aż się prosi o trening na siłowni.

Gdy na piątym piętrze był już bliski omdlenia, zauważył wreszcie drzwi do mieszkania Annabelle. Policjant mdlejący

po pieszej wędrówce schodami to dopiero upokorzenie. Przystanął na ostatnim stopniu, łapiąc oddech. Zanim jaszce dotarł do drzwi, usłyszał skowyt psa. Delikatnie zapukał. Pies w mig dopadł drzwi, wściekle warcząc i drapiąc.

Ze środka mieszkania dobiegł kobiecy głos.

Drzwi nie otwały się natychmiast. Zresztą Bobby wcale się tego nie spodziewał. Zamiast tego dało się słyszeć odgłos odsłaniania przedpotopowego judasza. Kobieta powitała go równie ciepło jak jej pies.

- O cholera - dobiegło zza drzwi.

- Detektyw Bobby Dodge - przedstawił się grzecznie

— Mam kilka dodatkowych pytań.

— Co pan tu robi, do jasnej cholery? Przecież nie dawałam panu swojego adresu.

— No cóż, jestem detektywem.

W odpowiedzi nastąpiła jedynie cisza. W końcu uniósł dłoń, w której trzymał jej wizytówkę.

— Biuro numerów działa w dwie strony. Wystarczyło wstukać numer telefonu, żeby dostać adres. Cuda technika czasem się przydają.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie powiedział mi pan o podziemnej kryjówce - podniesionym głosem poinformowała go zza drzwi. - Jak mógł pan siedzieć na wprost mnie, bez skrępowania wyciągając ze mnie wszystkie informacje, a sam ukrywać coś tak istotnego. Zwłaszcza kiedy zorientował się pan, że jedna z dziewczynek mogła być moją najlepszą przyjaciółką.

- Rozumiem, że oglądała pani wiadomości.

— Tak jak cały Boston, kretynie.

Bobby rozłożył ręce. Ciężko było negocjować z drewnianymi drzwiami, ale starał się, jak mógł.

— Niech pani posłucha, jedziemy na jednym wózku. Oboje bardzo chcemy się dowiedzieć, co się stało z pani najlepszą

przyjaciółką i znaleźć tego skurwysyna, który jej to zrobił. Czy mając ten fakt na uwadze, mogłaby mnie pani jednak wpuścić?

- Nie.

— Jak sobie pani życzy — sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył z niej mini dyktafon, notes i pióro.

— Co to ma znaczyć?

— Mam zamiar zadać swoje pytania.

— Na klatce schodowej? Zapomniał pan, że istnieje coś takiego jak prawo do prywatności?

— A pani zapomniała, że istnieje coś takiego jak gościnność?

— wzruszył ramionami. — To pani ustala reguły. Ja się ich tylko trzymam.

— Na miłość boską.

Usłyszał odgłos odsuwania metalowej zasuwki, szczek łańcucha i jeszcze jeden głośniejszy dźwięk dochodzący z dolnej części drzwi. Annabelc Granger traktowała zasady bezpieczeństwa domowego niezwykle poważnie.

Zastanawiał się, czy przy kratkach, które zapewne zdobiły jej okna, możliwe było stworzenie przytulnego domowego zacisza, czy może ten element krajobrazu od razu skazywał wszelkie próby na niepowodzenie.

Otworzyła drzwi z impetem. Białe bydlę na długich nogach dopadło kolan Bobby'ego, poszczekując piskliwie. Anna-belle nie zrobiła nic, żeby przytrzymać zwierzę. Obserwowała całą scenę ze zmrużonymi oczami, tak jakby poddawała Bobby'ego jakiejś próbie.

Wyciągnął rękę w stronę psa. O dziwo, bydlę nie odgryzło jej natychmiast. W dalszym ciągu biegało wokół Bobby'e-go, aż temu zakręciło się w głowie, kiedy próbował podążać za nim wzrokiem.

— Pies pasterski?

- Tak.

- Border collie?
- Border collie są biało-czarne.
- Owczarek australijski? Skinęła głową.
- Wabi się jakoś? - Bella.
- Czy przestanie kiedyś szczekać?
- To zależy, czy już pan zdążył ogłuchnąć.
- Prawie.
- W takim razie już niedługo.

Popychany od tyłu przez Bellę, ostrożnym krokiem wszedł do mieszkania. Kiedy tylko przekroczył próg, Annabelle natychmiast zaczęła rytuał zamykania drzwi; jedna zasuwą, druga, łańcuch i dodatkowy rygiel u dołu drzwi. Bella przestała w końcu chodzić wokół niego, w dalszym ciągu nie przestawała jednak szczekać. Piękny pies, pomyślał. A jakie ma długie, ostre zęby

W chwili gdy Annabelle uporała się z ostatnim zamkiem, Bella, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, natychmiast się uspokoiła. Fuknęła na pożegnanie i popędziła do pokoju gościnnego. Przedarła się przez sterty porozrzucanych materiałów i ciężko opadła na swoje pościele. Obdarzyła Bobbyego jeszcze jednym groźnym spojrzeniem, które zdawało się mówić „Pamiętaj. Ja tu cały czas jestem”, oparła łeb na przednich łapach i zapadła w drzemkę.

- Grzeczny pies — Bobby był pod wrażeniem.
- Nie do końca — odpowiedziała Annabelle — ale pasujemy do siebie. Żadna z nas nie lubi niespodziewanych gości.
- Wiem, o czym pani mówi. Ja sam jestem po części samotnikiem.

Bobby wszedł głębiej do pokoju i wykorzystując okazję, rozglądał się z zaciekawionym. Najpierw zauważył mały, zagracony pokój gościnny, z którego wchodziło się do małej, zagraconej sypialni. Kuchnia była niewiele większa od jego szafy w sypialni, tylko niezbędne sprzęty i białe szafki z

blatami z laminatu. Pokój gościnny był odrobinę większy, zielony pluszowy fotel i duże krzesło przy drewnianym stoliku wyglądały zachęcająco. Ściany miały odcień bardzo ciepłej żółci. Dwa olbrzymie po-naddwumetrowe okna zdobiły artystycznie wykończone rolety ze wzorem w słoneczniki.

Nic innego nie zdołał dostrzec, bo cały pokój był zawałony stosami materiałów. Czerwienie, zielenie, złota, kwiaty, paski, kratki, pastele. Jedwab, bawełna, len, kordonki. Bobby nie znał się na materiałach zbyt dobrze, ale miał wrażenie, że można by tam znaleźć każdą dowolną tkaninę i to w wybranym przez siebie kolorze.

Do tego różnego rodzaju sznurki i mnóstwo ścinków, pomyślał, mijając kuchnię i odkrywając kolejną porcję frędzelków.

— Przytulnie tu — powiedział, a wskazując na okno dodał:

— Zapewnia dużo światła, co chyba w pani branży jest niezwykle istotne.

— Czego pan chce?

— Na początek szklaneczkę wody, poproszę. Annabelle zagryzła wargi i nalała mu wody. Była ubrana po domowemu. W spodnie od dresu, biodrówki i szarą bluzę z długim rękawem, która sięgała do talii.

Włosy miała spięte w kucyk, żadnego makijażu. Raz jeszcze poraziło go niesamowite podobieństwo Annabelle do Catherine, a jednocześnie zdał sobie sprawę, jak różne są te dwie kobiety.

Catherine była niczym drogi, luksusowy prezent opakowany w błyszczący papier. Świadoma swojego seksapilu i gotowa używać go jako narzędzia i broni. Annabelle wyglądała jak uosobienie stylu wielkiego miasta. Kiedy podawała mu szklankę wody, nie tyle myślał o seksie, co zastanawiał się, jak mocno mogłaby mu skopać tyłek, gdyby przyszła jej na to

ochota. Kiedy przyjrzał się jej skrzyżowanym ramionom, wiedział już, czemu.

— Trenuje pani boks? — bardziej stwierdził, niż spytał.

— I co z tego?

— Właściwie nic, poza stwierdzeniem, że pani boksuje. Siłownia Tony'ego?

Oburzyła się.

— Może gdybym miała ochotę na trening w towarzystwie napakowanych mięśniaków. Wolę Lees. Zresztą tam się specjalizują w kick-boxingu.

— Są dobrzy?

Spojrzała wymownie na zegarek

— Wie pan co, jeśli w ciągu następnych piętnastu minut nie zada pan swoich pytań, sam się pan może przekonać.

— Wszystkich policjantów poddaje pani takim próbom, czy po prostu ja jestem wyjątkowy?

Odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem. Westchnął i zdecydował się przejść do rzeczy. Niechęć do policji musiała mieć chyba po tatusiu. Odstawił szklankę z wodą, otworzył notatnik i zaczął:

— Dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy o tym, co wydarzyło się jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. - Popatrzył na nią wyczekująco, mając nadzieję dostrzec bodaj cień zainteresowania i czekając, aż jej wojownicza postawa choć trochę złagodnieje. - Okazuje się, że jakiś facet, nazwijmy go zgodnie z fachową policyjną terminologią nieznanym sprawcą, interesował się panią. Zostawiał na ganku drobne prezenty. Przyłapano go, gdy wdarł się na teren waszego domu, co gorsza, posunął się nawet do próby włamania do pani pokoju. Pani ojciec kilka razy wzywał policję. Za trzecim razem odkryli kryjówkę na poddaszu domu sąsiadki mieszkającej naprzeciwko, skąd najprawdopodobniej obserwował panią przez dłuższy czas.

Znaleźli całą stertę polaroidowych zdjęć, które pani zrobił, notatki, w których miał pani plan dnia. Nie pamięta pani żadnej z tych rzeczy?

- Nie - nadał była bojowo nastawiona, ale ramiona trochę jej już opadły, a z twarzy znikła wcześniejsza pewność siebie. - I co policja w tej sprawie zrobiła?

- Nic. Na początku lat osiemdziesiątych śledzenie siedmiolatki nie było uznawane za zbrodnię. Jasne, ten fakt przyprawiał o gęsią skórkę, nie można go było jednak podciągnąć pod żadne przestępstwo.

- To absurd!

- Najwyraźniej pani ojciec też tak uważał, bo tydzień po tym incydencie wasza rodzina zniknęła. A jeszcze tydzień później - ściszył głos — ktoś porwał Dori Petracelli z ogródka w domu jej dziadków w Lawrence i nikt jej od tamtej pory nie widział. Jest pani pewna, że żadnej z tych rzeczy nie pamięta?

- Znalazłam coś wczoraj w Internecie - odpowiedziała - bo wiedziałam, że mi nie pomożecie. Detektywi szukają odpowiedzi na własne pytania, pytania innych ludzi mają głęboko gdzieś. Dlatego postanowiłam poszukać informacji na własną rękę.

Zamilkła na chwilę. Bobby w ciszy poczekał, aż sama podejmie wątek. Po chwili dodała:

- Widział pan to zdjęcie, które wszędzie rozklejano i pokazywano tuż po jej zaginięciu? Pokręcił głową.

- Niech pan podejdzie i sam zobaczy - otarła się o niego, mijając go w drodze do pokoju gościnnego. Pod stertą papierów dostrzegł laptop. Annabelle zrzuciła papiery na podłogę i włączyła komputer. Wystarczyło kilka kliknięć myszką, żeby na ekranie wyskoczyło zdjęcie zaginionej Dori PetraceHi.

Ciągle nie rozumiał, co miała na myśli. Musiała mu pokazać.

- Niech pan się przyjrzy, co ma na szyi. Medalion. Ma na szyi

mój medalion.

Bobby wysilił wzrok, nachylił się nad monitorem. Zdjęcie było nieostre, czarno-białe, ale kiedy przyjrzał się dokładniej... Westchnął. Jeśli miał do tej pory jakieś wątpliwości, rozwiały się w ciągu sekundy.

- Zgodnie z opisem na stronie - spokojnie ciągnęła dalej Annabelle — to zdjęcie zrobiono na tydzień przed jej zniknięciem... — ton jej głosu zmienił się. - Założę się, że to go krę-

ciło. Podniecało. Oglądanie komunikatów w wiadomościach, patrzenie na zdjęcie, na którym Dori ma na sobie naszyjnik, słuchanie rodziców błagających o pomoc i modlących się o jej powrót do domu. Takie typy lubią być na bieżąco z wynikami śledztwa, czyż nie? Lubią myśleć, że wszystkich przechytrzyli. Cholerny drań.

Odwróciła się od niego i zaczęła chodzić bez celu po pokoju. Bobby powoli się wyprostował, nie spuszczać z niej wzroku.

— Co dokładnie pani pamięta, Annabelle?

— Proszę mnie tak nie nazywać. Nie chcę, żeby pan używał mojego prawdziwego imienia. Teraz jestem Tanya i proszę się do mnie tak zwracać.

— Ale dlaczego? Minęło dwadzieścia pięć lat. Czego się pani dalej boi?

— A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Dorastałam w błogim przekonaniu, że wszystkiemu jest winna paranoja ojca. A teraz pan mówi mi, że to nie były tylko urojenia. Tylko co ja mam z tym fantem zrobić? Jakiś facet mnie śledził, a ja nie miałam o tym pojęcia. Potem ja wyjechałam, a on... uprowadził moją najlepszą przyjaciółkę.

Przerwała, bo nie była w stanie kontynuować. Dłoń mocno przycisnęła do ust, drugą ręką w obronnym geście oplotła talię. Bella leżąca na swoim pościeliu podniosła łeb, zamerdała

ogonem i zaskowyczała cicho.

- Przepraszam, maleńka - zwróciła się do niej Annabelle. —
Przepraszam.

Bobby dał jej chwilę. Zebrała się w sobie. Uniosła podbródek, wyprostowała ramiona. Nie umiał jeszcze rozgryźć jej ojca, w zasadzie odnośnie do osoby Russela Grangera wciąż miał więcej pytań niż odpowiedzi, ale jedno było pewne. Jego nauki nie poszły w las. Dwadzieścia pięć lat później dziewczyna była naprawdę twarda.

Nagle w mieszkaniu rozległ się dźwięk domofonu. Annabelle podskoczyła.

— O co do...? - wypaliła zdenerwowana. — Nie wiem zbyt wielu...

Szybko podbiegła do okna, które wychodziło na ulicę, zęby sprawdzić, kto dzwoni z dołu. Wyczuwając jej zdenerwowanie, Bobby natychmiast wetknął rękę do kieszeni marynarki, zaciskając palce na spuście. Chwila stresu, niepewności, a już minutę później było po wszystkim. Annabelle wyjrzała przez okno, dostrzegła furgonetkę kuriera. Jej ramiona natychmiast opadły, a ona sama uśmiechnęła się do Bobby'ego przepaszająco.

— Bella — zawołała — przyjechał twój narzeczony.

— Zaczęła odsuwać wszystkie zasuwę, podczas gdy Bella wściekle drapała w drzwi.

— Narzeczony?

— Ben, kierowca z UPS. Mają z Bella niepisany układ. Ja zamawiam, on dostarcza, Bella dostaje ciasteczka. Wiem, że psy widzą obraz czarno-biały, ale założę się, że nawet gdyby Bella rozróżniała wszystkie kolory tęczy, i tak brązowy pozostałby jej ulubionym kolorem.

Annabelle poradziła sobie w końcu z wszystkimi zamkami. Otworzyła drzwi, a niecierpliwie ujadająca Bella niemal ją staranowała w drodze na dół.

— Zaraz wracam — rzuciła Bobby'emu przez ramię i pognąła za Bella na dół.

Te kilka minut dawało Bobby emu szansę na zebranie myśli i zakodowanie wszystkich nowych informacji. Teraz miał już dokładne wyobrażenie, jakie życie prowadzi Annabelle.

Odosobnione. Samotne. Czujne. Zakupy zamawia przez Internet. Za jedynego przyjaciela ma psa. Dostawy kurierskich przesyłek są chyba jednym z nielicznych kontaktów ze światem zewnętrznym.

Bobby doszedł do wniosku, że Russel Granger chyba jednak trochę przedobrzył.

Wróciła uradowana Bella, ciężko sapiąc. Tuż za nią pojawiła się Annabelle. Przemaszzerowała chwiejnie przez próg, niosąc pudło rozmiarów biurka. Bobby chciał jej pomóc, ale nie pozwoliła mu, rzucając pudło na podłogę w kuchni.

— Materiały — poinformowała go smutnym głosem, starając się przesunąć pudło kopniakiem - ryzyko zawodowe.

— Do konkretnego zamówienia czy tak na zapas?

— I tak, i tak - odpowiedziała. - Zawsze zaczyna się od materiałów pod konkretne zamówienie, a już za chwilę dodaje dwie rolki tak na wszelki wypadek. Szczerze mówiąc, cieszę się, że nie mam większego mieszkania, bo Bóg mi świadkiem, utonąłabym w tych materiałach.

Pokiwał ze zrozumieniem głową, przyglądając się, jak idzie w stronę kranu i nalewa sobie szklanek wody. Znów wyglądała na opanowaną. Zejście na dół po przesyłkę pozwoliło jej odzyskać pewność siebie. Zdecydował, że teraz albo nigdy.

-Lato tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku

— rzucił zniechęca. — Ma pani siedem lat, mieszka z rodzicami w Arlington, a pani najlepszą przyjaciółką jest Dori Petracelli. Co pani pamięta z tamtego okresu? Wzruszyła ramionami.

- Nic. Wszystko. Byłam dzieckiem. Pamiętam chodzenie na

basen, grę w klasy na podjeździe. Nie wiem, co jeszcze. Było lato. Pamiętam dziecięce zabawy.

— Podarunki?

— Piłkę. Znalazłam ją na ganku zawiniętą w niedzielny komiks. Była żółta i niesamowicie wysoko się odbijała. Strasznie mi się podobała.

- Czy pani ojciec coś na to powiedział? Odebrał ją pani?

- Nie, zgubiłam ją, wpadła gdzieś pod werandę.

— Inne prezenty?

- Szklana kulka. Niebieska. Znalazłam ją w ten sam sposób i spotkał ją ten sam los, co piłkę.

— Ale medalion...

— Na widok medalionu ojciec się wściekł - przyznała - to pamiętam. Ale zupełnie nie pamiętam, czemu, Zawsze patrzyłam na niego raczej jak na kogoś, kto wiecznie szuka dziury w całym, a nie jak na kogoś, kto ze wszystkich sił stara się mnie bronić.

- Według raportu policyjnego po drugim incydencie pani rodzice zdecydowali, że będzie pani spała w ich pokoju. Pamięta pani?

Zmarszczyła brwi zakłopotana.

— Coś było nie tak z moim pokojem — odpowiedziała szybko, pocierając czoło. — Mieliśmy go pomalować? Albo ojciec miał naprawić... coś tam? Nie pamiętam już teraz. Coś tam było do zrobienia. Dlatego spałam przez jakiś czas u nich w sypialni. Tata mówił, żebym sobie wyobraziła, że to taka forma kempingu. Namalował mi nawet na suficie gwiazdy. Były odjazdowe.

- Czy kiedykolwiek czuła pani, Annabelle, że coś pani zagraża? Że ktoś panią obserwuje? Podchodzili do pani jacyś nieznajomi? Chcieli dać gumę albo cukierka? Proponowali przejażdżkę samochodem? A może któryś z ojców pani koleżanek jakoś dziwnie się zachowywał? Może któryś z

nauczycieli...?

— Nie — odpowiedziała stanowczo. — Myślę, że zostałyby mi coś takiego w pamięci. Z drugiej strony, taka sytuacja mogła mieć miejsce, jeszcze zanim ojciec urządził mi w sypialni planetarium, a wtedy... gdyby ktoś obcy do mnie podszedł, być może skusiłabym się na cukierka. Może zgodziłabym się na przejażdżkę. Tamto lato było naprawdę fantastyczne — zaczęła rozcierać dłońmi ramiona, dodając ponuro: — Dopóki wszystkiego diabli nie wzięli.

Bobby przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, czekając, czy coś jej się przypomni. Ale Annabelle nie miała już nic do dodania, reszta wspomnień rozmyła się, pozostawiając w głowie pustkę. Bobby sam nie wiedział, czy wierzy w jej historię, czy nie. Dzieci są wyjątkowo spostrzegawcze. A ona znajdowała się w samym centrum dramatycznych wydarzeń, umundurowani policjanci trzy razy w ciągu dwóch miesięcy pukali do jej drzwi, a ona nic nie zauważyła? A co z jej ojcem? Bohaterskie poświęcenie w obronie córeczki czy może nieczyste sumienie?

Począł, aż spojrzy na niego. Następne pytanie było kluczowe. Nie chciał, żeby coś ją rozpraszało.

— Annabelle — zapytał wprost. - Dlaczego wyjechaliście z Florydy?

— Nie wiem.

— A z St.Louis, z Nashville, z Kansas City?

— Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem — rozłożyła bezradnie ramiona, zdenerwowana. — Myśli pan, że ja sobie nie zadaję tego pytania? Ze nie zadawałam go sobie przez te wszystkie lata? Za każdym razem, kiedy znów uciekaliśmy, spędzałam kolejne bezsenne noce, próbując dociec, co tym razem poszło nie tak. Co takiego złego zrobiłam. Albo kiedy nie byłam wystarczająco czujna? Nigdy nie odpowiedziałam sobie na te pytania. Nigdy się nie dowiedziałam. Kiedy skończyłam

szesnaście lat, wmówiłam sobie, że ojciec musiał mieć nierówno pod sufitem. Tak było najprościej. Niektórzy ojcowie mają świra na punkcie piłki nożnej, mój miał słabość do płacenia gotówką i regularnej zmiany nazwisk.

- Myśli pani, że był wariatem?

— A pan uważa, że to normalne, żeby ciągle przenosić rodzinę z miejsca na miejsce, za każdym razem zmieniając tożsamość? Rozumiał ją. Tyle że to niczego nie wyjaśniało.

— Jest pani zupełnie pewna, że nie ma pani gdzieś jakichś fotografii z dzieciństwa? Albumu rodzinnego? Zdjęć domu, sąsiadów, kolegów ze szkoły? Bardzo by nam pomogły.

- Wszystkie zostały w domu. Nie mam pojęcia, co się potem z nimi stało.

Bobby zmarszczył czoło, coś przyszło mu do głowy, pośpiesznie nabazgrał kilka zdań w notesie.

— Miała pani jakichś dziadków, ciocie, wujków? Kogoś, kto mógłby mieć jakieś zdjęcia, kogoś, kto ucieszyłby się, że się pani odnalazła?

Pokręciła głową, wciąż unikając jego wzroku.

— Żadnych krewnych. To znacznie ułatwiało ciągle przeprowadzki. Tata był sierotą, wychowankiem Milton Hershley School. To dzięki ich programowi stypendialnemu skończył studia. Dziadkowie ze strony mamy umarli wkrótce po moim urodzeniu. Chyba w wypadku samochodowym. Mama nie wspominała o nich zbyt często. Myślę, że było to dla niej zbyt bolesne. Ale niech pan poczeka chwilę — dodała nagle ożywiona, podnosząc głowę. — Jest ktoś, kto może mieć jakieś zdjęcia. Pani Petracelli. Dori i ja mieszkaliśmy niedaleko siebie, chodziłyśmy do jednej szkoły, rodzice spotykali się wieczorami na grillu. Całkiem prawdopodobne, że będzie miała zdjęcia całej mojej rodziny. Jakoś wcześniej o tym nie pomyślałam. Może ma gdzieś zdjęcie mamy.

— Doskonała myśl.

Nagle zapytała z wahaniem.

— Powiedziały... im pan już?

— Państwu Petracelli. Czy już ich pan powiadomił, że znaleźliście Dori? Wiem, że to straszna wiadomość, ale mimo wszystko ludzie chcą o takich rzeczach wiedzieć.

— Wiem — odparł. — Najgorsza prawda jest lepsza od niepewności. Ale nie, nie powiedzieliśmy im jeszcze. Musimy mieć wstępnie potwierdzoną tożsamość. Dopiero wtedy zwrócimy się do nich o próbkę DNA, żeby móc wykonać testy.

Zastanowił się przez chwilę i postanowił iść za ciosem, D. D. pewnie mu za to łeb ukręci, ale tym się będzie potem martwić.

— Chce pani poznać szczegóły śledztwa? Otóż zwłoki są zmumifikowane. O tym nie trąbią nigdzie w wiadomościach. Ustalenie czegokolwiek zajmie nam trochę czasu.

— Chcę to zobaczyć. - Co?

— Tę podziemną kryjówkę, w której znaleźliście Dori. Chcę tam pojechać.

— O nie. Na miejscu zbrodni mają prawo przebywać jedynie ludzie do tego upoważnieni. Nie możemy tam oprowadzać wycieczek. Prawnicy, sędzia, D.D. żywcem by mnie zjedli za coś takiego.

— Ale ja nie jestem zwykłym obywatelem. Jestem potencjalnym świadkiem.

— Który, jak sama pani twierdzi, niczego nie pamięta.

— Może właśnie to miejsce obudzi jakieś wspomnienia.

— Annabelle, nie mówi pani chyba serio o odwiedzeniu miejsca zbrodni? Niech pani wyświadczy przysługę swojej przyjaciółce i zapamięta ją jako pogodną towarzyszkę dziecięcych zabaw. To najlepsze, co może pani zrobić.

Zamknął notatnik, schował go do kieszeni marynarki i wypijwszy wodę, włożył pustą szklankę do zlewozmywaka.

— Jeszcze jedna rzecz — rzekł nagle, jakby ta myśl dopiero co zaświtała mu w głowie.

- Tak?

— Nie jestem całkiem pewien. Dori Petracelli zaginęła w osiemdziesiątym drugim roku, wszyscy są pewni tej daty. To, co mnie zastanawia, to podobieństwo okoliczności porwania Dori do innej sprawy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Facet, który nazywał się Richard Umbrio, porwał dwunastoletnią dziewczynkę i prosił ją zgadnąć, gdzie ją trzymał. W podziemnej kryjówce Zabiłby ją pewnie, gdyby nie przypadkowi myśliwi, którzy ją uwolnili

— Przeżyła? Wciąż żyje? — ożywiła się Annabelle. Skinęła głową, wpychając ręce do kieszeni spodni

— Zeznania Catherine obciążły Umbrio. Poszedł siedzieć. I to jest w tej sprawie najdziwniejsze. Umbrio w osiemdziesiątym drugim roku dawno już siedział w więzieniu, a jednak..

— Te dwie sprawy są ze sobą jakoś powiązane.

— Właśnie — zmierzył ją raz jeszcze od stóp do głów, zanim zadał kolejne pytanie.

— Jest pani pewna, że nigdy nie poznała Catherine?

— Nie wydaje mi się.

— Żeby sprawa była jasna, ona też nie pamięta, żeby kiedykolwiek spotkała panią, a jednak...

— Jak ona wygląda?

— Pani wzrostu. Ciemne włosy, ciemne oczy. Jak by się tak zastanowić, to nawet bardzo do pani podobna.

Zmrużyła nerwowo oczy na tę ostatnią wiadomość. Pomyślał, że teraz albo nigdy.

— Co by pani powiedziała na spotkanie z nią twarzą w twarz? Może wasze spotkanie coś nam wyjaśni.

Wiedział dokładnie, kiedy zorientowała się, że to był misternie uknuty plan. Poznał po tym, jak znieruchomiała na

momentu rzucając w jego stronę lodowate spojrzenie. Był pewien, że zaraz da ujście swojej złości, był przygotowany na wiązanekę, być może nawet rękoczynny. Ale ona tylko stała nieruchomo w zupełnej ciszy.

— System nie musi ci się podobać - wyszeptała. — Musisz go tylko zrozumieć. Wtedy na pewno przetrwasz.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Gdzie mieszka Catherine?

— W Arizonie.

— My jedziemy do niej czy ona przyjeżdża tu?

— Z wielu powodów lepiej by było, gdybyśmy to my pojechali do niej.

— Kiedy?

— Co by pani powiedziała na jutro?

— Świetnie. Do jutra mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Na co?

— Na to, żeby mnie pan zabrał na miejsce zbrodni. Przysługa za przysługę. Nie zna pan, detektywie, takiego powiedzenia? Załatwiła go według jego własnych reguł. Pochylił głowę na znak, że się poddaje. To wcale nie sprawiło, że się rozluźniła. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że odkrywając jego grę, poczuła się oszukana, że chwilę wcześniej rozmawiali jak dwójka znajomych, może poczuła do niego sympatię. Zdał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. W pracy policjanta bywały chwile, kiedy trzeba się było uciekać do kłamstwa, nie było sensu przeproszać za coś, czego jeszcze niejednokrotnie będzie się zmuszonym dopuścić.

Skierował się w stronę drzwi. Bella podniosła się ze swojego posłania. Polizła go po dłoni, kiedy Annabelle pracowała nad zamkami swojej fortecy. Drzwi się otwarły. Annabelle nagle spojrzała na niego.

— Naprawdę tak się pani boi? - spytał, pokazując na zasuwę.

— Przypadek sprzyja przygotowanym.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Przez chwilę milczała, w końcu odpowiedziała.

— Czasami.

Mieszka pani w dużym mieście. Tego rodzaju zabezpieczenia są jak najbardziej na miejscu.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Czemu ciągle mnie pan pyta, czy wiem, dlaczego moja rodzina wciąż uciekała?

- Bo myślę, że pani wie.

- Bo uważa pan, że tacy zboczeńcy nie rezygnują ot, tak. Że nie porywają sześciu dziewczynek, by potem zająć się innym hobby. Myśli pan, że mój ojciec coś wiedział. Że miał jakiś powód, żeby ciągle uciekać.

— Te zamki to dobry pomysł — powtórzył. Uśmiechnęła się, tym razem zupełnie spokojna, i nie wiedzieć czemu, zasmuciło go to.

- O której?

Zerknął na zegarek, wyobraził sobie wybuch złości D.D., gdy ją o tym poinformuje.

- Przyjadę po panią o drugiej. Skinęła głową.

Wyszedł na schody. Schodząc w dół słyszał, jak na powrót zamyka wszystkie zamki.

ROZDZIAŁ 12

NIGDY WCZEŚNIEJ NIE JECHAŁAM policyjnym samochodem, nie wiedziałam więc, czego powinnam się spodziewać. Plastikowych siedzeń? Smrodu moczu i wymiocin? Podobnie jak w przypadku posterunku policji w Bostonie, rzeczywistość zupełnie nie pokryła się z moimi wyobrażeniami. Granatowy crown victoria niczym się nie różnił od reszty sedanów. Wnętrze było równie prozaiczne. Niebieskie tekstylne siedzenia. Granatowe dywaniki. Na desce rozdzielczej tkwił wmontowany aparat nadawczo-odbiorczy i kilka pokręteł, to wszystko.

Samochód wyglądał na świeżo wysprzątnany. Wnętrze było odkurzone, a w powietrzu unosił się zapach odświeżacza. Ciekawe, czy wysprzątał samochód ze względu na mnie? Może powinnam mu podziękować?

Sięgnęłam po pasy. Byłam zdenerwowana, dygotały mi ręce i udało mi się je zapiąć dopiero za trzecim razem. Detektyw Dodge nie skomentował tego, nie próbował mi też pomóc. Byłam mu za to wdzięczna znacznie bardziej niż za nieskazitelny porządek w samochodzie.

Te kilka godzin przed jego przyjazdem przesiedziałam, szyjąc osłonę na karnisze dla klientki z Back Bay. Z nogą na pedale maszyny, automatycznie prowadziłam materiał, śledząc wszystko, co nadawali w telewizji na temat Mattapan. Na każdym kanale można było znaleźć relacje niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rzadko kiedy

dziennikarze mieli jednak coś nowego do dodania. Potwierdzili, że na terenie byłego szpitala psychiatrycznego, w podziemnej kryjówce, znaleziono sześć ciał. Prawdopodobnie były to ciała dziewczynek, wyglądało na to, że zbrodnia mogła zostać popełniona nawet kilkadziesiąt lat temu. Policja prowadziła śledztwo wielotorowo. (Czy tym właśnie byłam? Jednym z torów?) Od tego miejsca cała reszta była czystą spekulacją. Ani słowa o medalionie. Ani słowa o Dori. Ani słowa o Richardzie Umbrio.

Przerwałam na chwilę szycie i postanowiłam poszukać informacji o Umbrio w Internecie. Znalazłam artykuł zatytułowany „Śmiertelna strzelanina w Back Bay”. Jego autor pisał, że ocalała ze strzelaniny Catherine Gagnon przeżyła już raz tragedię. Jako dziewczynka była przetrzymywana przez pedofila o nazwisku Umbrio, znaleźli ją myśliwi tuż przed Świętem Dziękczynienia.

Na temat Umbrio była tylko krótka wzmianka. Artykuł skupiał się głównie na strzelaninie, w wyniku której zginął jedyny syn wpływowego bostońskiego sędziego, Jimmy Gagnon. Podczas policyjnej obławy zastrzelił go jeden ze snajperów: Robert G. Dodge.

Ojciec ofiary, sędzia Gagnon, złożył pozew przeciwko oficerowi Bobby'emu Dodge'owi, oskarżając go o spiskowanie z Catherine Gagnon, która miała w ten sposób zamontować męża.

Teraz znałam słodki sekret detektywa Dodge'a i sierżant D.D. Warren, sekret, którym żadne z nieb nie zamierzało się zapewne ze mną podzielić.

Jakby było mało rewelacji, znalazłam jeszcze jeden artykuł, dodany zaledwie kilka dni później: „Rozlew krwi w penthousie”. Trzy osoby zginęły, a jedna była ciężko ranna po tym, jak warunkowo wypuszczony z więzienia Umbrio wdarł się na

teren luksusowego hotelu w centrum Bostonu. Zamordował dwoje ludzi, w tym jedną osobę gołymi rękami, zanim został śmiertelnie postrzelony przez Catherine Gagnon i będącego w jej towarzystwie oficera policji: Roberta G. Dodge'a. Robiło się coraz ciekawiej.

Siedząc koło detektywa Dodge'a, nie wspomniałam o żadnej z tych rzeczy. Postanowiłam zachować je na razie dla siebie. On sprawdzał moją przeszłość, teraz i ja znałam jego wstydliwe sekrety.

Zerknęłam na niego kątem oka. Prowadził, trzymając prawą rękę niedbale na kierownicy, lewy łokieć opierając o drzwi. Najwidoczniej miał wprawę w jeździe po wiecznie zakorkowanym Bostonie, bo zgrabnie manewrował wąskimi uliczkami i wyprzedzał po kilka samochodów naraz z wprawą godną kierowcy rajdowego. Wyglądało na to, przejazdka do Mattapan nie zajmie nam więcej niż kwadrans.

Nie byłam pewna, czy zdążę się psychicznie przygotować. Odwróciłam się w stronę okna, przyklejając nos do szyby. Skoro jemu nie przeszkadzało milczenie, mnie tym bardziej. Nie wiem, czemu tak bardzo chciałam zobaczyć miejsce zbrodni. Po prostu chciałam. Przez ostatnie dni w kółko czytałam o tym, co przytrafiło się Dori. Wpatrywałam się w medalion, który dumnie nosiła na szyi. A wtedy po głowie zaczęła mi się kotłować cała masa pytań, które jej rodzice zadawali sobie pewnie nieustannie przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Czy wzywała pomocy, kiedy porywacz wpychał ją do nieoznakowanej furgonetki? Czy stawiała opór? Czy próbowała otworzyć drzwi, nie zdając sobie sprawy, że samochód posiada specjalną blokadę, którą montowało wielu rodziców i która pozwalała jedynie kierowcy sterować ewentualnym otwieraniem i zamykaniem drzwi?

Czy mężczyzna coś do niej mówił? Czy pytał o medalion? Oskarżył ją, że ukradła go przyjaciółce? Czy prosiła, żeby go sobie wziął? Czy kiedy już wiedziała, co się święci, błagała, żeby przestał i porwał Annabelle Granger zamiast niej? Tak naprawdę to przez te dwadzieścia pięć lat nie myślałam o Dori zbyt wiele. Przerazająca była myśl, że zginęła zamiast mnie.

Samochód zwolnił. Zdałam sobie sprawę, że policzki mam mokre od łez. Wytarłam je szybko wierzchem dłoni. Detektyw Dodge się zatrzymał. Nie kojarzyłam tej okolicy. Nic mi nie mówiły trzypiętrowe kamieniczki pokryte obdrapaną farbą i porośnięte wokół rzadką trawą. Dzielnica wyglądała na biedną i zaniedbaną. Nic z tego nie rozumiałam.

— Moja propozycja brzmi następująco — powiedział Dodge, odwracając się do mnie. — Możemy dotrzeć na miejsce tylko dwoma wjazdami. Przy każdym są funkcjonariusze policji, którzy pilnują, żeby nikt niepowołany nie dostał się na miejsce zbrodni. Media czatują przy obu z aparatem w dłoni niczym hieny, licząc na to, że ktoś uraczy ich wreszcie jakimś komentarzem. Rozumiem, że nie chciałyby pani zobaczyć własnej twarzy w wieczornych wiadomościach?

Przerażenie odebrało mi na moment mowę.

- Tak myślałem. Być może to, co wymyśliłem, nie jest żadnym mistrzostwem świata, ale odniesie pożądany skutek - powiedział, wskazując na tylne siedzenie, gdzie dopiero teraz dostrzegłam złożony koc w odcieniu bardzo zbliżonym do tapicerki.

— Położy się pani, a ja przykryję panią kocem. Przy odrobinie szczęścia przedrzemy się niezauważeni przez tę agresywną zgraję i nikt niczego nie zauważy. Jak tylko wjedziemy na teren szpitala, będzie mogła pani usiąść. Zarząd Lotnictwa Cywilnego zgodził się kontrolować przestrzeń

powietrzną, więc nie będziemy mieli nad głowami żadnych intruzów.

Wysiadł z samochodu, a ja przeczołgałam się na tylne siedzenie i położyłam się, podkurczając nogi i krzyżując ręce na piersiach. Detektyw rozpostarł koc i przykrył mnie. Poprawił jeszcze miejsca, gdzie mogłyby wystawać stopy czy głowa. — W porządku? — zapytał.

Przytaknęłam. Trzasnęły drzwi. Usłyszałam, jak sadowi się na powrót na siedzeniu kierowcy i zapala silnik.

Wokół mnie panowała ciemność. Słyszałam jedynie odgłos sunących po asfalcie opon. Nozdrza drażniła przyprawiająca o mdłości mieszanka spalin i odświeżacza.

Zacisnęłam mocno powieki i wtedy już wiedziałam. Wiedziałam dokładnie, jak czuła się wepchnięta do obcej furgonetki Dori, kiedy znajoma okolica zniknęła z zasięgu wzroku. Wyobrażałam sobie, jak zwija się w kłębek i mocno zaciska powieki, bardzo chcąc zniknąć, rozpułnąć się w powietrzu. Słyszałam, jak odmawia „Ojcze nasz”, jak co dzień przed zaśnięciem. Wiedziałam już, że płakała za mamą, całując ją codziennie przed snem na dobranoc i rozsiewając wokół kojący zapach lawendy.

Skulona pod kocem, zasłoniłam twarz rękoma i płakałam bezgłośnie, bo sztukę płaczu bez wydawania z siebie dźwięku opanowałam do perfekcji przez wszystkie te lata ucieczek. Samochód zwolnił. Elektryczna szyba zjechała w dół, słyszałam, jak detektyw Dodge przedstawia się, pokazując swoją odznaką. Słyszałam też głosy napastliwych reporterów wykrzykujących serie pytań i domagających się komentarza. Szyba się zasunęła. Ruszył, redukując bieg przy stromym podejździe.

— Chce pani czy nie, jesteśmy na miejscu.

Wytarłam pospiesznie pod kocem łzy,
"Dla Dori — pomyślałam. - Dla Dori",

Ale nie mogłam się skupić na żadnym innym uczuciu poza ogromną nienawiścią do własnego ojca.

DODGE MUSIAŁ MNIE WYPUŚCIĆ, okazało się bowiem, że policyjne samochody różnią się jednak od zwyczajnych - drzwi z tyłu otwierają się jedynie od zewnątrz. Z jego twarzy nie potrafiłam nic wyczytać, jego wzrok uciekał gdzieś poza moje prawe ramię. Popatrzyłam w tamtą stronę i zauważyłam drugi samochód zaparkowany pod rozpościerającym swe gołe gałęzie dębem. Obok stała D. D. z rękami wciśniętymi w kieszenie brązowej skórzanej marynarki i wyrazem twarzy, z którego jak zawsze dało się wyczytać jedynie irytację.

- To ona prowadzi śledztwo - powiedział cicho, tak żebym tylko ja to usłyszała. - Nie da się odwiedzić miejsca zbrodni bez jej zgody. Nie się pani nie martwi, jest wściekła tylko na mnie. Pani jest po prostu łatwiejszym celem.

Nie podobało mi się nazywanie mnie łatwym celem. Wyprostowałam ramiona, przyjmując pewną siebie pozę. Dodge pokiwał z aprobatą głową i przez chwilę przeszło mi przez myśl, że powiedział to celowo, dokładnie wiedząc, jaki skutek odniesie. Ta myśl wytrąciła mnie z równowagi bardziej niż kwaśna mina D. D.

Dodge ruszył ku niej. Ja podreptałam za nim, kuląc się z zimna. Popołudnie było chłodne i pochmurne. Dwa tygodnie wcześniej dobiegła końca najpiękniejsza pora roku w Nowej Anglii. Teraz po karmazynowych, pomarańczowych i złociście żółtych liściach nie było już śladu. Wszystko wokół było szare i przygnębiające. W powietrzu czuć było wilgoć i pleśń. Wciągnęłam głęboko powietrze, wyczuwając smród zgnilizny.

Czytałam o szpitalu w Mattapan w Internecie. Wiedziałam,

że wybudowano go w 1839 i początkowo nazywał się Bostoński Szpital dla Umysłowo Chorych. W 1908 roku zmieniono nazwę na Państwowy Szpital Psychiatryczny. Początkowo miał kilkuset pacjentów i bliżej mu było do samowystarczalnej farmy niż do modelowej instytucji z Lotu nad kukułczym gnizadem.

Kiedy jednak w 1950 roku liczba pacjentów osiągnęła trzy tysiące, dodano jeszcze dwa budynki o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa, a cały teren otoczono ogrodzeniem z kutego żelaza. Przestało tam być spokojnie. W 1980 roku, po zmianach w strukturze leczenia psychiatrycznego, powszechnie określanymi deinstytucjonalizacją, szpital wreszcie zamknięto. Lokalna społeczność była z tego faktu niezmiernie zadowolona.

Spodziewałam się, że po wkroczeniu na teren szpitala i w reakcji na czające się tam niewątpliwie zło, natychmiast poczuję dreszcze, gęsią skórę i ciarki na plecach. Myślałam, że ujrzę upiorną gotycką budowlę w stylu szpitala Danvers, którego ruiny wciąż straszą przy drodze I-95, i że przez moment dojrzę w którymś z potrząskanych okien chowającą się w cieniu białą udręczoną twarz.

Ale z miejsca, w którym staliśmy, nie mogłam nawet dojrzeć dwóch pozostałych budynków. Jedyne, co widziałam, to gąszcz splątanych krzaków, nad którymi rozpościerał się stuletni dąb. Ruszyliśmy za detektyw Warren wąską ścieżką wśród zarośli. Gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni pokrytej trawą bagienną tańczącą na wietrze odcieniami złota i srebra, pomyślałam sobie, że nasza wyprawa przypomina bardziej wycieczkę krajoznawczą aniżeli oględziny miejsca zbrodni. Podłoże stawało się coraz twardsze. Na prawo rozpościerała się polana. Zauważyłam coś, co wyglądało na stertę starych śmieci. Warren zatrzymała się nagle, wskazując na piętrzące się gruzy.

- Botanicy już się za to zabrali - poinformowała Dodge-'a, - Znaleźli pozostałości po metalowych półkach, podobnych do tych, które znaleźliśmy na dole. Wygląda na to, że szpital miał wiele półek tego typu na wyposażeniu. Jeden z policjantów przegląda teraz zdjęcia archiwalne.

- Myślisz, że te, które znaleźliśmy, pochodziły ze szpitala? - zapytał detektyw Dodge.

- Nie wiem, ale te worki na śmieci... były powszechnie używane w rządowych instytucjach w latach siedemdziesiątych. Detektyw Warren znów podjęła wędrówkę, Dodge szedł tuż za nią. Ja podążałam na końcu, niewiele rozumiejąc z całej rozmowy. Przeszliśmy przez kolejny zagajnik, a kiedy ponownie znaleźliśmy się na polanie, ujrzałam przed sobą rozpostarty niebieski dach płócienny.

Teraz to ja przystanęłam. Czy to tylko wyobraźnia płatała mi figle, czy rzeczywiście było tutaj znacznie ciszej? Żadnych świergoczących ptaków, żadnego szelestu liści, żadnego stukania dzięciołów. Nawet podmuchów wiatru. Wszystko zdawało się zawieszona w pełnej wyczekiwania ciszy.

Sierżant Warren stanowczym krokiem ruszyła przed siebie. Odniosłam jednak wrażenie, że nie jest zachwycona pobylem w tym miejscu, co wytrąciło mnie zupełnie z równowagi. Jak przerażające musi być to miejsce zbrodni, skoro nawet doświadczony policjant nie umie opanować nerwów?

Pod niebieskim zadaszeniem stały dwa plastikowe pojemniki. Warren uniosła szare pokrywy i wyjęła białe „papierowe” kombinezony, które doskonale znałam z dokumentalnych seriali kryminalnych.

— Chociaż wszelkie niezbędne procedury już przeprowadzono, w dalszym ciągu staramy się utrzymać to miejsce jak najczystszy — wyjaśniła, podając nam kombinezony. — W tego typu przypadkach... nigdy nie wiadomo, czy kolejny ekspert nie wpadnie na coś nowego, dlatego chcemy być

przygotowani.

Błyskawicznie ubrała się w kombinezon. Ja przez dłuższą chwilę próbowałam dojść, która część to nogi, a która ręce. Detektyw Dodge musiał mi pomóc. Potem założyli ochraniacze na obuwie, siatki na włosy i czekali, miałam wrażenie, że całe wieki, aż ja, czerwona z zakłopotania, wreszcie się uporam ze swoim zestawem.

Warren poprowadziła nas na tyły namiotu. Stanęła przy krawędzi otworu w ziemi. Nic nie mogłam dostrzec, panowały tam nieprzeniknione ciemności.

Odwróciła się do mnie, taksując mnie chłodnym spojrzeniem. — Zdaje sobie pani sprawę, że nie wolno pani z nikim rozmawiać o tym, co zobaczy pani na dole — powiedziała oschle — ani z sąsiadem, ani z koleżanką z pracy, ani z fryzjerką. Wszystko jest ściśle tajne.

— Rozumiem.

— Nie wolno pani robić żadnych zdjęć ani szkiców.

- Wiem.

- I skoro decyduje się pani odwiedzić miejsce zbrodni, musi być pani świadoma, że gdyby doszło do procesu sądowego, mogą panią wezwać na świadka. Pani nazwisko będzie od teraz figurowało pośród wszystkich innych osób, które się tu przewinęły i podobnie jak oni, będzie pani zobowiązana do udzielania odpowiedzi zarówno oskarżeniu, jak i obronie.

- Rozumiem — powiedziałam, choć nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Proces? Przesłuchanie? Zdecydowałam, że będę się tym martwić później.

- A w zamian za tę wycieczkę zgadza się pani towarzyszyć nam w wizycie, którą złożymy jutro w Arizonie Catherine Ga-gnon? Odpowie pani na wszystkie nasze pytania, jak najlepiej będzie pani potrafiła?

- Tak, zgadzam się — odpowiedziałam ostro, bo im dłużej tam staliśmy, tym bardziej zaczynałam się niecierpliwić i de-

nerwować.

Sierżant Warren wyciągnęła latarkę.

- Pójdę pierwsza, włączę latarkę. Kiedy zobaczy pani światło, będzie pani wiedziała, że może schodzić.

Zmierzyła mnie raz jeszcze wzrokiem. Wytrzymałam jej spojrzenie, ale wiedziałam, że wyraz moich oczu nie dorównuje sile, jaką można było dostrzec w jej. Myliłam się co do sierżant Warren. Gdybyśmy stanęły do pojedynku, nie miałabym szans. Może i byłam młodsza, szybsza, silniejsza fizycznie, ale ona była twarda. Wystarczająco twarda, by ponownie bez zawahania zejść w czeluście dziecięcego grobowca.

Ojciec byłby nią zachwycony.

Czubek jej głowy zniknął w ciemnościach. Sekundę później z głębi trysnęło światło.

- Ostatnia szansa, żeby się wycofać — szepnął mi detektyw Dodge do ucha.

Stałam na szczycie drabinki. A potem starałam się już o niczym nie myśleć.

ROZDZIAŁ 13

PIERWSZĄ RZECZĄ, która mnie zaskoczyła, była temperatura. Na dole było cieplej niż na powierzchni. Ziemia zapewniała ochronę przed wiatrem i stanowiła warstwę izolacyjną chroniącą przed jesiennymi przymrozkami. Kolejne zaskoczenie — mogłam się spokojnie wyprostować. Właściwie mogłam też pomachać rękami i zrobić kilka kroków w każdym kierunku. Spodziewałam się, że będę musiała się zgarbić, że pomieszczenie okaże się klaustrofobiczne. Było jednak całkiem przestronne i nawet gdy dołączył do nas detektyw Dodge, zostało jeszcze trochę wolnej przestrzeni. Oczy przyzwyczyaiły się do mroku i rozróżniałam tańczące w słabym świetle cienie. Podeszłam do jednej ze ścian i dotknęłam zimnej wyżłobionej ziemi.

— Nie rozumiem - odezwał się wreszcie. — Niemożliwie, żeby jeden facet wykopał coś takiego łopata. Ale z drugiej strony, jeśli stawiacie na koparkę, ciężki sprzęt, to jak to możliwe, że udało się to zrobić po cichu i nikt niczego nie zauważył?

Fakt, że to D. D. udzieliła mi wyjaśnień, szczerze mnie zaskoczył.

— Uważamy, że był to jakiś element rozpoczętego projektu budowlanego. Może przepust kanalizacyjny do odprowadzania ścieków, a może po prostu przygotowywane pod inną budowę fundamenty. Pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych ledwo nadążano z budową

kolejnych budynków, aby pokryć zapotrzebowanie szpitala, a pacjentów wciąż przybywało. Na tym terenie jest wiele nieukończonych budynków, wiele pozostawionych materiałów budowlanych, mnóstwo tu wokół różnych śmieci i odpadów.

— Czyli ta jama została kiedyś celowo wykopana?

— Być może — wzruszyła ramionami. - Nie bardzo jest kogo zapytać, to dotyczy okresu sprzed pół wieku.

Wyciągnęłam rękę do góry, dotknęłam drewnianego sufitu, przejeżdżając dłonią aż do belek nośnych.

— Ale to on zrobił całą resztę? Przystosował to sobie, jeśli mogę się tak wyrazić?

— Możemy tylko zgadywać.

- Musiało mu to zająć sporo czasu. Żadne z nich nie zaprzeczyło.

- I pochłonąć trochę pieniędzy - ciągnęłam, głośno myśląc. - Drewno, gwoździe, młotek. Wysięk. Czy pacjent szpitala psychiatrycznego mógłby się wykazać podobnymi zdolnościami organizacyjnymi? Czy mógłby niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić z oddziału?

D. D. znów wzruszyła ramionami.

- Wszystko, co tu widzimy, może pochodzić z tego terenu, mogło zostać pozbierane z różnego rodzaju odpadów. Jak dotąd, widziałam tam wszystko od cementu, przez kafelki, do ram okiennych.

Skrzywiłam się.

- Tu nie ma żadnych okien.

- Nie były mu potrzebne do tego, co sobie zaplanował. Znów przeszły mnie ciarki po plecach, podeszłam do kolejnej ściany.

— Jak myślicie, kiedy zaczął? — zapytałam.

— Nie wiemy. Roślinność, która porosła ziemię nad sklejką, ma jakieś trzydzieści lat, to nam daje lata siedemdziesiąte.

Szpital właśnie wtedy zamykano, niewielu ludzi się tu kręciło. To by się właściwie zgadzało.

— A jak długo działał?

— Nie wiem.

— Ale musiał znać ten teren - upierałam się. — Może był pacjentem albo członkiem personelu. Musiał jakoś znaleźć to miejsce, musiał wiedzieć, gdzie szukać potrzebnych sprzętów. Musiał się czuć swobodnie, jeśli wciąż tu wracał.

— Na tym etapie śledztwa musimy brać każdą możliwość pod uwagę - potwierdziła D.D., ale ton jej głosu zdradzał wyraźny sceptycyzm. Miałam wrażenie, że ona skłania się raczej ku teorii, że teren ten był wówczas tak wyludniony i odosobniony, że bieganie niezauważonym po powierzchni niemal siedemdziesięciu hektarów nie stanowiło najmniejszego problemu i mógł to zrobić każdy.

Z detektywa amatora powróciłam więc pokornie do roli obserwatora.

- Mówiliście, że były tu jakieś sprzęty? - drążyłam.

- Metalowy regał z półkami, metalowe krzesło, plastikowe wiadro.

- Żadnego legowiska?

- Nic takiego nie znaleźliśmy.

- Lampy, piecyk kuchenny?

- Nie, jedynie dwa haki na suficie, które mogły być używane do zawieszenia jakiegoś źródła światła.

- Dlaczego mogły?

- Bo haki wisały tuż przy półkach, na których przechowywał ciała.

Straciłam na moment równowagę i oparłam się o zimną ścianę.

- To znaczy?

Spojrzenie D. D. stało się lodowate, patrzyła się na mnie badawczo.

— Niech pani mi powie. To pani udaje świadka, więc proszę mi powiedzieć, co pani widzi?

- Nic.

— Ten teren, to miejsce, wyglądają znajomo?

— Nie — odpowiedziała m cicho. — Nigdy tu nie byłam. Myślę — znów niepewnie dotknęłam ściany — że takich miejsc się nie zapomina.

— Nie — zgodziła się. — Z pewnością nie.

D. D. podeszła bliżej, stając tuż za moimi plecami. Położyła dłoń tuż przy mojej, przycisnęła ją mocno, niemal wbijając w ziemię paznokcie, jakby chciała mi udowodnić, że znosi atmosferę tego miejsca znacznie lepiej niż ja.

— Właśnie tu, gdzie stoimy, znajdował się ten metalowy regał z półkami. To na nich układał zwłoki. Po trzy worki, każdy z jednym ciałem, na każdej z półek Dwa równe rzędkie. Zacisnęłam palce, wbijając paznokcie w ścianę i czując, jak wbija się pod nie zbita ziemia. I w tym momencie, przysięgam, poczułam to. To głęboko zakorzenione, potężne i wszechobecne zło. Natychmiast cofnęłam dłoń, drepcząc nerwowo w miejscu i rozglądając się w poszukiwaniu... czego? Siadów walki? Krwi? Miejsca, gdzie ten potwór zgwałcił moją najlepszą przyjaciółkę? Albo wyrwał jej paznokcie? A może przyłożył obcęgi do jej sutków, zanim poderżnął jej gardło?

Za dużo się naczytałam, ojciec niepotrzebnie przestrzegał mnie przed wieloma rzeczami. Wychodził z założenia, że zamiast Kubusia Puchatka można dziecku czytać na dobranoc bajki o smokach, potworach i wampirach.

Zrobiło mi się niedobrze, ale nie mogłam przecież zwymiotować. Tysiące myśli z hukiem pociągu towarowego przelatywało mi przez głowę. Przed oczami miałam moją siedmioletnią przyjaciółkę, a po głowie krążyły gdzieś obrazy ze wszystkich zdjęć miejsc zbrodni, które pokazywał mi

ojciec.

- Co im tak właściwie zrobił? - zapytałam. - Jak długo trzymał je żywe? Jak je zabił? Czy wiedziały o sobie nawzajem? Czy musiały siedzieć tu w ciemnościach otoczone innymi zwłokami? Zgaście światła! — w moim głosie słychać było panikę, przestawałam nad sobą panować. - Cholera jasna, zgaście te światła! Chcę wiedzieć, co im zrobił. Chcę wiedzieć, co czuły.

Detektyw Dodge chwycił moje dłonie. Przyciągnął jedną do drugiej, próbując jakoś zapanować nad ruchami, których zupełnie nie kontrolowałam. Nic nie mówił, po prostu stał i patrzył na mnie swoimi szarymi oczami, dopóki nie poczułam, jak coś z głośnym trzaskiem przełamuje się we mnie.

Ramiona opadły. Atak hysterii minął. Czułam się bezwładna, ledwo żywa i myślałam tylko o tym ostatnim lecie, kiedy ani ja, ani Dori nie umiałyśmy w pełni cieszyć się ulotnym szczęściem.

Miałyśmy swoje ulubione lody sorbetowe. Dori najbardziej lubiła winogronowe, ja o smaku piwa korzennego. Z paczek, które kupowały nasze mamy, odkładałyśmy więc ulubione lody tej drugiej, żeby się nimi wymieniać w sobotę.

Często ścigałyśmy się po ulicy, żeby sprawdzić, która z nas jest szybsza. Pewnego razu upadłam i poharatałam sobie podbródek. Dori wróciła, żeby sprawdzić, czy nic mi się nie stało, ale kiedy pochyliła się nade mną, ja wystrzeliłam jak z procy, tylko po to by dobiec do mety jako pierwsza i móc powiedzieć, że wygrałam. Nie odzywała się do mnie cały dzień, ale ja i tak jej nie przeprosiłam, bo już wtedy zwycięstwo było ważniejsze od smutku na twarzy przyjaciółki.

Jej rodzina co tydzień chodziła do kościoła. Patrząc na Dori ubraną w śliczną białą sukienkę z niebieską lamówką, też chciałam chodzić do kościoła, ale ojciec powiedział mi, że ko-

ściół jest dla ignorantów. Odwiedzałam więc Dori w niedzielne popołudnia w jej domu, aby wysłuchać wszystkiego, o czym opowiadał rano ksiądz, o malutkim Mojżeszu, o Noem i jego arce, o urodzonym w stajence Jezusie. Odmawiałam z nią modlitwy, choć zawsze miałam poczucie winy. Podobał mi się wy-

raz jej twarzy, kiedy odmawiała modlitwę: ten błogi, spokojny uśmiech, który gościł wtedy na jej twarzy. Zastanawiałam się, czy tu też się modliła. Zastanawiałam się, czy modliła się, by żyć, czy błagała Boga o litość i o to, by zabrał ją wreszcie do siebie. Ja też czułam potrzebę modlitwy. Chciałam paść na kolana i błagać Boga, by zdjął ten ciężar z mojej piersi. Czułam się, jakby ktoś wbił mi dłoń w klatkę piersiową i z całej siły zaciskał ją na moim sercu i nie umiałam sobie wyobrazić, jak jedna osoba może znieść tak ogromny ból, nie mówiąc już o rodzicach Dori, którzy musieli z nim żyć przez te wszystkie lata.

Czy do tego sprowadza się nasze życie? Do wyboru, którego musi dokonać mała dziewczynka, do podjęcia decyzji, czy woli całe życie uciekać, czy umrzeć sama w ciemnościach? Cóż za potwór jest zdolny do takiego okrucieństwa? Dlaczego Dori nie udało się uciec?

W tym momencie cieszyłam się, że oboje rodzice już nie żyją, że nie dowiedzieli się, co przytrafiło się Dori i jaki wyrok dla najlepszej przyjaciółki ich córki oznaczała decyzja ojca.

Ale chwilę potem poczułam się nagle nieswojo. Jakieś niejasne wspomnienie w zakamarkach mojej pamięci... Ojciec wiedział. Nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta pewność, ale on wiedział. Wiedział, co przytrafiło się Dori. Ta świadomość wzbudziła we mnie niepokój nieporównywalnie większy od tego, jaki wywoływały cztery zaciskające się wokół mnie ściany.

Nie mogłam znieść więcej. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Żeby się dowiedzieć czegoś więcej o ofiarach, musimy poczekać na raport antropologa sądowego — wyjaśniała D.D. Ledwo skinęłam głową w odpowiedzi.

- Jedno jest pewne, szukamy kogoś piekielnie inteligentnego, zepsutego do szpiku kości i działającego niezwykle metodycznie.

Znów jedynie lekko skinęłam głową.

— Rzecz jasna, bardzo nam się przyda wszystko, co pani pamięta z tamtego okresu, zwłaszcza to, co dotyczy nieznanego sprawcy, który obserwował pani dom.

— Chciałabym już wrócić na górę - odpowiedziałam. Nikt nie zaprotestował. Detektyw Dodge wyszedł pierwszy.

Kiedy dotarłam na ostatnie szczeble, wyciągnął dłoń, żeby mi pomóc, ale odmówiłam i sama wydostałam się na powierzchnię. Wiatr przybrał na sile, szeleszcząc głośno ostatnimi liśćmi na drzewach. Wystawiłam twarz na podmuchy szczypiące w policzki. Zacisnęłam dłonie w pięści, czując pod paznokciami szczątki grobu najlepszej przyjaciółki.

ROZDZIAŁ 14

KIEDY WRÓCILIŚMY DO SAMOCHODÓW, czekał tam na nas jeden z policjantów. Poprosił sierżant Warren na bok i zaczął mówić coś do niej ściszym głosem.

— Ile razy tu był? — spytała szorstko.

— Trzy, może cztery razy.

— Mówi, że jest kim?

— Mówi, że kiedyś tu pracował, że coś wie, ale będzie rozmawiał jedynie z osobą prowadzącą śledztwo.

D. D. zerknęła na mnie i detektywa Dodge'a.

— Mamy chwilę? — spytała, najwyraźniej mając na myśli Bobby'ego, nie mnie.

Popatrzył na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami.

— Mogę poczekać w samochodzie — odparłam.

Chyba właśnie takiej odpowiedzi oczekiwali. Warren zwróciła się do policjanta.

— Proszę go przyprowadzić. Skoro tak bardzo chce porozmawiać, przekonajmy się, co ma do powiedzenia.

Wróciłam do samochodu Bobby'ego, co było mi całkiem na rękę. Jedyne, czego pragnęłam, to schować się przed wiatrem, z dala od otaczających mnie jeszcze przed chwilą obrazów i zapachów. Wyprawa dawno przestała już w czymkolwiek przypominać wycieczkę krajoznawczą.

Powinni wjechać tu buldożerami i zrównać wszystko z ziemią.

Opadłam ciężko na siedzenie pasażera, posłusznie sadowiąc się w taki sposób, żeby nie było mnie widać. Ale gdy tylko

detektyw Dodge zbliżył się do sierżant Warren, uchyliłam szybę.

Policjant wrócił po kilku minutach. Przeprowadził starszego siwego pana energicznie kroczącego tuż za nim.

- Mam na imię Charles - rzekł, ściskając dłoń Warren, a następnie Dodge'a. — Charlie Marvin. Pracowałem tu kiedyś, jeszcze za czasów, kiedy byłem w collegu. Dziękuję, że zechcieliście się ze mną zobaczyć. To pan tu dowodzi? - spytał Dodge'a.

Ten pokręcił głową, wzrokiem wskazując na sierżant War-

- Ojej - wypalił mężczyzna a na jego twarzy zagościł szeroki i szczery uśmiech, z rodzaju tych, które momentalnie zjednują sobie sympatię rozmówcy.

- Proszę nie mieć mi tego za złe - powiedział do Warren.

- Nie jestem szowinistą, tylko starym pierdołą.

Roześmiała się. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby się śmiała. Ten szczery śmiech był tak ludzki, że aż nie w jej stylu.

— Miło pana poznać, panie Marvin.

— Charlie, Charlie, „pan Marvin” to mówili o moim ojcu.

Panie, świeć nad jego duszą.

— W czy możemy panu pomóc, Charlie?

— Słyszałem o grobowcu, o tym, że znaleziono tam sześć dziewczynek. Muszę powiedzieć, że ta wiadomość mną wstrząsnęła. Przepracowałem w tym miejscu prawie dziesięć lat, najpierw jako sanitariusz, później jako pastor bywałem tu wieczorami i w weekendy. Co najmniej pięć razy omal nie przypląciłem tego życiem. Ale w dalszym ciągu wspominam te lata jako stare dobre czasy. Męczy mnie myśl, że te dziewczęta mogły umierać w tym samym czasie, kiedy tu pracowałem. Strasznie mnie to męczy.

Charlie popatrzył na Warren i Dodgea wyczekująco, ale żadne z nich nie odezwało się słowem. Teraz już wiedziałam,

że to milczenie stanowiło element ich strategii przesłuchań, w stosunku do mnie zachowywali się dokładnie tak samo.

- A więc - ciągnął dalej Charlie - może i jestem starym piernikiem i zdarza mi się zapomnieć, co jadłem rano na śniadanie, ale moje wspomnienia z dawnych lat są wciąż żywe. Przygotowałem sobie notatki. O niektórych z pacjentów - odchrząknął i dodał podenerwowany - oraz o jednym z członków personelu. Nie wiem, czy to wam pomoże, ale czułem, że muszę coś zrobić.

Dodge sięgnął do kieszeni i wyciągnął notes. Charlie przyjął ten gest jako zachętę i rozwinął ściśnięty wcześniej w dłoni świstek papieru. Choć palce mu dygotały, w głosie w dalszym ciągu było słychać pewność siebie.

- Wiecie już coś o samym szpitalu? — zapytał obojga.

- Nie - odezwał się detektyw Dodge. - Przynajmniej nie tyle, ile byśmy chcieli.

- Kiedy zacząłem tam pracować, mieliśmy tysiąc ośmiuset pacjentów. Byli w różnym wieku, od szesnastu lat w górę, kobiety i mężczyźni różnej rasy i pochodzący z różnych klas społecznych. Wielu oddawały rodziny, większość przywoziła policja. We wschodniej części znajdowały się oddziały dla przewlekle chorych, w zachodniej, tu, gdzie teraz stoimy, oddziały opieki krótkoterminowej. Zacząłem pracę od izby przyjęć. Rok później awansowałem na szefa sanitariuszy i przeniesiono mnie do budynku I, gdzie miałem pod sobą oddział dla mężczyzn I-4 o zastrzonym rygorze. To był dobry szpital. Może i miał za mało personelu, bo przez większość nocy byłem na oddziale tylko ja i czterdziestka pacjentów, ale radziłem sobie ze wszystkim bez zarzutu. Nie używaliśmy nigdy kaftanów bezpieczeństwa, pasów, przemocy fizycznej. Jeśli ktoś znalazł się w sytuacji awaryjnej, miał prawo unieruchomić pacjenta, wykręcając mu rękę lub zakładając nelsona, i czekać na wsparcie, co

zazwyczaj oznaczało innego sanitariusza ze środkiem uspokajającym. Jako sanitariusze sprawowaliśmy dozór nad pacjentami, dbając, by byli czysti, zdrowi i spokojni. Podawaliśmy im przepisane przez lekarzy lekarstwa. Odbyłem szkolenie z robienia zastrzyków domięśniowych. Wiecie, z dżgania niedającego się poskromić pacjenta w udo strzykawką wypełnioną pentotalem sodu. Pewnie, że bywały sytuacje zagrażające bezpieczeństwu nas wszystkich. Ale większość pacjentów, nawet na oddziale o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa, po prostu potrzebowała, by traktować ich po ludzku. Rozmawialiśmy więc z nimi spokojnym głosem, licząc, że udzieli im się ten spokój. Nie uwierzylibyście, w ilu wypadkach to wystarczało.

— Ale nie zawsze — podpowiedziała D. D. Charlie pokręcił głową.

— Nie zawsze. Za pierwszym razem omal nie zginąłem... Paul Nicholas. Ponadstukilogramowy kloc ze schizofrenią para-noidalną. Przez większość czasu był trzymany w odosobnieniu, w specjalnym pomieszczeniu, które miało jedynie zakratowane okno i skórzaną matę do spania. Dziś mówi się o nich pokoje z miękkimi ścianami lub pokoje bez klamek. Ale któreś nocy, gdy przyszedłem do pracy, okazało się, że został wypuszczony. Mój przełożony, Alan Woodward, przysięgał, że Paulie zachowuje się zupełnie normalnie. Przez pierwsze kilka godzin rzeczywiście nic się nie działo. Zbliżała się północ. Przeniosłem się do gabinetu na pierwszym piętrze, żeby się trochę pouczyć. Nagle usłyszałem u góry taki rumor, jakby korytarzem przejechał co najmniej pociąg towarowy. Chwyciłem słuchawkę telefonu, ogłosiłem alarm i pognałem na górę. A tam widzę Pauliego. Stoi dokładnie na środku świetlicy, czekając na mnie. Kiedy tylko mnie zauważy, rzuca się w moim kierunku. Odskakuję na bok, a on ląduje z

impetem na kanapie. Już sekundę później trzyma w rękach krzesła, celując w moją głowę. Uciekam za stół pingpongowy. Goni mnie. Biegamy tak w kółko, jak na kreskówce z Tomem i Jerryem. Tylko, że olbrzymowi szybko nudzi się ta zabawa. Zatrzymuje się i zaczyna odłamywać części stołu pingpongowego. Gołymi rękami. Myślicie, że przesadzam, ale nie. Facet był wściekły i napompowany testosteronem. Zaczął od metalowego wykończenia, a potem rozwałił dalej, kawałek po kawałku. Wtedy dociera do mnie, że już właściwie jestem martwy, stół nie jest przecież zbyt duży, a Pauliemu demolka idzie bardzo sprawnie. Nic tylko patrzeć i podziwiać. W końcu widzę w drzwiach dwóch kolegów sanitariuszy. „Bierzcie go — krzyczę. - Musimy mu podać pentotal sodu”. Ale oni stoją w progu jak zahipnotyzowani, obserwując szła Pauliego i przepraszam najmocniej za wyrażenie, srając w gacie ze strachu. „ Ej — krzyczę raz jeszcze. — Ludzie, zlitujcie się!”.

Jeden z nich wydaje z siebie odgłos przypominający krztuszenie. To wystarcza, by odwrócić uwagę Pauliego. Kiedy tylko obraca się w tamtym kierunku, wyskakuję z za stołu i wykręcam mu rękę. Paul zaczyna wyc, próbuje się uwolnić. Na szczęście w tym momencie ocknęli się moi koledzy i pomagali mi go spacyfikować. Ale i tak udało się go uspokoić dopiero po dwóch godzinach i czternastu gramach pentotalu sodu. Nie muszę chyba dodawać, że jeszcze długo po tym incydencie pozostał w odosobnieniu. To pierwsze nazwisko, które warto zanotować: Paulie Nicholas.

Charlie spojrzał na obojga detektywów wyczekująco. Detektyw Dodge posłusznie zapisał nazwisko, ale sierżant D. D. przyglądała mu się tylko, marszcząc brwi.

- Mówiłeś, że ten pacjent, Paul Nicholas, pozostawał w zamknięciu.

- Tak jest, proszę pani.

- A jeśli nie był trzymany w odosobnieniu, założę się, że był pod wpływem silnych środków uspokajających.

- Zgadza się. W przypadku tego typu pacjentów nie mieliśmy innego wyjścia.

- No więc, rozumiem, Charlie, że Nicholas mógł stanowić zagrożenie dla ciebie i dla reszty personelu, ale skoro był pod ścisłą kontrolą, chyba mało prawdopodobne, żeby mógł opuścić ot tak oddział i włóczyć się sam na zewnątrz?

— O, co to, to nie. Był pod ścisłą kontrolą. A to oznaczało zamknięcie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie było możliwości, żeby tacy pacjenci „się włóczyli”.

Sierżant Warren skinęła głową,

— Osoba, której szukamy, Charlie, musiała mieć dostęp do terenu szpitala. Nieograniczony, Czy którykolwiek z pacjentów był wypuszczany na zewnątrz, a jeśli nie, czy to oznacza, że powinniśmy się skupić na personelu?

Charlie przerwał na chwilę, zmarszczył czoło i raz jeszcze przeleciał wzrokiem swoją listę.

— Nie chciałem od tego zaczynać, ale mieliśmy taki jeden przypadek...

— Tak? — zachęciła go D.D.

— W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Widzicie, siostra przełożona lubiła nas, studentów, nie bez powodu. Jasne, byliśmy silni, a siła zawsze się tu przydawała, ale było coś jeszcze. Mieliśmy w sobie pewną świeżość i optymizm. Nie tylko zajmowaliśmy się pacjentami, my naprawdę przejmowaliśmy się ich losem. Ja już wtedy wiedziałem, że chcę zostać duchownym. A jeśli chce się leczyć chore dusze, nie ma lepszego miejsca niż szpital dla umysłowo chorych. Pierwsze, czego się nauczyłem, to jakie cuda potrafi działać odpowiednie słowo we właściwym momencie. Ale muszę dodać, że to nie było miejsce, gdzie ktokolwiek powinien przebywać dłużej, niż to konieczne, nawet personel. Starsi

sanitariusze, ci z najdłuższym stażem, którzy pracowali tam całymi latami, z czasem sami tracili zmysły. Sami stawali się pacjentami, zapominając, jak wygląda życie poza murami szpitala. Kiedy pracowałem jeszcze na izbie przyjęć, był na oddziale pacjent z brudnym bandażem na nodze. Pierwszej nocy zapytałem mojego przełożonego, dlaczego ma zabandażowaną nogę. Nie miał pojęcia. Nawet nie zauważył, że pacjent ma na nodze bandaż. Poszedłem więc do jego sali i spytałem, czy mogę obejrzeć nogę. Gdy tylko odwinąłem bandaż, z rany trysnął strumień ropy. A chwilę potem na moich oczach, wylały się z niej czerwie. Okazało się, że ropień zrobił mu się na nodze dwa miesiące wcześniej. Lekarz kazał zabandażować nogę i nikt później nie sprawdził rany. Żaden z sanitariuszy. Patrzyli na pacjenta miesiącami, ale tak naprawdę żaden go nie widział. To było okropne. Godne potępienia, ale zdarzały się gorsze rzeczy.

Charlie znów przerwał na moment, widać było, że nie pali się do dokończenia myśli. Zarówno Dodge, jak i Warren słuchali go teraz uważnie. Z miejsca, gdzie siedziałam skulona w samochodzie Dodge'a, mogłam dojrzeć, że śledzą teraz skupieni każde jego słowo. Podobnie jak ja.

Emerytowany pastor wziął głęboki wdech.

— Tak więc pewnej nocy zadzwoniła do mnie pielęgniarka z oddziału dla kobiet. Keri Stracke. Spytała mnie, czy taki a taki jest dzisiaj na dyżurze. Odpowiedziałem, że tak. Spytała, czy jest gdzieś w pobliżu. Obszedłem cały oddział budynku I, ale go nie znalazłem. Powiedziałem jej, że musiał gdzieś wyjść na chwilę, może na obiad. Keri milczy przez moment, a potem bardzo dziwnym głosem prosi, żebym natychmiast do niej przyszedł. Jestem sam na oddziale. Nie mogę tak po prostu sobie wyjść. Próbuję jej to wytłumaczyć, ale ona znów tym samym dziwnym tonem mówi mi, że nie mam wyjścia i podkreśla słowo „natychmiast”. Wtedy zaczynam się

niepokoić. Idę do niej na oddział. Keri czeka na mnie już na dole i bez słowa prowadzi mnie na górę. Zatrzymuje się przed drzwiami do jednej z sal. Patrę przez okienko w drzwiach i widzę mojego kolegę sanitariusza w łóżku z pacjentką. Dziewczyna ma siedemnaście lat, jest ładna i znajduje się w stanie katatonii. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie czułem tak ogromnej pokusy, by skrzywdzić drugiego człowieka.

- I co zrobiliście?- zapytał cicho detektyw Dodge.

- Otwarłem drzwi. Jak tylko Adam usłyszał hałas, popatrzył na mnie. Z jego miny łatwo można było wyczytać, że zdawał sobie

sprawę, że to już koniec. Zszedł z niej, zapiął rozporek i wyszedł z pokoju. Zaprowadziłem go z powrotem do budynku I, do biura, a stamtąd zadzwoniłem do przełożonych. Adam został oczywiście z miejsca zwolniony. Nieważne, jakie historie o molestowaniu pacjentów słyszycie dookoła, takie nadużycia nigdy nie były tolerowane. Adam był skończony i doskonale o tym wiedział.

— Jak miał na nazwisko? - zapytał Dodge.

— Schmidt — westchnął Charlie.

— Złożyliście doniesienie na policję? Charlie pokręcił głową.

— Nie, dyrekcja wołała uciszyć sprawę. Warren znów zmarszczyła brwi.

— Wiesz, co się dalej działo z Adamem?

— Nie bardzo, ale... - znów się na moment zawahał. - Widziałem go potem jeszcze kilka razy na terenie szpitala. Dwa razy z daleka, ale jestem pewien, że to był on. Za trzecim razem udało mi się go dogonić i zapytać, co do diabła robi. Powiedział, że musiał uporządkować jakieś papiery. Biorąc pod uwagę fakt, że była dziesiąta wieczorem, nie trzymało się to kupy. Na drugi dzień zapytałem więc o to Jill Cochran, ale ona też nic nie wiedziała o żadnych porządkach w papierach.

Mieliśmy jeszcze jakiś czas oko na pacjentki. Nie nagłaśnialiśmy tej sprawy, ale mieliśmy oczy i uszy otwarte. Nie widziałem już potem Adama, ale teren szpitala jest przecież ogromny. Dodge zmarszczył czoło.

— Czy patrolowaliście czasem teren, staraliście się jakoś na własną rękę poprawić bezpieczeństwo?

— Zamykaliśmy bramę na noc. Oddziały nie zostawały bez opieki ani na moment. Ale... we wczesnych godzinach rannych. Sanitariusze, tacy jak ja, rzadko patrolowali teren. Musieliśmy się zajmować pacjentami, zazwyczaj byliśmy w swoich gabinetach — Charlie wzruszył ramionami. - Całkiem możliwe, że ktoś wchodził na teren szpitala i z niego wychodził, a my niczego nie zauważyliśmy. Takie przypadki miały miejsce wcześniej.

— Wcześniej? - zapytała ostro Warren.

— Na terenie szpitala dokonano morderstwa, w połowie lat siedemdziesiątych zamordowano tu pielęgniarkę. Z tego co wiem, jeden z sanitariuszy wyjrzał rano przez okno budynku izby przyjęć i zauważył ciało. Ingrid, Inga... Inge. Inge Lovell, chyba tak się nazywała. Została zgwałcona i skatowana na śmierć. Straszna, straszna tragedia. Wezwano policję, ale nie było żadnych świadków, żaden z sanitariuszy nic nie widział.

Warren przytakiwała. Najwyraźniej przywołała w pamięci tę sprawę.

— Nikogo nie aresztowano - dopowiedziała.

— Plotka głosiła, że zrobił to jeden z pacjentów - dodał Charlie. - Właściwie większość uważała, że był to Christopher Eola. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Eola został przyjęty, kiedy nie pracowałem już jako sanitariusz. Natknąłem się na niego raz albo dwa, kiedy przychodziłem w niedziele. Przeróżający gość. Taki świr, na którego widok ciarki przechodziły po plecach.

Dodge kartkował swój notatnik.

- Eola, Eola, Eola.

— Gorąca linia — podpowiedziała Warren. Charlie przechylił głowę na bok.

— Chcecie same suche fakty czy wersję doprawioną plotkami?

— Chcielibyśmy usłyszeć wszystko - odparła Warren.

— Eola trafił do nas jako młody mężczyzna. Oddali go rodzice, przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Podrzucili go do szpitala i tak szybko odjechali do swojej posiadłości, że prawie się za nimi kurzyło. Plotka głosiła, że między Eolą a jego młodszą siostrą doszło do jakichś niezdrowych kontaktów. Rodzice przyłapali ich, kiedy byli razem, i już. Papa, Christopher. Eola był ładniutkim dzieciakiem. Ciemny blondyn, niebieskie oczy. Drobny. Może metr osiemdziesiąt, ale szczupłutki, o bardziej kobiecej budowie. Można by nawet powiedzieć zniewieściały, dlatego też początkowo żaden z sanitariuszy nie przypuszczał, że może stanowić zagrożenie. Był też inteligentny. Bardzo towarzyski. Można by przypuszczać, że ktoś z jego pochodzeniem będzie zadzierał nosa i trzymał się na uboczu, ale Eola lubił przebywać w świetlicy, puszczał wtedy muzykę innym pacjentom, czytał. A co najważniejsze, skręcał papierosy. Wiem, że w dzisiejszych czasach nikt nie będzie uważał tej umiejętności za godną pochwały, ale wtedy palili niemal wszyscy, lekarze, pielęgniarki, pacjenci. W zasadzie poczęstowanie pacjenta papierosem było najlepszą gwarancją owocnej współpracy. Niestety, tak to wtedy wyglądało. Większość papierosów trzeba było skręcać samemu, a dla pacjentów, u których silne leki uszkadzały zdolności motoryczne, był to niemały problem. Tak więc Christopher pomagał im. Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, zajęty był właśnie skręcaniem papierosów. Z uśmiechem na twarzy

nabijał tytoniem bibułki dla ustawionej w kolejce grupy pacjentów. To zabawne, bo już wtedy, jak tylko spojrzał na mnie, wiedziałem, że go nie polubię. Wiedziałem, że będą z nim kłopoty. To było widać po oczach. Oczach drapieżnika. — Co Eola takiego zrobił? - wtrącił Bobby. - Dlaczego uważano go za takie zagrożenie?

— Rozpracował system.

Podniosłam się odrobinę. Nic nie mogłam na to poradzić. Siedząc na przednim siedzeniu samochodu z uchem przyklejonym do uchylonej szyby, miałam dziwne wrażenie déjà vu, tak jakby podobna sytuacja miała już kiedyś miejsce, jakby kiedyś dawno temu ojciec opowiadał mi już o groźnym typie, Christopherze Eoli, a ja skrzętnie notowałam jego przestrogi. Poczułam dreszcze.

— System? — powtórzył Dodge.

— Godziny, zmiany dyżurów, przerwy obiadowe. A co ważniejsze, leki. Przed śmiercią biednej Inge nikt z personelu jakoś się w tym nie połapał. Ale im więcej pytań zadawała góra, tym dziwniejsze fakty wychodziły na światło dzienne. Okazało się, że niektórym z sanitariuszy zdarzało się zasnąć podczas dyżuru.

I wcale nie chodziło o jakieś odosobnione przypadki. Bywało, że kilku zasypiało naraz. Fakt ten bardzo irytował oddziałową. Pewnego wieczoru przeprowadziła więc niezapowiedzianą kontrolę. Zastała Eolę w jednym z gabinetów, jak dosypywał coś do obiadu jednego z sanitariuszy. Podniósł głowę, popatrzył na nią i nagle się uśmiechnął. W tym spojrzeniu było coś przerażającego, Jill wiedziała, że już po niej. Chwyciła klamkę i czym prędzej zatrzęsnęła drzwiami, chcąc uwięzić Eolę w środku. Próbował z nią pertraktować. Tłumaczył, że przesadza, przysięgał, że może wszystko wytłumaczyć. Jill zapała się mocniej, ale i Eola z impetem począł napierać na drzwi, wyjąc przy tym

wściekle niczym zwierzę. Gdyby był większej postury, pewnie udałoby mu się wydostać, ale jak już wspominałam, Eola był typem intelektualisty, nie mięśniaka. Jill udało się utrzymać go w zamknięciu przez piętnaście minut do momentu, aż zjawił się jeden z sanitariuszy i razem zaaplikowali mu pentotal sodu. Później okazało się, że Eola zabierał innym pacjentom tabletki chloropromazyny i sproszkowane dodawał do jedzenia sanitariuszy. Co więcej, namawiał pacjentów do odgrywania zainscenizowanych kłótni. Kiedy sanitariusze pędzili zażegnać kłopoty, on wślizgiwał się do gabinetów i robił swoje. Oczywiście do niczego się nigdy nie przyznał. Ilekroć go o to pytano, tylko się uśmiechał.

Warren i Dodge znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Wygląda na to, że nie brakowało mu okazji do samotnego wałęsania się po terenie szpitala.

- Wygląda na to, że nie.

- A w którym to było roku?

- Eolę przyjęto w siedemdziesiątym czwartym.

- Ile miał wtedy lat?

- Wydaje mi się, że dwadzieścia.

- Co się z nim w końcu stało?

- W końcu dał się złapać.

— Na czym?

- Na namawianiu pacjentów do buntu. Udało mu się zarekwirować skórzaną matę z izolatki. Potem namówił część pacjentów, żeby stworzyli pozory jakiegoś konfliktu. Kiedy na miejsce przybył sanitariusz, zaatakowali go skórzaną matą. Stracił przytomność. Ale Eola trochę się przeliczył. Leżał wtedy na oddziale pewien pacjent, Rob George. Były mistrz wagi ciężkiej. Pierwsze dwa lata spędził w szpital w stanie katatonicznym. Ale zaledwie trzy dni wcześniej sam

przeszedł cały odcinek ze swojej sali do świetlicy. Sanitariusz bez trudu położył go potem do łóżka, a już godzinę później zastał go w pozycji siedzącej. Bez dwóch zdań, wracał powoli do świata żywych. Tej nocy, podczas buntu pacjentów cały personel uwijał się jak w ukropie. I to zamieszanie wyciągnęło zapewne naszego mistrza boksu z łóżka. Rob pojawił się nagle na środku świetlicy. Zauważył sanitariusza nieprzytomnego na ziemi. Potem popatrzył na Christophera, szczerzącego zęby w uśmiechu. „Gościu, mam dobre wieści”, zdążył powiedzieć Eola, zanim potężny lewy sierpowy powalił go na ziemię. George wrócił do łóżka, jak gdyby nigdy nic. Jeden z pacjentów zszedł na dół do gabinetu i chwycił za telefon. Bez Eoli, nieprzytomnego na podłodze, reszta nie bardzo wiedziała, co dalej robić. Do akcji wkroczyła reszta sanitariuszy, szybko opanowując sytuację. Następnego ranka Rob obudził się i zapytał o swoją matkę. Sześć tygodni później został wypisany ze szpitala. Twierdził, że nic nie pamięta z wydarzeń tamtej nocy. Z tego co mówili mi lekarze, pierwsze odruchy pacjenta, który ocknie się ze stanu katatonii są automatyczne, to odruchowe, wyuczone działania mięśni. Jak siadanie. Jak wstawanie. Albo chodzenie. Albo, jeśli byłeś kiedyś bokserem, potężny lewy sierpowy.

— A co zatem stało się z Christopherem?

— Inni pacjenci donieśli na niego, a że były już wcześniej podobne incydenty, dyrekcja zdecydowała się przenieść go do szpitala dla umysłowo chorych przestępców w Bridgewater. Nigdy więcej o nim nie słyszałem. Ale szpital Bridgewater miał to do siebie. Nasz szpital — mówił dalej Charlie, wskazując na teren, na którym stali - był placówką leczniczą. Bridgewater... Jeśli kogoś tam zamykali, nie było co się łudzić, że kiedykolwiek stamtąd wyjdzie.

Sierżant Warren znów zmarszczyła brwi.

— Urocze — skomentowała. Charlie wzruszył ramionami.

— Tak bywa.

— Ale mógł zostać wypisany - drażył temat Bobby. - Pod koniec lat siedemdziesiątych dramatycznie zmalała liczba pacjentów. Zamknięto wiele szpitali, nie tylko szpital psychiatryczny w Bostonie.

Charlie potakiwał głową.

— Prawda, prawda. Według mnie to straszna szkoda. — Podniósł głowę. — Wiecie, co mnie trzymało w tym miejscu? Pracowałem tu cztery lata, a przychodziłem przez kolejne sześć.

Opowiedziałem wam wszystkie przerażające historie, opowieści, które ludzie z reguły oczekują usłyszeć o szpitalu psychiatrycznym. Ale prawda jest taka, że to był dobry szpital. Mieliśmy pacjentów takich jak Rob George, którzy przy odpowiednim leczeniu wychodzili ze stanu katatonii i wracali do swoich bliskich. Drugim facetem, który prawie mnie zabił, był dzieciak o imieniu Benji. Policja zwinęła go z ulicy i przywiozła wprost do nas. Przez pierwszy tydzień trzymaliśmy Benjiego w izolatce. Siedział tam golusieńki i smarował ściany i całego siebie własnymi odchodami. Widać było jedynie białe gałki oczne niebezpiecznie świecące na tle zabrudzonego ciała. Pewnego dnia, kiedy się nim zajmowałem, wskoczył mi na plecy i prawie mnie udusił, zanim inny sanitariusz go odciągnął. Ale wiecie co? Okazało się, że to dobry chłopiec. Lekarze nazywają to regresem. Jakiś rodzaj traumy spowodował, że wrócił do stanu emocjonalnego dwulatka, dlatego nie mówił, nie jadł sam, nie korzystał z toalety, nie umiał się sam ubrać. Ale jak tylko zaczęliśmy go traktować jak dwulatka, zaczął robić postępy. Przychodziłem w niedziele poczytać mu bajki dla dzieci, pograć w dziecięce gry. Z czasem leczenie i ludzka życzliwość przyniosły

pożądane efekty. Benji zaczął na naszych oczach dorastać. Zaczął nosić ubrania, używać toalety, jeść sztuccami, mówić proszę i dziękuję. Dwa lata później szło mu tak dobrze, że ktoś z personelu załatwił mu naukę w elitarnej szkole Boston Latin. Za dnia uczył się w szkole, na noc wracał do swojego szpitalnego pokoju. Potrafił się uczyć w kompletnym chaosie, który panował na świetlicy. W końcu zdał maturę, dostał pracę i usamodzielniał się. A wszystko to dzięki temu szpitalowi. - Charlie ze smutkiem pokręcił głową. - Ludzie myślą, że szpitale zamyka się, bo zakończyły już swoją misję. Tylko co z trzema tysiącami pacjentów, których nasz szpital miał pod opieką? Naprawdę myślicie, że wszystkich ich udało nam się po prostu wyleczyć? Chorzy psychicznie zniknęli po prostu sprzed naszych oczu, przenosząc się do schronisk dla bezdomnych i miejskich parków, żeby ulżyć kieszeni podatników. To praktyka wołająca o pomstę do nieba. Charlie westchnął i raz jeszcze pokręcił głową. Minęła chwila. Wyprostował się i pokazał swoje notatki.

- Naszkicowałem mapę dawnych budynków - wyjaśnił — żebyście wiedzieli, jak tu wyglądało, zanim zaczęto rozbiórkę. Nie wiem, czy wam to pomoże w śledztwie, czy nie, ale grób wygląda ponoć na stary. Jeśli jest rzeczywiście stary, powinno wam to pomóc umieścić miejsce zbrodni we właściwym otoczeniu.

Warren wzięła od niego kawałek papieru, studiując go uważnie.

- Świetnie, Charlie, bardzo nam to pomoże. I doceniam, że poświęciłeś swój czas na rozmowę z nami. Jesteś prawdziwym dżentelmenem.

Dodge wziął namiary do Charliego Marvina i spotkanie najwyraźniej dobiegło końca.

Kiedy policjant odprowadzał Charliego, dosłownie w ostatniej chwili starszy pan popatrzył w moim kierunku. Chcąc

pod-
słuchać jak najwięcej, siedziałam teraz wysoko z uchem przy-
klejonym do uchylonej szyby.

Kiedy tylko mnie zauważył, zapytał: - Przepraszam panią,
czy my się nie znamy?

Detektyw Dodge natychmiast stanął między nami.

- To jedna z osób pomagających nam w śledztwie - wy-
mamrotał, kierując emerytowanego pastora z powrotem do
wozu policyjnego. Charlie odwrócił się. Zniżyłam się szybko,
zamykając szybę. Nie rozpoznałam Charliego Marvinina. A
więc dlaczego jemu wydawało się, że się znamy?

Wóz policyjny odjechał.

Ale moje serce w dalszym ciągu biło w piersi jak oszalałe.

ROZDZIAŁ 15

OBOJE MILCZELI W DRODZE powrotnej do North End. Anna-belle przyklejona do bocznej szyby bawiła się wisiorkiem, Bobby skupiony na drodze stukał palcami po kierownicy.

Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale żaden ze standardowych tekstów „Nie przejmuj się. Jutro spojrzysz na wszystko w innym świetle. Życie toczy się dalej” nie wydawał się odpowiedni.

Wiedział, że to te same kity, które ludzie chcieli mu wcisnąć tuż po strzelaninie. Zdecydował więc, że lepiej będzie po prostu pomilczeć. Życie Annabelle było rzeczywiście do dupy, a miał przeczucie, że może być tylko gorzej. Zwłaszcza gdy spotka się twarzą w twarz z Catherine Gagnon.

Pierwszy raz wspomniał przy Catherine imię Annabelle z czystej ciekawości, żeby się przekonać, czy jej reakcja będzie podobna do reakcji Annabelle. Tej bowiem imię Catherine zupełnie nic nie mówiło. Okazało się, że żadna z kobiet nie kojarzyła drugiej.

A jednak obie stały się celem dewiantów, którzy lubili podziemne kryjówki. Ich podobieństwo w wyglądzie również było niezaprzeczone. I obie mieszkały w okolicach Bostonu na początku lat osiemdziesiątych.

Bobby zaczynał wierzyć, chciał wierzyć, że te podobieństwa nie są przypadkowe.

Zresztą ktoś wyżej musiał mieć podobne podejrzania, skoro udzielono im zgody na wyjazd do Arizony. Chcieli doprowadzić do spotkania obu kobiet z nadzieją, że gdy znajdą się w jednym pomieszczeniu, komuś wreszcie zaświta w głowie jakieś sensowne wyjaśnienie. Czynniki wiążące obie sprawy. Wspólny mianownik. Objawienie, które z bostońskich policjantów zrobi su-perbohaterów i zapewni wszystkim zasłużony odpoczynek.

Do tej pory Bobby był przekonany, że doprowadzenie do spotkania obu kobiet będzie strzałem w dziesiątkę. Teraz już nie był tego taki pewien. Za dużo pytań wciąż kotłowało mu się w głowie. Dlaczego rodzina Annabelle, nawet po opuszczeniu Massachusetts, w dalszym ciągu uciekała? W jaki sposób mieszkająca w Arlington Annabelle mogła stać się celem sprawcy, jeśli działał on wtedy na terenie szpitala w Mattapan? I wreszcie w jaki sposób dawny wolontariusz ze szpitala mógł rozpoznać

Annabelle, skoro, jak sama twierdziła, jej stopa nigdy nie stała na terenie szpitala?

Bobby głośno wypuścił powietrze, podrapał się po karku. Zastanawiał się, kiedy nadejdzie ta chwila, gdy dla odmiany zacznie zamiast nowych pytań znajdować jakieś odpowiedzi. Zastanawiał się, jak uda mu się wykonać wszystkie telefony w ciągu dwóch godzin do kolejnej narady, jeśli tak naprawdę potrzebowałby na nie co najmniej dwunastu.

Zaczął też na powrót myśleć, czy aby na pewno nie powinien powiedzieć czegoś krzepiącego zgaszonej kobiecie siedzącej obok.

W dalszym ciągu nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Z rękami na kierownicy prowadził więc dalej w ciszy. Zbliżał się wieczór. Zapadający zmrok budził miasto do nocnego życia. Przed nimi ciągnęła się droga 93, migająca czerwonymi światłami stopu wstęga wijąca się pośród

błyszczących na tle ciemnego nieba wieżowców. Wielu twierdziło, że krajobraz Bostonu jest najbardziej urzekający właśnie nocą, ale Bobby, który mieszkał tu od urodzenia, i niejedną nocną służbę spędził za kółkiem, przemierzając miasto wzdłuż i wszerz, nie znajdował dla tych przekonań żadnego uzasadnienia. Cóż pięknego mogło być w oświetlonych wieżowcach? On wieczorną porą marzył tylko o jednym, o powrocie do domu.

- Stracił pan kiedyś kogoś bliskiego? — spytała nagle Anabelle. - Członka rodziny, przyjaciela?

- Matkę i brata. Bardzo dawno temu - odpowiedział po chwili.

- O przepraszam... Nie miałam zamiaru... to smutne.

- Nie, źle mnie pani zrozumiała, oni żyją. Moja matka odeszła, kiedy miałem sześć czy siedem lat. Mój brat wytrzymał jeszcze osiem lat i poszedł w jej ślady. — Tak po prostu odeszli?

- Mój ojciec miał problemy z alkoholem. - Och.

Bobby wzruszył ramionami.

- Wybór był w tamtych okolicznościach dosyć prosty. kuować się albo kopać sobie grób. Na usprawiedliwienie mają tylko chęć przeżycia.

- Ale pan został?

- Byłem za mały — stwierdził rzeczowo. — Miałem za krótkie nogi.

Zmrużyła oczy zasmucona.

- A co się dzieje teraz z pańskim ojcem?

- Już od dziesięciu lat nie pije. To była dla niego ciężko przeprawa, ale jakoś trzyma kurs.

- To świetnie.

- Jestem z niego dumny.

Popatrzył na nią i po raz pierwszy udało im się na tych kilka

sekund, na które pozwalało prowadzenie samochodu, nawiązać kontakt wzrokowy. Po chwili, sam nie wiedząc dlaczego, dodał:

- Ja też nie do końca radzę sobie z alkoholem. Dlatego doskonale wiem, jakie to musiało być dla niego ciężkie.

- Och - powtórzyła. Skinął tylko głową. To „och” świetnie podsumowywało jego całe dotychczasowe życie. Zabił człowieka, zaangażował się w związek z wdową po ofierze, uświadomił sobie, że jest alkoholikiem, schrzanił własną karierę w policji, a wszystko to w ciągu zaledwie dwóch lat. Nie dało się tego inaczej skomentować, jak krótkim „och”.

- Ciągłe pan za nimi tęskni? - spytała Annabelle. - Myśli o nich cały czas? Bo ja tak naprawdę nie myślałam o Dori przez dwadzieścia pięć lat. A teraz zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się o niej zapomnieć.

— Jeśli myślę o nich czasami, to w zupełnie inny sposób niż kiedyś. Czasami przez całe tygodnie, nawet miesiąc nie myślę o nich wcale. A potem nagle coś się wydarzy... wie pani, na przykład Red Soksi zdobędą mistrzostwo, i zaczynam się zastanawiać, co robi teraz George. Czy siedzi gdzieś w barze i kibicuje swojej dawnej drużynie? A może opuszczając nas, opuścił też Red Soksów? Może kibicuje teraz Marlinsom. Tego nie wiem. Potem mam mętlik w głowie przez kilka dni. Wpatruję się w lustro, zastanawiając się, czy George'owi robią się takie same zmarszczki wokół oczu jak mnie. A może jest tłustym agentem ubezpieczeniowym z pokaźnym mięśniem piwnym i podwójnym podbródkiem? Nawet nie potrafię go sobie wyobrazić jako mężczyzny. Dręcę się tym. Czasami mam wrażenie, że umarł.

— Dzwonił pan do niego?

— Zostawiałem wiadomości.

— Nie oddzwania? — zapytała, nie dowierzając.

— Do tej pory nie.

— A pańska matka?

— To samo.

— Ale dlaczego? To nie ma sensu. Przecież to nie pańska wina, że ojciec był pijakiem. Czemu pana o to obwiniają? Musiał się uśmiechnąć.

— Jest pani miła. Spochmurniała.

— Wcale nie jestem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Potem westchnął ciężko. Dziwnie rozmawiało mu się o swojej rodzinie, ale rozmowa nie sprawiała mu bólu. Od czasów strzelaniny myślał o nich zdecydowanie częściej. I zostawiał więcej wiadomości.

— A więc poszedłem do tego psychiatry parę lat temu - odezwał się po chwili. — To było polecenie służbowe. Wymóg dla każdego z policjantów, którzy znaleźli się w krytycznej sytuacji.

— Zabił pan Jimmy ego Gagnona - stwierdziła rzeczowym tonem Annabelle.

— Widzę, że sporo pani szperała w Internecie.

— Sypiał pan z Catherine Gagnon?

— Widzę, że rozmawiała pani z D.D.

— A więc coś was jednak łączyło?- Annabelle była szczerze zdziwiona. Najwidoczniej podpuszczała go tylko na ślepo, a on złapał przynętę.

— Nigdy nawet nie pocałowałem Catherine Gagnon - rzekł stanowczo.

— Ale pozew...

— Został natychmiast oddalony.

— Ale dopiero po strzelaninie w hotelu.

— Oddalony znaczy oddalony.

— Widać, że sierżant Warren jej nienawidzi — stwierdziła Annabelle.

— D.D. nigdy się do niej nie przekona,

— Sypia pan z D.D.?

— A więc — odpowiedział głośno — zrobiłem, co do mnie należało. Zastrzeliłem uzbrojonego osobnika, który celował z broni do swojej żony i dziecka. A wydział wysłał mnie do psychiatry. Zna pani pewnie starą śpiewkę każdego psychiatry,

zawsze chcą najpierw rozmawiać o twojej matce. Pani doktor nie była wyjątkiem, pytała głównie o matkę.

- Dobra, jak pan chce, możemy porozmawiać o pana matce.

— Dobry pomysł. Trzymajmy się na razie jednego obnażającego duszę tematu. Im więcej czasu mijało od ich ucieczki, tym mocniej wmawiałem sobie, że to moja wina. Psychiatra uświadomił mi jedną istotną rzecz. Cała nasza trójka była świadkami pewnych traumatycznych wydarzeń. Ja czułem się winny, że oni musieli uciekać. Może oni czuli się winni, że musieli mnie zostawić.

Annabelle pokiwała głową, bawiąc się łańcuszkiem.

— To ma sens. I co zamierza pan z tym zrobić?

— „Boże, daj mi pogodę ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagę, abym zmienił to, co mogę zmienić i mądrość, abym odróżniał jedno od drugiego”.* Moja matka i brat to jedne z tych rzeczy, których nie mogę zmienić, dlatego muszę odpuścić.

Z daleka widać było już zjazd. Bobby włączył kierunkowskaz i zmienił pas.

— A co ze strzelaniną? Jak niby ma pan sobie z tym poradzić?

- Śpiąc po osiem godzin, zdrowo się odżywiając, pijąc mnóstwo wody i ćwicząc.

- I co, działa?

- Nie wiem. Pierwszej nocy poszedłem do baru i chlałem do nieprzytomności. Powiedzmy, że jeszcze nie doszedłem do perfekcji, ale pracuję nad tym.

Uśmiechnęła się w końcu.

- To tak jak ja - odpowiedziała cicho. - Tak jak ja. Pod jej blok

zajechali w milczeniu. Chwyciła za klamkę.

- O której rano wyruszamy? - spytała głosem, w którym zamiast pewności siebie słyszeć było jedynie zmęczenie.

** Fragment tzw. „modlitwy o Pogodę Ducha” odmawianej na spotkaniach grup AA.*

- Przyjadę po panią o dziesiątej.

- W porządku.

- Niech pani weźmie rzeczy na jedną noc. My wszystko załatwimy. Ach, Annabelle, jeszcze jedno, do odprawy potrzebny będzie pani ważny dokument ze zdjęciem.

- Żaden problem.

Zdziwił się, ale nie drążył tematu.

- Nie będzie tak źle. Niech pani nie wierzy we wszystko, co wypisuje prasa. Catherine to kobieta jak każda inna. A my chcemy tylko, żebyście porozmawiały.

- Rozumiem - odparła Annabelle, wysiadając z auta. Zanim poszła w stronę budynku, odwróciła się jeszcze do Bobby'ego.

- Na początku - zaczęła cicho - kiedy odczytałam w gazecie informacje o własnej śmierci, ulżyło mi. Mogłam przestać się wreszcie przejmować jakimś cieniem nieustannie podążającym moim tropem. Byłam też odrobinę tym faktem oszołomiona.

Przerwała, wzięła głęboki oddech, potem popatrzyła Bobby'emu prosto w oczy.

- Ale to nie jest pewnie tak, jak myślę. Pan i sierżant Warren nie jesteście jedynymi osobami, które wiedzą, że to nie moje ciało było w tym grobie. Zabójca Dori zdaje sobie przecież sprawę, że porwał moją najlepszą przyjaciółkę, a nie mnie. Wie, że ciągle żyję.

- Minęło dwadzieścia pięć lat...

- Nie jestem już małą bezsilną dziewczynką — dopowiadała.

- Nie, nie jest pani. No i nie wiemy, czy on w jakikolwiek sposób jeszcze działa. Jego kryjówka wyglądała na opuszczoną. Może skazano go za jakąś inną zbrodnię, a może wyświadczył światu przysługę i już dawno zmarł. Nie wiemy tego. Jeszcze nie.

- A może nie przestał. Może się przenośli z miejsca na miejsce. Moja rodzina ciągle uciekała, może właśnie dlatego, że ktoś ciągle deptał nam po piętach.

Bobby nie znalazł na to żadnej sensownej odpowiedzi. Na tym etapie wszystko było możliwe.

Annabelle zatrzasnęła drzwi samochodu. Bobby otworzył szybę, by móc swobodnie obserwować, jak otwiera kluczem drzwi. Może ogarniała go już lekka paranoja, bo wzrokiem lustrował całą ulicę, szukając tajemniczej postaci skrytej gdzieś w cieniu. Patrzył, jak drzwi wejściowe się za nią zamykają i jak przymierza się do otwarcia drzwi prowadzących na schody. I te drzwi zamknęły się za nią, a Bobby zdołał jeszcze dojrzeć tył jej pleców, gdy wchodziła po schodach.

ROZDZIAŁ 16

BOBBY ZNÓW SPÓŹNIŁ SIĘ NA ODPRAWĘ. Tym razem nie miał ze sobą ciasteczek, ale skupieni na słowach Sinkusa detektywi nawet nie zwrócili na to uwagi. Sinkus, zgodnie z planem, spotkał się z George'em Robbardsem, pracownikiem administracyjnym 3 posterunku, który pracował w Mattapan w latach 1972-1989. Robbards miał najwyraźniej dużo do powiedzenia na temat ich ulubionego podejrzanego, Christophera Eoli.

— Znaleziona pielęgniarka została zakneblowana poduszką pochodzącą ze szpitalnego magazynu. Z raportu koronera wynika, że przed śmiercią została dotkliwie pobita, a bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie. Początkowo śledczy skupili się na byłym chłopaku Lovell (rozstali się niedługo wcześniej) i na kilku członkach personelu szpitalnego. Wyszli z założenia, że żaden z pacjentów nie miał szans zniknąć na tak długo niepostrzeżenie. Co więcej, w kręgu podejrzanych powinni się byli znaleźć przede wszystkim ci pacjenci, względem których podjęte były najwyższe środki bezpieczeństwa, a ci, według zarządców szpitala, byli nafaszerowani tak silnymi lekami, że nie mieli szans podjąć tak skomplikowanych działań. Byłego chłopaka szybko wykluczono z kręgu podejrzanych, miał alibi na tamtą noc. Przesłuchano trzech pracowników szpitala, ale jedyne,

co wnieśli do śledztwa, to powtarzające się nazwisko Chrisophera Eoli. Ilekroć pytano ich o pacjentów, każdy mówił w końcu, że żaden z chorych nie mógł dopuścić się podobnego czynu... może oprócz Eoli. Śledztwo prowadził detektyw Moss Williams. Osobiście przesłuchał Eolę cztery razy. Później powiedział Rob-bardsowi, że już po pięciu minutach rozmowy był pewien, że to on odpowiada za śmierć pielęgniarki. Sam nie wiedział, skąd mu się brało to przekonanie, wątpił, czy kiedykolwiek uda im się to udowodnić, ale przyznał, że nie miał najmniejszych wątpliwości, że to Eola zamordował Inge Lovell. Był gotów założyć się o własną odznakę. Niestety, jego przekonanie i nieliczne poszlaki nie wystarczyły. Nie było podstaw do postawienia zarzutów. Nikt nic nie widział, Eola do niczego się nie przyznał, nie mieli też żadnych dowodów rzeczowych. Jedyne, co Williams mógł zrobić, to poradzić personelowi, by mieli na niego jeszcze większe baczenie. Wkrótce potem Eola zainicjował bunt pacjentów w budynku I i w końcu został przeniesiony do Bridgewater. Williams dowiedział się o tym dopiero po roku i strasznie się wściekł. Zgodnie z tym, co mówił Robbards, Williams liczył na to, że mogą użyć groźby przeniesienia do Bridgewater jako karty przetargowej. Zmusić Eolę do współpracy, wyjaśnić sprawę morderstwa, żeby chociaż rodzina zmarłej pielęgniarki zaznała odrobiny spokoju. Ale cóż, nie było na to szans. Najwidoczniej Bostoński Szpital Psychiatryczny miał swoje sposoby na zamknięcie sprawy, bez rozdmuchiwania szczegółów na forum publicznym. Sinkus odchrząknął, odkładając swój raport i przybierając pełną wyczekiwania pozę. Większość zgromadzonych detektywów sprawiała wrażenie zamyślonych.

- Nie rozumiem - odezwał się McGahagin. Wyglądało na to, że odstawił na jakiś czas kawę, co słychać było w głosie, ale

nie przekładało się na wciąż bladą twarz człowieka, który zbyt dużo czasu spędził w świetle jarzeniówek. — Naprawdę bierzemy

pod uwagę możliwość, że zrobił to jeden z pacjentów szpitala? Zgadzam się, że powinniśmy zrobić rozpoznanie wśród miejscowych świrów, ale jak sam mówiłeś, pacjenci, którzy mieli na koncie jakieś akty przemocy, byli, przynajmniej w teorii, zamknięci. A nawet jeśli któremuś udało się wydostać na zewnątrz, w jaki sposób porwał nie jedną, ale sześć dziewczynek? A potem niepostrzeżenie wrócił na oddział. A co z przygotowaniem kryjówki, z przesiadywaniem w niej? I nikt niczego nie zauważył?

— Może nie był już wtedy pacjentem — odpowiedział Sinkus. — Robbards powiedział mi jeszcze jedną ciekawą rzecz. Na początku lat osiemdziesiątych zauważył jeszcze jedno niepokojące zjawisko: ginące zwierzęta domowe. Naprawdę mnóstwo ginących zwierząt. Na przedmieściach, kiedy zaginie jakiś Azor czy Ciapek, wszyscy podejrzewają, że w okolicy grasują kojoty. Ale nikt chyba nie uwierzy w obecność tych drapieżników w samym środku miasta, w Mattapan. Nawet jeśli ten teren ma kilka akrów.

- Jak to w takim razie wytłumaczysz? - naciskała D.D. Sinkus wzruszył ramionami.

- Wszyscy dobrze wiemy, że niektórzy z morderców zaczynają właśnie od zwierząt. I Robbardsa zawsze zastanawiał fakt, że zwierzęta zaczęły ginąć dokładnie po tym, jak na dobre zamknięto szpital. To każe głębiej się nad tym zastanowić. A co stało się z tymi wszystkimi pacjentami po zamknięciu szpitala? Nagle cudownie ozdrowieli? Coraz bardziej skłaniam się ku teorii, że szukamy byłego pacjenta Bostońskiego Szpitala Psychiatrycznego. A jeśli skupimy się na byłych pacjentach, to Eolę pierwszego powinniśmy wziąć pod lupę. Z tego co już wiemy, jest przebiegły, zaradny i już

raz morderstwo Inge Lo-vell uszło mu płazem.

- W porządku - odpowiedziała D.D., rozkładając ręce. -

Przekonałeś mnie. To gdzie podziewa się obecnie Eola?

- Nie wiem. Zostawiłem wiadomość zastępcy szpitala w Bridgewater. Czekam, aż oddzwoni.

D.D. zastanowiła się.

— Spotkaj się z nim osobiście. Nie pierwszy raz dzisiaj słyszę nazwisko Eola.

D.D. zdała krótkie sprawozdanie z ich dzisiejszej rozmowy z Charliem Marvinem. Podzieliła się obawami pastora dotyczącymi osoby Christophera Eoli, jak również Adama Schmidta. Potem biorąc głęboki wdech, wspomniała pojawienie się Annabelle Granger.

Wśród siedzących do tej pory w zupełnym milczeniu detektywów w ciągu sekundy zapanowało ogromne poruszenie.

— No proszę, proszę - głos Mcgahagina zdołał się przebić przez panującą wrzawę. — A więc mamy świadka.

— Może to za mocne słowo, prawda, Bobby? — odwróciła się z gracją w stronę Bobby ego, ani na moment nie uciekając wzrokiem, tak jakby nie miała powodów czuć się winną za zwalenie na jego barki całej serii wyjaśnień.

Odpowiedział jej dużo ostrzejszym spojrzeniem i uśmiechem z serii wielkie-dzięki-droga-mentorko, a potem podjął katorżniczą próbę podsumowania trzech dni trzymanyh w ścisłej tajemnicy działań w trzech zgrabnych punktach, które mogły coś wniesć do śledztwa.

Punkt pierwszy: Annabelle Granger żyje, a szczątki znalezione w grobowcu według wszelkiego prawdopodobieństwa należą do jej najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, Dori Petracelli.

Punkt drugi: to zawęży im granice czasowe do jesieni 1982 roku, kiedy to według raportów policyjnych niezidentyfikowany biały mężczyzna śledził siedmioletnią

Annabelle, a potem po jej wyjeździe na Florydę najprawdopodobniej porwał Dori zamiast niej.

Punkt trzeci: jeszcze taki jeden, mały, nieistotny szczegół.

Annabelle wyglądała przypadkiem kropka w kropkę jak inna dziewczyna, Catherine Gagnon, którą porwano i która również była przetrzymywana w podziemnej kryjówce dwa lata przed

zaginięciem Dori. Oprawca Catherine, Richard Umbrio, na początku roku 1982 był już na pewno za kratkami, co znaczy, że nie mógł być zamieszany w sprawę Annabelle.

Bobby przerwał na moment. Wszyscy detektywi gapili się na niego z otwartymi ustami.

— Właśnie tak — dodał. — Mam taki sam mętlik w głowie.

Pierwszy odezwał się detektyw Tony Rock.

— Jasna cholera — oznajmił. Dziś wyglądał zdecydowanie gorzej niż dnia poprzedniego. Nadgodziny czy pogorszenie stanu zdrowia matki?

— Kolejna cenna uwaga. McGahagin zwrócił się do D.D.:

— Zamierzałaś nam w ogóle o tym powiedzieć? Punkt dla McGahagina.

— Zdecydowałam, że najpierw trzeba zweryfikować wersję Annabelle — odparła spokojnie D.D. — Zwłaszcza, że to tylko dodatkowo zagmatwa nam całą sprawę. Ona sama nie miała żadnych dokumentów na poparcie własnej teorii.

Dlatego detektyw

Dodge spędził ostatnie dwadzieścia cztery godziny, potwierdzając prawdziwość wszystkich szczegółów. Dopiero teraz jestem skłonna jej uwierzyć. Niestety, nie jestem ani odrobinę mądrzejsza.

- Mamy nowe szczegóły do opracowania profilu mordercy

- odezwał się Sinkus. - Z całą pewnością szukamy kogoś, kto działa bardzo metodycznie, jego zbrodnie mają charakter rytualny. On nie tylko porywa ofiary, on wcześniej na nie

poluje.

- Co może poniekąd być związane z Richardem Umbrio — pomyślał głośno inny z detektywów. — Czy możemy przesłuchać tego Umbrio?

- Nie żyje - odpowiedział bez wdawania się w szczegóły Bobby.

- Ale mówiłeś, że był za kratkami. - W Walpole.

- Więc może ciągle mają tam jakieś jego osobiste rzeczy. Może korespondencję?

- Warto spróbować.

- A co z Catherine Gagnon? Jakiś związek między nią a Annabelle Granger?

- Nie udało nam się odkryć takowego - odpowiedział Bobby - ale zaaranżowaliśmy spotkanie obu kobiet na jutrzejsze popołudnie. Może kiedy spotkają się twarzą w twarz... — wzruszył ramionami.

Kilku członków grupy operacyjnej przyglądało mu się teraz uważnie. Bezlitosna pamięć do szczegółów kazała im się natychmiast cofnąć dwa lata wstecz, do śmiertelnej strzelaniny, w której z rąk oficera Dodge'a zginął Jimmy Gagnon. Z całą pewnością zbieżność nazwisk nie była przypadkowa.

Ale o nic nie pytali, a i on nic więcej nie dodał.

- Charlie Marvin zobaczył Annabelle na miejscu zbrodni — kontynuowała D.D. — Stwierdził, że wygląda znajomo.

Dogoniłam go, kiedy Annabelle już nie było, i próbowałam wycisnąć z niego coś więcej. Być może już ją gdzieś widział, albo kogoś bardzo do niej podobnego. Żadnych konkretów. Po prostu przez moment wydawało mu się, że gdzieś już ją spotkał, niestety było to jedno z tych ulotnych wrażeń, które mijają tak szybko, jak się pojawiają. Nie wie, czy ten fakt jest istotny, czy też nie. W czasach, gdy zamykano szpital, Annabelle była dzieckiem, a więc jakikolwiek związek pomiędzy nią a miejscem zbrodni...

— Jest mało prawdopodobny — dokończył za nią Sinkus.

— Właśnie.

Wśród detektywów zapadła cisza.

— To na czym stoimy? — McGahagin próbował jakoś podsumować całą naradę.

— Trzeba namierzyć Eolę — zaczął detektyw Sinkus.

— Skończyć raport o zaginionych dziewczynkach — dodała D.D., kierując wzrok na McGahagina. — Zawężając go — dodała już bardziej zamyślona - do lat osiemdziesiąt, osiemdziesiąt dwa. Wiemy, że szpital zamknięto w tysiąc dziewięćset osiem-

dziesiątym. Dzięki detektywowi Sinkusowi wiemy, że wtedy też zaczęły ginąć zwierzęta w Mattapan, co też daje nam dodatkowe informacje na temat tego okresu. Wiemy też, że przynajmniej jeden sprawca wpadł wcześniej na pomysł więzienia dziewczynki w podziemnej kryjówce. Wiemy też, że jesienią osiemdziesiątego drugiego nieznany sprawca śledził dziewczynkę w Arlington i że wkrótce potem czterdzieści kilometrów dalej, w Lawrence, uprowadzono jej najlepszą przyjaciółkę. Mamy powody przypuszczać, że oba te wątki są jakoś powiązane, nawet jeśli chodzi tu tylko o przedział czasowy. A więc zabierajmy się do roboty, musimy to rozpracować. Sinkus, ty zajmiesz się Eolą od momentu, kiedy opuścił Bostoński Szpital Psychiatryczny. Dowiesz się, gdzie się podziewał, co robił. Gdzie jest teraz. McGahagin, twój zespół może dokończyć dokładną listę zaginionych dziewczynek. Chcę, żebyście się skupili na przypadkach z początku lat osiemdziesiątych, wypisali najistotniejsze szczegóły z akt każdej sprawy, zaczęli szukać jakiegoś związku,

podkreślam, jakiegokolwiek, pomiędzy tymi dziewczynkami. Ile macie nazwisk? — Trzynaście.

— W porządku. Zaczniście kopać. Zobaczcie, czy które-

kolwiek nazwiska można połączyć z Mattapan, Christopherem Eolą, Richardem Umbrio lub Annabelle Granger. Chcę wiedzieć, czy którakolwiek z rodzin pamięta, że ich córka otrzymała anonimowe podarunki tuż przed zniknięciem, czy nie przypominają sobie żadnych incydentów z podglądaczami w najbliższym sąsiedztwie, tego typu rzeczy. Zaczniemy od modus operandi prześladowcy Annabelle i sprawdzimy, czy w którejkolwiek ze spraw ten schemat się powieli. Jeśli chodzi o Catherine Gagnon, Bobby i ja lecimy jutro do Arizony, żeby się z nią spotkać osobiście. Co daje Bobby'emu dokładnie — zerknęła na zegarek — dwanaście godzin, żeby znaleźć powiązania między Richardem, Catherine a Annabelle. To by było na tyle, jeśli chodzi o podsumowanie.

D.D. wstała z krzesła, reszta detektywów poszła w jej ślady. Bobby wyszedł za nią, ale nie odezwał się, póki nie znaleźli się sam na sam w zaciszu jej gabinetu.

- Mistrzowsko mnie wrobiłaś - powiedział.

- Poradziłaś sobie bez zarzutu. — D. D. nie należała do osób skłonnych do przeprosin. Nawet teraz zamiast skruchy, na jej twarzy widać było jedynie zniecierpliwienie. — Co? — zapytała.

- Dziś wieczorem przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

- Gratuluję. Jestem zmęczona. Jestem głodna i oddałabym wszystko za prysznic. Mam tymczasem pięć minut do spotkania z zastępcą komendanta, którego będę usilnie przekonywać, że dokonaliśmy ogromnego przełomu w śledztwie, podczas gdy uważam, że dziś rozumiemy z tego wszystkiego jeszcze mniej niż wczoraj. Więc bardzo cię proszę, nie graj ze mną w żadne gierki. Jestem kurewsko zmęczona.

Popatrzył na nią pełen współczucia. Opadła ciężko na krzesło i z grymasem niezadowolenia i spytała ponownie: - Co?

— Annabelle twierdzi, że jej rodzina uciekła w pewne popołudnie jedynie z pięcioma walizkami. Co więc stało się z domem?

— Nie wiem. A co się stało z domem?

— No właśnie. Dwie godziny przesiedziałem nad gazetami z końcówki osiemdziesiątego drugiego i z osiemdziesiątego trzeciego roku. Zastanów się: cały dom, kompletnie umeblowany, opuszczony z dnia na dzień. Należałoby się spodziewać, że zwróci to czyjąś uwagę. Ale nie mogę znaleźć żadnej wzmianki ani w gazetach ani policyjnych aktach.

- I co o tym myślisz?

— Myślę, że dom nie został tak do końca opuszczony. Myślę że ktoś, może Russell Granger, wrócił, żeby się zająć formalnościami.

D.D. ożywiła się.

— Musiał to zrobić dosyć szybko, jeśli nikt niczego nie zauważył — zamyśliła się D.D.

— Zakładam, że w ciągu kilku pierwszych tygodni.

— Czyli dokładnie w czasie, kiedy zniknęła Dori Petra-celli.

— Na to wygląda.

— Sprawdziłeś magazyny, biura nieruchomości?

— Nie znalazłem ani w magazynach, ani w biurach nieruchomości żadnych transakcji na nazwisko Russell Granger.

— To kto był właścicielem domu Annabelle w Arlington?

— Zgodnie z dokumentacją niejaki Gregory Badington.

— Kim jest Gregory Badington? Bobby wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Facet nie żyje, staram się teraz namierzyć najbliższych krewnych.

D. D. zmarszczyła brwi.

— A więc Russell nie był właścicielem domu. Być może wynajmował go. Ale i tak masz rację. Meble, ubrania i cała masa innych rzeczy. Ktoś w jakiś sposób zajął się tym wszyst-

kim - D.D. podniosła ołówek, odbiła gumkę kilka razy o blat biurka. — Masz numer ubezpieczenia społecznego Grangera?

A co z prawem jazdy?

— Sprawdzam w wydziale Komunikacji. Dodzwoniłem się też do byłego przełożonego Grangera z MIT

— Informuj mnie na bieżąco.

— Wypadałoby zająć się jeszcze jednym, zresztą tak jak sugerowałeś.

- To znaczył

— Dobrze by było znać kolejność ofiar. Tak jak powiedziałaś, powoli zawężamy granice czasowe. Myślę, że powinniśmy umieścić każdą z dziewczynek w odpowiednim okresie. To, czy Dori Petracelli była pierwszą, czy ostatnią ofiarą, jest dla nas niezwykle istotne.

D.D. w zamyśleniu skinęła głową.

— Zadzwoń do Christie. Niczego jednak nie obiecuję. Nie może przyspieszyć pewnych rzeczy, a nie dowiemy się tego, co nas interesuje, dopóki nie skończy pracy nad wszystkimi sześcioma ciałami.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Pójdiesz dalej tropem Russella Grangera? - Tak.

— Mamy coś jeszcze na jutro do załatwienia?

— Powiedziałem Annabelle, że podjadę po nią o dziesiątej.

— Tak, dzień w towarzystwie Catherine Gagnon — burknęła pod nosem D. D. - Boże, daj mi siłę.

— Ale swój kastet zostawisz w domu? — spytał oschle Bobby. Uśmiechnęła się pod nosem.

— Kobiecie należy się przecież odrobina zabawy.

ROZDZIAŁ 17

BIEGŁYŚMY Z BELLA. Najpierw w dół ulicą Hanover. Potem skręciłyśmy w prawo i przemierzając niezliczone boczne uliczki, dobiegłyśmy do Adantic Avenue. W pobliżu Parku Kolumba przyspieszyłyśmy, kilkoma susami pokonując niewielkie schody. Pod gęsto porośniętym pnączami sklepionym treliazem dobiegłyśmy do wyjścia. Potem przebiegłyśmy przez ulicę, kierując się w stronę Faneuil Hall. Oddech miałam nierówny. Bella sapała ciężko z wywalonym językiem.

Ale biegłyśmy dalej. Tak jakby od tego tempa zależało, czy uda mi się uciec od przeszłości. Tak jakby od mojej kondycji zależało, czy zdołam stawić czoło własnym lękom. Tak jakbym siłą woli mogła wymazać z głowy obraz grobu Dori. Gdy dotarłyśmy do Government Center, zawróciłyśmy w stronę North End. Uskakując przed szarżującymi taksówkami i mijając układające się do snu grupy bezdomnych, wróciłyśmy na ulicę Hanover. W końcu zwolniłyśmy i oddychając ciężko, powlokłyśmy się do budynku. Kiedy weszłyśmy do mieszkania, Bella z marszu wychłęptała całą miskę wody, potem padła na swoje posłanie i z pełnym zadowolenia pomrukiem zamknęła oczy. Wzięłam półgodzinny prysznic, przebrałam się w piżamę i położyłam do łóżka. Leżąc tak z szeroko otwartymi oczami, wiedziałam już, że to będzie długa noc.

PIERWSZY RAZ OD DAWIEN DAWNA śnił mi się ojciec. I nie był to jeden z koszmarów, w których ojciec odgrywał rolę wszechmocnego guru, a ja byłam tylko małą bezsilną dziewczynką krzyczącą, żeby zostawił mnie w spokoju.

Śniła mi się scena z moich dwudziestych pierwszych urodzin. Tata zaprosił mnie na kolację do Giacomos. Stawiliśmy się w lokalu punktualnie o piątej, ponieważ knajpa nie była duża, za to niezwykle popularna. Na piątki i soboty nie przyjmowano rezerwacji, w efekcie czego kolejka ciągnęła się wtedy wokół całego budynku.

Ale to był wtorek, w knajpie panował spokój. Wzruszony ojciec zamówił nam po kieliszku chianti. Żadne z nas nie pijało zbyt dużo alkoholu, sączyliśmy więc wino bez pośpiechu, maczając kawałki domowego pieczywa w doprawionej pieprzem oliwie z oliwek.

— W takich chwilach wiem, że było warto — zaczął niespodziewanie ojciec. — Żeby zobaczyć, na jaką piękną kobietę wyrośniesz. Ojciec nie pragnie dla córki niczego więcej, kochanie, wychować ją, zapewnić bezpieczeństwo, patrzeć, jak przemienia się w dorosłą kobietę. Mama byłaby z ciebie dumna.

Nic nie odpowiedziałam. Gardło miałam ściśnięte. Dalej sączyłam wino. Dalej maczałam kawałki świeżo upieczonego chleba w oliwie. Siedzieliśmy tak w milczeniu, nie potrzebowaliśmy słów.

Osiemnaście miesięcy później tata nieostroźnie zszedł na moment z krawężnika wprost pod koła taksówki. Jego twarz była tak zmasakrowana od siły uderzenia, że zidentyfikowałam go po fiolce z prochami, którą miał zawieszoną na szyi.

Uszanowałam jego wolę, kremując ciało i dodając odrobinę jego prochów do fiolki z prochami mamy, a resztę

rozzucając na wietrze na brzegu morza w pewną bezksiężycową noc.

Nawet wówczas wszystkie rzeczy osobiste taty zmieściłyby się w pięciu walizkach. Jedynym jego skarbem było niewielkie pudełko, w którym przechowywał szkice te, na których węglem drzewnym upamiętnił mamę.

Na uprzątnięcie mieszkania wystarczyło mi jedno popołudnie. Anulowałam zamówienia na media, wypisałam kilka czeków. Kiedy po raz ostatni zamknęłam za sobą drzwi jego mieszkania, zrozumiałam, że oto właśnie zyskałam wolność. To miało jednak oznaczać, że już zawsze będę sama.

BELLA WCZOŁGAŁA SIĘ na moje łóżko około trzeciej. Musiałam płakać, bo lizała moje policzki. Potem zrobiła trzy kółka w miejscu i w końcu przytuliła się do mojego boku, padając ciężko na wymoszczoną część kołdry. Przytuliłam się do niej i resztę nocy przespałam z policzkiem przy jej łbie i palcami zaplątanymi w gęstą sierść.

O SZÓSTEJ BELLA DOMAGAŁA SIĘ śniadania, a ja musiałam wstać do toalety. W dalszym ciągu miałam mętlik w głowie, pod oczami ciemne sińce. Powinnam skończyć bieżące zlecenie, wysłać fakturę i zacząć się pakować do Arizony. Nie potrafiłam się

na niczym skupić, moje myśli wybiegały za bardzo w przyszłość. Czekało mnie spotkanie z Catherine Gagnon,

której, jak wszyscy zgodnie twierdzili, nie znałam. A jednak policjanci uparli się wysłać mnie aż do Arizony, bylebyśmy się tylko spotkały.

Zagadki i niewiadome. W moim życiu było ich wiele.

Kiedy myłam zęby, zaświtał mi w głowie pewien pomysł.

Mając jeszcze cztery godziny do wylotu do Arizony, wiedziałam już, co powinnam zrobić.

DRZWI OTWARŁA PANI PETRACELLI. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam. Dwadzieścia lat później wciąż miała smukłą sylwetkę i włosy skromnie upięte na karku w kok. Była ubrana w ciemne wełniane spodnie i kremowy kaszmirowy sweter. Ze starannym makijażem i pomalowanymi na czerwono paznokciami wyglądała dokładnie tak jak kiedyś: typowa włoska żona, która z tą samą starannością dba o swój dom, rodzinę i wygląd.

Kiedy tak stałam na progu, obserwując, jak nerwowo skubie wiszącą z brzegu swetra nitkę, doskonale widziałam, jak drżą jej palce.

— Wejdz, proszę — odezwała się pogodnym tonem. — O mój Boże, Annabelle, kiedy zadzwoniłaś, nie mogłam w to uwierzyć. Tak miło znowu cię widzieć. Wyrosłaś na taką piękną kobietę. Strasznie przypominasz matkę.

Poprowadziła mnie do środka energicznym krokiem, gestem i skinieniem głowy zapraszając do pomalowanej w jasne i ciepłe kolory kuchni, gdzie na okrągłym stole czekały już parujące kubki kawy i pokrojone w kawałki słodkie pieczywo. Zdawałam sobie sprawę, że zarówno pogodny ton, jak i uśmiech były wymuszone. Zastanawiałam się, czy jest w stanie patrzeć na którąkolwiek z koleżanek Dori, bez uświadamiania sobie po raz kolejny ogromu tego, co straciła. Znalazłam rano Waltera i Lanę Petracelli w internetowej książce telefonicznej. Przenieśli się z Arlington na niewielki przylądek w Waltham. Taksówka kosztowała mnie fortunę, ale liczyłam na to, że wizyta okaże się tego warta.

— Dziękuję, że zgodziła się pani tak szybko ze mną zobaczyć

— powiedziałam.

— Nie ma o czym mówić. Zawsze mamy czas dla starych przyjaciół. Śmietanka, cukier? A może kawałek słodkiego chleba? Upiekłam wczoraj.

Dolałam śmietanki, posłodziłam kawę i poczęstowałam się kawałkiem chleba. Cieszyłam się, że państwo Petracelli się przeprowadzili. Już samo przebywanie w towarzystwie tej kobiety budziło bolesne wspomnienia. Gdybyśmy miały siedzieć w ich starym domu, w starej kuchni, nie wiem, czy zdołałabym to znieść.

— A co słyszeć u rodziców? - zapytała pani Petracelli, siadając naprzeciw mnie i biorąc swój kubek z czarną kawą.

- Nie żyją - odpowiedziałam cicho, pospiesznie dodając: - Od kilku lat - jakby to robiło jakąś różnicę.

- Przykro mi to słyszeć, Annabelle - odpowiedziała szczerze pani Petracelli.

- A pan Petracelli?

- Jeszcze leży w łóżku. Starość nie radość. Na szczęście w dalszym ciągu dosyć często wychodzimy z domu. W zasadzie mam spotkanie fundacji o dziewiątej, więc obawiam się, że nie mogę ci poświęcić zbyt wiele czasu.

- Fundacji?

- Fundacji imienia Dori Petracelli. Finansujemy badania DNA w sprawach zaginięć, zwłaszcza tych bardzo starych, w których przypadku policja nie dysponuje odpowiednimi środkami ani nie pała entuzjazmem do przeprowadzenia wszystkich dostępnych obecnie badań. Zdziwiłabyś się, ile szczątków leży gdzieś wciąż po kostnicach, bo za czasów, gdy je tam umieszczono, testy DNA nie były jeszcze powszechnie dostępne. To są przypopisu; przypadki, które ktoś kiedyś przeoczył. Ofiary naszego systemu, które jak nikt potrzebują, by się za nimi wstawić i naciskać na wznowienie śledztwa. Problem w tym, że gdy nie jest znana ich tożsamość, na nic

zdadzą się jakiegokolwiek naciski.

— To wspaniale.

— Przeplakałam dwa lata po zniknięciu Dori — rzeczowym tonem stwierdziła pani Petracelli. — A potem stopniowo narastała we mnie złość. W końcu zrobiłam z tego gniewu użytek.

Podniosła kubek i napiła się kawy. Ja również.

— Dopiero niedawno dowiedziałam się, co przytrafiło się Dori - powiedziałam cicho. - Że została porwana, że zaginęła. Ja naprawdę... o niczym nie wiedziałam.

— Oczywiście, że nie mogłaś wiedzieć. Kiedy to się stało, byłaś jeszcze dzieckiem i miałaś swoje własne problemy, żeby zaaklimatyzować się w nowym otoczeniu.

— Wiedziała pani o naszej wyprowadzce?

— Kochanie, kiedy przyjechały ciężarówki i zaczęto ładować cały wasz dobytek, nie było trudno się domyśleć. Dori była zrozpaczona. Powiem szczerze, byliśmy zaskoczeni. Jako dobrzy znajomi twoich rodziców myśleliśmy, że o takim fakcie uprzedzą nas wcześniej. Ale twoi rodzice mieli wtedy mnóstwo na głowie. Teraz lepiej niż kiedykolwiek rozumiem tę ich determinację, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

— Co pani powiedzieli?

Pani Petracelli przekrzywiła głowę, usilnie starając się przywołać wspomnienia z dawnych lat.

— Twój tata przyszedł któregoś popołudnia. Powiedział, że ze względu na to wszystko, co działo się w ostatnim czasie, zdecydował się zabrać was gdzieś na kilka dni. Oczywiście, rozumiałam to i zastanawiałam się, jak ty to wszystko znosisz. Powiedział, że z tobą jest wszystko w porządku, ale zdecydował się zabrać was na małe wakacje, żeby jakoś od tego wszystkiego odpocząć. Przez pierwszy tydzień w ogóle o tym nie myślałam. Byłam zbyt zajęta wymyślaniem rozrywek dla Dori, która po twoim wyjeździe była bardzo markotna.

Potem pewnego wieczoru zadzwonił twój ojciec. Mówił, że nie uwierzemy, co się stało, ale dostał właśnie świetną ofertę pracy i zdecydował się ją przyjąć. A więc nie wróćcie już do Arlington. Załatwił z firmą przewozową, że spakują wszystkie wasze rzeczy i dostarczą je pod wasz nowy adres. Uważał, że tak będzie lepiej. Byliśmy zrozpaczeni. Walter i ja bardzo się zżyliśmy z twoimi rodzicami, a i wy, dziewczynki, byłyście ze sobą tak blisko. Powiem szczerze, że pierwsze co, to zastanawiałam się, jak ja mam to powiedzieć Dori. Później zaczęłam się trochę złościć. Uważałam... żałuję, że twoi rodzice nie przyjechali chociaż ten ostatni raz, żebyście, wy, dziewczynki, mogły się pożegnać, jak należy. A ja nie jestem idiotką, twój tata celowo nie podał w rozmowie żadnych szczegółów, na dobrą sprawę nie wiedzieliśmy nawet, do jakiego miasta się przeprowadziliście. Chociaż wiem, że miał prawo zachować to wszystko w tajemnicy, poczułam się urażona. W końcu

byliśmy przyjaciółmi. Myślałam, że dobrymi przyjaciółmi. Nie wiem już sama... to była bardzo dziwna jesień.

Spojrzała na mnie, przechylając głowę. Kolejne pytanie zadała już bardzo łagodnym tonem.

- Annabelle, pamiętasz wydarzenia sprzed przeprowadzki? Pamiętasz wizyty policji w twoim domu?

- Niektóre rzeczy pamiętam. Pamiętam podarunki, które ktoś zostawiał mi na werandzie. Pamiętam, że doprowadzały ojca do szału.

Pani Petracelli skinęła głową.

— Wtedy nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nawet nie wiem, czy początkowo wierzyłam w te doniesienia o podglądaczu. Dlaczego dorosły mężczyzna miałby podglądać sypialnię małej dziewczynki? Żyliśmy wtedy wszyscy w takiej błogiej nieświadomości. Tylko twój ojciec zdawał się dostrzegać zagrożenie. Oczywiście, kiedy okazało się, że ktoś ukrywał

się na poddaszu domu pani Watts, byliśmy przerażeni. Nikt nie chciał wierzyć, że podobne rzeczy dzieją się w naszej dzielnicy. Zaczęliśmy się z mężem zastanawiać nad przeprowadzką, zwłaszcza po wyjeździe twoich rodziców. To właśnie dlatego, żeby móc obejrzeć domy, wysłaliśmy Dori do dziadków, wróciliśmy ze spotkania z pośrednikiem z biura nieruchomości, kiedy zadzwonił telefon. Moja matka spytała, czy wiemy, gdzie jest Dori. „Jak to czy wiemy, gdzie jest Dori?” — spytałam. „Dori jest przecież z wami”. Przez chwilę na linii była cisza. A potem moja mama wybuchła płaczem.

Pani Petracelli odstawiła swój kubek z kawą. Uśmiechnęła się smutno i przepaszająco, odruchowo wycierając kąciaki oczu. — Z czasem wcale nie jest łatwiej. Wmawiasz sobie, że powinno być, ale tak nie jest. Są dwa momenty w moim życiu, których wspomnienie będzie mi towarzyszyć aż do śmierci. Chwila, gdy moja córka przyszła na świat, i moment, gdy moja matka zadzwoniła mi powiedzieć, że zniknęła. Czasem negocjuję z Bogiem. Chcę mu oddać wszystkie chwile szczęścia, jeśli tylko zabierze też te pełne bólu. Oczywiście, nic z tego. Muszę żyć ze wszystkimi tymi wspomnieniami, czy tego chcę czy nie. Proszę - znów się ożywiła — poczęstuj się jeszcze chlebem.

Wzięłam kolejny kawałek. Każda z nas starała się, by ta rozmowa jak najbardziej przypominała przyjacielską pogawędkę, takie pozory mogły nas obronić przed duchami przeszłości. — Były jakieś tropy w śledztwie w sprawie Dori? — spytałam. Wygrzebałam z chleba orzech włoski, kładąc go na stole obok kubka.

— Jeden z sąsiadów widział nieoznakowaną białą furgonetkę. Pamiętał jedynie, że za kierownicą siedział młody mężczyzna z krótkimi, ciemnymi włosami ubrany w biały T-shirt. Sąsiad

myślał, że to ktoś z ekipy budowlanej pracującej w okolicy, ale nikogo takiego nigdy nie odnaleziono. I przez wszystkie te lata nie przybył ani jeden trop.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Pani Petracelli, czy mój ojciec wiedział, że Dori zaginęła?

- Cóż... Nie wiem. Ja mu na pewno nie miałam okazji powiedzieć. Po tym ostatnim telefonie nie rozmawiałam już z twoim ojcem. Co, jak teraz o tym myślę, było dosyć dziwne. Ale przez to wszystko, co działo się tamtego listopada, nie mieliśmy czasu myśleć już o waszej rodzinie. Byliśmy zbyt zajęci ratowaniem naszej. O zaginięciu Dori mówiono jednak w wiadomościach. Zwłaszcza w ciągu pierwszych dni po zaginięciu, kiedy napływały tłumy ochotników do pomocy policji, która całą dobę prowadziła poszukiwania. Nie wiem, czy twoi rodzice oglądali wiadomości czy nie. Dlaczego pytasz?

Nie mogłam jej dłużej patrzeć w oczy. Nie przyszłam tu, żeby jej to powiedzieć. Nie zamierzałam jej tego mówić. Miałam tylko rozeznaczyć się w sytuacji, podpytać ją o zniknięcie Dori i przygotować się do własnej wojny, która czekała mnie już niedługo. Ale siedząc tu w jej żółtej słonecznej kuchni, nie mogłam już drążyć dłużej. Wiem, że gdy patrzyła na mnie, widziała swoją córkę, małą dziewczynkę, której nigdy nie dane było dorosnąć. A ja patrząc na nią, widziałam swoją matkę, kobietę, której nigdy nie było dane się zestarzeć. Obie straciłyśmy zbyt wiele.

— Dałam Dori medalion — wyrzuciłam z siebie. — To był jeden z podarunków. Jeden z podarunków, które zostawił na mojej werandzie. Tata kazał mi go wyrzucić. Nie mogłam tego zrobić. Dlatego dałam go Dori.

Pani Petracelli nie odezwała się od razu. Odsunęła krzesło, wstała od stołu i zaczęła sprzątać naczynia ze stołu.

— Annabelle, myślisz, że moja córka zginęła przez jakiś głupi

medalion?

— Może.

Wzięła mój kubek, potem swój. Delikatnie, jakby były niezwykle kruche, wstawiła je do zlewu. Kiedy wróciła, pochyliła się nade mną, kładąc mi dłoń na ramieniu i rozsiewając delikatny zapach lawendy.

— Nie zabiłaś mojej córki, Annabelle. Byłaś jej najlepszą przyjaciółką. Dałaś jej niezliczone chwile szczęścia. Prawda jest taka, że nikt z nas nie ma kontroli nad czasem, jaki jest nam dany tu na ziemi. Mamy wpływ jedynie na terażniejszość. Dori miała wspaniałe, pełne miłości i radości życie. Powtarzam to sobie codziennie, kiedy się budzę rano i codziennie, gdy układam się do snu. Moja córka zaznała siedmiu lat miłości. Nie każdy dostaje od losu taki podarunek. A ty byłaś częścią tego podarunku, Annabelle. Dziękuję ci za to.

— Przepraszam — odpowiedziałam.

— Ciiii.

— Jest pani taka dzielna.

— Znoszę tylko to, co daje mi los — odpowiedziała pani Petracelli. — Odwaga nie ma tu nic do rzeczy, Annabelle.

Rozmowa z tobą sprawiła mi ogromną przyjemność.

Nieczęsto mam okazję porozmawiać z kimś, kto znał Dori.

Była taka młoda, kiedy zaginęła, a to było tak dawno temu...

Ale czas na mnie. Mam spotkanie.

— Oczywiście, oczywiście — zerwałam się ze swojego krzesła i pozwoliłam pani Petracełli odprowadzić się do drzwi. Kiedy przechodziłam przez salon, zauważyłam schodzącego po schodach pana Petracełli. Miał na sobie ciemne spodnie, niebieską koszulę w kratkę i granatowy bezrękawnik. Gdy tylko mnie zauważył, zrobił zwrot o 180 stopni i pomaszerował do góry, z pustym kubkiem po kawie w dłoni.

Spojrzałam na panią Petracelli i momentalnie zauważyłam, jak poczucie winy z powodu kłamstwa na temat męża odmalowuje się na jej twarzy. Nic nie powiedziałam, uścisnęłam jedynie jej dłoń.

Przy drzwiach przypomniała mi się jednak jeszcze jedna sprawa.

- Pani Petracelli — spytałam - czy mogłabym dostać zdjęcie Dori?

ROZDZIAŁ 18

MIĘDZYNARODOWE LOTNISKO W PHOENIX zalewało morze podróżnych poubieranych w białe bermudy, szerokie słomkowe kapelusze i czerwone japonki. Pchając swój wózek z bagażem przez nieskończenie długi terminal, mijaliśmy całe rodziny, samotnych biznesmenów, grupki młodzieży. W moich wspomnieniach Arizona pozostała krainą jaskrawych południowoza-chodnich kolorów, tańczących figurek kokopelli i czerwonych doniczek z terakoty.

Ale projektanci lotniska mieli chyba trochę odmienną wizję. A przynajmniej ten konkretny terminal przytłaczał ponurymi odcieniami szarości. Kiedy zjechaliśmy w dół ruchomymi schodami, okazało się, że tam jest tylko gorzej, wkroczyliśmy bowiem do pomieszczenia o ciemnych betonowych ścianach, które natychmiast kojarzyło się z lochami.

Nie poprawiło to bynajmniej mojego stanu ducha. „Uciekaj — powtarzałam sobie w myślach - uciekaj, póki masz jeszcze szansę”.

Detektyw Dodge zjawił się chwilę po tym, jak wróciłam od państwa Petracelli. Kazałam mu poczekać na dole i pospiesznie spakowałam walizkę. Potem poinformowałam go, że w drodze na lotnisko musimy podrzucić Bellę do psiego hotelu. Nie protestował. Wziął ode mnie bagaż, otwierając tylne drzwi, by wpuścić mojego podekscytowanego psa.

- Mów do mnie Bobby - zaproponował w drodze do hotelu dla psów.

Odstawiliśmy Bellę, która obdarzyła mnie ostatnim, pełnym wyrzutu spojrzeniem, i pojechaliśmy dalej.

Na lotnisku czekała już na nas D. D. z tą samą posępną miną co zawsze.

- Witaj, Annabelle - przywitała się krótko.

- Witaj, D.D.- odpowiedziałam. Nasza nagła poufałość wydawała się zupełnie naturalna.

Najwyraźniej byliśmy jedną wielką rodziną. Przynajmniej dopóki nie weszliśmy na pokład samolotu. Tam każdy zajął się swoimi sprawami. D. D. otworzyła swoją teczkę, wyciągnęła stertę akt i zabrała się do pracy. Bobby nie był gorszy, z piórem w dłoni i stertą papierów na kolanach mamrotał coś pod nosem.

Ja przeczytałam od deski do deski magazyn „People”, potem zabrałam się do studiowania oferty psych gadżetów w katalogu linii lotniczych. Może gdybym zamieniła Belli jej zwykłą psią miskę na osobistą fantazyjną fontannę, wybaczyłaby mi, że musiałam ją na jakiś czas oddać.

Przez cały lot próbowałam się czymś zająć.

Nigdy wcześniej nie leciałam samolotem. Tata nie był zwoleńnikiem samolotów. Mówił, że są zbyt drogie, co w domyśle znaczyło: zbyt niebezpieczne. Trzeba było przecież kupić bilet, a bilety oznaczały zostawianie śladów. Wolał za gotówkę kupować rozklekotane samochody. Jak tylko wyjeżdżaliśmy z miasta, wymieniał szybko jednego grata na inną kupę złomu.

Rzecz jasna, niektóre z samochodów okazywały się bardziej zawodne od innych. Tata szybko stał się ekspertem w wymianie hamulców, chłodnic i ratowaniu szyb, drzwi czy zderzaków srebrną taśmą izolacyjną. Dopiero teraz dotarło do mnie, że niesamowite zdolności manualne naukowca-

matematyka nie były czymś powszechnie spotykanym. Potrzeba matką wynalazku? Czy może nie chciałam po prostu wiedzieć wszystkiego?

Bo przecież jeśli cały nasz dobytek został załadowany na ciężarówkę firmy przewozowej, dlaczego w takim razie nigdy nie zobaczyłam już swoich dziecięcych mebli?

W końcu dotarliśmy do wyjścia z lotniska. Otwarty się przed nami grube drzwi z zadymionego szkła. Dopadła nas fala gorąca. W naszą stronę natychmiast ruszył mężczyzna w stroju szofera, trzymający tabliczkę z imieniem Bobby'ego.

- Co to ma znaczyć? - D.D. zagroziła szoferowi drogę, żądając natychmiastowej odpowiedzi.

Mężczyzna zatrzymał się.

- Detektyw Dodge? Sierżant Warren? Bardzo proszę za mną — powiedział, ruchem dłoni wskazując na zaparkowaną na pasie zieleni lśniącą limuzynę.

- Dla kogo pan pracuje? - tym samym ostrym tonem spytała D. D.

- Oczywiście dla pani Catherine Gagnon. Czy mogę wziąć pani bagaż?

— Nie, kategorycznie nie. To nie będzie możliwe — odwróciła się z stronę Bobby'ego, ze wzburzeniem wyjaśniając: — Przepisy naszego wydziału jasno mówią, że nie wolno nam przyjmować nieodpłatnie żadnych korzyści materialnych, również w postaci usług. To jest niewątpliwie rodzaj usługi.

- Ja nie jestem z policji - wtrąciłam się.

— Ty — powiedziała stanowczo — jesteś z nami.

D.D. ruszyła dalej. Bobby podążył za nią. Nie pozostawało mi nic innego, jak wzruszyć przepaszając ramionami w stronę oniemiałego szofera i podreptać za nimi.

Dwadzieścia minut czekaliśmy na taksówkę. Wystarczająco, by pod pachami zrobiła mi się mała powódź, a olbrzymie krople potu zaczęły spływać po plecach. Wystarczająco, by

przypomnieć sobie, że moja, pochodząca z Nowej Anglii rodzina, wytrzymała w Phoenix zaledwie dziewięć miesięcy, a potem natychmiast przeniosła się do chłodniejszego klimatu.

Kiedy już wsiedliśmy do taksówki, D.D. podała adres w Scottsdale. Była mieszkanka Back Bay, obecnie mieszkająca w Scottsdale, lubiąca wysyłać limuzyny po swoich gości. Dodałam dwa do dwóch i już wiedziałam. Catherine Gagnon była bogata.

Pomyślałam, że może potrzebuje kogoś do dekoracji swoich okien i momentalnie zakryłam dłońmi usta, żeby powstrzymać niekontrolowany chichot. Wcale nie trzymałam się dobrze. Zwalcie to na upał, towarzystwo, wrażenia po pierwszym locie samolotem. Czułam, jak napięcie zaciska mi żołądek. Ręce zaczynają drżeć.

Wszyscy chcieli, żebym spotkała się z tą kobietą, ale nikt nie chciał mi wyjaśnić, dlaczego. Już przecież powiedziałam, że nigdy nie słyszałam o Catherine Gagnon. A jednak policja w dalszym ciągu była skłonna zapłacić za podróż i nocleg dwójki policjantów i jednego cywila do oddalonej o osiem tysięcy kilometrów Arizony. Co takiego, czego ja nie wiedziałam, wiedzieli Bobby i D.D.? A skoro uważałam się za taką sprytną, to dlaczego czułam się jak marionetka pociągana za sznurki przez bostońską policję?

Oparłam czoło o ciepłą szybę okna, marząc o szklance wody. Kiedy podniosłam głowę, Bobby przyglądał mi się z zagadkowym wyrazem twarzy. Odwróciłam wzrok.

Taksówka skręciła w lewo. Przedzierała się teraz przez pokryte kurzem purpurowe wzgórza. Za oknami przesuwały się kornegie olbrzymie, srebrne krzewy kreozotu i pokryte czerwonymi kwiatami ferokaktusy. Pamiętam, że początkowo mnie i mamę ten krajobraz niezwykle zaintrygował. Ale nigdy do niego nie przywykłyśmy. Zawsze

pozostał tylko cudzym domem. Za bardzo byliśmy przywiązane do pokrytych śniegiem gór, gęstych zielonych lasów i szarych granitowych klifów. Ta egzotyka wokół nas pozostała jedynie obcym pięknem, z którego nie bardzo potrafiliśmy zrobić użytek.

Taksówka podjechała pod długi, wybielony i zdobiony sztukaterią mur. Po prawej pojawiła się czarna brama z kutego żelaza. Taksówkarz zwolnił i podjechał pod bramę, zatrzymując się tuż przy domofonie.

— Proszę powiedzieć, że przyjechała sierżant Warren - poinformowała taksówkarza D.D.

Taksówkarz wykonał jej polecenie. Misternie zdobiona brama otworzyła się i wjechaliśmy do ukrytej w cieniu, zielonej krainy czarów. Ujrzałam przed sobą prawie pół hektara starannie przyciętego trawnika i korony drzew o wielkich liściach. Kreta droga zaprowadziła nas do kolistego podjazdu, gdzie wśród kwiatowego dywanu tryskała wyłożona płytkami fontanna. Otoczenie wprost idealne dla hiszpańskiej willi w stylu kolonialnym, która ukazała się naszym oczom. Po lewej strzeliste okna wprawione w mahoniowe belki wtapiały się w grube ściany z suszonej cegły. Prawa ściana była bardzo podobna, z tą różnicą, że widniało tam jeszcze szklane atrium i coś, co było zapewne krytym basenem.

— Matko najświętsza — wyszeptałam i, czując ogromny wstyd, w dalszym ciągu zastanawiałam się, czy tajemnicza Catherine Gagnon na pewno nie potrzebuje specjalisty od wystroju okien. Ich liczba, rozmiar, wyzwanie. Pieniądze...

— Bostońskie dolary zawędrowały do Arizony — skomentował Bobby lekkim tonem.

D. D. nie odezwała się, przybierając jedynie surowy wyraz twarzy.

Zapłaciła taksówkarzowi, biorąc rachunek, i rozpoczęliśmy długą, krętą wędrowkę w stronę ciemnych orzechowych

dwuskrzydłowych drzwi. Bobby zapukał, a my, zakłopotane niczym nieproszeni goście, ściskałyśmy swoje bagaże, stojąc tuż za nim.

— Ile może kosztować podlanie trawnika takich rozmiarów?

- zaczęłam trajkotać. — Założę się, że wydaje więcej na ogrodników niż ja na czynsz, wyszła ponownie za mąż?

Otworzyło się prawe skrzydło drzwi. Powitała nas star-szawa Latynoska przy kości o stalowoszarych włosach, ubrana w nijaki strój domowy.

- Sierżant Warren, detektyw Dodge, señorita Nelson. Zapraszam do środka. Señora Gagnon oczekuje państwa w bibliotece.

Zabrała nasze bagaże, pytając, czy nie mamy ochoty odświeżyć się po długiej podróży. Wszyscy zgodnie zapewniliśmy, że niczego nam nie potrzeba, i podążyliśmy za nią w głąb posiadłości.

Przeszliśmy szerokim holem o kremowych ścianach gdzieś wyłożonych meksykańskimi ceramicznymi płytkami. Ciemne, nagie belki podpierały ponadczterometrowy sufit.

Podłoga pod naszymi stopami była również wyłożona grubymi deskami.

Minęliśmy atrium, kryty basen, imponującą kolekcję antyków. Jeśli teren wokół domu zapierał dech w piersiach, to na wewnątrz brakowało mi słów. Dla Catherine Gagnon pieniądze nie grały roli.

Kiedy zaczęłam się zastanawiać, jak długi może być hol, gospodyni skręciła w lewo i zatrzymała się przed ciężkimi orzechowymi drzwiami. Biblioteki, jak się domyślałam.

Latynoska zapukała.

- Proszę wejść - dobiegł zza drzwi stłumiony głos. Drzwi się otwały i po raz pierwszy ujrzałam niesławną Catherine Gagnon.

ROZDZIAŁ 19

POSTAĆ CATHERINE SKĄPANA BYŁA W SŁOŃCU, które przez ogromne okna wdzierало się do pokoju. Promienie podświetlały od tyłu jej szczupłą sylwetkę i długie ciemne włosy, nie pozwalając przyjrzeć się dokładniej ukrytym w cieniu rysom twarzy. Dostrzegłam jedynie jej szczupłe ramiona, splecione na wysokości brzucha dłonie i wystające kości biodrowe, wyraźnie odznaczające się pod warstwami materiału długiej szerokiej spódnicy. Czekoladowa, przewiązana w talii koszula bez rękawów podkreślała zaokrąglone ramiona.

Zerknęłam na Bobby'ego. Zdawał się błędzić wzrokiem wszędzie dookoła, byle tylko nie patrzeć w jej stronę. Dla odmiany ona nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Opuszkami palców pieściła delikatnie swoje nagie przedramię, wysyłając jego ciału widoczne sygnały. Napięcie w pokoju sięgało zenitu, wszyscy milczeli jak zakłęci.

— Catherine - przywitał się w końcu Bobby, przystając w miejscu, które zapewniało bezpieczny dystans. — Dziękuję, że zechciałaś się z nami zobaczyć.

- Obietnica to obietnica - jej wzrok podążył na moment w moją stronę, ale nie zatrzymał się na dłużej. — Mam nadzieję, że mieliście udaną podróż.

— Nie najgorszą. A jak tam Nathan?

— Doskonale, dziękuję. Uczy się w znakomitej prywatnej szkole. Wiążę z nim wielkie nadzieje - w dalszym ciągu wodziła palcami po przedramieniu, uśmiechając się porozumiewawczo do Bobby'ego, który cofając się, zwiększył jeszcze dystans między nimi. W końcu zwróciła się do D.D.

— Sierżant Warren — ton jej głosu był teraz lodowaty.

— Minął szmat czasu od naszego ostatniego spotkania — odpowiedziała D.D.

— Nie zdążyłam się stęsknić.

Znów popatrzyła na mnie, chyba tylko po to, by ostentacyjnie zignorować D.D. Tym razem zmierzyła mnie jednak spojrzeniem od stóp do głów. Nie ugięłam się pod jej badawczym wzrokiem pomimo bolesnej świadomości, że mój tani bawełniany podkoszulek jest już dość znoszony, dzinsy postrzępione, a torebka ma czasy świetności dawno za sobą. Ciągnęłam dwa etaty, żeby jakoś związać koniec z końcem, taka była prawda.

Fryzury, manicure, drogie ciuchy — to były luksusy, na które mogła sobie pozwolić zamożna, dysponująca nadmiarem wolnego czasu kobieta taka jak Catherine, a nie taka przeciętna, ciężko pracująca dziewczyna jak ja.

W dalszym ciągu nie potrafiłam z jej twarzy niczego wyczytać, zauważyłam jedynie dreszcz przebiegający nagle po jej ciele i wiedziałam już, że to spotkanie kosztuje ją tyle samo co mnie.

Odwróciła się w stronę ciemnego drewnianego stołu, który wyznaczał centralny punkt pokoju.

— Usiądziemy? — spytała, wskazując na skórzane krzesła i wreszcie na starszego, siwego mężczyznę, który siedział przy stole, a którego obecność dopiero teraz zauważyłam.

— Detektywie Dodge, sierżant Warren, przedstawiam mojego prawnika, Andrew Carsona, którego poprosiłam, aby do nas dołączył.

— Ma pani coś na sumieniu?

Catherine uśmiechnęła się tylko. - Przewrotny zawsze ubezpieczony.

Usiadła. Ja zajęłam miejsce naprzeciw niej. Ruch, którym odrzucała do tyłu włosy, odrobinę wyzywająco, wyglądał znajomo. I nagle wiedziałam już, dlaczego. Ona naprawdę była do mnie podobna.

Bobby wyciągnął dyktafon i położył go na środku stołu.

Catherine zerknęła na swojego prawnika, ale skoro on nie zaprotestował, ona też przeszła nad tym do porządku dziennego. D.D. przygotowywała się, układając na kształt fortecy stosy różnych dokumentów. Jedynymi osobami, które nie miały się czym zająć, byliśmy my: ja i Catherine. Siedziałyśmy tak niczym goście honorowi na dość osobliwym przyjęciu.

Bobby włączył dyktafon. Wyrecytował głośno datę, miejsce i nazwiska wszystkich obecnych osób. Zatrzymał się na moment przy moim imieniu, zaczął mówić „Annabelle”, szybko się jednak zreflektował i dokończył "Tanya Nelson" . Byłam wdzięczna za tę ostrożność.

Zaczęli od rutynowych pytań. Catherine Gagnon potwierdziła, że kiedyś mieszkała pod takim a takim adresem. W 1980 roku szła ze szkoły do domu. Zatrzymał się przed nią samochód, mężczyzna aa kierownicą zawołał: "Hej, maleńka. Masz może chwilkę? Szukam pieska, który gdzieś mi się tu zgubił".

Opisała swoje późniejsze porwanie, ocalenie i w końcu proces Richarda Umbrio w maju 1981 roku. Jej głos był bezbarwny, prawie znudzony, kiedy bez zająknięcia raz jeszcze relacjonowała całą serię zdarzeń, jak ktoś, kto jedną i te samą historię musiał opowiadać wiele razy.

— A czy miała pani okazję spotkać Richarda Umbrio już po zakończeniu procesu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym

pierwszym roku? - zapytała D.D.

Carson, prawnik, natychmiast uniósł rękę do góry na znak protestu.

- Proszę nie odpowiadać.

— Panie Carson.

— Pani Gagnon zgodziła się łaskawie odpowiedzieć na pytania dotyczące jej porwania oraz wydarzeń z października i listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku - wyjaśnił adwokat. - Pytanie dotyczące tego, czy widziała Richarda Umbrio później, wykracza poza ustalenia.

D. D. wyglądała na piekielnie wkurzoną. Catherine uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Kiedy była pani z Richardem Umbrio, na przełomie września i października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku — datę D. D. wymówiła dobitniej — czy wspominał coś o innych zbrodniach, porwaniach, gwałtach na innych ofiarach?

Catherine zaprzeczyła ruchem głowy, na potrzeby dyktafonu głośno dodając. - Nie.

— Czy kiedykolwiek była pani w Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym w Mattapan?

Carson znów uniósł dłoń.

— Czy kiedykolwiek była pani w Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym w Mattapan jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku?

— Nigdy nawet nie słyszałam o Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym, ani przed rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, ani później — z przesadną uprzejmością w głosie poinformowała Catherine.

— A Richard Umbrio? — drążyła temat D.D.

— Jeśli nawet kiedyś tam był, nigdy o tym nie wspominał, a przynajmniej ja niczego takiego sobie nie przypominam.

— Co z przyjaciółmi, powiernikami? Czy Umbrio kiedy-

kolwiek wspominał o kimś, z kim był blisko, a może przypro-
wadził kiedyś kogoś do swojej podziemnej kryjówki?

— Na litość boską, Umbrio był świrem wyciągniętym żyw-
cem z rodziny Addamsów. Był zbyt ociężały, zbyt chłodny i
nawet zbyt przerażający Jak na dziewiętnastolatka.

Przyjaciele?

Nie miał przyjaciół. A myślicie, że dlaczego tak długo trzymał
mnie przy życiu?

Na naszych twarzach musiała dojrzeć zaskoczenie. Rozłożyła
bezzradnie ręce, dając nam do zrozumienia, że jesteśmy nic
niepojmującą grupą idiotów.

— A co? Myślicie, że nigdy nie domyśliłam się, że chciał
mnie zabić? Powiem wam tak dla wiadomości, że próbował
mnie zabić każdego dnia. Zaciskał swoje grube, spocone palu-
chy na mojej szyi i ścisnął, jakby chciał ukreślić łeb gołębiowi.
Kiedy to robił, lubił patrzeć mi w oczy. Ale potem, w
ostatniej chwili, zwalniał uścisk. Życzliwość? Współczucie?
Nie sądzę. Nie w przypadku Richarda. On po prostu nie był
jeszcze gotowy na to, żebym umarła. Byłam idealnym
kompanem. Nigdy się nie sprzeciwiałam, zawsze robiłam, co
mi kazano. Nigdy wcześniej nie zaznałam tyle szczęścia.

Wzruszyła ramionami, ton jej głosu, choć zupełnie pozba-
wiony emocji, sprawiał, że każde słowo cięło jak brzytwa.

— Dusił panią? Gołymi rękoma? Jest pani tego pewna?

— Absolutnie.

- Nigdy nie przyniósł ze sobą noża, nie użył węzłów, nie
zabawił się z żelaznym kołnierzem do egzekucji?

- Nie.

- Mówiła pani, że panią przywiązywał. Lina, kajdanki, coś
innego?

- Lina.

- Jeden rodzaj liny, różne rodzaje liny? Ulubiony sposób
wiązania węzłów?

- Nie wiem. Po prostu lina. Miał cały zwój. Była gruba, miała może centymetr średnicy. Biała. Brudna. Mocna. Wbijał kołki w drewnianą podłogę, a potem przywiązywał mi do nich kończyny. Muszę przyznać, że w tamtych chwilach nie bardzo skupiałam się na rodzaju węzłów - dodała cicho.

- Przynosił kiedykolwiek na miejsce zbrodni worki na śmieci?

- Worki na śmieci? Jakiś konkretny rodzaj worków?

- Jakikolwiek worki na śmieci. Pokręciła głową.

— Richard wolał zwykle reklamówki jednorazowe. Wszystko w nich przynosił, również jedzenie. Taki był z niego sumienny i porządniczy harcerzyk, przynosił jedzenie, wynosił resztki. Dbał o swoje obozowisko.

- Pani Gagnon, czy wie pani, czemu Richard Umbrio panią porwał?

- Wiem.

Ta odpowiedź zupełnie zbiła D. D. z tropu, nie spodziewała się jej, zadając pytanie.

— Naprawdę pani wie?

— Wiem. Miałam wtedy na sobie sztruksową spódniczkę i podkolanówki. Okazało się, że Richard miał słabość do grzecznych dziewczynek w mundurkach szkolnych. Spojrzał na mnie i widział od razu, że właśnie znalazł dokładnie to, czego szukał. W pobliżu nie było nikogo innego, więc to ja zostałam tą szczęściarą.

D.D. i Bobby wymienili spojrzenia. Do tej pory D.D.

zadawała pytania, podczas gdy Bobby skrupulatnie notował wszystkie szczegóły napaści, chyba po to, żeby móc je potem odnieść do innych ofiar z Mattapan. Ale ta odpowiedź wyraźnie ich zmartwiła. Oboje przyglądali się teraz Catherine uważnie.

- Proszę mi powiedzieć - zapytała cicho D.D. — czy spotkała pani Richarda wcześniej, zanim panią porwał?

- Nie.

- Czy jest możliwe, że to on zauważył panią wcześniej? Wspominał coś o śledzeniu pani w drodze ze szkoły do domu, o obserwowaniu na placu zabaw, cokolwiek z tego typu rzeczy?

- Już powiedziałam. Trafiło na mnie, kwestia szczęścia. D.D. skrzywiła się jeszcze wyraźniej.

- Co stało się po tym, jak wsiadła pani do samochodu?

- Drzwi były zamknięte, zablokowane. Nie wiem, nie chciały się otworzyć.

— Krzyczała pani, walczyła?

— Nie pamiętam.

— Nie pamięta pani?

— Nie. Pamiętam jedynie moment wsiadania do samochodu i rosnący niepokój, dezorientację. Chyba szamotałam się z klamką a potem... nie pamiętam. Mogę jedynie zgadywać, że krzyczałam. Mogę przypuszczać, że walczyłam. Ale równie prawdopodobne jest, że nie zrobiłam nic. Może brakiem pamięci próbuję podświadomie uporać się ze wstydem. - Kąci jej ust uniosły się nieznacznie, ale w oczach nie było widać cienia uśmiechu.

— To co w takim razie pani pamięta? — ton D. D. był teraz zdecydowanie łagodniejszy.

— Dzięki temu Catherine na powrót odzyskała panowanie nad sobą.

— Pamiętam, jak obudziłam się w ciemności.

— On tam był?

— W doskonałym nastroju do zabawy.

- W jamie? - Tak.

— A więc przygotował to miejsce wcześniej, zanim panią wypatrzył i zdecydował się na porwanie. Bobby i D.D. znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Tym razem odezwał się Bobby.

— Zgodnie z tym, co mówiłaś wcześniej, porwał cię pod wpływem chwili, a skusił go głównie twój strój. Jak więc wyjaśnić to, że był tak doskonale przygotowany?

Catherine spojrzała na niego.

— Kryjówka nie była nowa. Znalazł ją podczas jednej z wędrówek po lesie. Zaadaptował ją sobie, żeby mieć gdzie trzymać, z dala od oczu rodziców, swoje obleśne gazety. No i oczywiście, żeby mieć gdzie ulokować swoją osobistą seksniewolnicę - znów wzruszyła ramionami. - Ale czy to ja uważam, że porwał mnie pod wpływem chwili? On tak twierdził, ja nie byłam przekonana. Miał linę i kawałki szmaty do zakneblowania i zakrycia mi oczu. Czy jakikolwiek normalny mężczyzna wozi w samochodzie takie rzeczy? Richard miał hopla na punkcie wiązania. W jego pierdolonych gazetkach porno roiło się od zakneblowanych panienek i nagłówek typu „Zwiąż tę sukę” czy „Daj jej w dupę”. To wy jesteście ekspertami, powiedzcie mi, czy to ma jakieś znaczenie, chociaż chyba logiczne jest, że pomysł z własnym kociakiem, którego można do woli gwałcić, musiał kiełkować mu w głowie jakiś czas. Był wystarczająco silny, żeby wyegzekwować to, na co miał ochotę. No i miał świetną kryjówkę. Jedyne, czego mu brakowało, to opierająca się ofiara. A więc pewnego październikowego popołudnia wybrał się na zakupy.

— Na zakupy? To pani słowa czy jego? - zapytała ostro D. D.

— Czy to ma jakieś znaczenie? - Tak.

Catherine zmarszczyła brwi.

— Nie pamiętam.

— Catherine — odezwał się Bobby, na co D.D. spojrzała na niego z nieukrywaną wściekłością. — Jak myślisz, jak bardzo doświadczony był Umbrio, kiedy cię porwał. Byłaś jego pierwszą ofiarą, trzecią, dwunastą?

— To prośba o spekulowanie — przerwał Carson.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Bobby intensywnie wpatrywał się teraz w Catherine. Ona położyła dłonie na stole i rozprostowując palce zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Chodzi ci o seks? Czy był prawiczkiem? - Tak.

— Nie byłam na tyle doświadczona, by móc to ocenić. Aczkolwiek...

— Aczkolwiek? - zachęcił ją Bobby.

— Patrząc na to z perspektywy dorosłej kobiety? Na początku osiągał zaspokojenie dużo szybciej, niż by sobie tego życzył. Miał wytrysk, zanim jeszcze dochodziło do stosunku. Wpadał wtedy we wściekłość i bił mnie, gdzie popadło, żeby jakoś ukryć swoje zakłopotanie. Przez pierwsze kilka dni tak to właśnie wyglądało. Układał sobie w głowie szczegółowe scenariusze tego, co chciał ze mną zrobić, a kiedy przychodziło co do czego, spuszczał się, zanim na dobre się do czegoś zabrał. Ale z czasem wszystko się unormowało. Już nie był taki napalony, za to coraz bardziej pomysłowy - skrzywiła się - nauczył się, jak być okrutnym. A więc jeśli pytacie o zdanie kobietę, która patrzy na to z dzisiejszej perspektywy, ośmieliłabym się wysunąć tezę, że na początku był zupełnie niedoświadczony. Oczywiście, jego fantazje z czasem stawały się coraz bardziej wyszukane, jeśli to ma jakieś znaczenie. Nagle zwróciła się do mnie.

— Znałaś go?

— Kogo? - zapytałam, zbita z tropu i zakłopotana faktem, że wszystkie spojrzenia nagle skierowały się na mnie.

- Richarda? Co ty masz o nim do powiedzenia? - Ja nie... On mnie nie... Nie znałam go. Zmarszczyła czoło, zwracając się do Bobby ego.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że to jej udało się wyjść z tego cało.

- Bo to prawda. Śledził ją nieznany biały mężczyzna na

początku lat osiemdziesiątych, ale udało jej się uciec. Kim był i czy był to Umbrio, próbujemy tu właśnie ustalić.

Znów popatrzyła na mnie, wyraźnie sceptycznie nastawiona do tego, co usłyszała.

- A na czym opieracie przypuszczenie, że mógł to być Umbrio? Na tym, że jesteśmy do siebie podobne? Szczerze, nie widzę między nami aż tak wielkiego podobieństwa. — Odrzuciła do tyłu swoje długie lśniące włosy, wypinając jednocześnie biust, aby tym samym pokazać, co według niej, różni nas najbardziej.

- Czy widziała ją pani wcześniej? - spytała D.D., próbując jakoś wrócić do tematu. - Czy Tanya wygląda znajomo?

- Oczywiście, że nie.

D.D. popatrzyła na mnie,

— Ja też nigdy wcześniej jej nie widziałam - przyznałam. - Zresztą policzcie sami. Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku miałam pięć lat. Jakie są szanse na to, żebym zapamiętała dwunastolatkę?

Sama zwróciłam się do Catherine.

— Mieszkałaś w Arlington?

— Waltham.

— Chodziłaś do kościoła?

— Bardzo rzadko — odpowiedziała.

— Miałaś jakichś przyjaciół albo rodzinę w Arlington?

— Nikogo takiego nie pamiętam.

— A co z twoimi rodzicami? Czym się zajmowali?

— Mama zajmowała się domem. Tata był serwisantem sprzętu Maytag — powiedziała.

— A więc pracował poza domem?

— Ale nie jeździł do miasta. Jego teren obejmował peryferie miasta.

— A twój?

— Mój ojciec był matematykiem na MIT - odparłam.

— Tu też nie ma żadnych podobieństw - Catherine znów zmarszczyła brwi zamyślona. — Powiem tylko, że wątpię, by w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym nasze ścieżki w jakikolwiek sposób się przecięły, a przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominam.

— A co z jakimiś innymi krewnymi? — odezwał się Bobby. - Może jesteście jakoś spokrewnione.

Catherine wzruszyła jedynie ramionami.

— Oboje próbujecie na siłę czegoś się doszukać, a fakty są takie, że obie mamy włoską urodę. W samym Bostonie są pewnie setki innych kobiet o tym typie urody.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Nie miałam nic więcej do dodania. Tak naprawdę to zgadzałam się z Catherine. Wcale nie byłam przekonana, że jesteśmy tak strasznie do siebie podobne. Ona na przykład jest dużo chudsza. A ja mam zgrabniejsze nogi.

Rozmowa zdawała się dobiegać końca. Z zakłopotanej twarzy D.D. można było wyczytać niezadowolenie. Bobby wpatrywał się intensywnie w dyktafon. Nie udało im się znaleźć czegokolwiek szukali. Modus operandi, pomyślałam.

Próbowali odnieść zasady działania Umbria do mojego prześladowcy, tylko że zgodnie z rym, co powiedziała Catherine, Umbrio porwał ją pod wpływem chwili, podczas gdy osoba, która zostawiała mi podarunki...

Ofiary może i były w jakiś sposób do siebie podobne... Ale same zbrodnie ani trochę.

Kiedy nie padało żadne nowe pytanie, Catherine oparła się o stół, by wstać.

— Jeszcze chwilka - odezwał się stanowczym tonem Bobby.

— Co takiego?

— Zastanów się mocno, Catherine. Jak bardzo jesteś pewna, że to właśnie Richard Umbrio był mężczyzną, który cię porwał?

— Przepraszam?

— Byłaś młoda, zaatakowano cię, przeżyłaś silny uraz, no i przez większość czasu przebywałaś właśnie z nim, uwięziona w ciemnościach.

— Pani Gagnon - próbował się wtrącić podenerwowany prawnik, ale Catherine nie potrzebowała jego pomocy.

— Dwadzieścia osiem dni, Bobby. Przez dwadzieścia osiem dni Richard rządził całym moim światem. Jeśli jadłam, to tylko dlatego, że on przyniósł mi jedzenie. Jeśli piłam, to tylko dlatego, że raczył mi dać wodę. Siedział przy mnie, leżał na mnie. Pieprzył mnie, trzymając moją głowę swoimi masywnymi dłońmi i krzycząc, żebym nie odwracała wzroku. Do dziś mam przed oczami jego sylwetkę za szybą tamtego samochodu. Widzę, jak w aureoli światła stoi przy wejściu do mojego więzienia i wiem, że nareszcie dostanę jedzenie. Pamiętam, jak wyglądał w świetle lamp, kiedy spał jak dziecko z dłonią przywiązaną do mojej, żebym przypadkiem nie uciekła. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że facetem, który mnie porwał dwadzieścia osiem lat temu, był Richard Umbrio. I każdego kolejnego dnia upewniam się, że dobrze zrobiłam, wsadzając mu w usta lufę i robiąc miazgę z jego mózgu.

Carson, prawnik, wysłuchał końcówki z szeroko otwartymi oczami. Bobby jedynie skinął głową, sięgnął po dyktafon i wyłączył go.

— W porządku, Cat - rzekł cicho. — To teraz nam powiedz, jeśli Richarda Umbrio zamknięto w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, kto w takim razie przygotował sobie jeszcze większą kryjówkę na terenie byłego szpitala psychiatrycznego? Kto porwał kolejne sześć dziewczynek i pogrzebał je głęboko pod ziemią?

- Nie wiem i szczerze, czuję się urażona, że ty myślisz, że powinnam wiedzieć.

— Kogo innego mamy pytać? Tylko dzięki tobie jesteśmy w stanie zbliżyć się do Umbria.

To ją najwyraźniej wkurzyło. Tym razem odsunęła krzesło od stołu i wstała.

— Rozumiem, że nasza rozmowa dobiegła końca.

— Byłaś z nim wtedy w holu sama — Bobby nie ustępował.

— Rozmawiał z tobą w hotelowym pokoju. Wspominał coś o przyjacielu? Może korespondencyjnym? O kimś, kogo poznał w więzieniu?

— Opowiadał mi wtedy szczegółowo, jak zamierza mnie zabić.

— Co z Nathanem? Richard najpierw porwał jego. Może kiedy byli sami...

— Mojego syna do tego nie mieszaj.

— Sześć martwych dziewczynek, Catherine. Sześć dziewczynek, którym nie udało się wydostać z ciemności.

— Pieprz się.

- Musimy wiedzieć. Musisz nam powiedzieć. Jeśli Richard miał przyjaciela, znajomego, mentora, musimy o tym wiedzieć.

Wzrok Catherine był teraz skupiony na Bobbym, oddychała ciężko. Przez moment nie potrafiłam przewidzieć jej kolejnego ruchu. Zacznie krzyczeć? Wymierzy mu policzek? Położyła dłonie na krawędzi stołu, wychyliła się tak, że nosem niemal dotykała nosa Bobby ego.

— Richard Umbrio nie ma nic wspólnego z waszą zbrodnią. Siedział wtedy w więzieniu. I choć był zmorą wydziału zabójstw, na wasze szczęście był samotnikiem. Nie miał przyjaciół. Żadnych znajomych. Raz na zawsze skończyliśmy ten temat. Jeśli będziecie mieli jeszcze jakieś pytania, możecie je przekazać przez mojego prawnika, Carsona.

Carson posłusznie podał im wizytówkę. Catherine wyprostowała się.

- A teraz wybaczcie nam, Annabelle czy Tanya, jakkolwiek ma na imię, i ja mamy sprawy do załatwienia.
 - Mamy? - zapytałam głupio.
 - Zaczekaj no chwilę - zaczął Bobby.
 - Nie ma takiej możliwości — zawtórowała mu D.D., wstając od stołu.
- To właśnie ta ich stanowczość, którą jasno pokazywali, że jestem ich własnością, kazała mi pójść za Catherine.
- Nie martwcie się, kochani — odwróciła się w stronę Bobby'ego i D.D. - Odstawię ją przed północą.
- Zamknęła za nami drzwi biblioteki i poszła w głąb korytarza.
- Dokąd idziemy? - zapytałam, próbując za nią nadążyć.
 - Och, kochanie, zabieram cię oczywiście na zakupy.

ROZDZIAŁ 20

NIE MA DLA KOBIETY LEPSZEGO LEKARSTWA na chandrę aniżeli zakupy. Ulubionym miejscem Catherine było Nordstrom, jej limuzyna zajęła pod samo wejście.

Catherine poinformowała szofera, że da znać, kiedy ma po nas przyjechać, ten odjechał więc gdzieś, gdzie jadą pewnie wszyscy szoferzy czekający na wezwanie swojej pani.

Weszłam za Catherine do sklepu.

Zaproponowała, żebyśmy najpierw coś zjadły. Ponieważ burczenie w żołądku stawało się już uporczywe, chętnie przystałam na propozycję.

Było po szóstej i w kawiarni robiło się tłoczno. Ustawiłam się w kolejce po grillowanego kurczaka i focaccio z sosem pe-sto.

Catherine zamówiła filiżankę herbaty.

Podniosła brew, parząc na moją ogromną kanapkę oraz górę chipsów ziemniaczanych i wróciła do sączenia swojej herbaty. Pochłonęłam całą kanapkę, górę chipsów i z czystej złościwości pomaszerowałam jeszcze po ciasto marchewkowe.

- A więc co myślisz o detektywie Dodgeu? - spytała, gdy byłam w połowie ciastka, a ilość pochłoniętego cukru wprowadziła mnie w tak błogi nastrój, że zupełnie nie zwróciłam uwagi na nutkę tęsknoty w jej głosie.

Wzruszyłam ramionami.

— Jako o glinie czy inaczej...? Uśmiechnęła się.

— Inaczej.

— Gdyby znalazł się nocą nagi w moim łóżku, nie wyrzuciłabym go.

— A znalazł się?

— Łączą nas trochę inne stosunki — odparłam, choć wizja nagiego Bobbyego zagościła w mojej głowie na zdecydowanie zbyt długą chwilę. - Zresztą on i D. D., z drugiej strony...

— Nic z tego nie będzie - powiedziała natychmiast. — Seks może i wchodzi w grę, ale związek? Ona jest dla niego zbyt ambitna. Wątpię, żeby zadowolili się kimś poniżej prokuratora okręgowego z politycznymi aspiracjami albo bossa półświatka. Swoją drogą, to by dopiero mogło być ciekawe.

— Wy dwie nie przepadacie za sobą. Jej kolej na wzruszenie ramion.

- Tak działałam na kobiety. Może to dlatego, że sypiam z ich mężami. Ale patrząc na to z innej perspektywy, gdyby nie sypiali ze mną, pewnie pieprzyliby swoje sekretarki, a jeśli facet ma cię zostawić, to chyba lepiej, żeby zostawił dla kogoś takiego jak ja niż dla pierwszej lepszej tlenionej blondynki noszącej tandetne buty:

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

— Mało kto myśli — Catherine odstawiła herbatę. Czerwonymi paznokciami wodziła po wzorze na obrusie. Bo chwili znów się odezwała, tym razem cichym głosem, z którego uleciała gdzieś ogromna pewność siebie.

— Kiedyś dawno temu poprosiłam Bobby ego, żeby zamieszkał ze mną w Arizonie. Chciałam dać mu wszystko, moje dało, mój dom, życie pełne luksusu. Dał mi kosza. Wiedziałaś o tym?

— To było zanim zastrzelił twojego męża czy po tym?

Uśmiechnęła się: wyglądała na szczerze rozbawioną faktem, że znam ten jeden dosyć istotny szczegół.

- Po tym. Widzę, że rozmawiałaś z D.D.? Ma obsesję na

punkcie swojej teorii, że to ja wrobiłam Bobby'ego w zabicie własnego męża. Myślę, że naczytała się zbyt dużo kryminałów. Słyszałaś kiedyś o brzytwie Ockhama? Że najprostsze wyjaśnienie jest najlepsze?

Pokręciłam głową.

— Pomyśl przez chwilę, Jimmy mnie tłukł, Bobby dokonał tamtej nocy właściwego wyboru, a ja teraz żyję szczęśliwie, czyż nie?

Przy ostatnich słowach głos jej się odrobinę załamał. Zdała sobie chyba z tego sprawę, bo natychmiast podniosła filiżankę i upiła kolejny łyk herbaty. Przez chwilę nie odzywałam się ani słowem, przyglądałam się jedynie tej kobiecie, która mogłaby uchodzić za chodzącą reklamę słowa seks, a która, teraz już to wiedziałam, od dwudziestu siedmiu lat nie mogła wykrzesać z siebie żadnych uczuć.

Czy dzięki ucieczce ojca właśnie takiego losu udało mi się uniknąć? A jeśli tak, to czemu nie czuję ulgi? Bo czuję smutek.

Płynący z głębi, niemal fizycznie bolesny smutek. Świat był okrutny. Dorośli mężczyźni polowali na małe dzieci. Ludzie zdradzali tych, których naprawdę kochali. Co się stało, już się nie odstanie. Tak to niestety jest.

Catherine podniosła nagle głowę, jakby czytała w moich myślach. Popatrzyła mi prosto w oczy.

— Dlaczego tu jesteś, Annabelle?

— Nie wiem.

— To nie Richard jest twoim prześladowcą. Zanim skończyłaś siedem lat, on już był w więzieniu. Poza tym jego fantazje ograniczały się do fizycznej dominacji i zastraszania. Nie był na tyle subtelny, by zadać sobie trud śledzenia kogoś.

— Miałaś zaledwie dwanaście lat, nie było w tym żadnej twojej winy.

Uśmiechnęła się.

— Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

— No i ocalałaś.

Na te słowa roześmiała się głośno, gardłowym śmiechem, zwracając na siebie uwagę innych klientów kawiarni.

— Myślisz, że ocalałam? Och, Annabelle, jesteś po prostu słodka. Jako siedmioletni żywy cel jakiegoś maniaka, musiałaś się chyba czegoś nauczyć.

— Jestem doświadczonym kick-boxerem — usłyszałam swój własny ostry ton — mój ojciec bardzo poważnie podchodził do tematu bezpieczeństwa. Nauczył mnie samoobrony, podstaw kryminologii, kiedy uciekać, kiedy walczyć i jak podejmować decyzję, która z opcji jest w danym momencie właściwa. Dorastałam w różnych miastach, miałam różne imiona i nazwiska. Uwierz mi, zdaję sobie sprawę, na ile to wszystko jest poważne.

— Ojciec cię tego nauczył? - znów zmarszczyła brew. - Tak.

— Ten naukowiec z MIT?

— Ten sam.

— A skąd tyle wiedział o kryminologii i samoobronie?

Wzruszyłam ramionami.

— Potrzeba matką wynalazku. Znasz takie powiedzenie?

Catherine patrzyła na mnie z zakłopotaniem.

— Poczekaj, poczekaj — powiedziała zauważywszy, że znowu się wkurzyłam. — Nie kpię sobie z ciebie. Próbuję zrozumieć. Kiedy to wszystko się wydarzyło, twój ojciec...

— Zdecydował, że wyjedziemy. Pewnego popołudnia spakowaliśmy walizki, załadowaliśmy samochód i tak po prostu odjechaliśmy.

— Niemożliwe.

— Ale tak było.

— I przybraliście fałszywe nazwiska?

— Dokładnie. Nie było innego sposobu, żeby czuć się bezpiecznie. To zresztą przypomina mi, że powinnaś mnie nazy-

wać Tanya.

Zignorowała zupełnie moją prośbę.

— A twój ojciec? Znalazł inną posadę na uniwersytecie na Florydzie?

— Nie mógł. Nie miał odpowiedniego cv, a do fałszywych dokumentów rzadko dołączano tego typu gratisy. Został tak-sówkarzem.

— Och, naprawdę? A twoja matka? Wzruszyłam ramionami.

— Jeżeli ktoś zajmuje się domem, rzadko chyba decyduje się na jakieś zmiany.

— Ale nie oponowała? Nie próbowała go powstrzymać?

Oboje zrobili to dla ciebie?

Coraz mniej rozumiałam jej pytania.

— Oczywiście, a mieli jakiś wybór?

Catherine opadła na oparcie. Podniosła filiżankę. Ręką zaczęła jej drzeć tak mocno, że rozlała herbatę. Odstawiła filiżankę z powrotem na spodek.

— Moi rodzice nigdy nie mówili o tym, co się wydarzyło

— powiedziała nagie. - Jednego dnia zniknęłam, a po jakimś czasie wróciłam do domu. Nigdy nie rozmawialiśmy o okresie pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami. Tak jakby te dwa-

dzieścia osiem dni było małym, nic nieznaczącym punkcikiem w czasoprzestrzeni, o którym najwygodniej po prostu zapomnieć. Mieszkaliśmy w tym samym domu.

Wróciłam do tej samej szkoły. A rodzice wrócili do swojego starego życia. Nigdy im tego nie wybaczyłam. Nie potrafiłam zapomnieć, że mogli tak po prostu żyć, funkcjonować, oddychać, podczas gdy każda mała cząstka mnie tak okrutnie bolała, że miałam ochotę roznieść nasz dom w drobny pył, kawałek po kawałku. Nie nawidziałam tego domu, Annabelle. Nienawidziłam rodziców za to, że mnie nie uratowali.

Nienawidziłam mojej dzielnicy. Nienawidziłam każdego jednego dziecka w mojej szkole za to, że wróciło bezpiecznie

do domu dwudziestego drugiego października, a nie pomogło nieznanemu szukać zgubionego psa. A one szeptały między sobą ukradkiem. Na placu zabaw opowiadały sobie różne historie, w szatni porozumiewawczo mrugały do siebie i szturchały się ramionami. A ja nigdy nic nie odpowiedziałam, bo wszystko, co mówiły, było prawdą. Bycie ofiarą to bilet w jedną stronę, Annabelle. To rzuca cię na całe twoje życie i nie ma już możliwości powrotu.

— To nieprawda — zaprotestowałam. - Popatrz na siebie: nie jesteś słaba ani bezsilna. Kiedy Umbrio wyszedł z więzienia, nie zamknęłaś się w swoim strachu. Na miłość boską, zastrzełaś go. Sprostowałaś wyzwaniu. Wygrałaś, Catherine. Ze mną jest zupełnie odwrotnie. Całe życie się przygotowuję, ale chwila próby nie nadchodzi. Całe życie spędziłam na ucieczce, a nawet nie wiem, kogo tak naprawdę powinnam się bać. Nikomu nie można ufać, mawiał tata, nawet jeśli tak naprawdę to tylko paranoja, to przecież nie znaczy, że ktoś naprawdę na ciebie nie czyha. Nie wiem. Może i tata miał rację. Przecież to przystojny, czarujący mąż okazuje się zazwyczaj brutalnym zabójcą swojej żony, spokojny skaut seryjnym mordercą, a cichy i spokojny kumpel z pracy któregoś dnia otwiera ogień z AK- 47. Na Boga, nawet listonosz wydaje mi się podejrzany.

- Mnie też - wtrąciła natychmiast Catherine — i pracownicy komunalni, serwisanci, pracownicy biura obsługi klienta. Przerazające, do jakiej ilości danych mają dostęp.

- No właśnie.

- Założyłam fikcyjną spółkę - powiedziała po chwili. — Przepisujesz wszystko na nią i tadam!, na papierze przestajesz istnieć. To jedyny sposób, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Mogę załatwić, żeby Carson założył podobną dla ciebie.

— Dzięki, ale ja naprawdę nie mam takich środków finan-

sowych.

- Bzdura, tu chodzi o bezpieczeństwo, nie o pieniądze. W tym jednym powinnaś mi zaufać. Umówię cię z Carsonem. Musisz myśleć o przyszłości, Annabelle. Żeby być bezpieczna, musisz zawsze planować jeden ruch naprzód. Kiwnęłam głową, ale jej słowa tak naprawdę zbiły mnie z tropu. Jeden ruch naprzód? Ale w jaki sposób? Co czeka w przyszłości kogoś takiego jak ja? Przez dwadzieścia pięć lat uczyłam się, jak żyć na walizkach. Jak kłamać. Jak nie ufać nikomu. Jak w nic się nie angażować. Nawet w Bostonie nawiązałam zaledwie kilka przelotnych znajomości ze znajomymi ze Starbucksa, a relacje z moją bogatą klientelą rzadko przypominały coś więcej aniżeli stosunki pani z pokojówką. Chodziłam do kościoła, ale zawsze siadałam z tyłu. Nie chciałam, żeby duchowny zadawał kłopotliwe pytania, zmuszając mnie tym samym do kłamstwa. A wracając do mojego interesu, co będzie, gdy naprawdę uda mi się go rozwinąć, jeśli zatrudnię pracowników? Przecież czeka na mnie wówczas cała biurokratyczna machina, urzędy, pozwolenia, podania. Czy ktoś kiedyś nie odkryje, że moje papiery są fałszywe? Wmawiałam sobie, że trzeba być optymistą. Powtarzałam, że przecież trzymam rękę na pulsie, mam swoje marzenia. I nie będę marionetką w rękach ojca. Ale prawda była taka, że tydzień za tygodniem, każdy dzień niepewności, czy ktoś aby nie czyha na mnie za rogiem, wyglądał tak samo. Mój interes się nie rozwijał. Nie miałam przyjaciół, wszystkie randki były niezobowiązujące. Nigdy się nie zakocham. Nigdy nie będę mieć rodziny. Dwadzieścia pięć lat po tym, jak zaczęłam uciekać, moi rodzice nie żyli, a ja byłam sama jak palec i w dodatku tak samo przerażona jak w dzieciństwie. Wtedy wiedziałam już, o czym mówiła Catherine. Miała rację. Nigdy tak naprawdę nie uciekła z tamtej jamy. Tak jak

ja nigdy nie przestałam żyć jak ruchomy cel.

- Muszę iść do toalety — zdołałam wymamrotać.

— Ja też.

— Wybacz, ale chyba potrzebuję chwili prywatności.

Wzruszyła ramionami.

- Przypudruję tylko nos.

Poszła za mną do toalety, ale stanęła w pierwszym z pomieszczeń naprzeciw połączanego lustra. Ja weszłam do kabiny i natychmiast oparłam czoło o zimne metalowe drzwi, próbując odzyskać panowanie nad sobą i skupić się.

Co ojciec zawsze o mnie mówił? Że jestem silna, że jestem szybka, że mam instynkt wojownika.

Ale co on tam wiedział. Tak daleko sięgał w przyszłość, a nie przewidział głupiej taksówki, która pędziła wprost na niego.

Zacisnęłam powieki i dla odmiany pomyślałam o mamie.

Przypomniałam sobie, jak odgarniała mi włosy z czoła.

Wyraz jej twarzy, gdy w tamto jesienne popołudnie powiedziała mi, że mnie kocha i zawsze będzie mnie kochać.

Wyjęłam z kieszeni zdjęcie, które dostałam od pani Petracelli. Zrobione podczas grilla w ich ogrodzie. Siedziałam przy stole tuż obok Dori. Trzymałyśmy lody sorbetowe i uśmiechałyśmy się do obiektywu. Mama stała przy stole, wznosząc toast margarita i uśmiechając się do nas. Tatę widać było w de, zajmował się grillem. Zauważył jednak aparat, albo usłyszał, jak pani Petracelli krzyczy „Uśmiech, proszę”, bo odwrócony był w stronę obiektywu.

Zapach skwierczących hamburgerów, świeżo skoszonej trawy i grillowanych kolb kukurydzy. Szum zraszaczy na trawniku sąsiadów i krzyki bawiących się małych dzieci.

Czułam, jak wzruszenie ściska mi gardło, jak łzy napływają mi do oczu. I wiedziałam, dlaczego nic nie jest tak, jak należy. Ponieważ tak naprawdę chciałam po prostu cofnąć się w czasie. Do tych ostatnich dni lata. Do tych ostatnich

tygodni, kiedy świat był jeszcze bezpieczny.

Wytarłam oczy. Spuściłam wodę w toalecie. Zebrałam się w sobie, bo przecież nie miałam innego wyjścia.

Podeszłam do umywalki, odkładając zdjęcie na bok, żeby go nie pochłapać, kiedy będę myła ręce. Catherine kręciła się wokół, wpatrując się w moje odbicie w lustrze. Pomalowała raz jeszcze usta, rozczesała długie czarne włosy.

Stojąc obok siebie, wyglądałyśmy jak siostry, z których jednej pisane jest bajkowe życie gwiazdy, a druga skończy jako samotna dziwaczka staruszka mieszkająca ze swym kotem.

Jej spojrzenie padło na zdjęcie.

- To twoja rodzina?

Przytaknęłam i nagle poczułam nawet bardziej, niż zauważyłam, jak cała zeszywniała.

- Mówiłaś chyba, że twój ojciec był matematykiem - zaatakowała mnie.

- Bo był.

- Nie kłam, Annabelle. Spotkałam go, właściwie nawet dwa razy. Mogłaś po prostu powiedzieć, że był agentem FBI.

ROZDZIAŁ 21

NIE DOTARŁYŚMY NA CZAS DO HOTELU wynajętego przez Bob-by'ego i D.D. Catherine odstawiła mnie na miejsce 23 minuty po północy. Wsiadłam z taksówki, pomachałam na pożegnanie swojej nowej najlepszej przyjaciółce i chwiejnym krokiem pomaszerowałam w stronę holu. Wiedziałam, że któreś z nich, czy to D.D., czy Bobby, będzie czuć. Na wachcie był Bobby.

— Jedno spojrzenie na moje ubranie w kompletnym nieładzie wystarczyło, by Bobby zauważył coś, z czym ciężko było polemizować.

— Jesteś pijana.

— Wypiłam tylko jeden kieliszek szampana - zaprotestowałam. - Wznosiliśmy toast.

— Za co?

— Och, musiałbyś tam być. Wznosiliśmy toasty za kłamstwa i mężczyzn, którzy notorycznie unikają mówienia prawdy, i właściwie to nie był jeden kieliszek, a trzy.

Byłam zalana w trupa i wiedziałam, że rano obudzę się z okrutnym kacem i wyrzutami sumienia. Catherine rozluźniła się na tyle, by pokazać mi zdjęcie synka i uśmiechać się promiennie. Ma ślicznego synka. Ja też chciałam mieć kiedyś synka. I córkę, małą ukochaną córeczkę, którą chroniłabym ze wszystkich sił.

No i jeszcze miałam ochotę na seks. Najwyraźniej szampan wprowadził mnie w nastrój do miłosnych igraszek.

— Lubisz grillować? — zapytałam Bobby ego i zaczęłam nu-

cić: — If you like piña colada, or getting caught in the rain...
Bobby otworzył szerzej oczy ze zdziwienia.

- Nie powinniśmy byli zostawiać cię z nią samej.

Choć ciężko było skoordynować pracę mózgu z pracą stóp, niestrudzenie próbowałam wykonać w holu coś na kształt tańca, usilnie przekonując samą siebie, że efekt końcowy wcale nie jest opłakany. Kiedy walczyłam, wszyscy zawsze zachwycali się moją pracą stóp. Może czas pomyśleć o lekcjach tańca. Ostatnio stały się takie modne. Może taniec dobrze by mi zrobił. Może warto spróbować czegoś pięknego, płynnego i zalotnego zamiast przesiadywać na siłowni w towarzystwie spoconych kolesiów, którzy okładają się pięściami.

Postanowione; jutro zaczynam nowy rozdział w swoim życiu. Wracam do starego imienia i nazwiska. Annabelle Granger, tak przedstawię się pierwszemu nieznanemu, kiedy podamy sobie dłonie na przywitanie. A co mi tam, rozplakuję mój numer ubezpieczenia społecznego, dodam też do tego wszystkie dane bankowe. Co jeszcze gorszego może się zdarzyć?

Bobby miał naprawdę seksowne ramiona. Nie napakowane jak kolesie z siłowni, którzy zupełnie mi się nie podobali. Jego ramiona były zbite, z delikatnie zarysowaną linią mięśni. Miał na sobie luźną koszulkę polo, zabawnie było obserwować, jak prężą się pod nią mięśnie klatki piersiowej. Podobał mi się też sposób, w jaki się poruszał, wił, że był taki gibki. Niczym pantera.

- Potrzebujesz wody i aspiryny — orzekł.

- Zajmiesz się mną, panie detektywie? — zaczęłam zbliżać się do niego. On zaczął się odsuwać.

- Jezus Maria - mruknął pod nosem.

— Mają tu w hotelu jakiś basen? Chodźmy popływać na golasa.

Wydawało mi się, że jęknął głośno.

— Dzwonię po D.D. — oznajmił i najkrótszą drogą pomaszerował do telefonu w recepcji.

— Nie psuj zabawy — zawołałam za nim. — Poza tym chyba chcesz usłyszeć, czego nowego się dowiedziałam.

To go zatrzymało.

— Czego nowego się dowiedziałas?

— Same sekrety - szepnęłam. - Mroczne, rodzinne sekrety. Ale nie miałam już szansy powiedzieć, jakie. Właśnie w tym momencie tysiące bąbelków szampana dotarły wreszcie do mózgu i straciłam przytomność.

D.D. NIE MIAŁA POCZUCIA HUMORU. Już wcześniej to podejrzewałam, teraz się tylko upewniłam. Bobby na wpół zaniósł, na wpół dotargał moje pijane zwłoki do jej pokoju. Nie było mowy o utuleniu do snu słodkiej małej Annabelle.
Detektyw

Dodge rzucił mnie na sofę. Sierżant D.D. ocuciła mnie szklan-ką zimnej wody.

Natychmiast usiadłam prosto, wściekle prychając. Zaraz potem zerwałam się do toalety, żeby zwymiotować.

Kiedy na ciągle jeszcze chwiejnych nogach wróciłam do pokoju, D. D. powitała mnie garścią aspiryny i pikantnym V8. - Tylko tego nie wyrzygaj - ostrzegła mnie. - Wzięłam go z lodówki pokojowej i dla naszego wydziału jest wart majątek. Cholernie drogi napój nie smakował ani odrobinę lepiej niż zwykły V8. Bardzo starałam się, żeby znów nie wymiotować. - Siadaj i mów - D.D. w dalszym ciągu była wkurzona.

Dopiero teraz zauważyłam, że jest wciąż w ubraniu, choć dawno temu minęła pierwsza w nocy. Nawiedzona kretyńka. Spróbowałam usiąść, ale to tylko wywołało kolejną folę nudności.

Później żałowałam, że wypiliśmy tyle szampana. Nie dlatego, że czułam się potem ratalnie, ale dlatego, że przygasał mój instykt samozachowawczy. Powiedziałam im wszystko to, co trzeźwa Annabelle na pewno by przemilczała.

— Mój ojciec był tajnym agentem FBI - wypaliłam. D.D. skrzywiła się, zmrużyła oczy, znów się skrzywiła.

— O czy ty, do cholery, mówisz?

— Mój ojciec. Pracował dla FBI. Catherine go poznała. Hej, przestańcie!

— Co mamy przestać? - spytał Bobby.

— Patrząc na siebie porozumiewawczo. To jest wkurzające. I na pewno nie tak zabawne, jak wam się wydaje.

W odpowiedzi skrzywili się oboje.

— Catherine poznała twojego ojca? — zapytał z niedowierzaniem Bobby.

— Przyszedł do jej pokoju w szpitalu, kiedy dochodziła do siebie po porwaniu. - Aż pierś uniosła mi się z dumy. Albo przez bąbelki. — Dwa razy ją odwiedził.

- Twój ojciec przesłuchiwał Catherine?

- Tak, przecież wam mówię, że był agentem FBI. A tym wszak zajmują się agenci FBI, przesłuchują ofiary zbrodni. D.D. westchnęła, potarła dłonią czoło, znów westchnęła.

- Zaparzę kawę - stwierdziła nagle. - Annabelle, musisz porządnie wytrzeźwieć.

- Ja nie kłamię! Spytajcie Catherine! Ona wam wszystko powie! Dwa razy przyszedł do jej pokoju.

- W szpitalu - dodał Bobby.

Kiwnęłam głową. To był nieprzemyślany ruch, o mało znów nie zwymiotowałam.

- Przedstawił się jako agent federalny i zadawał różne pytania dotyczące jej porwania.

Przechodząca przez pokój D.D. zatrzymała się na chwilę, po czym ruszając dalej, spytała:

- Różne pytania? To znaczy jakie?

— Kurcze, no pytania, które mogą zadawać agenci FBI. Kto ją porwał, jak wyglądał jej oprawca, jakim samochodem jeździł. Gdzie zabrał ją podejrzany.

— Podejrzany?

- Tak, podejrzany. I wszystkie te pytania, które wy zadawaliście. Gdzie, jakich sprzętów używał, jak długo była przetrzymywana. Co mówił Umbrio o innych ewentualnych ofiarach, jak jej się udało uciec, bla bla bla.

Kawa już się zaparzyła, wypełniając powietrze smakowitym aromatem.

— Dwa razy odwiedził Catherine? — zapytał Bobby.

— Tak powiedziała.

— Pokazał jej odznakę?

— Nie wiem.

— Był z nim ktoś jeszcze? Jakiś przedstawiciel prawa?

Partner?

— Nic nie wspominała, żeby był tam ktoś jeszcze - oparłam dłoń o jego muskularne ramię. - Ale agenci działający w parach to chyba jakiś telewizyjny mit - wyjaśniłam uprzejmie. — Przecież w rzeczywistości wygląda to chyba zupełnie inaczej.

— Ale mają tajnych agentów — dodał Bobby, akcentując każde słowo.

— No tak.

— Którzy jak gdyby nic mieszkają ze swoimi rodzinami.

D.D. z drugiego końca pokoju usilnie starała się mu pokazać, żeby nie ciągnął tematu. To, jak nic innego, zwróciło moją uwagę. Nagle zdałam sobie sprawę, jak idiotycznie brzmią moje słowa. Nagle uświadomiłam sobie, co tak naprawdę oznaczały rewelacje Catherine. Poczulałam jak przewraca mi się żołądek, a podłoga odpływa spod nóg. Tylko że nie mogłam znów dostać mdłości. Nie mogłam stracić

przytomności. Wyłożyłam właśnie pod wpływem alkoholu wszystkie swoje karty przetargowe. Nie miałam już żadnego asa w rękawie.

— Mają tajnych agentów, prawda? - usłyszałam własne pytanie. — To znaczy... jest taka możliwość...

Moja ręka w dalszym ciągu spoczywała na ramieniu Bobbyego. Ten chwycił ją i zaprowadził mnie z powrotem na sofę. Opadłam na nią ciężko. Tkwiłam rak bez ruchu.

Bobby usiadł naprzeciw mnie, na krawędzi łóżka. D.D. przyniosła mi kubek z kawą.

— Czy twój ojciec kiedykolwiek wspominał, że był agentem FBI? - zapytał cicho Bobby.

Upiłam łyk gorącej kawy, pokręciłam przecząco głową.

— Czy kiedykolwiek słyszałaś, jak mówił komukolwiek innemu, że jest agentem?

Kolejna negatywna odpowiedź, kolejny łyk kawy.

— Oczywiście skontaktujemy się z biurem w Bostonie i spytamy — odpowiedział łagodnie Bobby.

- Ale...

— FBI to nie CIA, Annabelle. Poza tym żaden wyszkolony agent FBI nie wszczynałby takiego alarmu z powodu podglądacza, sam by sobie z nim poradził. Po drugie, gdyby czuł, że jemu i jego rodzinie zagraża jakieś niebezpieczeństwo, wezwałby na pewno wsparcie. Twój ojciec był trzy razy przesłuchiwany przez lokalną policję i ani razu nie wspomniał, że jest agentem. To za bardzo istotny element układanki, żeby o nim nie wspomnieć. To... po prostu nie trzyma się kupy.

— Ale dlaczego przedstawiałby się Catherine jako agent? Przerwałam. Wreszcie sama wiedziałam już dlaczego, było jedno logiczne wyjaśnienie, które oni wiedzieli od samego początku. Ponieważ ojciec chciał poznać szczegóły porwania Catherine. Informacje z pierwszej ręki, ze źródła. Te

informacje były dla niego tak ważne, że nie zawahał się udawać agenta federalnego, i to nie raz, ale dwa razy. Już w listopadzie 1980 roku mój ojciec miał obsesję na punkcie aktów przemocy dokonywanych na małych dziewczynkach. Tylko że wtedy, przynajmniej w teorii, nikt mnie jeszcze nie prześladował.

Wylałam kawę, gorący napój poparzył mi rękę, czego użyłam jako wymówki, by wyjść do toalety. Puściłam wodę i wpatrywałam się we własne odbicie w lustrze. Byłam trupio blada, po czole ściekał mi pot.

Chciałabym znów zwymiotować. Nic z tego.

Umyłam twarz zimną wodą. Raz, drugi, kolejny.

Kiedy wróciłam do pokoju, na twarz znów narzuciłam maskę, choć wiedziałam, że ona nikogo nie oszuka.

— Wracam do swojego pokoju - powiedziałam cicho.

W spojrzeniach Bobby'ego i D.D. malowało się niezadowolone. Czyżby myśleli, że ucieknę? I nagle dotarło do mnie: oni naprawdę tak myśleli. To był przecież mój modus operandi. Dziewczyna o wielu imionach, dziewczyna stworzona do ucieczki. Tylko tak naprawdę to nie byłam ja. To był mój ojciec.

Fe, nieładnie! Któż tak kłamie? Zaraz się poskarzę mamie!

Przy każdej kolejnej przeprowadzce mama i ja popełnialiśmy kupę błędów. A to użyliśmy złego nazwiska to wspomnieliśmy nie to miasto, zapomnieliśmy o jakichś istotnych szczegółach. Tata nie popełniał takich błędów, nie jękał się, nie wahał, był zawsze opanowany. Dlaczego nigdy nie zastanawiałam się, gdzie nauczył się tak świetnie kłamać?

Dlaczego tak łatwo dostosował się do życia pełnego ucieczek?

Dlaczego nie stanowiło to dla niego najmniejszego problemu?

Ojciec zawsze powtarzał, że bym nie ufała nikomu. Może miał też na myśli siebie.

Bobby i D.D. w dalszym ciągu nie odezwali się słowem. Nie

mogłam dłużej czekać. Odwróciłam się na pięcie i skierowałam w stronę wyjścia. Żadne z nich nie protestowało, nawet gdy zamknęłam za sobą drzwi i znalazłam się sama w korytarzu.

Przez moment przeszło mi to przez myśl. Uciekaj. Nic w tym trudnego. Jeden krok, drugi, biegnij.

Ale nie zaczęłam biec. Szłam. Wolno, ostrożnie, krok za krokiem, do swojego pokoju.

Potem leżałam w ubraniu na tanim hotelowym łóżku, wpatrując się w biały sufit. Odliczałam godziny do świtu, ściskając w dłoniach fiolkę z prochami rodziców i modląc się o siłę, której będę potrzebować, by przeżyć to, co mnie czeka.

ROZDZIAŁ 22

BUDZIK WYRWAŁ BOBBY'EGO ZE SNU o piątej. Uznał, że wstawanie o tej porze jest po prostu nieludzkie, i włączył opcję drzemki. Zyskał dodatkowe dwie minuty snu, zanim zadzwonił telefon. Oczywiście była to D. D.

- Czy ty w ogóle sypiasz? - spytał.
- A co, kurwa, jesteś moją matką?
- No właśnie dlatego powinnaś odpocząć.
- Bobby, mamy trzy godziny do wyjazdu na lotnisko. Zbieraj dupę i chodź tu.

Potok dalszych słów nie pozostawiał złudzeń co do jej na stroju. Bobby wziął prysznic, ogolił się, spakował i nalał sobie kubek gorącej kawy. Kiedy dotarł w końcu do pokoju D.D. ta przypominała wulkan na kilka sekund przed wybuchem. Był przekonany, że powita go kolejną falą wyrzutów, ale ona chyba w ostatniej chwili doszedłszy do wniosku, że wściekaniem się nic tak naprawdę nie wskóra, w milczeniu otworzyła mu drzwi.

Jej pokój wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan Taca hotelowa upstrzona była resztkami jedzenia i porozlewane wokół kawy, a po całym pokoju walały się sterty papierów. Cokolwiek robiła od momentu, kiedy Bobby widział ją po raz ostatni, na pewno nie miało to nic wspólnego z odpoczynkiem.

- Rozmawiałam już z kierownikiem hotelu - poinformowała go. - Obiecał, że gdyby Annabelle próbowała się wymeldować, natychmiast nas zawiadomi.

Bobby spojrział na nią.

- No bo przecież jeśli Annabelle zdecyduje się na ucieczkę,

nie omieszka poinformować o tym obsługi hotelowej oraz dopełnić niezbędnych formalności.

- O Boże...

- D.D., usiądź. Weź głęboki oddech. Na litość boską, wyglądasz jak zombie - pokręcił głową ze złością. Na jej twarzy pojawił się jedynie grymas niezadowolenia.

D.D. miała na sobie te same, co poprzedniego wieczoru, pomięte i cuchnące teraz już dwudniowym potem ciuchy. Jej skóra przybrała ziemisty odcień, oczy miała przekrwione, a poskręcane kosmyki włosów były w kompletnym nieładzie.

- D.D. — podjął kolejną próbę. — Nie możesz tak dalej.

Wystarczyłoby, żeby komendant spojrział w tej chwili na ciebie, a musiałabyś zapomnieć o tej sprawie. Nie wystarczy walczyć ze zmęczeniem podwładnych, trzeba też zająć się czasem swoim.

- Nie życzę sobie, żebyś mówił do mnie tym tonem...

- Zerknij w lustro, D. D.

- Nie będziesz robił mi wykładów tylko dlatego, że wykonuję swoją robotę.

- Zerknij w lustro, D. D.

- Może nie wiesz, ale ja nie potrzebuję zbyt dużo snu.

- Chwycił jej ramiona i siłą stanowczo obrócił w stronę lustra na ścianie.

- O mój Boże!

- No właśnie.

- Dłonią przejechała po nieujarzmionej burzy loków.

- To przez wilgoć.

- Jesteśmy w Arizonie.

- Nowy szampon?

- D.D., potrzebujesz snu. Nie mówiąc już o prysznicu i dwutygodniowych wakacjach na Tahiti. Zaczynaj może od prysznicu.

Zmarszczyła nos. Ciężko westchnęła i zrezygnowana opuściła

ramiona.

- Elementów tej układanki jest po prostu za dużo - powie-
działa zmęczona — i jeden nie pasuje do drugiego.

- Wiem.

- Christopher Eola, Richard Umbrio, ojciec Annabelle. Mam
już zupełny mętlik w głowie.

Bobby przysunął sobie krzesło i rozsiadł się wygodnie, za-
kładając ręce za głowę.

- Dobra, podsumujmy raz jeszcze, co wiemy. Listopad tysiąc
dziewięćset osiemdziesiątego...

- Umbrio porywa młodą dziewczynę, przetrzymuje ją w
swojej podziemnej kryjówce, którą znalazł w lesie — D. D.
opadła ciężko na skraj łóżka, opierając łokcie o kolana.

- Mamy podstawy przypuszczać, że to była jego pierwsza
zbrodnia, popełniona pod wpływem chwili.

- Pasuje do jego profilu samotnika, zupełnie nieprzysto-
sowanego do życia w społeczeństwie.

- Ofiarę wybiera przypadkowo, pod wpływem impulsu.

- Bo ma akurat na sobie ubranie, które go kręci - uściśliła
D.D.

- Ale też dlatego, że była sama i wpadła w zasadzkę. Przede
wszystkim zero premedytacji. To pierwsza zasadnicza różnica
między nim a nieznanym sprawcą, który prześladował Anna-
belle Granger.

- Catherine bardzo stanowczo twierdziła, że Umbrio dusił ją
gołymi rękoma - D. D. zawahała się. - Nie jestem pewna, ale
wydaje mi się, że przez folię dojrzałam coś wokół szyi ofiar,
jakieś węzły.

- Związywał je dosyć wymyślnie - zgodził się Bobby.

- Mamy więc kolejną różnicę.

- Założmy taką wersję.

- Umbrio porwał tylko jedną ofiarę - dodała D.D.

- Nasz morderca z Mattapan aż sześć. Ale może porwał je

pojedynczo, co do tego nie mamy nadal pewności.

- No tak - D.D. przytakiwała spokojnie. Wyglądało na to, że otrząsnęła się jakoś z wcześniejszego stanu i powoli zbierała się w sobie.

- No i jeszcze kolejny element układanki. Ojciec Annabelle.

- No tak, jeszcze on.

- Informacje o nim skłaniają nas jedynie do przyjęcia naszej pierwszej teorii, że ktoś zainspirowany zbrodnią Umbria postanowił zabawić się w ten sam sposób na terenie byłego szpitala psychiatrycznego. Założyliśmy, że ten ktoś mógł poznać Umbria osobiście w więzieniu, może był tylko znajomym korespondencyjnym. Ale może kluczem do całej sprawy jest właśnie cała ta maskarada Grangera z podszywaniem się pod agenta FBI.

- Właśnie - potwierdził ponuro Bobby.

- Znaleźliśmy coś o Rusellu Grangerze?

Bobby skrzywił się.

— W dalszym ciągu nie mogę znaleźć jego prawa jazdy ani numeru ubezpieczenia. Próbowałem różnych baz danych, różnej pisowni. Próbowałem tego samego z Leslie Ann Granger, matką Annabelle. Nic, guzik, psińco.

— Innymi słowy Russell Granger to również przybrane nazwisko.

— Też sobie tak pomyślałem. Udało mi się skontaktować z kierowniczką działu zatrudnienia na uniwersytecie MIT, jeszcze zanim wyjechaliśmy z miasta. W archiwum kadr nie znalazła żadnych papierów Russella Grangera. Teraz dla pewności próbuje się skontaktować z szefem matematyki z lat osiemdziesiątych. Przy odrobinie szczęścia uda mi się z nim porozmawiać, gdy tylko wrócimy do Bostonu.

— A co z ciągłym podróżowaniem? — zastanawiała się D.D.

— Jeśli zdecydowali się gdzieś zatrzymać, musieli mieć chyba, do cholery, jakiś powód? Sprawdzałeś miasta, sprawdzałeś

tamtejsze kartoteki?

Bobby spojrział na nią wymownie.

— Oczywiście, droga szefowo, to jedne z tych rozmów, które zostawiam sobie na czas wolny, czyli tak gdzieś pomiędzy drugą a czwartą nad ranem.

— No jeśli czujesz, że obowiązki cię przerastają...

— Och, odwał się, D.D.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Ostatnio niewielu ludzi mogło odezwać się do niej w ten sposób. Kładł to na karb swego wdzięku osobistego.

Tymczasem jej nastrój uległ zmianie, stała się nagle śmiertelnie poważna.

— Bobby, a którego nazwiska używał ojciec Annabelle, tu, w Bostonie?

Popatrzył na nią zupełnie zbity z tropu.

— Russell Granger, myślałem, że na tym opiera się cała rozmowa.

- Bobby, nie pytam o rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Chodzi mi o to, jak się nazywał, kiedy po latach wrócili do Bostonu. Ona została Tanyą Nelson, a on...

— Panem Nelsonem? — zażartował Bobby. Przekartkował swój notes. Przy pierwszym przesłuchaniu Annabelle zanotował wszystkie miasta, daty i przybrane nazwiska. Znalazł odpowiednią stronę, przeleciał ją wzrokiem dwa razy.

- Nie mam tu Bostonu. Annabelle nic nie mówiła o powrocie do Bostonu.

D.D. zmarszczyła brwi.

— Interesujące niedopowiedzenie, nie sądzisz?

— Mamy tu mnóstwo miast i przybranych nazwisk — odparł Bobby. — Daj spokój, nawet nam ta informacja gdzieś uciekła.

D.D. nadal wydawała się nastawiona sceptycznie.

- Zdobądź tę informację, detektywie. Sprawdź to. Może w latach osiemdziesiątych udało się Gangerowi skutecznie ukryć, ale kiedy znów powrócił w te okolice...

— Jasne, w porządku. Ktoś gdzieś musiał coś zapamiętać.

— Właśnie. I jeszcze jedna rzecz... nic nie mów Annabelle.

— Rozumiem.

— Nie chcę wyklądać wszystkich kart. Jeśli to Russell Gran-ger jest kluczem do całej zagadki, Annabelle stanowi naszą je-dyną szansę na rozwiązanie. A to oznacza, że jeśli chcemy się czegokolwiek dowiedzieć, potrzebujemy jej współpracy. — D. D. zastanawiała się chwilę. — I musimy raz jeszcze porozmawiać z Catherine.

— Chodzi ci chyba o to, że to ja będę musiał z nią jeszcze porozmawiać — poprawił ją. - Nie bierz tego do siebie, ale jak sama powiedziałaś, czas ucieka, a wam cały dzień zejdzie na docinkach i złośliwościach. Mamy — zerknął na zegarek - mniej więcej dwie godziny, co oznacza, że ja zajmę się Catherine, a ty pomatkujesz Annabelle. — Omiótł wzrokiem jej pokój. — Możesz ją na przykład zaciągnąć do sprzątania.

— Bardzo zabawne.

— I obiecaj, że weźmiesz prysznic.

- Jeszcze śmieszniejsze.

— Włożysz świeże ciuchy?

Wstawał z krzesła, kiedy walnęła go w ramię. Bolało jak sto diabłów, co świadczyło, że D.D. wraca do formy.

— Spotkamy się na lotnisku — krzyknął.

— Już się nie mogę doczekać.

DZIESIĘĆ MINUT ZAJĘŁO BOBBY'EMU zabranie bagażu, ogarnięcie pokoju i wezwanie taksówki. Właśnie zaczęło wschodzić słońce, zalewając niebo nienaturalnym odcieniem różu, przeplatany gdzieniegdzie smugami przydymionego

fioletu. O tej porze na drodze nie będzie jeszcze ruchu. Wątpił, czy Catherine będzie na nogach o tej godzinie, co mogło działać na jego korzyść lub wręcz przeciwnie. Zastanawiał się, czy wciąż miewa koszmary i czy w snach nawiedza ją Richard Umbrio? Czy może nieżyjący mąż?

Musiał zadzwonić dwa razy, zanim w domofonie odezwał się głos. Kiedy taksówkarz wjechał na teren posesji, otworzył sam

szerzej oczy ze zdziwienia, nie odezwał się jednak słowem.

— Czy może pan na mnie zaczekać? — zapytał Bobby, machając mu przed nosem odznaką.

Zgarbiony Latynos najwyraźniej jeszcze bardziej się zde-nerwował.

- Może pan zostawić włączony licznik - zapewnił go Bobby.

— Jak tylko skończę to spotkanie, muszę pędzić na lotnisko.

Wolałbym, żeby taksówka już czekała.

Taksówkarz zgodził się niechętnie i Bobby skinął głową zadowolony. Chciał, żeby taksówkę było widać z okien domu.

Tak tylko, żeby zaznaczyć, że wpadł tu jedynie przejazdem.

Gospodyni otworzyła drzwi. Wcale się nie zdziwiła na jego widok. Poinformowała go jedynie, że señora wkrótce do

niego zejdzie. A może miałby ochotę na coś do picia?

Bobby podziękował i podążył za nią do atrium, gdzie poleciała mu rozgościć się przy stoliku. Na blacie ozdobiony mozaiką z motywem pawia już czekał rozłożony srebrny serwis do kawy.

Usiadł, nalał sobie filiżankę kawy i próbował nie zerkać ciągle na zegarek. Zastanawiał się, jak długo Catherine każe na siebie czekać. Słodkie wyczekiwanie czy kara? Z nią nigdy nic nie wiadomo.

Piętnaście minut. Tyle kazała mu czekać.

Kiedy się w końcu zjawiała, miała na sobie błękitną satynową suknię wiążaną w talii. Długa, wijąca się tkanina poruszała się

pod dyktando jej ciała, a nasycony błękit jeszcze podkreślał blask jej czarnych włosów. W kącikach jej ust błędził uśmiech. Od razu rozszyfrował tę aranżację.

Ich pierwsze spotkanie po strzelaninie odbyło się w Mu-seum Isabelli Steward Gardner. Stała wówczas przed obrazem Whistlera Lapis Lazuli, wpatrując się w nagą kobietę wtuloną w otchłań błękitnej, orientalnej tkaniny. Zwróciła wtedy jego uwagę na zmysłowe pociągnięcia pędzla i erotyczną wymowę samej pozy.

Wybrała tamten obraz, żeby go omamić, tak jak dziś wybrała tę suknię w tym samym celu.

I choć doskonale zdawał sobie sprawę z jej intencji, i tak poczuł, jak ściska mu się żołądek.

Podeszła do niego, zatrzymując się przy stole. Nie usiadła.

— Tęsknił pan za mną, detektywie?

— Słyszałem, że dają tu dobrą kawę. Uśmiechnęła się szerzej.

— Widzę, że ciągle udajesz trudnego do zdobycia.

— A ty ciągle błyskotliwa — przyznał. — Jak czuje się dziś Nathan?

Cień przemknął jej po twarzy.

— To była ciężka noc. Nie pójdzie chyba dzisiaj do szkoły.

— Koszmary?

— Zdarzają się. Chodzi teraz do świetnego specjalisty. No i ma swojego psa. Kto by przypuszczał, że pies Richarda odegra w tym taką rolę? On go uspokaja czasem skuteczniej niż ja. Chyba robi postępy. - A ty?

Posłała mu zalotne spojrzenie.

- Jestem już za stara, żeby zwierzać się nieznajomemu ze swoich uczuć — odsunęła wreszcie krzesło, z gracją siadając przy stole. Bobby nalał jej kawy do filiżanki z delikatnej porcelany. Przyjęła to bez słowa.

Przez kilka kolejnych minut siedzieli tak, sącząc kawę i zadowalając się milczeniem.

- Przyszedłeś tu z powodu Annabelle - odezwała się w końcu Catherine. - Dlatego, że rozpoznałam jej ojca.

- To mnie zupełnie zaskoczyło - przyznał. — Możesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie ma wiele do opowiadania. Leżałam w szpitalu. Przyszedł do mojego pokoju. Zadawał pytania.

- Przedstawił się?

— Nie, powiedział jedynie, że jest agentem specjalnym FBI. Choć widziała pełną niedowierzania minę Bobby'ego, ciągnęła dalej ze śmiertelną powagą.

— Zapamiętałam go tylko dlatego, że sprzeczał się ze mną. Byłam w szpitalu, szczęśliwa, że wreszcie wszyscy sobie poszli, że nikt nie zadaje mi tych wszystkich kretyńskich pytań. „Jak się czujesz, Catherine?” „Potrzebujesz czegoś?” „A może coś ci przynieść?” Byłam wygłodzona, odwodniona i zgwałcona w stopniu, kurwa, niepojętym. Chciałam jedynie, żeby zostawiono mnie w spokoju. A wtedy on wszedł do mojej sali, ubrany w ciemny garnitur i krawat. Nie był wielkiej postury, ale całkiem przystojny. Błysnął mi przed oczami odznaką i oznajmił: „Agent specjalny FBI”. Tak po prostu. Pewnym głosem. Pamiętam, że zrobił na mnie wrażenie. Odpowiadał dokładnie wyobrażeniom agenta FBI.

— I co zrobił, Catherine? Wzruszyła ramionami.

— Zadawał pytania. Takie typowe policyjne pytania. Czy zapamiętałam, jak wyglądał samochód? Kolor, marka, model, numery tablic, wnętrze. Prosił, żebym opisała, jak wyglądał kierowca. Wzrost, waga, kolor skóry, wiek, tożsamość etniczna. Co mówił, jak się zachowywał? Gdzie mnie zabrał, jak się tam dostaliśmy i tak dalej, i tak dalej. A potem pokazał mi szkic.

- Szkic?

- Tak, rysunek wykonany ołówkiem. Czarno-biały. Bardzo precyzyjny, z dużą ilością szczegółów, dokładnie taki, jakiego

spodziewałabym się od policyjnego portrecisty. Obudziła się we mnie nadzieja, bo nikomu wcześniej nie udało się zidentyfikować mojego napastnika. Ale mężczyzna na szkicu nie był Richardem.

Bobby zamrugał kilka razy.

- To nie był portret Richarda Umbrio?

- Nie, mężczyzna na rysunku był niższy i miał bardziej szlachetną linię szczęki. Pan Agent Specjalny nie ucieszył się, kiedy mu o tym powiedziałam.

- To znaczy?

- Zaczął się ze mną sprzeczać. Sugerował, że mogłam nie pamiętać dobrze, bo przecież znajdowałam się pod ziemią i było tam zupełnie ciemno. Szczerze mówiąc, zaczął mnie wkurzać. Ale wtedy drzwi się otworzyły, weszła pielęgniarka, a on wyszedł.

- Pan Agent Specjalny tak po prostu wyszedł?

- Tak. Zamknął swój notesik i po prostu się ewakuował.

- Pielęgniarka skomentowała jakoś jego obecność?

- Nie przypominam sobie niczego takiego.

Bobby zmarszczył czoło, próbując jakoś poukładać wszystkie elementy w całość.

- Czy Pan Agent Specjalny przedstawił się jakoś, zostawił namiary, wizytówkę?

- Nie.

- Wspominałaś komuś o jego wizycie? Policji, rodzicom?

Catherine zaprzeczyła ruchem głowy.

— Wszyscy naokoło zadawali mi jakieś pytania. Jeden więcej mężczyzna w garniturze nie stanowił dla mnie różnicy.

— Ale potem odwiedził cię po raz drugi?

- W dniu, w którym mieli mnie wypisać. Tym razem w pokoju była pielęgniarka, która mierzyła mi ciśnienie. Drzwi się otworzyły, a w nich pojawił się on. Wyglądał dokładnie tak samo jak przy pierwszej wizycie. Ciemny garnitur, biała

koszula, ciemny krawat. Teraz gdy o tym myślę, być może nawet ten sam garnitur, co za pierwszym razem. Pokazał pielęgniarce swoją odznakę i poprosił, żeby nas na chwilę zostawiła samych. Ta pospiesznie opuściła salę. Podszedł do mojego łóżka, wyciągnął swój notes. Raz jeszcze zadał te same pytania. Tym razem ton jego głosu był łagodniejszy, ale ja pałam do niego znacznie mniejszą sympatią. Wszyscy wokół zadawali mi jakieś pytania, ale nie udzielali żadnych odpowiedzi. No i oczywiście znów pokazał mi szkic

— Ten sam?

- Dokładnie ten sam szkic. Tylko że tym razem wprowadził pewne zmiany. Włosy były gęstsze, większy cień padał na

policzki. „A co powiesz teraz?” - zapytał. Pokręciłam głową, a on zaczął wprowadzać kolejne poprawki.

— Poczekaj - przerwał Bobby. - Chcesz mi powiedzieć, że to on sam narysował ten szkic, że to nie był portret pamięciowy przygotowany przez policję?

— Na początku uważałam, że policja przygotowała ten rysunek, ale sądząc z tego, jak się przykładał do poprawek, było jednak inaczej. Jego poprawki doskonale współgrały z całością portretu. Kto by pomyślał, że agenci FBI mają takie zdolności? — wzruszyła ramionami Catherine.

— A więc na twoich oczach poprawiał szkic?

— Tak, ale to niczego nie zmieniło. Mężczyznę na rysunku nie był Richard i żadne kombinowanie z uczesaniem nie mogło tego zmienić. Właśnie to powiedziałam Panu Agentowi Specjalnemu. Nie przyjął tego najlepiej. Upierał się, że nie mam racji. Sugerował, że może osoba ze szkicu przybrała na wadze albo nosiła perukę.

Catherine z pogardą wykrzywiła kącik ust.

— Ja miałam przecież zaledwie dwanaście lat. Co mogłam wiedzieć o przebraniu czy kamuflażu? Pan Agent Specjalny

zadał mi pytanie, ja udzieliłam mu odpowiedzi. Naprawdę wkurzył mnie, kiedy zaczął się ze mną sprzeczać.

— Co było dalej? - dopytywał Bobby.

— Powiedziałam mu, żeby sobie poszedł.

— Posłuchał?

Catherine zawahała się na moment, podniosła filiżankę i trzymała ją przez chwilę na wysokości ust.

— Przez chwilę... przez moment pomyślałam, że tego nie zrobi. I pamiętam, że przez ułamek sekundy poczułam się nieswojo. Ale potem zjawili się sanitariusze i Pan Agent Specjalny dał nogę. Żegnaj, krzyżyk na drogę, czyż nie tak się mówi?

Catherine podmuchała na swoją gorącą kawę i w końcu upiła łyk.

— Widziałaś go jeszcze potem?

- Nie.

- Wspominałaś komukolwiek o jego wizycie?

- Kilka tygodni później, kiedy policja pokazała mi w końcu kilka zdjęć, żebym go mogła zidentyfikować. Od razu wskazałam zdjęcie Richarda i powiedziałam, że wreszcie mnie ktoś słuchał uważnie. Ale policja nie wiedziała chyba, o co mi chodziło. Jakoś mnie to nie zdziwiło wtedy, nawet dwunastoletnia dziewczynka liczyła się z tym, że przepływ informacji między przedstawicielami prawa nie zawsze działa bez zarzutu.

Bobby tylko odchrząknął.

- A co z innymi agentami FBI? Przesłuchiwał cię kiedyś jakiś inny agent FBI?

- Nie.

- I nie pomyślałaś, że to dziwne? Znów wzruszyła jedynie ramionami.

- Nie narzekałam na brak towarzystwa policjantów zainteresowanych moją sprawą. Każdy jeden pieprzony

mundurowy chciał poznać wszystkie obleśne szczegóły. Czy was, facetów, to kręci? Podnieca? Walicie konia, czytając swoje notatki z przesłuchań ofiar gwałtów?

Bobby nie odpowiedział. Catherine miała prawo być wściekła i tyle lat po tych wydarzeniach żadne z nich nic nie mogło na to poradzić.

Po chwili jej spojrzenie złagodniało. Znowu upiła kawy.

- Myślisz, że był oszustem? - spytała nagle.

- Ojciec Annabelle?

- Czy dlatego tu przyszedłeś? Bo on kłamał?

- Nie wiem jeszcze, właśnie próbuję to ustalić.

- Ukrywał ją. To przecież coś znaczy. Kiedy jego córce coś groziło, zadbał o jej bezpieczeństwo. Nie spodziewałabym się czegoś takiego po matematyku.

- Być może.

Ani na chwilę nie dała się zwieść Bobbyemu.

- Ale jeśli nie był agentem FBI, to po co przyszedł do mojej sali, po co zadawał tyle cholernych pytań? - wybuchła. - Po co pokazywał mi portret pamięciowy?

- Nie wiem.

- Nie wiesz, czy nie chcesz mi powiedzieć? — Zapytała z goryczą, a potem westchnęła zrezygnowana. Sprawiała wrażenie przygnębionej.

- Masz piękny dom - odezwał się w końcu Bobby. - Arizona ci służy.

- Ech, pieniądze.

- Cieszę się, że Nathan dochodzi do siebie.

- On jest miłością mojego życia - zapewniła żarliwie i Bobby jej wierzył. Nikt tak jak on nie wiedział, jak daleko Catherine jest gotowa się posunąć, by chronić swoje dziecko. To właśnie dlatego ich związek zawsze dotyczył tylko kwestii służbowych.

- Dziękuję za kawę - rzekł.

— Już wychodzisz? Tak szybko? - Jej uśmiech był rzewny, ale Bobby wiedział, że nie jest zaskoczona.

— Taksówka czeka.

Myślał, że spróbuje go zatrzymać, a przynajmniej zaprotestuje. Ale ona wstała i bez słowa odprowadziła go do drzwi wyjściowych. Zastanawiał się, czy nie powinien czuć się tym urażony, ale wówczas nie byłby w porządku ani wobec niej, ani wobec siebie.

W ostatniej chwili, gdy dochodzili już do szerokich orzechowych drzwi, położyła mu dłoń na ramieniu, dotykiem opuszków palców sprawiając, że po całym ciele przeszedł go dreszcz.

— Pomożesz jej?

— Annabelle? — zapytał zmieszany. — Na tym polega moja praca.

— Ona jest piękna — wyszeptała Catherine. Nie odpowiedział.

- Naprawdę, Bobby, uważam, że jest piękna. Kiedy się śmieje, uśmiech rozkwita jej w oczach, a nie tylko na ustach. Z taką pasją mówi o tych swoich materiałach. Zastanawiam się...

Urwała. Oboje doskonale wiedzieli, co miała na myśli. Zastanawiała się, jak mogłoby wyglądać dziś jej życie, gdyby nie spotkała na swojej drodze niebieskiego szewroleta, gdyby młody człowiek za kółkiem nie poprosił jej, żeby pomogła mu znaleźć zgubionego psa, gdyby jako dwunastoletnia dziewczynka nie utonęła w otchłani czarnej jamy.

Bobby chwycił jej dłoń i ścisnął ją.

— Ty jesteś dla mnie piękna.

Pocałował ją raz, w policzek. Potem wyszedł.

ROZDZIAŁ 23

NA LOTNISKU ANNABELLE siedziała cztery siedzenia od D.D. i obejmując rękoma kolana, śledziła ruch na płycie lotniska. Zauważywszy Bobby'ego, podniosła wzrok na ułamek sekundy, po czym wróciła do obserwowania wszystkich, którzy nie byli detektywami prowadzącymi śledztwo w jej sprawie. Odebrał sygnał prawidłowo i zostawił ją samą sobie.

D.D. pomachała mu na powitanie. Jej blond loki były wilgotne, a ubranie świeże. Niezwykle ożywiona, rozmawiała przez komórkę, rzucając takim przekleństwami, że siedząca obok matka z małym dzieckiem ostentacyjnie wstała i przeniosła się na inne miejsce. Bobby wziął to za dobry znak.

Udał się do Starbucksa. Jego żołądek zżymał się na myśl o kolejnej kawie. Kupił więc trzy butelki wody i jogurty. Wrócił do kobiet. D.D., w dalszym ciągu rozmawiając przez telefon, skrzywiła się niechętnie na widok jogurtu — najwyraźniej miała większą ochotę na kufel piwa - ale gestem pokazała, żeby zostawił przekąskę na krześle. Skierował się więc w stronę jeszcze bardziej skulonej na swoim siedzeniu Annabelle.

Zaproponował poczęstunek, a gdy zgodziła się niechętnie, usiadł obok i wydobył z torby dwie plastikowe łyżeczki do jogurtu.

- Jak się czujesz? Skrzywiła się.
- Potrzebujesz więcej aspiryny?
- Potrzebuję nowej głowy.

— Wiem, o czym mówisz, nieraz to przechodziłem.

— Odpuść sobie — odparła, ale nieznacznie przysunęła się do niego, mocując się z folią zamykającą jogurt. Na jej szyi dyndał wisiołek, z którym nigdy się nie rozstawała. Przyglądał się fiołce, dopóki go na tym nie przyłapała, czerwieniąc się momentalnie, gdy zdała sobie sprawę, gdzie spoczywa jego wzrok. Przykryła szkło dłonią z zakłopotaniem i natychmiast schowała łańcuszek pod koszulę.

— Czyje? — zapytał cicho, bo zdążył dojrzeć, że fiołka zawiera prochy.

- Matki i ojca - burknęła pod nosem, najwyraźniej niechętna do rozmowy na ten temat. On jednak postanowił kontynuować.

— Co zrobiłaś z resztą?

- Rozsypałam. Nie było sensu chować rodziców pod fałszywym nazwiskiem. Wydawało mi się to nie w porządku w stosunku do innych zmarłych.

- Jak nazywała się twoja matka w dniu śmierci, Annabelle? Popatrzyła na niego niepewnie.

- Dlaczego pytasz?

- Bo mogę się założyć, że ze wszystkich jej imion i nazwisk najbardziej zapamiętałaś, jak się nazywała, gdy mieszkaliście w Arlingoton, i jak nazywała się w dniu śmierci.

Kiwnęła głową.

- Mama nazywała się Leslie Ann Granger, a umarła jako Stella L. Carter. Tych nazwisk nigdy nie zapomnę.

- A ojciec?

- Nazywał się Russell Walt Granger, umarł jako Michael W. Nelson.

- Podoba mi się wisiołek - rzekł cicho.

- Makabryczny pomysł.

— Sentymentalny. Westchnęła.

— Dziś bawi się pan w dobrego glinę, detektywie. To znaczy, że D.D. da mi niezły wycisk podczas lotu.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz przecież, że gramy w tej samej drużynie, Annabelle. Wszyscy chcemy poznać prawdę. A tobie chyba najbardziej na tym zależy.

— Nie podchodź mnie w ten sposób. Dla ciebie to po prostu łamigłówka do rozwiązania. Dla mnie to kwestia życia i śmierci.

- Czego tak się boisz, Annabelle?

- Wszystkiego - odparła bezbarwnym tonem. Wzięła jogurt, odwróciła się i ponownie zajęła się obserwacją samolotów.

- OJCIEC ANABELLE UMARŁ jako Michael W. Nelson. - Trzy minuty później Bobby przekazał informację D. D. Ta zerknęła na

Annabelle, ale dziewczyna patrzyła w innym kierunku i zupełnie nie zwracała na nich uwagi.

— Doskonała robota, detektywie.

— Ma się ten dar — odparł Bobby, starając się wmówić samemu sobie, że wcale nie czuje się jak skończony łajdak.

SAMOLOT OSIĄGNAŁ WYSOKOŚĆ PRZELOTOWĄ.

Siedząca po drugiej stronie przejścia Annabelle odchyliła oparcie fotela i zasnęła. D. D. odwróciła się nagle do Bobby'ego z płomieniem w oku.

- Namierzyliśmy Christophera Eole — poinformowała podekscytowana. - Albo raczej potwierdziliśmy jego zniknięcie. Wyobraź sobie, że wypuścili go z Bridgewater w siedemdziesiątym ósmym roku.

- Serio?

— Jakiś tytan intelektu zdecydował, żeby nie wnosić oskarżenia w sprawie buntu pacjentów w szpitalu w Bostonie. Tak więc w kartotece Eoli znalazł się jedynie zapisek o domniemanym „zajściu”, policja miała go na liście podejrzanych w sprawie zabójstwa młodej kobiety, ale technicznie rzecz biorąc, nie miał żadnej kryminalnej przeszłości. W Bridgewater brakowało miejsca, więc zgadnij, kogo wypuścili?

- O mój Boże.

- Jeśli spojrzeć w jego kartotekę szpitalną, był przykładnym pacjentem, nikomu nie przyszło więc do głowy, żeby prześledzić jego pobyt w poprzednim szpitalu. Co więcej, szpital Bridgewater jest bardzo dumny z tego właśnie pacjenta. Uważają, że leczenie zakończyło się pełnym sukcesem.

Bobby mógł zareagować dwojako: walnąć w coś pięścią z całej siły lub wybuchnąć śmiechem. Wybrał tę drugą opcję. Niekompetencja i rażące zaniedbania aż kłuły w oczy. Opinia publiczna obwinia zawsze policjantów za rosnący wskaźnik przestępczości, zamiast przyjrzeć się całej rzeszy bezmózgich urzędasów.

- No dobra - podsumował - więc w siedemdziesiątym ósmym roku Eola wraca na łono społeczeństwa. I co dalej?

— Znika.

— Poważnie?

— Nigdy nie pojawił się na żadnej konsultacji. Nie ubiegał się o zasiłek. W ciągu jednego dnia zapadł się pod ziemię.

— Albo go zamknęli, albo dołączył do pomieszkującej w schroniskach bezimiennej grupy bezdomnych.

— Można jedynie zgadywać. Ja uważam, biorąc pod uwagę jego ponadprzeciętną inteligencję, że wtopił się w społeczeństwo pod przybranym nazwiskiem. Pomyśl, wychował się wśród luksusów. Który bogaty dzieciak zadowoli się życiem

kloszarda? Poza tym nawet w środowisku bezdomnych ludzie znają się nawzajem. Chodzą do tych samych jadłodajni, śpią w tych samych noclegowniach, przesiadują w ciągu dnia w tych samych miejscach. Prędzej czy później ktoś taki jak Charlie Marvin, ktoś, kto pracuje z umysłowo chorymi i bezdomnymi, w końcu by się na niego natknął. Nikt tak po prostu nie znika, nawet na niebezpiecznych ulicach Bostonu.

— I tak, i nie. Ostatnio słyszałem, że liczbę bezdomnych szacuje się na sześć tysięcy. Zakładając, że nawet największe noclegownie, takie jak Pine Street Inn, mogą przyjąć około siedmiuset osób, zostaje mnóstwo tych, których twarzy nikt tak naprawdę nie zna.

— Zgadzam się, ale mówimy tu o kimś, komu udało się skutecznie zejść z oczu władzom na prawie trzydzieści lat. To dosyć długi czas na skuteczne ukrywanie się, co zresztą każe się zastanowić, czy Eola przypadkiem po prostu nie żyje. D. D. zacisnęła usta, rozważając tę ostatnią możliwość.

— Nie wierzę, że mamy tyle szczęścia. Najgorsi psychole wydają się nieśmiertelni. Też to zauważyłeś?

— Tak. — Boby się skrzywił. — Czy Sinkus zdołał namierzyć rodzinę Eoli?

— Złożył im wczoraj wizytę, pojechał do Back Bay, do ich rezydencji - ostatnie słowo zaakcentowała. — Nawet go nie wpuścili, tak bardzo nie mogli się doczekać wieści o swoim zaginionym synu.

- Też zauważyłaś, że im bogatsza rodzina, tym bardziej popieprzona?

— Też. Widzisz, to są zalety naszych żalosnych zarobków: nigdy nie będziemy na tyle bogaci, żeby nasze rodziny tak popieprzyło.

— Nic dodać, nic ująć.

- Jak się łatwo domyślić, obwarowali się prawnikami. Nie

odpowiedzą na żadne pytania bez obecności adwokata i oficjalnego nakazu. Tak więc Sinkus stara się teraz wszystko załatwić. Daję dolara, że jeszcze dziś po południu będziemy mieli tych nadętych bogaczy na komisariacie. Kilka kubków gorącej kawy i powinni zacząć śpiewać, choćby tylko po to, żeby chronić własne tyłki.

Przerwała na moment, a po chwili podjęła:

— Zgaduję, że nawet nie wiedzą, gdzie podziewa się Eola.

Sinkus powiedział, że nie czują do niego nic innego prócz obrzydzenia. Chętnie bym się dowiedziała, jak to się stało, że trafił do szpitala psychiatrycznego. Pomoże nam to stworzyć nieco dokładniejszy obraz pana Eoli, przekonamy się, jak jego dziecięcy modus operandi zgadza się z tym, co wiemy.

Przytaknęła sobie skinieniem głowy i już zaczęła wertować swój stos akt, z rumieńcem na policzkach i tryskając energią.

Myśl, że oto mają wreszcie dwóch konkretnych podejrzanych, wystarczyła, by pani sierżant w sekundę zamieniła się w podekscytowaną przed pierwszą randką uczennicę.

— Więc — spytała szybko - jak poszło z Catherine? Bobby krótko przedstawił najważniejsze punkty rozmowy.

— Ona twierdzi, że rozmawiała z Russellem Grangerem dwukrotnie. Przedstawił się jak agent specjalny FBI, nie podając imienia i nazwiska, a jego pytania niczym się nie różniły od pytań, które zadawali jej pozostali śledczy.

Ciekawostkę stanowi fakt, że Granger przyniósł ze sobą portret pamięciowy domniemanego porywacza.

- Serio? — D.D. otworzyła oczy ze zdziwienia.

— Według Catherine portret nie przedstawiał Richarda Umbrio. Gość z rysunku Grangera był dużo niższy. Kiedy próbowała to wytłumaczyć Grangerowi, ten uparcie jej wmawiał, że być może nie przyjrzała się zbyt dobrze swojemu napastnikowi i gdyby tylko facetowi ze szkicu

dodać kilka kilo i odpowiednio go ucha-rakteryzować, na pewno by go rozpoznała. Tego typu rzeczy.

D.D. w dalszym ciągu patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- Serio?

Bobby westchnął i spróbował założyć ręce za głowę, co skończyło się oczywiście obiciem łokcia o szybę.

Przypomniał sobie, dlaczego nienawidzi ciasnoty samolotów, choć wcale nie należy do najbardziej postawnych facetów.

- Catherine sugerowała, że Granger skupiał się głównie na osobie napastnika - myślał głośno Bobby. - Chciał, żeby jak najdokładniej go opisała, wygląd, intonację, wszelkie cechy szczególne. Potem pokazał jej szkic. Oczywiście, to mogła być przykrywka. Chciał uśpić jej czujność, sugerując, że ma podejrzanego, podczas gdy tak naprawdę chodziło mu jedynie o szczegóły porwania i tego, co zrobił jej Umbrio. Jeśli taką przyjął strategię, to okazała się skuteczna, bo Catherine niczego się nie domyśliła.

— Zmusił ją, by skupiła się tylko na jednym elemencie — wtrąciła D. D. — Na portrecie pamięciowym, podczas gdy w rzeczywistości dziewięćdziesiąt dziewięć procent pytań dotyczyło samej napaści. Sprytna sztuczka, często używana podczas przesłuchań.

Bobby się uśmiechnął.

— Trzeba przyznać, że facet nieźle to sobie wykombinował.

My pewnie zrobiliśmy na jego miejscu dokładnie tak samo.

— Świetnie, tego nam jeszcze brakuje, sprytnego, psychopatycznego skurwysyna. - D.D. potarła dłońią skroń, westchnęła, znów potarła skroń.

— Istnieje taka możliwość, że Catherine po prostu to sobie wymyśliła? Jakkolwiek na to patrzeć, pamięta zadziwiające szczegóły dotyczące Pana Specjalnego Agent, a przecież spotkała go zaledwie dwa razy dwadzieścia siedem lat temu.

— To prawda — przyznał Bobby. - Myślę jednak, że Pan

Agent Specjalny zrobił na niej mimo wszystko ogromne wrażenie, przynosząc ze sobą portret pamięciowy i upierając się tak stanowczo, że facet na nim przedstawiony na pewno jest jej napastnikiem, nawet po tym, jak wykluczyła taką możliwość. Jego reakcja była dość niespodziewana, dlatego ją zapamiętała. Poza tym, jaki miałaby interes w wymyślaniu takich kłamstw?

— Ponowne zwabienie cię do swojego domu, czyż nie taki był efekt? Co więcej, jest w jakiś sposób zaangażowana w śledztwo. Ma doskonały pretekst, żeby do ciebie dzwonić i żeby mi uprzykrzać życie. A to wszystko bardzo do niej pasuje.

Bobby wzruszył ramionami.

- Oczywiście, jest i taka możliwość, tylko że... myślę, że ona naprawdę polubiła Annabelle.

- Proszę cię, Catherine nie ma przyjaciół. Kochanków to może, ale nie przyjaciół.

- Ja jestem jej przyjacielem - zaprotestował Bobby.

D. D. unosząc brew, dała mu do zrozumienia, co tak naprawdę o tym myśli. Różnica zdań w tym temacie była stara jak świat. Bobby wrócił więc do bardziej bieżących zmartwień.

- Myślę, że mówi prawdę. Odkrycie, że facet, którego pamiętała jako natrętnego agenta FBI, okazał się ojcem Annabelle, szczerze ją zaskoczyło i zamąciło jej w głowie. Jeszcze wczoraj była święcie przekonana, że nie istnieje żaden związek między nią a Annabelle. Za to dzisiaj...

Oboje zamilkli na chwilę, raz jeszcze rozważając wszystkie możliwości.

W końcu odezwał się Bobby.

- Są dwie możliwości. Albo Granger manipulował Catherine tylko po to, by poznać wszystkie szczegóły jej porwania, Bóg jeden wie po co. Albo rzeczywiście myślał, że wie, kto

jest porywaczem. Sporządził portret pamięciowy faceta, który według niego był napastnikiem. D.D. ciągnęła wątek.
- Założmy, że miał konkretnego podejrzanego. Dlaczego nie poinformował o tym policji?

— Nie wiem.

— Poza tym, to był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty, prawda? Dwa lata przed tym, jak jego córka zaczęła rzekomo otrzymywać podarunki od nieznanego. Dlaczego już wtedy tak go interesowała przestępcza działalność?

— Obowiązek obywatelski?

- Obowiązkiem obywatelskim nazywasz podawanie się za agenta FBI? Proszę. Uczciwi ludzie nie udają agentów FBI.

- Uczciwi ludzie figurują w aktach wydziału komunikacji i mają numer ubezpieczenia społecznego - zauważył Bobby.

— Co pozwala nam zakładać...

— Że Russell Granger nie był do końca uczciwy.

— I całkiem możliwe, że badając szczegóły innych zbrodni, szukał natchnienia dla własnych niecznych występków.

Sinkus szuka Eoli — poinformowała D.D. - Chcę, żebyś ty się zajął Grangerem. Znajdź sąsiadów, skontaktuj się z tym byłym szefem matematyki z MIT. Przyjrzyjmy się, jakie życie wiodł ojciec Annabelle w Arlington. Potem zajmij się ich życiem w drodze. Masz miasta, masz daty. Chcę się dowiedzieć, czy rodzina Annabelle uciekała dlatego, że Russell Granger coś wiedział, czy może dlatego, że coś zrobił. Rozumiesz?

Bobby przytaknął.

- Musimy też sprawdzić Walpole - dodał. - I pomijając na chwilę rewelacje Catherine, trzeba też sprawdzić korespondencję więzienną Umbria, rejestr odwiedzin, tego typu rzeczy. Upewnić się, czy pozostał takim popieprzonym odludkiem, za jakiego miała go Catherine.

- Zrobi się.

- Ja... będę zajęty sprawdzaniem Grangera.
- Jasne, nie ma problemu, przydzielę kogoś do tego.
- Czyli załatwione?
- Załatwione.

D.D. zadowolona, pozbierała papiery i wtuliła się w siedzenie.

- Dobranoc, Bobby - wyszeptała. Trzydzieści sekund później spała już głęboko.

Bobby popatrzył na śpiącą Annabelle. Jej fotel był odchylony do tyłu, ciemne długie włosy zasłaniały jej twarz. Potem spojrzał na D.D., której głowa opadła na jego ramię.

Skomplikowana sprawa, pomyślał i postanowił trochę odpocząć.

ROZDZIAŁ 24

KIEDY DOSZLIŚMY DO SAMOCHODU D.D., zaparkowanego na trzecim poziomie parkingu lotniska Logan, zauważyliśmy kartkę wetkniętą za prawą wycieraczką przedniej szyby. Nic nie mówiliśmy, odkąd wysiedliśmy z samolotu, przecisnęliśmy się przez zatłoczony terminal, wysoko zawieszony pasaż, labirynt otoczonych murem chodników, prowadzących przez główny parking. Na zewnątrz było zimno i padał deszcz. Pogoda świetnie odzwierciedlała nasze nastroje. W mojej głowie kłębiła się cała masa pytań, pytań o ojca, o moją przeszłość, zastanawiałam się też, jak sobie poradzę z odbiorem Belli, gdyż podróżowanie z moim psem środkami komunikacji miejskiej zawsze stanowiło nie lada kłopot. D.D. i Bobby byli zapewne zajęci swoimi policyjnymi rozterkami, zastanawiając się, kto porwał i zamordował te sześć dziewczynek i czy ten ktoś wcześniej też popełnił taką zbrodnię, no i musieli zapewne kombinować, jak tu zrzucić winę za cały ten bałagan na mojego nieżyjącego ojca. Wtedy zauważyliśmy kartkę. Zwyczajny biały kawałek pa-

pieru z wiadomością napisaną odręcznie czarnym atramentem. D.D. natychmiast stanęła tak, by zasłonić mi widok. Kątem

oka zdążyłam jednak już dostrzec dwie pierwsze Linijki.

Miały się one na zawsze wryć w moją pamięć.

Zwróć medalion albo umrze kolejna dziewczynka.

Tekstu było więcej. Co najmniej kilka linijek, litery były jednak znacznie mniejsze. Nie mogłam ich odszyfrować. Domyśliłam się, że musi to być instrukcja, szczegóły dotyczące sposobu, w jaki policja ma zwrócić medalion, albo sposobu, w jaki ma zginąć kolejna dziewczynka. A może i jedno, i drugie...

- Cholera - odezwała się D.D. - Mój samochód. Skąd wiedział...?

Natychmiast omiotła wzrokiem całą betonową przestrzeń.

Szukając posłańca? Zauważyłam, jak jej wzrok podąża w rogi pomieszczenia, i domyśliłam się, że szuka ewentualnych kamer, sprawdzając, ile mają szczęścia tym razem. Sama rozejrzałam się wokół. Szczęścia jednak nie mieli.

Bobby pochylał się już nad maską, przyglądając się dokładnie kartce i uważając jednocześnie by niczego nie dotknąć.

- Musimy to potraktować jak miejsce zbrodni - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Serio? Nie wpadłabym na to.

- Jak długo nas nie było? Trzydzieści, trzydzieści jeden godzin? Miał mnóstwo czasu na doręczenie swojej przesyłki.

- Wiem - lakonicznie rzuciła D.D.

—Tym razem chyba nie macie jak zrzucić winy na moje-go ojca.

D.D. popatrzyła na mnie spode łba. — Annabelle, chyba powinnaś złapać taksówkę.

- Świetnie. Ciekawe, na ilu reporterów natknę się po drodze? Jestem pewna, że chętnie posłuchają tego, co mam do po-

wiedzenia.

- Nie ośmielisz się...
- Zwrócisz medalion?
- Po pierwsze, to sprawa policji. Po drugie, to sprawa policji.
- Kto napisał tę kartkę? Podpisał się? Pisze coś o mnie? Chcę ją przeczytać.
- Annabelle, złap taksówkę.
- Nie mogę.
- Dlaczego nie?
- Bo tu chodzi o moje życie.

D.D. zacisnęła usta. Ostentacyjnie wróciła do karteczki, ciągle tkwiącej za wycieraczką jej samochodu. Nie zamierzała pozwolić, żebym ją zobaczyła. Nie zamierzała się podzielić. Ochrona porządku publicznego to system. System, którego nie obchodzą tacy ludzie jak ja.

Mijała minuta za minutą. D. D. czytała wiadomość, Bobby śledził jej emocje, sam zachowując kamienną twarz. Oni grali w jednej drużynie. Ja do niej nie należałam.

Nawet moja cierpliwość ma swoje granice. Odpuściłam, oddalając się powoli.

— Zaczekaj! - zawołała D.D., patrząc na Bobby'ego. - Jedź z nią.

— Nie potrzebuję niańki.

D.D. zignorowała mnie, w dalszym ciągu zwracając się jedynie do Bobby'ego:

— Ja się wszystkim tu zajmę. Ty jedź z nią.

— Musimy pogadać o tym... — stwierdził spokojnym głosem.

— Pogadamy.

— Nie chcę, żebyś podejmowała jakieś pochopne decyzje.

— Bobby...

— Mówię poważnie, D.D. Może i masz stopień sierżanta, ale to ja byłem członkiem brygady antyterrorystycznej — palcem wskazał na kartkę. — Znam się na takich zagraniach.

To pic na wodę. Nie powinnaś się stosować do tych poleceń.
— Później - odpowiedziała D.D., wymownie zerkając w moją stronę. — Uspokój ją. Ja zorganizuję grupę specjalną.

Pogadamy.

Bobby zmarszczył się gniewnie, posyłając jej sceptyczne spojrzenie.

— Później — zgodził się niechętnie, odrywając się od jej nieoznakowanego forda i kierując się w moim kierunku. Próbo-
wałam wykorzystać okazję i rzucić wzrokiem na resztę
tekstu. Ale znów dojrzałam jedynie dwie pierwsze linijki:
„Zwróć medalion albo... zginie kolejna dziewczynka”.

Bobby położył mi dłoń na ramieniu i odciągnął mnie na bok.
Nie opierałam się, dopóki nie znaleźliśmy się wystarczająco
daleko, by D.D. nie mogła nas usłyszeć.

— Co tam jest napisane? — stanowczo zażądałam odpo-
wiedzi.

— Nic. Pewnie jakiś świr zrobił to dla rozgłosu.

— Ale nikt nie wie o medalionie. Nie ujawniliście tego.
Najwyraźniej nawet taki doskonały detektyw, jak Bobby nic
wpadł na to od razu. Zachwiał się. Szybko się jednak po-
zbierał i dzielnie poszedł dalej. Doszliśmy do windy. Wcisnął
guzik z większą siłą, niż było trzeba. - Bobby...

- Wsiadaj do windy, Annabelle.

- Mam prawo wiedzieć. To dotyczy bezpośrednio mnie

- Nie, Annabelle, tu nie chodzi o ciebie.

- Bzdura...

- Annabelle - Drzwi windy zamykały się za nami. - Tam nie
ma o tobie ani słowa. Autor tego listu chce D.D.

W MILCZENIU DOJECHALIŚMY do weterynarza. Bella
powitała mnie dzikim szaleństwem. Kręciła się w kółko,
skakała, lizała mnie po twarzy. Wtuliłam się w jej gęstą sierść

na karku na dłużej, niż zamierzałam, rozkoszując się jej ciepłem, energią i niczym niezmaconą radością.

Potem zdrajczynie odwróciła się i doskoczyła do Bobby ego z równie wielkim entuzjazmem. Nie ma lojalności na tym świecie.

Uspokoili się dopiero w jego samochodzie. Uwielbiała przejażdżki, przysunęła się więc do drzwi pasażera i obserwowała, co działo się za szybą, zostawiając na niej mokre ślady swojego nosa. Świeżo wyczyszczone siedzenia były teraz upstrzone kołtunami białej sierści. Pomyślałam, że dobrze mu tak.

Bobby zaparkował pod moim domem w niedozwolonym miejscu i wyskoczył, by otworzyć mi drzwi. Poradziłam sobie sama, starając się dać mu tym coś do zrozumienia. On tymczasem całą swą uwagę poświęcił Belli, która wyskoczyła z samochodu i skakała radośnie wokół jego nóg, nic sobie nie robiąc z padającego deszczu.

— Zawsze miło pomóc damie — rzekł, klepiąc ją po głowie. Miałam ochotę go uderzyć. Rzucić się na niego z pięściami. Kopać i krzyczeć, jakby wszystko było jego winą. Zaskoczyła mnie budząca się we mnie agresja. Niepewnym krokiem podreptałam w stronę domu, drżącymi rękami szukając kluczy.

Bella w mig pokonała schody. Ja podążałam za nią dużo wolniej, próbując wziąć się w garść. Otwierałam kolejne zamki, sprawdzałam skrzynkę na listy, upewniałam się, że wszystkie drzwi zamknęły się za nami. W żołądku mi się przewracało. Niczym dziecko, chciałam stanąć i porządnie się wypłakać. Albo jeszcze lepiej: spakować pięć walizek.

Mój ojciec podawał się za agenta FBI, przesłuchiwał ofiarę napaści dwa lata wcześniej, zanim ktokolwiek zaczął mnie prześladować. Moja przyjaciółka zginęła zamiast mnie. Ktoś dwadzieścia lat później żądał zwrotu medalionu.

Bolała mnie głowa. A może serce?

Gdy tylko weszliśmy do mieszkania, Bobby zabrał się za obchód. Jego płynne ruchy powinny na mnie działać kojąco, tymczasem fakt, że zagłębiał we wszystkie kąty, zwiększył mój niepokój, kiedy zdałam sobie sprawę, że dokładnie to samo robił mój ojciec.

Kiedy wreszcie skończył, skinął głową, dając mi znak, że mogę bez obaw wejść do środka, oparł się o blat kuchenny i patrzył, jak odkładam korespondencję, walizkę, jak nalewam wody do miski Belli. Wyświetlacz automatycznej sekretarki meldował sześć wiadomości, zadziwiająco liczbę jak na moją szarą i samotną codzienność. Instynktownie odwróciłam wzrok, decydując, że odsłucham je później, w samotności.

- No to...- zaczął Bobby.

- No to... - odpowiedziałam.

- Masz jakieś plany na wieczór?

- Pracę.

- Szycie?

- Starbucks. Zmarszczył czoło.

- Dzisiaj wieczorem?

- Ludzie piją kawę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

A czemu pytasz? Mam areszt domowy?

— Mając na uwadze wydarzenia ostatnich dni, odrobina ostrożności wcale by nie zaszkodziła — odparł bez emocji.

W tym momencie miarka się przebrała. Podniosłam dumnie czoło i przeszłam do sedna.

— Mój ojciec tego nie zrobił. Cokolwiek sobie myślisz o moim ojcu, jesteś w błędzie. Ten liścik jest najlepszym tego dowodem. Martwi nie mają zwyczaju wysyłać korespondencji.

— Nie powinnaś zaprzętać sobie głowy listem, Annabel-le. To sprawa dla policji, być może nie ma nawet z tobą nic wspólnego.

— No dobra, a więc mój ojciec podszył się pod agenta FBI i odwiedził Catherine tuż po napaści. Może jako ojciec chciał się dowiedzieć czegoś więcej o potworze czyhającym na małe dziewczynki. Może z punktu widzenia naukowca stwierdził, że to świetny materiał do badań. Musi być na to jakieś logiczne wyjaśnienie! - choć zdawałam sobie sprawę, że przyjmuję coraz bardziej obronną pozycję i że moje teorie brzmią absurdalnie, nie mogłam się powstrzymać. Po wieloletnich toczonych z ojcem wojnach, podczas których zarzucałam mu kontrolowanie i manipulowanie moim życiem, oto nagle zostałam jego największym obrońcą. Nieważne, że sama nie do końca mu ufałam. Za żadne skarby nie mogłam dopuścić, żeby inni zwalali na niego całą winę.

Bobby sprawiał wrażenie, jakby istotnie brał pod uwagę moje teorie. Po zastanowieniu się odpowiedział:

— No dobrze, Annabelle. Podaj mi jakiś sensowny powód. Coś prawdopodobnego. Jestem otwarty na propozycje. Ciężką artylerię zostawmy na potem.

— Kiedy Dori zniknęła, jego nawet nie było w okolicy — odparłam ostro. — Byliśmy już wtedy na Florydzie.

— Tak uważasz.

— Nie. Ja to wiem. Przez cały czas, gdy mieszkaliśmy na Florydzie, ojciec ani razu nie wyjeżdżał — to kłamstwo przyszło mi bez większego trudu. Pomyślałam z rozgoryczeniem, że ojciec byłby ze mnie dumny.

Dwa tygodnie po przyjeździe na Florydę budzę się w środ-ku nocy. Krzyczę, wołam tatę, błagam, żeby przyszedł. Mama mnie uspokaja: „Ciiii, kochanie, już cicho. Tatuś niedługo wróci. Musiał wyjechać pozałatwiać kilka spraw. Ciiii, kochanie, wszystko jest już dobrze”.

Spokojny głos Bobby'ego bezlitośnie ściągnął mnie na ziemię.

— Annabelle, a gdzie są wasze stare meble? Twoja rodzina

zniknęła nagle w środku dnia. Co się stało z waszymi rzeczami?

— Przyjechała firma przewozowa i wszystko zabrali.

— Jak to?

— Pani Petracelli mi o tym powiedziała. - Kto?

— A co niby miałam robić? - odpowiedziałam ostro, czując, że znów się we mnie gotuje ze wściekłości. — Jak to sobie wyobrażałeś? Że będę cierpliwie czekać, aż ty i D.D. łaskawie załatwicie wszystko za mnie? Daj spokój. Jesteście glinami. Tak naprawdę macie mnie gdzieś.

Zrobił krok w moim kierunku. Jego wyraz twarzy momentalnie się zmienił. Oczy przybrały surowy, głęboki odcień szarości, zwiastujący wybuch. Choć powinnam się przestraszyć, poczułam podekscytowanie. Byłam gotowa na walkę, na ataki wściekłości, na niepohamowany gniew, które dałyby wreszcie upust tłumionym emocjom i pozwoliły choć przez chwilę poczuć coś innego niż bezradność.

- Co powiedziałaś pani Petracelli? - zapytał ostro.

— Co, Bobby? - zaczęłam go parodiować. — Nie ufasz mi? Czyż nie gramy w jednej drużynie?

- Co, do cholery, powiedziałaś pani Petracelli?

— Nic jej nie powiedziałam, ty kretynie! A myślałeś, że co jej powiem? Że tak po prostu wejdę do mieszkania kobiety, której nie widziałam od dwudziestu pięciu lat, i oznajmię, że policja znalazła ciało jej zaginionej córki? Proszę cię, nie jestem aż tak okrutna.

Ja też zrobiłam krok w jego kierunku, wbijając palec wskazujący w jego pierś. To dawało mi złudną nadzieję, że jestem górą, że jestem silna. Barwa jego oczu przeszła w ciemny, nieprzenikniony granat.

- Powiedziała mi, że przyjechała firma transportowa i wszystko zapakowali. Ojciec musiał wszystko załatwić przez telefon, polecił pewnie, żeby gdzieś to wszystko przechowali.

Może liczył na to, że policja w końcu wszystko wyjaśni i będziemy mogli wrócić do dawnego życia. Tata już tak miał, że zawsze wybiegał daleko w przyszłość.

- Annabelle, na nazwisko Russella Grangera nie ma żadnych transakcji, żadnych rachunków za przechowanie, żadnego śladu. Teraz to ja byłam zbita z tropu. - Ale... ale...

- Ale co, Annabelle? Powiedz mi, co tak naprawdę wydarzyło się jesienią osiemdziesiątego drugiego roku? Daj mi coś, w co mógłbym uwierzyć.

Nie mogłam. Nie wiedziałam... Nie rozumiałam...

Jak to możliwe, że nie było żadnego śladu po Russellu Grangerze? To przecież życie w Arlington było tym prawdziwym. A przynajmniej tam wtedy naprawdę żyłam.

Bobby przykrył moje dłonie swoimi i dopiero wtedy zorientowałam się, że drzę, że chwieję się. Z posłania Belli dobiegło ciche skamlenie. Nie mogłam do niej podejść, nie byłam w stanie mówić. Znowu myślałam o ojcu, o szeptanych rozmowach w środku nocy. O rzeczach, o których nie chciałam wiedzieć. O prawdzie, której mogłabym nie znieść. O Boże, co tak naprawdę wydarzyło się jesienią 1982 roku? Och, Dori, co myśmy takiego zrobili?

— Annabelle - odezwał się Bobby łagodnie, choć stanowczo.

— Wetknij głowę pomiędzy kolana. Weź głęboki oddech.

Hiperwentylujesz się.

Zrobiłam, jak kazał. Zgięłam się wpół i, walcząc o powietrze, wpatrywałam się w swoją podrapaną, drewnianą podłogę.

Kiedy się podniosłam, zupełnie naturalnie wpadłam w jego objęcia. W nozdrza połąskotał mnie zapach wody po goleniu, werbenowy i korzenny. Poczułam obejmujące mnie silne i ciepłe ramiona. Czułam bicie serca, spokojne i rytmiczne.

Przyłgnęłam do niego jak dziecko, zakłopotana i oszołomiona jednocześnie, gorączkowo upominając samą siebie, że powinna wziąć się w garść, ale desperacko pragnąc schronienia

jego ramion.

Jeśli Russell Granger nigdy nie istniał, to co z Annabelle? I dlaczego, dlaczego uwierzyłam, że dopiero na Florydzie ojciec po raz pierwszy mnie okłamał?

- Ciii - szeptał mi do ucha Bobby. - Ciiii.

Ustami dotknął czubka mojej głowy - delikatny, odruchowy pocałunek. Nie wystarczył mi. Podniosłam głowę, by go odnaleźć.

Pierwsze doznanie było elektryzujące. Delikatne usta, szorstkie wąsy. Zapach mężczyzny, świadomość jego ust zatapiających się w moich. Uczucia, na które rzadko sobie pozwalałam. Potrzeby, które tłumiałam w zarodku. Teraz rozchyliłam usta, błędząc w poszukiwaniu jego języka. Chciałam go poczuć, dotknąć, zakosztować. Potrzebowałam tego. Chciałam w to wierzyć. Chciałam choć przez chwilę poczuć coś innego niż wszechogarniający strach.

Gdyby mógł mnie tak trzymać, to może ta chwila by tak trwała, sprawiając, że reszta zniknęłaby bezpowrotnie, nie musiałabym się bać, nie czułabym samotności, nie musiałabym słuchać rozbrzmiewających w mojej głowie głosów.

„Roger, proszę, nie jedź. Roger, błagam cię, nie rób tego...”

Ale już po chwili odsunął mnie od siebie. Kręciło mi się w głowie. Wycofaliśmy się do dwóch przeciwległych rogów maleńkiej kuchni. Staliśmy tak, łapiąc oddech i nie patrząc sobie w oczy. Bella podniosła się ze swojego posłania.

Podeszła

i mocno się we mnie wtuliła. Schyliłam się i zaczęłam głaskać ją po pysku.

Mijały kolejne minuty. Starłam się pozbierać, odzyskać równowagę. Gdyby Bobby zrobił choć krok w moim kierunku, nie mogłabym się powstrzymać, choć po wszystkim zapewne bym się wycofała. Ukryła pod

wyćwiczoną latami maską obojętności.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że matka nie była jedyną ofiarą wojny ojca. Mnie też ojciec czegoś pozbawił i nie wiedziałam, jak to odzyskać.

— A co z nazwiskiem mamy? — zapytałam. — Leslie Ann Granger. Może wszystko było załatwiane na nią?

— Annabelle, sprawdziłem oboje rodziców. Nic.

— Ale myśmy istnieli — oponowałam bez przekonania, zatapiając palce w grubą sierść Belli i rozkoszując się bijącym od niej spokojem. - Spotykaliśmy się z sąsiadami, prowadziliśmy życie towarzyskie, stanowiliśmy część lokalnej społeczności. Chodziłam do szkoły, tata pracował, mama działała w Radzie Rodziców. To wszystko było prawdziwe. To nie jest żaden wytwór mojej wyobraźni, ja to pamiętam.

- A co było przed Arlington?

- Nie wiem... nie pamiętam nic sprzed Arlington.

- Trzeba by zapytać sąsiadów.

- Pewnie tak.

Znow się wyprostował, widać było, że powoli odzyskuje panowanie nad sobą.

- Nie mogę ci teraz powiedzieć, gdzie nas to wszystko zaprowadzi. Sześć ciał to sześć ciał. Mamy obowiązek zadać każde pytanie, podążyc każdym tropem. Ta sprawa zaczęła już żyć swoim życiem.

- Wiem.

- Może przez jakiś czas postarasz się nie rzucać w oczy.

Chciałam się uśmiechnąć, ale zdołałam przywołać na twarz jedynie niewyraźny grymas.

- Bobby, żyję pod przybranym nazwiskiem. Nie mam przyjaciół, nigdy nie rozmawiam z sąsiadami, nie należę do żadnych organizacji. Do bliższych znajomych mogę tylko zaliczyć kuriera z UPS. Szczerze mówiąc, żeby jeszcze bardziej wycofać się ze społeczeństwa, musiałabym zostać

amebą.

— Nie podoba mi się, że pracujesz wieczorami — ciągnął dalej Bobby, tak jakby nie dotarło do niego nic z tego, co przed chwilą powiedziałam. Zmrużył oczy i wodził spojrzeniem ode mnie do Belli — i że biegasz po zmroku.

Pokręciłam głową. Szok już zupełnie minął, powoli odzyskiwałam pewność siebie.

— Jestem dorosłą kobietą, Bobby. Już się nie ukrywam.

— Annabelle...

— Rozumiem, że musisz, Bobby, wykonywać swoją pracę. Ale mógłbyś też zrozumieć, że i ja mam swoją.

Oczywiście nie ucieszyło go to, ale chociaż przestał się ze mną spierać. Bella chyba wyczuła, że napięcie opadło, podreptała do Bobbyego i wetknęła zimny nos w jego dłoń.

— Muszę już iść — powiedział, stojąc jednak ciągle w miejscu.

— No tak, odprawa w sprawie listu.

Nie dał się złapać, więc nie ciągnęłam tematu i też zaczęłam dawać do zrozumienia, że czas zakończyć tę wizytę.

— Ja również muszę się przyszykować do pracy — powiedziałam, starając się, by w moim głosie nie było słychać ogromnego zmęczenia.

— Annabelle...

— Bobby...

— Nie mogę. Ty i ja. Tu chodzi o etykę zawodową. Nie mogę.

— Nie proszę cię o to. Spojrzał gniewnie.

— Wiem, i to mnie wkurza.

Uśmiechnęłam się, tym razem delikatniej, szczerze. To był dla mnie ogromny krok naprzód. Podeszłam do niego.

Położyłam mu dłoń na policzku. Poczułam szorstki jednodniowy zarost, silnie zarysowaną linię szczęki. Staliśmy tak blisko siebie, że czułam ciepło jego ciała, ale nic więcej.

Był dla mnie nadzieją na coś pięknego i przez tę krótką

chwilę pozwoliłam sobie uwierzyć, że wszystko jest przecież możliwe. Że mam przed sobą przyszłość. Że kobieta o imieniu Annabelle ma przed sobą jeszcze wiele chwil szczęścia.

- Lubisz grillować? — spytałam szeptem. Czułam, jak ustami dotyka mojej dłoni.

- Swojego czasu upiekło się kiełbasę czy dwie.

- Marzyłeś kiedyś o płocie z palików, dwójce dzieciaków i nadpobudliwym białym psie?

- W moich marzeniach przewija się raczej zaadaptowana piwnica, stół do bilarda i plazmowy telewizor.

- Może być.

Cofnęłam dłoń. Utrata fizycznego kontaktu oznaczała powrót do brutalnej rzeczywistości. Westchnęłam.

- Nigdy nic nie wiadomo - dodałam pogodnie.

- Nigdy nic nie wiadomo - zgodził się.

Wyszedł i ruszył schodami w dół. Najgorzej zniosła jego wyjście Bella, która skomlała żałośnie, kiedy zamykałam za nim drzwi.

Zadzwoił telefon. Podnosiłam słuchawkę. Męski głos wyszeptał: — Annabelle.

ROZDZIAŁ 25

BOBBY ZMIERZAŁ W KIERUNKU ROXBURY, na sygnale prze-dzierając się przez zakorkowane ulice Bostonu. Zbyt długo za-bawił w mieszkaniu Annabelle. Za daleko się posunął w mieszkaniu Annabelle. Cholera, mało brakowało, a w mieszkaniu Annabelle zachowałby się jak kompletny idiota.

Na szczęście był już w samochodzie i znów miał wszystko pod kontrolą, powoli wracał do szarej, chłodnej rzeczywistości. Był detektywem. Pracował nad dużą sprawą, a sytuacja z dnia na dzień stawała się bardziej beznadziejna. Ktoś wiedział o medalionie. Ten ktoś napisał w liście, że spotka się jedynie z sierżant Warren, która dziś o 3:33 w nocy miała go przynieść na teren byłego szpitala. Jeśli D. D. nie spełni żądań, zginie kolejna dziewczynka.

Reakcja Bobby'ego na liścik była instynktowna i wyływała z dziesięcioletniego doświadczenia w oddziałach specjalnych: chujzoza. Ktoś z nimi pogrywał. Ale to nie znaczyło wcale, że jego pogrożki są czcze i że nie zamierza spełnić swoich gróźb. Wjechał na Ruggles Street, jedną ręką kierując, w drugiej trzymając przy uchu telefon komórkowy. Dzwonili do niego z MIT, by dać mu namiary do Paula Schueppa, byłego przełożonego matematyków. Dzwonili z biura pośrednictwa nieruchomości, które wynajmowało dom Annabelle na Oak Street. A tyłu jeszcze było ludzi do obdzwonienia, tyle tropów, którymi należało podążać. W ciągu tych dziesięciu minut

zanim dotarł na posterunek, starał się załatwić jak najwięcej spraw.

Zapadał już zmrok, a rozpostarta nisko nad ziemią gruba warstwa chmur sprawiała wrażenie, że jest dużo później niż w rzeczywistości. Chodnikami przemykali opatuleni w płaszcze przeciwdeszczowe przechodnie, chowający się pod swoimi parasolami. Żaden z nich nawet nie podniósł głowy na dźwięk policyjnej syreny, mieszkając w pobliżu posterunku policji, musieli się zupełnie znieczulić na to wycie.

W końcu dotarł do monstrualnej szklano-stalowej budowli, która oślepiającym, ostrym światłem odznaczała się na de ciemnego nieba. Zakończył rozmowę, żeby poświęcić całą uwagę czekającemu go zadaniu: parkowanie w Roxbury nie należało do prostych zadań. Objechał cały budynek, ale wszystkie miejsca były zajęte. Z dwóch powodów nie chciał jednak wjeżdżać na parking główny. Po pierwsze, nietrudno było się tam natknąć na różnego rodzaju bandziorów. Po drugie, podobnie jak reszcie detektywów, zależało mu na miejscu, do którego jak najszybciej można by dotrzeć, w razie gdyby sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Wówczas najlepszymi miejscami okazywały się te pod samym budynkiem.

Kiedy po raz trzeci objeżdżał budynek, wreszcie mu się poszczęściło. Jeden z oficerów wyjechał i Bobby zajął jego miejsce.

Idąc w stronę wejścia, niósł już w dłoni przygotowaną przepustkę. Załoga D. D. zapewne w komplecie i omawiali teraz szczegóły nocnej schadzki. Czy powinni zabrać prawdziwy medalion? A może ryzykować, biorąc falsyfikat? Będą próbowali go pojmać. Bobby nie miał co do tego wątpliwości. Nie przepuściliby takiej okazji, poza tym D. D. nie miała tyle zdrowego rozsądku, żeby odczuwać coś tak

prymitywnego jak strach.

Minął strażnika, przykładając przepustkę do czytnika, następnie popędził w stronę schodów i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na górę. Potrzebował takiego wysiłku fizycznego, by spożytkować adrenalinę i zapomnieć o podekscytowaniu, jakie poczuł, całując kobietę, której nigdy nie powinien był całować.

Nie możesz w to wejść. Masz zadanie do wykonania. Skup się na nim.

Właśnie wyszedł z klatki schodowej na korytarz i rozważał puszczanie się biegiem w stronę wydziału zabójstw, kiedy otwarły się drzwi naprzeciw, a z wnętrza wyłoniła się głowa D. D.

Podskoczył przestraszony.

- To tu jest odprawa? — zapytał zdziwiony, zastanawiając się, dlaczego zmienili pokój.

Ale D.D. pokręciła głową.

— Odprawa jest za 30 minut. Właśnie przyjechali rodzice Eolt. Wskakuj i nie odzywaj się ani słowem.

Zdziwiony wszedł do środka i zajął miejsce, w milczeniu, jak mu przykazano.

Nigdy wcześniej nie był w tym głównym pokoju konferencyjnym. W niczym nie przypominał on ciasnych boksów wydziału zabójstw. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumieć, czym wybór tak dużego pomieszczenia był podyktowany. Państwo Eola przyszli bowiem ze swoimi ludźmi, a takie z ludźmi swoich ludzi, sądząc po dosyć sporym tłumie.

Potrzebował pięciu minut, żeby się zorientować, kto jest kim.

Przeciw, po lewej stronie, siedział starszy pan w ciemnoszarym garniturze. Mógł mieć osiemdziesiąt lat, a mógł mieć i sto, na okolonej rzadkimi włosami twarzy o cienkiej perga-minowej skórze odznaczał się zakrzywionym

patrycjuszowski nos — był to ojciec Christophera Eoli. Po jego prawej stronie siedziała wążła kobieta o skórze pokrytej plamami wątrobowymi, ubrana w granatowy kostium Chanel i perły rozmiarów piłeczek do golfa. Była to matka Christophera Eoli, Pauline.

Obok niej siedział kolejny starszy pan w drogim, dwurzędowym garniturze. Włosy miał nieco gęstsze, a rysy delikatniejsze, całość zaś nie pozostawiała złudzeń, że ten nadęty, leniwy bufon musi być prawnikiem Eoli, Johnem J. Bartonem. Po lewej miał swoją odrobinę młodszą i chudsza kopię, dobrze rokującego współnika, Roberta Andersona. Wreszcie ikona damskiej mody adwokackiej - praktyczna garsonka od Brooks Brothers, gładko upięte włosy, okulary w drucianej oprawie - Helene Niaru. Koło niej siedziała jeszcze jedna, niezwykle atrakcyjna kobieta, dla Bobb'ego pozostała jednak bezimienna, gdyż nikt ani razu się do niej nie zwrócił po imieniu. Była to pochłonięta sporządzaniem notatek sekretarka.

Sporo będzie pana Eole kosztować rozmowa o synu, od którego nie miał rzekomo żadnych wieści od kilkadziesiątu lat.

- Chciałbym, aby zaprotokołowano, jak bardzo jestem oburzony faktem, że mnie tu ściągnięto - mówił Eola głosem, w którym z wiekiem pojawiło lekkie drżenie, ale który w dalszym ciągu nie pozostawiał wątpliwości, że Eola przywykł, by jego polecenia spełniać niezwłocznie i bez dyskusji. - Uważam takie działanie za pochopne, a oskarżanie mojego syna za bezpodstawne.

- Nikt tu nikogo nie oskarża - uspokajał detektyw Sinkus. To on dotarł do rodziców Eoli i grał teraz w spotkaniu pierwsze skrzypce. — Zapewniam pana, że to rutynowe przesłuchanie. To oczywiste, że w związku z odkryciem w Mattapan staramy się dowiedzieć jak najwięcej o wszystkich pacjentach Bostońskiego Szpitala, w tym również — dodał szorstko — o

pańskim synu.

Nieprzekonany, Eola zmarszczył siwe brwi. Jego skulona żona siąknęła nosem, przecierając oczy chusteczką.

Najwidoczniej samo wspomnienie syna doprowadzało ją do łez.

Bobby zastanawiał się, co działo się z ich córką, tą, z którą Eola miał rzekome „niezdrowe” kontakty. Musiała być dzisiaj kobietą w średnim wieku. Nie chciała się na ten temat wypowiedzieć?

Prawnik odchrząknął.

— Oczywiście, moi klienci są skłonni do współpracy. Przecież mimo wszystko pojawiliśmy się na komisariacie. Wydarzenia sprzed trzydziestu lat są jednak wciąż bardzo drażliwym tematem. Wierzę, że wezmą to państwo pod uwagę.

— Będę mówił wyłącznie łagodnie - zapewnił Sinkus. - Możemy zaczynać?

Wszyscy niechętnie skinęli głowami. Sinkus włączył dyktafon. Zaczęli.

— Czy mógłby pan na potrzeby protokołu potwierdzić, że Christopher Walker Eola jest pańskim synem urodzonym szesnastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, o numerze ubezpieczenia — Sinkus wyrecytował numer, a Eola potwierdził bez entuzjazmu. - I że Christopher Eola w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku mieszkał z panem i pańską żoną na Tremont Street.

Kolejne niechętne potwierdzenie.

— Mieszkała również z państwem córka, Natalie Jane Eola.

Na te słowa wkradła się w szeregi gości natychmiastowa nerwowość, wszyscy porozumiewawczo wymieniali spojrzenia.

- Tak - odparł w końcu Eola, jakby tłumił w sobie tę odpowiedź, ale wreszcie zdecydował się ją z siebie wyrzucić.

Sinkus odnotował ten fakt.

- Ktoś jeszcze mieszkał u państwa w domu? Krewni, służba, goście?

Eola zwrócił się do zony, która najwidoczniej była odpowiedzialna za służbę. Pauline przestała trzeć oczy i zdołała podać cztery nazwiska: kucharza, gosposi, swojej osobistej sekretarki i pełnoetatowego kierowcy. Mówiła szeptem i ciężko było cokolwiek zrozumieć. Jej podbródek spoczywał na klatce piersiowej. Bobby domyślał się, że skulona sylwetka to skutek osteoporozy. Nawet największe pieniądze świata nie mogły nic zwojować w walce ze starością.

Sinkus podsunął dyktafon do pani Eola. Skoro dopełniono formalności, należało zabrać się do roboty.

— Według naszych informacji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku pan, panie Christopher Eola, i pańska żona oddaliście syna do Bostońskiego Szpitala Psychiatrycznego.

- Zgadza się — burknął Eola.

— Kiedy to było dokładnie?

— Dziewiętnastego kwietnia. Sinkus podniósł wzrok.

- Trzy dni po dwudziestych urodzinach Christophera?

- Urządziliśmy małe przyjęcie - odezwała się nagle pani Eola.

- Nic wystawnego. Kilku bliskich znajomych. Potem był deser biszkoptowo-owocowy Christopher go uwielbiał — jej głos był rzewny i Bobby wiedział, że w tym towarzystwie to ona jest słabym ogniwem. Eola był urażony: zainteresowaniem policji, przesłuchaniem, zmuszaniem go do wspomnienia syna. Ale pani Eola była zasmucona. Jeśli to, czego się dowiedzieli, było prawdą, czy zmuszono ją, by uwięziła jedno z dzieci, aby chronić drugie? Jeśli twoje dziecko okazuje się porworem, czy nadał tęsknisz za nim, albo chociaż za wyobrażeniem osoby, którą mogłoby być?

Sinkus odwrócił się powoli w stronę matki Christophera, spojrzeniem zachęcając ją do dalszych zwierzeń.

- To musiało być udane przyjęcie, pani Eola.

- O tak. Christopher zaledwie kilka miesięcy wcześniej wrócił z podróży. Chcieliśmy jakoś uczcić i jego urodziny, i powrót do domu. Zaprosiłam jego kolegów ze szkoły, naszych znajomych. To był uroczy wieczór.

— Z jakiej podróży wrócił?

— Był za granicą, oczywiście. Zrobił sobie przerwę po ukończeniu szkoły średniej, żeby zobaczyć trochę świata, żeby wyszumić się za młodu. Tak już jest z chłopcami. Przecież nikt nie oczekuje, że natychmiast się usatkwują. Najpierw muszą wszystkiego posmakować. - Uśmiechnęła się słabo, kiedy zdała sobie

sprawę jak frywolnie zabrzmiało ostatnie zdanie.

Kontynuowała już bardziej zdecydowanie: - Ale wrócił gdzieś w okolicy świąt Bożego Narodzenia, żeby złożyć papiery na studia. Christopher interesował się teatrem, ale uważał, że brakuje mu talentu. Zastanawiał się, czy nie wybrać się jednak na psychologię.

— Czy może pani powiedzieć coś więcej o jego podróży? Jakie kraje odwiedził, jak długo zabawił w każdym z nich? Pani Eola teatralnym gestem kiwnęła ręką.

— Och, Europę. To, co wszyscy zwiedzają w Europie. Francja, Londyn, Wiedeń, Włochy. Interesował się Azją, ale uznaliśmy, że nie jest tam zbyt niebezpiecznie. Wie pan — nachyliła się w jego stronę, jak gdyby chodziło o osobiste zwierzenie — biorąc pod uwagę wojnę i całą resztę.

O tak, konflikt w Wietnamie, którego Eola zgrabnie uniknął. Uniknął poboru ze względu na przekonania, ambicje, żeby skończyć studia, czy może dzięki pieniążkom tatusia? Możliwości było wiele.

- Podróżował sam czy z przyjaciółmi? - zapytał Sinkus.

- Trochę tak, trochę tak - znów machnęła ręką. Sinkus zmienił taktykę.

— Czy ma pani jakieś zapiski z tamtego okresu? Może jakieś pocztówki, które przesłał, jakieś kilka zdań, które zapisała pani w pamiętniku?

— Sprzeciw — krzyknął Barron.

— Nie proszę o pamiętnik — pospiesznie wyjaśnił Sinkus. — Chcę tylko stworzyć dokładniejszy obraz podróży Christophe-ra. Daty, miejsca, ludzie, jeśli nie mają państwo nic przeciw.

W ten sposób zyskałby listę potencjalnych kryjówek, w których mógłby się zaszyć po wyjściu z Bridgewater w 1987 roku. Po co ukrywać się w jakimś podrzędnym hotelu w Stanach, je-śli można uciec na przykład do Paryża?

Eola zgodził się niechętnie. Sinkus kontynuował.

- Tak więc Christopher skończył szkołę średnią, trochę podróżował, a potem wrócił, by starć się o przyjęcie na studia.

— Jakie uczelnie brał pod uwagę? - zapytał Bobby. Sinkus rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Bobby je zignorował. Miał swoje powody.

— Takie jak wszyscy — odpowiedzi pani Eola znów srały się mało precyzyjne. — Harvard, Yale, Princeton. Chciał zostać na wschodnim wybrzeżu, w pobliżu domu. Choć przypominam sobie teraz, że starał się też o przyjęcie do MIT. Zabawne, skąd mu ten pomysł przyszedł do głowy. Sztuki piękne na MIT? Z Christopherem nigdy nic nie było wiadomo.

Sinkus starał się wrócić do sedna rozmowy.

— Cieszyliście się, gdy wrócił?

— O tak — gorąco zapewniła w przypiływie entuzjazmu. Mąż posłał jej takie spojrzenie, że natychmiast zamilkła.

— Słuchajcie - odezwał się zniecierpliwiony Eola. — Wiem, do czego zmierzacie. Może od razu przejdziemy do rzeczy?

Umieściliśmy syna w szpitalu psychiatrycznym. Odwieźliśmy go tam osobiście. Co to za rodzice, którzy w ten sposób postępują?

- Dobra, panie Eola. Co za rodzice postępują w ten sposób?

Eola podniósł podbródek. Skóra na jego kościstej twarzy naciągnęła się do granic możliwości.

- Nic, co powiem, nie może opuścić tego pokoju. Po raz pierwszy głos Sinkusa załamał się.

- Proszę, panie Eola.

- Ja nie żartuję. Wyłącz, młody człowieku, ten dyktafon, bo nie powiem ani słowa.

Sinkus rzucił D.D. pytające spojrzenie. Ta skinęła głową.

- Wyłącz. Posłuchajmy, co pan Eola ma nam do powiedzenia.

Sinkus chwycił dyktafon, wyłączył go. Sekretarka jak na zawołanie odłożyła pióro, dłonie opuszczając na uda.

- Musicie zrozumieć jedną rzecz - zaczął Eola. - To nie była wyłącznie jego wina. Ta dziewczyna, Belgijka, zniszczyła go. Gdybyśmy zorientowali się wcześniej w sytuacji, gdybyśmy wcześniej zareagowali...

— W jakiej sytuacji? Jak mieliście zareagować? -dopytywał się cierpliwie Sinkus. Doskonale wiedział, że Eola i tak powie im to, co musieli wiedzieć. Wszystko w swoim czasie.

— Opiekunka. Au pair. Zatrudniliśmy ją, gdy Christopher miał dziewięć lat, a Natalie trzy. Wcześniej mieliśmy wspaniałą opiekunkę do dzieci, ale założyła własną rodzinę. Zwróciliśmy się zatem do tej samej agencji, a oni polecili nam Gabrielle. Skoro wcześniej tak doskonale nam doradzili, nie było co się zastanawiać. Świetnie wykszcolona au pair to w końcu świetnie wykszcolona au pair, Gabrielle była młodsza, niż się spodziewaliśmy. Dwadzieścia jeden lat, świeżo po szkole. Była zupełnie inna od swojej poprzedniczki, taki typ imprezowiczki... trzpiotki — mówiąc to, zrobił taką minę, że jego dezaprobata byta oczywista. — Czasem miałem

wrażenie, że jej relacje z dziećmi są zbyt swobodne. Ale byk pełna energii, żądna przygód, a dzieciom zdawało się to odpowiadać. Zwłaszcza Christopher był nią oczarowany. Kiedy skończył dwanaście lat, doszło do pewnego incydentu. Był bardzo drobnej budowy, bardziej wrażliwy od swoich rówieśników. Niektórzy chłopcy zaczęli się go czepiać. Odsunęli go. Prowokowali. Ale któregoś dnia sprawy zaszły za daleko. W ruch poszły pięści. Christopher nie wyszedł z bójkę jako zwycięzca.

Eola zacisnął usta, na jego twarzy malowało się obrzydzenie. Bobby nie mógł jednoznacznie stwierdzić, czy wstręt wywołała u niego sama przemoc, czy raczej fakt, że jego syn nie potrafił poradzić sobie z problemem.

Pani Eola znów przecierała oczy.

- Oczywiście - ożywił się Eola - podjęto odpowiednie kroki. Ukarano winnych. Ale Christopher... Zamknął się w sobie. Miał problemy ze snem. Stał się... skryty. W tamtym okresie zdarzyło mi się przyłapać Gabrielle, jak wychodziła nad ranem z jego pokoju. Kiedy spytałem, co tam robiła, odpowiedziała, że usłyszała jego płacz i poszła sprawdzić, czy wszystko w porządku. Muszę przyznać, że nie dopytywałem. Wystarczyło mi to wyjaśnienie. W końcu mojej żonie uwagę zwróciła gosposia, mówiąc, że pościel w pokoju Gabrielle od jakiegoś czasu nie wykazywała śladów użytkowania, podczas gdy ta w pokoju Christophera wymagała dosyć częstych zmian. Była poplamiona. Resztę dopowiedzcie sobie sami. Sinkus otworzył szerzej oczy ze zdziwienia, szybko jednak się pohamował i spytał:

— Niestety, ale musimy to usłyszeć od pana. Eola westchnął głośno.

— W porządku. Nasza opiekunka do dzieci utrzymywała stosunki seksualne z naszym dwunastoletnim synem. Zadowolony? Czy teraz jest już wszystko wystarczająco

jasne?

Sinkus skwitował tę uwagę milczeniem, po czym kontynuował:

- Kiedy pan to odkrył, panie Eola...

- Zwolniliśmy ją. Złożyliśmy doniesienie i została deportowana. Oczywiście wszystko za radą prawników.

- A Christopher?

- Był jeszcze dzieckiem — odparł zniecierpliwiony Eola. - Został uwiedziony i wykorzystany przez jakąś belgijską idiotkę. Oczywiście był zrozpaczony. Krzyczał na mnie, wściekał się na matkę, zamykał się w swoim pokoju na całe dni.

Wydawało mu się, że jest jakimś Romeo, któremu odebrano Julię. Na Boga, miał dwanaście lat. Co on mógł wiedzieć?

- Zadzwoiłam do lekarza - wyszeptała pani Eola. — Do naszego pediatry. Kazał mi przyprowadzić Christophera na badania. Ale fizycznie było z nim wszystko w porządku. Gabrielle nie skrzywdziła go, ona tylko... - wzruszyła bezradnie ramionami. - Nasz lekarz powiedział, że czas leczy każde rany. Tak więc zabraliśmy go do domu i czekaliśmy.

- A on jak się zachowywał?

- Dąsał się - lekceważąco odparł Eola. - Zamykał się w pokoju, nie chciał z nami rozmawiać, jeść z nami posiłków. To trwało tygodniami. Potem jednak wydawało się, że wrócił do siebie.

- Zaczął chodzić do szkoły — ciągnęła pani Eola. - Jadał z nami posiłki, odrabiał lekcje. Wydawało nam się nawet, że stał się dzięki temu wszystkiemu dojrzały. Zaczął nosić garnitury, był bardzo grzeczny. Nasi przyjaciele twierdzili, że w krótkim czasie przeistoczył się w małego mężczyznę. Był naprawdę uroczy. Przynosił mi kwiaty, dużo czasu spędzał ze swoją młodszą siostrą. Natalie go ubóstwiała. Kiedy ukrył się w zaciszu swego pokoju, myślę że to właśnie ją ten fakt zabolął najbardziej. Przez jakiś czas życie toczyło się...

gładko.

- Przez jakiś czas... — powtórzył Sinkus.

Pani Eola westchnęła i znów zamilkła zasmucona. Eola podjął wątek tym samym rzeczowym tonem bez cienia emocji.

— Nasza gosposia zaczęła narzekać na pokój Christophe-ra. Choćby nie wiadomo co robiła, jego łóżko i tak śmierdziało. Twierdziła, że coś jest nie tak. Prosiła, by pozwolono jej nie sprzątać jego pokoju. Oczywiście nie zgodziłam się na to. Powiedziałam, że jest niepoważna. Trzy dni później weszłam właśnie do domu, kiedy usłyszałam krzyk. Wbiegłam do pokoju Christophera i ujrzałam ją nad przewróconym materacem. W końcu odkryła źródło smrodu. Pomiędzy skrzynią na pościel a materacem leżało sześć martwych wiewiórek Christopher... obdarł je wszystkie ze skóry.

Wypruł wnętrzości. Odciął im głowy. Czekałam na niego, żeby porozmawiać, gdy tylko wróci ze szkoły. Natychmiast zaczął przeproszać. Powiedział mi, że po prostu ćwiczył. Na koniec semestru mieli w szkole wykonać sekcję zwłok żaby. Bał się, że okaże się mięczakiem, że może zemdleć na widok krwi, że jeśli znów okaże przy kolegach słabość, będą go nękać.

Eola senior wzruszył ramionami.

- Uwierzyłem mu. To wytłumaczenie, jego strach, to wszystko miało sens. Mój syn, jeśli tylko chciał, potrafił być przekonujący. Sam zabrał padlinę ze swojego pokoju i pogrzebał w ogródku. Uważałem, że sprawa jest zamknięta. Tylko że...

- Tylko że?

— Tylko że w domu już nigdy nie było jak dawniej. Naszej gosposi, Marii, zaczęły się przytrafiać dziwne wypadki. Obracała się na przykład i potykała się o leżącą miotłę, która nie wiadomo skąd się tam nagłe wzięła. Kiedyś, gdy skończył się jej wybielacz, otworzyła nową butelkę, a stamtąd

wydobyły się opary. Zorientowała się w ostatniej chwili. Okazało się, że ktoś wylał wybielacz z nowej butelki i zastąpił go amoniakiem. Krótco potem zrezygnowała z pracy u nas. Upierała się, że nasz dom jest nawiedzony. Ale słyszałem, jak podd nosem to Christophera nazywała złym duchem.

- Uważała, że chce jej zrobić krzywdę?

- Uważała, że chce ją zabić - bez ośrodek poprawił go Eola. Być może dowiedział się, że to ona doniosła nam na niego i na Gabrielle. Być może chciał zemsty. Tak naprawdę to nie wiem. Christopher był grzeczny. Christopher był pomocny. Chodził do szkoły. Dostawał dobre stopnie. Robił wszystko, o co prosiliśmy. Ale nawet... - Eola westchnął głęboko — ale nawet ja nie przepadałem za towarzystwem własnego syna. — Co stało się w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku? - zapytał łagodnie Sinkus.

— Christopher wyjechał — odparł cicho Eola. — I przez prawie dwa lata mieliśmy wrażenie, jakby znad naszego domu zniknęła przysłaniająca całe słońce ciemna chmura. Nasz córka nie była już taka lękliwa. Kucharz gwizdał sobie pod nosem melodyjki. Wszyscy swobodniej oddychaliśmy. I nikt nic nie mówił, bo cóż było gadać? Nigdy nie przyłapaliśmy go na żadnym występku. Po historii z wiewiórkami i odejściu Marii ustały dziwne wypadki, żadnych przykrych zapachów, nic choćby najmniej podejrzanego. Ale dom był lepszy bez Christophera. Szczęśliwszy. Wtedy wrócił.

Eola przerwał na moment opowieść. Podjął wątek już zupełnie innym tonem, już nie tak rzeczowym i pozbawionym emocji. Teraz wiele więcej można było wyczytać z jego twarzy. Wściekłość, przygnębienie. Bobby nachylił się ku niemu. Czuł, jak zaciska mu się żołądek w przygotowaniu na to, co za chwilę usłyszy.

— Najpierw zmieniała się Natalie - rzekł Eola głosem, który zdawał się płynąć w pustkę. — Stała się zamknięta w sobie, miewała humory. Potrafiła siedzieć godzinami w zupełnym milczeniu, a potem nagle wybuchwała o byle błahostkę. Tłumaczyliśmy to sobie okresem dojrzewania. Miała czternaście lat, trudny wiek. Poza tym przez prawie rok miała dom tylko dla siebie, prawie jak jedynaczka. Może nie była zadowolona z powrotu Christophera. On z kolei za wszelką cenę starał się jej dogodzić. Przynosił jej kwiaty, ulubione słodycze. Zwracał się do niej pieszczotliwie, wymyślał jakieś niestworzone przyśpiewki. Im bardziej go odpychała, tym bardziej on zabiegał o jej względy, zabierał ją do kina, przedstawiał swoim znajomym, odprowadzał do szkoły. W ciągu tej podróży wyrósł na przystojnego młodzieńca. Przybrał na wadze, zaakceptował samego siebie. Myślę, że wiele z koleżanek Natalie potajemnie podkochiwało się w nim, co oczywiście skrzętnie wykorzystywał. Pauline i ja myśleliśmy, że podróż wyszła mu na dobre. Że najgorsze za nami. Dzień po urodzinowej kolacji Christophera zadzwonił do mnie klient z Nowego Jorku. Coś wyskoczyło i musiałem się z nim natychmiast spotkać. Pauline zdecydowała się mi towarzyszyć, mając nadzieję, że uda nam się wyskoczyć do teatru. Nie chcieliśmy, żeby Natalie zarywała szkołę, ale to nie był przecież problem. W domu zostawał Christopher. Zostawiliśmy mu dom pod opieką i wyjechaliśmy. Znowu przerwa. Zdawało się, że na moment, w którym Eola zmagił się ze wspomnieniami, starając się dobrać odpowiednie słowa, serca wszystkich obecnych stanęły. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był zachrypnięty i niski, ciężko było usłyszeć jakiegokolwiek słowa.

- Moje nagłe spotkanie skończyło się jednak wcześniej, niż planowałem. A Pauline nie udało się dostać biletów na przedstawienie, które chciała zobaczyć. Nie pomyśleliśmy, żeby

zadzwoń. Było po ósmej wieczorem. Nasza rezydencja tonęła w ciemnościach. Służba już wyszła. Znaleźliśmy ich w pokoju gościnnym. Christopher siedział w moim ulubionym skórzanym fotelu... Natalie... Zmuszał ją do... aktu seksualnego. Łkała. Usłyszałem, jak mój syn mówi głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem: „Ty głupia zdziro, lepiej połknij, bo następnym razem zerżnę cię w dupę”. Potem podniósł wzrok. Zobaczył, że stoimy w drzwiach. Tylko się uśmiechnął, zimnym, lodowatym uśmiechem. „Cześć, tato”, powiedział, „powinienem ci podziękować, jest znacznie lepsza od Gabrielle”.

Eola znów przerwał. Jego wzrok wbity był w jakiś punkt na wypolerowanym, drewnianym stole. Ramiona jego żony dygotały spazmatycznie, gdy kołysła się w przód i w tył. Pierwsza zareagowała D.D. Wstała, przyniosła pudełko chusteczek higienicznych, jedną w milczeniu podając pani Eoli. Starsza pani ścisnęła ją w dłonie, nie przestając się kołysać.

- Dziękuję, że zdecydowali się państwo z nami porozmawiać — powiedziała łagodnie D.D. - Wiem, że nie jest wam łatwo.

Kilka końcowych pytań i myślę, że się pożegnamy.

- Słucham? — zapytał Eola zmęczonym głosem.

- Mógłby pan nam podać rysopis Gabrielle?

Tego pytania na pewno się nie spodziewał. Zmrużył oczy.

- Ja nie... Nie zastanawiałem się nad tym... Co chcecie wiedzieć?

- Podstawowe rzeczy, takie jak wzrost, waga, kolor oczu. Ogólne wrażenie.

- Miała mniej więcej metr sześćdziesiąt pięć. Ciemne włosy. Szczupła, ale nie taki wieszak, jakie widuje się w dzisiejszych czasach. Była... krzepka, pełna życia. Jak Catherine Zeta Jones.

D.D. pokiwała głową. Bobby pomyślał dokładnie o tym, o

czym ona musiała pomyśleć. Ten opis mógł również pasować do Annabelle.

Sinkus odchrząknął, na powrót ściągając całą uwagę na siebie. Czas było podsumować spotkanie, ale detektyw wyglądał na zakłopotanego.

- Panie Eola, jeśli mógłby pan nam powiedzieć... po tym, jak przyłapał pan Christophera, czy on pojechał z panem do szpitala dobrowolnie?

— Nie miał wyboru.

— To znaczy?

— Moje pieniądze działają cuda, detektywie Sinkus. A może być pan pewien, że po tym... incydencie, nie zamierzałem dać mu złamanego centa. Christopher miał jednak własne środki. Fundusz powierniczy zostawiony przez dziadków. Miał zyskać dostęp do tych pieniędzy dopiero z chwilą ukończenia dwudziestu ośmiu lat, ale i wtedy nic by nie dostał bez zgody powiernika, czyli bez mojej zgody.

Bobby zrozumiał od razu, podobnie jak D. D.

— Zagroził mu pan, że go wydziedziczy. Że pozbawi środków do życia.

— Dokładnie tak zrobiłem — wyrzucił z siebie Eola. - Już wystarczającą szczodrością z mojej strony był fakt, że go nie zabiłem tamtej nocy.

— Uderzyłeś go - szeptem odezwała się pani Eola. — Rzuciłeś się na niego. I uderzałeś go, i uderzałeś. Natalie krzyczała, ty krzyczałeś, to trwało wieki. Christopher tylko siedział. W ustach miał krew, a na twarzy ten sam lekceważący uśmiezek.

Eola nie zamierzał prosić o rozgrzeszenie:

— Zagoniłem tego cholernego chuderlaka do jego pokoju. Zamknął się tam, a ja... zastanawiałem się, co robić dalej. Nie mogłem tak po prostu zabić własnego syna, chyba bym się na to nie zdobył. Z drugiej strony, nie mogłem narażać córki na

szczególne przesłuchania policji. Poradziłem się prawnika -
zerknął

na Barrona - i on podsunął mi trzecią możliwość. Ostrzegając
mnie jednak, że w przypadku Christophera, który miał już
dwadzieścia lat, szpital psychiatryczny wchodził tylko w
przypadku, gdy sam zainteresowany wyrazi na to zgodę bądź
gdy zdobęde nakaz sądowy, ale to oznaczało rozmowę z
policją. Mój syn był cwany, to muszę mu przyznać. I jak już
mówiłem, przywykł do luksusów. Nie wyobrażam go sobie
mieszkającego na ulicy. Dlatego rano zawarliśmy układ. On
miał zostać w Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym do
ukończenia dwudziestego ósmego roku życia i jeśli ten
warunek spełni, pozwolę, by dostał należne mu pieniądze.
Trzy miliony dolarów to kwota, którą nikt by chyba nie
pogardził, i Christopher zdawał sobie z tego sprawę. Przekro-
czył bramę szpitala i nigdy więcej go nie widzieliśmy.

— Nigdy go nie odwiedziliście — próbował dociekać Sinkus.

— Dla nas nasz syn nie żyje.

— Nie dowiadywaliście się o jego stan, nawet przez telefon?

— Mój syn nie żyje, detektywie.

- A więc nie wie pan, że pański syn napytał sobie biedy w
Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym i wylądował w Brid-
gewater.

- Kiedy ogłoszono, że szpital w Bostoński zostanie zamknięty,
zadzwoiłem tam. Lekarz poinformował mnie, że
Christopher został wcześniej przeniesiony do Bridgewater.
Było mi to na rękę.

Sinkus zmarszczył czoło.

- A w jego dwudzieste ósme urodziny?

- Do biura mojego prawnika przyszedł list o treści: „Umowa
to umowa”. Podpisałem więc odpowiednie papiery.

- Niech pan chwilę poczeka - wtrąciła się D.D. - Christopher
skończył dwadzieścia osiem lat w kwietniu tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątego drugiego roku. Czyli mówi pan, że to właśnie wtedy wszedł w posiadanie trzech milionów dolarów.

- Dokładnie trzech i pół. Pieniądze były nieźle ulokowane.

— I odebrał taką kwotę?

— Przez te lata odbierał pieniądze cyklicznie. - Co?

Eola zwrócił się do swojego prawnika: - John, mógłbyś?

— Te informacje są poufne, mam nadzieję, że w taki właśnie sposób będzie je pan traktował.

Rozdał zebranym plik zszytych kartek papieru. Dokumentację finansową, rozpoznał Bobby, szybko przelatując poszczególne kartki wzrokiem, Szczegółową dokumentację finansową funduszu Christophera, wraz z datami, kiedy pobierał kolejne kwoty. Bobby natychmiast zwrócił się do Barrona: — Jak się z panem kontaktował? Kiedy chciał pieniądze, co wówczas robił, tak po prostu dzwonił?

— Co za bzdura, oczywiście, że nie. To fundusz powierniczy, a nie bankomat. Każdorazowo musiałem mieć pisemną, potwierdzoną notarialnie prośbę, którą dołączałem do akt.

Proszę przewertować te papiery, a znajdzie je pan wszystkie.

- A więc nigdy nie odbierał czeków osobiście? Ma pan jakiś adres korespondencyjny? - To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. I niestety, było zbyt piękne, jak przekonał się, czytając ostatnią stronę. - Chwileczkę, wypisywał pan чеки na bank szwajcarski?

Barron wzruszył ramionami.

- Jak już wspominał pan Eola, Christopher spędził dużo czasu w Europie. Musiał najwyraźniej założyć wtedy konto w banku szwajcarskim.

Bobby zamyślił się. Normalny, przeciętny dziewiętnastolatek nie zakłada konta w banku szwajcarskim. Nawet jeśli jest rozpieszczonym synkiem bogatych rodziców. I nagle zrozumiał. Mógł to zrobić jedynie ktoś, kto już wtedy

zakładał, że będzie gdzieś musiał ukryć swój majątek, na wypadek gdyby przyszło mu uciekać. A wtedy zaczął się zastanawiać, co Christopher tak naprawdę robił podczas swojej wycieczki po Europie.

Spotkanie dobiegało końca. Eola obejmował żonę, która wycierała chusteczką resztki rozmazanego tuszu do rzęs. Wyszeptał jej coś do ucha. Uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi.

- A jak się miewa pańska córka, panie Eola? - zapytał łagodnie Bobby.

Zaskoczyła go pełna gniewu odpowiedź matki Christophera.

- Jest lesbijką. Czego by się pan spodziewał?

Pani Eola wstała. Gniew na nowo dodał jej energii. Mąż wykorzystał tę chwilę, by skłonić ją do wyjścia. Prawnicy i sekretarka podążyli za nimi i całą grupą świetnie ustawionych przedstawicieli klasy wyższej podążyli w stronę windy.

Po kilku minutach ciszy, pierwszy odezwał się Sinkus.

— Czy to znaczy - spytał D.D. — że mogę lecieć do Szwajcarii?

ROZDZIAŁ 26

PRZESŁUCHANIE PAŃSTWA EOLA trochę się przedłużyło, odprawa zaczęła się więc z niewielkim opóźnieniem, a ponieważ większość detektywów przybyła na czas, zanim Sinkus, Bobby i D.D. tam dotarli, wszystkie opakowania po pizzy były puste, wszystkie napoje wypite i nie została się nawet ani jedna pałeczka chlebowa.

Bobby wypatrzył plastikowy pojemnik z paprykowymi chipsami, ale po chwili wahania zrezygnował z przekąski.

- W porządku — zaczynała już D.D. - wszyscy na miejsca, słuchajcie uważnie. Dla odmiany w śledztwie nastąpił przełom i tym razem naprawdę mamy wiele do obgadania, więc do roboty.

Detektyw Rock ziewnął, wertując swoje papiery, zęby jakoś ten gest zamaskować.

- Słyszałem, że mamy liścik - odezwał się — myślisz, że to nasz facet, czy jakiś popieprzeniec?

- Nie wiemy, Podaliśmy nazwisko Annabelle do wiadomości publicznej ale nie wspominaliśmy ani o medalionie, ani o pozostałych dowodach. Albo więc gość ma u nas jakąś wtyczkę, albo po prostu to jego sprawa.

To ostatnie stwierdzenie ożywiło wszystkich obecnych, ale kolejne kilka zdań wywołało jedynie zbiorowy pomruk niezadowolenia.

- Mam tu kopię listu, którą za chwilę wam rozdaję, najpierw jednak musimy podsumować wszystko, co już mamy, a potem - pomachała stertą zdjęć - zastanowimy się, co nam to daje.

Sinkus, zacznij.

Sinkus nie oponował, gdyż jako osoba odpowiedzialna za sprawę Christophera Eoli aż się gotował do zabrania głosu. Zrelacjonował przesłuchanie rodziców Eoli, podsumował, co wiedzą o seksualnych ekscesach Christophera, zaznaczając podobieństwo między jego byłą nianią a Annabelle, jedną z niedoszłych ofiar. Podkreślił też fakt, iż Eola dysponuje znacznymi środkami finansowymi. Posiadając konto w banku szwajcarskim i kilkumi-lionowy fundusz powierniczy, mógł z powodzeniem zejść z oczu niepożądanym osobom. Na tym etapie musieli więc brać pod uwagę każde rozwiązanie. Co należało jeszcze zrobić: zadzwonić do Departamentu Stanu i namierzyć paszport Eoli, skontaktować się z Interpolem i upewnić się, czy przypadkiem oni też się nim nie interesują albo czy w których z dochodzeń nie natknęli się na kogoś o podobnym modus operandi, no i wreszcie znaleźć sposób na namierzenie, dokąd wychodzą pieniądze z konta szwajcarskiego, albo jeszcze lepiej, pomysł na zamrożenie wszystkich środków, którymi dysponuje.

- Możemy go uznać za terrorystę - podsunął McGahagin.

Kilku detektywów zaśmiało się na te słowa.

- Ja nie żartuję — upierał się sierżant. — Dla rządu w Szwajcarii, czy jakichkolwiek innych władz, wydział zabójstw znaczy tyle co nic. A napiszcie tylko, że macie powody przypuszczać, że Eola ukrył ładunek radioaktywny na którejś stacji metra, gwarantuję, że zamroziecie jego środki w sekundę. A przecież martwe ciała też są w pewnym sensie radioaktywne. Już nie pamiętacie niczego z lekcji biologii? Patrzyli tępo jeden na drugiego. Najwyraźniej żaden nie oglądał Discovery.

— Ja w każdym razie — ciągnął nieugięty McGahagin — jestem przekonany, że to by poskutkowało.

Sinkus wzruszył ramionami, pośpiesznie coś zanotował. Nie pierwszy raz próbowaliby nagiąć trochę prawdę. Pewne przepisy wprowadzano jedynie po to, by detektywi z wydziału zabójstw mogli znaleźć jakiś sposób na ich obejście. Sinkus był też odpowiedzialny za namierzenie Adama Schmidta, sanitariusza z Bostońskiego Szpitala Psychiatrycznego, którego wylano po tym, jak przespał się z pacjentką. Przeszedł zatem do tej sprawy.

— Wreszcie udało mi się zlokalizować Jill Cochran, była przełożoną pielęgniarek - oznajmił. — Powiedziano mi, że ma większość papierów z tamtego okresu. Kataloguje je czy archiwizuje. Nie wiem. W każdym bądź razie robi z nimi coś, co się normalnie robi z dokumentacją szpitala psychiatrycznego.

Mam z nią spotkanie rano i zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej o Schmidcie.

- A co już wiemy? — dopytywała D. D.

- Nic specjalnego. Więc albo nic nie nabroił od tamtego czasu, albo jest teraz zbyt sprytny, by dać się przyłapać. Jakoś mimo wszystko nie podejrzewam, że wiele tu znajdziemy. Stawiałbym jednak na Eolę.

D.D. tylko zerknęła na niego, a w obronnym geście uniósł ręce do góry:

- Wiem, wiem, dobry śledczy poruszy niebo i ziemię, podążając każdym możliwym tropem. Rozumiem, rozumiem, będę działał.

Widać było po nim ogromne zmęczenie, efekt zarwanych nocy. Głos zabrał następnie detektyw Tony Rock, relacjonując to, co udało im się ustalić dzięki gorącej linii.

- Cóż mogę powiedzieć? — chropowaty głos zadudnił w pokoju. Rock również wyglądał na wykończonego, a jego głos zda-

wał się ten fakt potwierdzać. - Odbieramy mniej więcej

trzydzieści pięć rozmów na godzinę, większość tego, co udało nam się dowiedzieć, można by podzielić na trzy kategorie: odrobinę szalone, zdrowo pieprzone i tak smutne, że brak słów. Do dwóch pierwszych kategorii wliczam standardowe teorie typu: wszystkiemu winni są kosmici, faceci w białych garniturach, a żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo na tym świecie, trzeba owijać głowę folią aluminiową. Historie, które wliczam do trzeciej kategorii, są rzeczywiście tak smutne, że brak mi słów. Rodzice.

Dziadkowie. Rodzeństwo. Wszyscy, których bliscy zaginęli. Wczoraj dzwoniła siedemdziesięcioletnia kobieta. Jej młodsza siostra zaginęła w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Kiedy usłyszała, że znaleziono szkielety, miała nadzieję, że tym razem jej się poszczęści. Wyjaśniłem, że szczątki raczej nie są aż tak stare, rozplakała się. Już sześćdziesiąt pięć lat próbuje odnaleźć młodszą siostrę. Powiedziała mu że nie może teraz się poddać, bo złożyła rodzicom obietnicę. Życie okazuje się czasem po prostu gówniane.

Rock podrapał się po nosie, mrugnął kilka razy i ciągnął dalej: — Tak więc mam listę siedemnastu zaginionych dziewczynek które zniknęły między rokiem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Niektóre są stąd. Jedna pochodzi aż z Kalifornii. Od rodzin zebrałem wszystkie informacje, które mogą być potrzebne do identyfikacji. Spisałem biżuterie, jaką miały na sobie, wszystkie części garderoby, odnotowałem ewentualne złamania kości, zabiegi dentystyczne, a nawet ulubione zabawki, z nadzieją, że któraś okaże się przywiązana do jednego z worków. Wszystkie informacje przekazałem Christie Callahan. To tyle, jeśli o mnie chodzi.

Usiadł z powrotem na metalowym rozkładanym na krześle, a raczej opadł na nie ciężko, jakby uszło z niego całe powietrze.

Nie wyglądał dobrze i przez chwilę pozostali detektywi zerkali jeden na drugiego, zastanawiając się, który pierwszy ten fakt skomentuje.

— Co? - warknął Rock.

- Jesteś pewien, że... - zaczęła D.D.

- Nie mogę pomóc matce - odparł Rock — więc może przynajmniej uda mi się dorwać tego sukinsyna, który zamordował sześć dziewczynek.

Ciężko było polemizować z tą wypowiedzią, więc postanowili kontynuować.

- No dobra — oznajmiła D.D. - Mamy jednego głównego podejrzanego o ponadprzeciętnej inteligencji i sprycie, który posiada znaczne środki finansowe, mamy też byłego pracownika szpitala, któremu warto bliżej się przyjrzeć, i wreszcie mamy listę siedemnastu zaginionych dziewczynek, którą przygotowano na podstawie doniesień z gorącej linii. Poza tym może istnieć jakiś związek pomiędzy tymi morderstwami a o dwa lata wcześniejszym porwaniem. Ktoś jeszcze chciałby zabrać głos? Jerry?

Sierżant McGahagin pracował nad nierozwiązanymi sprawami zaginięć młodych dziewczynek w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Jego zespół przygotował listę dwudziestu sześciu przypadków a Massachusetts. Teraz postanowili rozszerzyć ten obszar.

McGahagin przejrzał raport Tony'ego Rocka, wyszukując pięć nazwisk, które się pokrywały na obu listach.

- Teraz potrzebuję raportu wikrymologicznego - stwierdził stanowczo. — Jeśli Callahan dostarczy mi opisy ofiar, jest szansa, że uda mi się je odnieść do konkretnych przypadków nierozwiązanych spraw. Potem moglibyśmy popracować nad potwierdzeniem tożsamości, a to dałoby nam pojęcie, o jakim przedziale czasowym w ogóle mówimy. Proste jak drut.

McGahagin wyczekująco wpatrywał się w D.D. Ta, wy-

trzymując jego spojrzenie, odpowiedziała:

- Co mam zrobić, do cholery? Mam sobie z tyłka wyciągnąć te sześć raportów?

- Do diabła, D.D., minęły cztery dni. Jakim cudem dalej nic nie wiadomo?

- To specyficzny rodzaj mumifikacji - stanowczym tonem odpierała ataki D.D. — Nikt wcześniej w Nowej Anglii nie miał do czynienia z takim przypadkiem.

- W takim razie, z całym szacunkiem dla Christie, zadzwoń po kogoś, kto miał.

- Christie już kogoś ściągnęła.

- Co? — McGahagin był zupełnie zbity z tropu. Śledczy co prawda rutynowo zwracali się o pomoc w postaci dodatkowych ludzi, ekspertów, specjalistycznych testów, prośby te jednak nie zawsze były rozpatrywane pozytywnie. — Christie dostanie kogoś do pomocy?

- Jutro, z tego co mi powiedziano. Jakiś wzięty ekspert z Irlandii, który specjalizuje się w takich gównach, zainteresował się "świeżym" przypadkiem. Prokurator generalny musiał wypruć sobie żyły, żeby za niego zapłacić. Widać nie tylko na gorącej linii ocieramy się o szaleństwo. Biuro gubernatora zalewają histeryczne skargi, że na wolności pozostaje seryjny morderca,

który gdzieś tam czyha na małe dziewczynki. A to przypomina mi o tym, że gubernator życzyłby sobie, żebyśmy rozwiązali tę sprawę, hmmm, jakieś pięć minut temu.

D.D. przewiodła oczami. Kilku detektywów zachichotało.

— A tak na poważnie - ciągnęła - Christie się stara. Wszyscy się staramy. Mówi, że potrzebuje jeszcze tygodnia. Więc możemy załamać ręce i nic nie robić albo postarać się zrobić, ile się da.

Ponownie zwróciła się do McGahagina:

— Mówiłeś, że masz listę dwudziestu sześciu zaginionych dziewczynek z Massachusetts? Dwadzieścia sześć to spocą liczba.

— Jak powiedział Tony, życie okazuje się czasem gówniane. Sporządziłeś jakieś wykresy? Czy może w których z okresów te zaginięcia wyjątkowo się nasiliły?

— Okres między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym drugim wyjątkowo nie sprzyjał małym dziewczynkom w Bostonie.

— Jak bardzo?

— Dziewięć zaginięć w ciągu czterech lat, żadnej sprawy nie udało się rozwiązać.

— Jaki przedział wiekowy?

— Od zera do osiemnastu.

D. D. zastanowiła się przez chwilę.

— A jeśli ograniczymy listę do przedziału powiedzmy od pięciu do siedmiu lat.

— Wtedy liczba zmniejszy się do siedmiu.

— Nazwiska?

Odczytał wszystkie, w tym Dori Petraceili.

— Lokalizacja?

— Różne. Southie, Lawrence, Salem, Waltham, Woburn, Marlborough, Peabody. Jeśli przyjmiemy, że za wszystkie przypadki jest odpowiedzialna ta sama osoba...

— Możemy, jak najbardziej, przyjąć takie założenie.

— To wtedy po pierwsze szukamy kogoś z samochodem - rozważał McGahagin - kogoś, kto bez problemu porusza się po całym stanie i umie się wtopić w każde środowisko. Może jakiś pracownik komunalny, serwisant. Ktoś sprytny.

Zorganizowany. Ktoś traktujący swoje zbrodnie niczym rytuał.

— Przedział czasowy wskazywałby na Eolę — skomentował Sinkus. — Wyszedł ze szpitala w siedemdziesiątym ósmym

roku, nie miał nic ciekawszego do roboty...

- Tylko że - szepnęła D.D. - liczba zaginięć znacznie spada w roku osiemdziesiątym drugim. Dlaczego niby Eola miałyby przestać? Teoretycznie mógł to ciągnąć w nieskończoność. Co zresztą jest zagadką w przypadku każdego innego sprawcy. Morderca nie budzi się nagle pewnego dnia z postanowieniem, że od dziś przestanie zabijać. Coś musiało się wydarzyć. Musiały się na siebie nałożyć jakieś inne wydarzenia. A to nas prowadzi — odszukała spojrzenie Bobby'ego - do Russella Grangera.

Bobby westchnął, wbił się mocniej w krzesło. Odkąd dotarł do wydziału zabójstw, nie miał nawet czasu się wysikać, nie mówiąc już o przygotowaniu jakichś notatek, a teraz musiał wszystko klepać z pamięci.

— Z tego co wiemy z policyjnych akt, Russell Granger po raz pierwszy złożył doniesienie o podglądaczu w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. To wywołało całą lawinę zdarzeń, w których efekcie Russell zniknął z całą rodziną, próbując rzekomo chronić swoją siedmioletnią córkę, Annabelle. A więc na pierwszy rzut oka Annabelle Granger wygląda na niedoszłą ofiarę, a Russell na biednego, nękanego ojca. Tylko że...

— No właśnie. Tylko że - zgodziła się D.D. Bobby uniósł kciuk w górę.

— Po pierwsze, Catherine Gagnon, którą porwano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, rozpoznała w nim rzekomego agenta FBI, który dwukrotnie przesłuchiwał ją w szpitalu, tuż po tym, jak została odnaleziona. To było w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, czyli dwa lata wcześniej, nim Granger złożył doniesienie o podglądaczu. Przysypiający Rock nagle podniósł głowę.

- Że co?

- Nas też to zaskoczyło. Po drugie, podczas wizyty u Cathe-

rine, Granger pokazał jej czarno-biały portret pamięciowy. Catherine poinformowała go, że to nie jest jej porywacz, ale Granger upierał się, że tak, czemu ona nadal stanowczo zaprzeczała. A więc czy ten portret miał jedynie odwrócić uwagę Catherine, czy Granger rzeczywiście kogoś podejrzewał? Ja mam swoje zdanie na ten temat — odwrócił się w stronę D. D. — a sierżant ma swoje. No i wreszcie, po trzecie, nie ma żadnych dokumentów na nazwisko Russell Granger. Żadnego prawa jazdy. Numeru ubezpieczenia społecznego. Ani na Russella, ani na jego żonę, Leslie Ann Granger. W dokumentach jako właściciel domu przy Oak Street figuruje Gregory Badington z Filadelfii. Domyślam się więc, że Grangerowie wynajmowali dom, problem w tym, że Badington zmarł trzy lata temu, a gdy rozmawiałem przez telefon z jego żoną, odniosłem wrażenie, że ma jakieś sto pięćdziesiąt lat i najmniejszego pojęcia, o czym mówię. Ślepy zaułek, nic tu więcej nie znajdziemy. Wczoraj zacząłem też badać kwestie finansowe, ale to też nigdzie mnie nie zaprowadziło. Spróbowałem odnaleźć meble z domu Grangerów, rzekomo oddane na przechowanie. Pudło. Nie ma dowodów na to, że taka rodzina w ogóle istniała. Oczywiście oprócz złożonego przez Grangera doniesienia. — Myślisz, że to sam Granger to uknuł? — zapytał zbity z tropu Rock — Że zmyślił wszystko od początku do końca? Bobby wzruszył ramionami. — Ja nie, ale sierżant Warren... — To mogła być doskonała przykrywka — bezbarwnym głosem stwierdziła D.D. — Może w osiemdziesiątym drugim roku zorientował się, że policja w końcu zauważy wzrost liczby zaginięć dziewczynek Wykombinował, że jeśli zrobi z siebie ofiarę, nikomu nie przyjdzie do głowy traktować go jako podejrzanego. Co więcej, miał świetną wymówkę, żeby wyjechać w październiku. Tylko pomyśl. Siedem przypadków

zaginięć dziewczynek pomiędzy siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym drugim rokiem, wśród nich bliska znajoma Grangera, najlepsza przyjaciółka jego córki, a jednak żadnemu detektywowi nie przyszło do głowy, żeby go przesłuchać. Czemu? Bo sprawił, że postrzegano go jako opiekuńczego ojca. Po prostu doskonale.

Sinkus wyglądał na strapionego. Jasne było, że stawiał na swojego podejrzanego, Eolę, a pojawienie się na scenie podejrzanego numer dwa, Rusella Grangera, odebrał jak kubek zimnej wody.

- Tylko jeden drobny niepasujący szczegół — obstawał przy swoim Bobby. — Russell Granger nie żyje. A to oznacza, że niezależnie, od tego, co zrobił bądź nie na początku lat osiemdziesiątych, nie on zostawił liścik za wycieraczką samochodu D. D.

— Jesteś pewien?

- Chyba nie sugerujesz...

- Przyjrzyj się faktom, detektywie - odparła D. D. - Do tej pory nie udało ci się potwierdzić, że ktoś taki jak Russell Granger w ogóle istniał.

- To chyba jakieś kpiny...

- Mówię poważnie. Masz akt zgonu? Potwierdzenie? Nie, masz tylko zeznania córki Grangera, która twierdzi, że jej ojciec został śmiertelnie potrącony przez taksówkę. Żadnych dokumentów na potwierdzenie tej wersji. Moim zdaniem, to cholernie wygodne.

- A więc nie tylko Russell Granger jest seryjnym mordercą, ale jeszcze jego córka go osłaniała I kto tu przechodzi od faktów do fikcji?

- Ja tylko mówię, że nie możemy jeszcze wyciągać żadnych wniosków. Chcę się dowiedzieć dwóch rzeczy. — Patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. - Kiedy Russell Granger po raz pierwszy przyjechał do tego stanu i dlaczego uciekał po

opuszczeniu Arlington. Podaj mi te odpowiedzi, to pogadamy.

— Po pierwsze - odparł Bobby - skontaktowałem się z byłym przełożonym matematyków z MIT. Mam się z nim spotkać wczesnie rano i powinienem dowiedzieć się czegoś więcej o Russellu Grangerze i o tym, kiedy dokładnie przybył do Massachusetts. Po drugie, próbowałem też sprawdzać daty i miasta już po ich wyjeździe z Arlington, ale ponieważ ciągle gdzieś za tobą biegam, nie osiągnąłem oszałamiających wyników.

D. D. posłała mu ponury uśmiech.

- A teraz - podniosła w górę stertę zdjęć - przejdźmy do głównego wydarzenia dzisiejszej nocy.

ROZDZIAŁ 27

MOIM TAJEMNICZYM ROZMÓWCĄ okazał się pan Petracelli. Przez telefon nie wydawał się ani odrobinę serdeczniejszy aniżeli przy naszym ostatnim spotkaniu. Chciał się ze mną zobaczyć, ale nie chciał, aby pani Petracelli się o tym dowiedziała. Im szybciej, tym lepiej.

Dźwięk własnego imienia w słuchawce telefonu wypro-
wadził mnie z równowagi. Nie chciałam, żeby przychodził do
mojego mieszkania. Już sam fakt, że zadzwonił na mój numer
domowy, który zostawiłam pani Petracelli, wydawał mi się
starczającym pogwałceniem mojej prywatności.

Ustaliliśmy w końcu, że spotkamy się w Faneuil Hall, na
wschodnim końcu Quincy Market, o ósmej wieczorem. Pan
Petracelli ponarzekał, że będzie musiał jechać do centrum,
szukać miejsca do zaparkowania, w końcu niechętnie przystał
na moją propozycję. Ja miałam własne zmartwienia — jak
zaplanować przerwę w pracy tak, żeby wyskoczyć na
spotkanie - z tym jednak powinnam sobie poradzić.

Pan Petracelli rozłączył się, a ja stałam jeszcze chwilę bez ru-
chu, przyciskając słuchawkę do piersi i próbując dojść do
siebie. Miałam być w pracy za siedemnaście minut. Nie
nakarmiłam Belli, nie zmieniłam ubrania, nie rozpakowałam
się.

Kiedy po chwili otrząsnęłam się w końcu, odłożyłam słu-
chawkę telefonu i wcisnęłam „Play” na automatycznej
sekretarce, żeby odsłuchać wiadomości. Pierwsza wiadomość:
ktoś się rozłączył. Druga wiadomość: to samo. Trzecie

wiadomość: jedna z klientek, która właśnie doszła do wniosku, że nie do końca podobają jej się osłony karnisza i poinformowała mnie, że widziała świetne u swojej koleżanki Tiffany i może mogłybyśmy jeszcze zmienić projekt, a jeśli to za duży problem, ona może po prostu zadzwonić do projektanta Tiffany. Ciao, ciao!

Zapisałam kilka słów na skrawku papieru. Potem odsłuchałam jeszcze trzy wiadomości, za każdym razem dzwoniący natychmiast odkładał słuchawkę. Pan Petracelli, wahający się, czy zostawić wiadomość? Albo ktoś inny usilnie próbujący się ze mną skontaktować? Nagle po latach całkowitej izolacji stałam się niezwykle popularna. Dobra wiadomość czy zła? Ogarnęło mnie zdenerwowanie.

— Bella — oznajmiłam nagle mojemu psu — co byś po wiedziała, gdybym zabrała cię dzisiaj do pracy?

Bella i bardzo spodobał się mój pomysł. Po kilku szalonych obrotach wokół własnej osi pognała w stronę drzwi i patrzyła na mnie wyczekująco. Nie zachwyił jej fakt, że muszę się jeszcze przebrać, choć miała dzięki temu czas, żeby zjeść kolację. Podczas gdy ona opróżniała swoją miskę w rozmiarze całkiem sporego wiadra, ja wskoczyłam w swoje sprane dżinsy, gładką białą koszulę, a na stopy wsunęłam idealne na drugie godziny na nogach chodaki. Chwyciłam oczywiście swój nieodłączny, podręczny paralizator i wetknęłam go do okazałych rozmiarów torebki.

Z Bella przy nodze spieszenie opuściłam mieszkanie, upewniając się wcześniej, że wszystkie zamki zostały zamknięte. Na ulicy znów poczułam się niepewnie, nerwowo rozglądając się to w prawo, to w lewo. O tej godzinie ruch był spory, ludzie tłumnie wracali z pracy do domów. Atlantic Avenue była pewnie zupełnie zakorkowana, zwłaszcza że lało jak z cebra.

Moja boczna uliczka była jednak spokojna, jedynie światła

latarni odbijały się na ciemnym, śliskim chodniku. Chwyciłam mocniej smycz Belli i pomaszerowałyśmy w ciemność.

PRACA W KAWIARNI BYŁA DO DUPY. Przez większość ośmiogodzinnej zmiany skupiałam się tylko na tym, by nie opieprzać naszpikowanych kofeiną klientów i nie dogryzać szefowi, któremu wręcz odwrotnie, najwyraźniej brakowało środków pobudzających.

Wybiła ósma. Pięć osób czekało w stale rosnącej kolejce. Każda z nich miała ochotę na coś innego, to kawę beztłuszczową, to kawę z czekoladą. Podawałam kawę za kawę, martwiąc się o Bellę przywiązaną pod daszkiem na zewnątrz i o pana Pe-tracellego, czekającego już zapewne na końcu upstrzonego straganami oferującymi przeróżne przysmaki Quincy Market.

— Muszę iść na przerwę — przypomniałam kierownikowi.

- Masz klientów - odpowiedział.

— Piętnaście po ósmej. Muszę się wysikać.

— Naucz się to kontrolować.

Dwadzieścia po ósmej do środka wtoczyła się kolejna uzależniona od kofeiny rodzinka, a mój szef dalej nie miał zamiaru ustąpić. Miałam dość. Zdjęłam fartuch i rzuciłam go na ladę.

— Idę do łazienki — oznajmiłam — jak się to panu nie podoba, proszę mi kupić nowy pęcherz.

Wypadłam na zewnątrz, zostawiając Carla z czwórką klientów, z których każdy miał szeroko otwarte ze zdziwienia oczy. Mała dziewczynka zapytała: „Czy ta pani się za chwilę posusia?”.

Szybko strzepnęłam resztki kawy z koszuli, otwarłam ciężkie szklane drzwi i czym prędzej poszłam po Bellę. Stała już z

wywieszonym jęzorem gotowa na przechadzkę.

Trochę była zdziwiona, kiedy zamiast pobiegać, spacerem udałyśmy się na koniec Quincy Market, gdzie czekał pan Petracelli, a przynajmniej miałam taką nadzieję.

Na początku go nie zauważyłam, przedzierając się wzrokiem przez niewielki tłum przed Ned Devines. Deszcz przestał padać, dlategośmy barowe już lgnęły do pubów i klubów.

Zaczynałam panikować, kiedy ktoś poklepał mnie po ramieniu. Odwróciłam się. Bella warczała wściekle.

Pan Petracelli natychmiast się cofnął.

- Spokojnie, spokojnie, spokojnie - powtarzał z rękami w górze i nerwowym wzrokiem spoczywającym na moim psie. Zmusiłam się, żeby wziąć głęboki oddech i uspokoić Bellę, która ujadła na oczach sporego tłumu.

- Przepraszam — wymamrotałam. - Bella nie lubi obcych. Pan Petracelli skinął głową nie do końca przekonany i nie spuszczał oczu z Belli, dopóki ta nie usiadła, wtulając się w moją nogę.

Ubrał się odpowiednio do pogody. Miał na sobie jasno-brązowy trencz, na głowie filcowy kapelusz, a w dłoni czarny parasol. Przypominał mi postać z filmu szpiegowskiego i zastanawiałam się, czy naszego spotkania nie traktuje właśnie jak tajnej operacji zawodowców.

Tylko że ja nie czułam się zawodowcem i naprawdę cieszyłam się, że mam przy boku swojego psa.

To on zabiegał o spotkanie, poczekałam więc, aż zacznie rozmowę.

Odchrząknął. Raz. Drugi. Trzeci.

— Przepraszam za... hmm... wczoraj — rzekł. — Ja po prostu... Kiedy Lana powiedziała, że nas odwiedzisz, nie byłem jeszcze gotów — przerwał na chwilę, ale widząc, że ja wciąż milczę, pospieszył z wyjaśnieniami: — Lana ma swoją fundację, swój cel. Ze mną jest inaczej. Nie lubię wracać do

przeszłości. Łatwiej jest udawać, że nigdy nie mieszkaliśmy w Arlington, na Oak Street. Dori, nasi sąsiedzi są niczym sen. Coś bardzo, bardzo odległego. Może przy odrobinie szczęścia to wszystko okaże się jedynie wytworem mojej wyobraźni.

- Przykro mi - odezwałam się bez przekonania, nie znajdując innych słów.

Przeszliśmy na drugi kraniec podpartego granitowymi kolumnami gmachu, z dala od tłumy. Pan Petracelli trzymał się z tyłu, wciąż nie spuszczał oczu z Belli. Odpowiadał mi taki stan rzeczy.

- Lana mówiła mi, że dałaś Dori medalion — rzekł nagle. - To prawda? Oddałaś jej jeden z... prezentów? Czy ten zboczeniec, który ci je zostawiał, zabił moją córkę? — podniósł głos. Jego oczy zapalały nagle dziwnym blaskiem, podejrzanym. Zaczęłam się zastanawiać, czy jest aby przy zdrowych zmysłach.

- Panie Petracelli...

— Mówiłem detektywom z Lawrence, że musiał istnieć jakiś związek. To znaczy, najpierw jakiś podglądacz czający się na poddaszu sąsiadki, a potem zniknięcie naszej siedmioletniej córeczki. Powiedzieli, że to dwa różne miasta. Dwie zupełnie różne sprawy. Tak naprawdę to chcieli powiedzieć nie wtykaj pan nosa w nie swoje sprawy.

Spróbował nad sobą zapanować.

— Chciałem zadzwonić do twojego ojca, myślałem, że-by chociaż spróbował porozmawiać z policją, mógłby ich przekonać. Ale nie miałem numeru telefonu. I co ty na to? Pięć lat przyjaźni. Grille, przyjęcia sylwestrowe, wspólne obserwowanie, jak nasze córki dorastają i nagle pewnego dnia cała wasza rodzina wyjeżdża bez słowa pożegnania.

Nienawidziłem twojego ojca za to, że wyjechał. Choć może to była zwykła zazdrość. Bo wyjeżdżając, zdołał ocalić swoją córeczkę. Ja nie zrobiłem nic i straciłem moją.

Jego piskliwy głos załamał się, wzbierając goryczą. W dalszym ciągu nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Brakuje mi Dori - odważyłam się w końcu.

— Brakuje ci? — powtórzył z ironią — Nie miałem od was żadnych wieści od dwudziestu pięciu lat. Moim zdaniem to dosyć niezwykły sposób wyrażania tęsknoty.

Znow zapadła cisza. Nerwowo dreptałam w miejscu. Czułam, że chce mi powiedzieć coś ważnego, że chce wyjawić prawdziwy powód, dla którego wyciągnął mnie tu w ciemną, deszczową noc, ale nie wie jeszcze, jakie słowa dobrać.

- Chcę, żebyś poszła na policję — rzekł w końcu, wpatrując się we mnie spod runda swojego kapelusza. - Jeśli opowiesz im całą historię, jeśli powiesz im o medalionie, na nowo zajmą się sprawą. Morderstwa nie ulegają przedawnieniu. A jeśli znajdą jakieś nowe ślady... — głos zaczął mu drżeć, ale nie poddawał się - Miałem wszczepiane cztery bypassy. Do cholery, jeszcze trochę, a będę bardziej przypominać robota niż człowieka. Niedługo już pociągnę. Mój ojciec zmarł przed sześćdziesiątką. Brat też. Nie boję się śmierci. Czasami wydaje mi się nawet, że przyniesie jedynie ulgę. Ale kiedy umrę... chcę być pochowany koło córki. Chcę wiedzieć, że jest koło mnie. Chcę mieć pewność, że wróciła do domu. Miała dopiero siedem lat. Moja mała dziewczynka. Boże, jak ja za nią tęsknię.

Wtedy wybuchnął żalosnym, histerycznym płaczem. Mi-jający nas przechodnie przystawali, z konsternacją przyglądając się całej scenie. Objęłam go. Przyłgął do mnie całym ciężarem ciała, o mało nie powalając mnie na ziemię. Zaparłam się, czując jego gwałtowne, spazmatyczne drgawki. Bella skowyczała, przebierając w miejscu łapami i ocierając się o moją nogę. Mogłam jedynie czekać.

W końcu wyprostował się, wytarł twarz, zacisnął pasek płaszcza, poprawił kapelusz. Nie patrzył mi w oczy, zresztą

wcale tego nie oczekiwałam.

- Pójdę na policję - obiecałam mu, to zobowiązanie nic mnie nie kosztowało, biorąc pod uwagę fakt, że już to właściwie zrobiłam. — Nigdy nic nie wiadomo. W dziedzinie kryminalistyki poczyniono ogromne postępy, kto wie, może okażą się pomocne.

- Znaleźli tę kryjówkę w Mattapan - powiedział niewyraźnie — sześć ciał. Może tym razem nam się poszczęści. — Jego twarz wykrzywił grymas bólu. — Szczęście? Czy ty słyszysz, co ja mówię? Boże, tak się nie da żyć.

— Panie Petracelli, czy widział pan kiedyś tamtego podglądacza?

Pokręcił głową.

- Ale wierzył pan w jego istnienie? Że obserwował mnie ktoś mieszkający na poddaszu domu pani Watts? Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Nie sądzę, żeby pani Watts z twoim ojcem zdołali wymyślić coś takiego. Poza tym policja znalazła rzeczy, które podglądacz po sobie zostawił. Mnie to wystarcza.

— Więc nigdy go pan nie widział? Nawet przelotnie?

Pokręcił głową.

— Nie, ale dwa dni po odkryciu kryjówki w domu pani Watts mieliśmy zebranie wszystkich sąsiadów. Twój ojciec przygotował rysopis podglądacza i listę prezentów, które ci zostawił, wraz z konkretnymi datami. Powiedział nam, że policja nic właściwie nie może zrobić. Dopóki nie doszło do żadnego wykroczenia, mieli związane ręce. Oczywiście byliśmy wściekli, zwłaszcza ci z nas, którzy mieli dzieci. Ustaliliśmy, że sami zainicjujemy straż sąsiedzką. Zdążyliśmy się tylko raz spotkać, a potem twój ojciec oznajmił, że zabiera was na wakacje. Nikt z nas nie przypuszczał, że już was nie zobaczymy.

- Czy ma pan może te notatki? Ten opis podglądacza, który

przygotował mój ojciec? Wiem, że to było tak dawno temu, ale...

Pan Petracelli uśmiechnął się łagodnie.

- Annabelle, kochanie, mam całą teczkę z każdym jednym dokumentem. Po zniknięciu mojej małej córeczki zabierałem ją na każde spotkanie z policją, a oni każdorazowo ją ignorowali. Ale ja wszystko zachowałem. W głębi duszy zawsze wierzyłem, że istniał jakiś związek między twoim zniknięciem a zniknięciem Dori. Tylko że nie potrafiłem przekonać do swojej wersji nikogo innego.

- Mogłabym dostać kopię? - dłonią sięgałam już do torebki w poszukiwaniu wizytówki.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Panie Petracelli, powiedział pan, że znał pan mojego ojca pięć lat. Kto pierwszy wprowadził się na Oak Street, pan czy my?

- Wasza rodzina przyjechała w siedemdziesiątym siódmym roku. Lana i ja mieszkaliśmy w Arlington, odkąd Lana zaszła w ciążę z Dori. Doszła nas plotka, że ma się sprowadzić rodzina z córką w wieku Dori. Lana właśnie wyciągała ciasteczka z piekarnika, kiedy podjechała ciężarówka. Wyszła wam naprzeciw z ciasteczkami w dłoniach i podążającą za nią krok w krok Dori. Od tamtego popołudnia byłyście dziewczynki nierozłączne. Nazajutrz twoi rodzice przyszli na obiad i tak przypieczętowaliśmy tę nową znajomość.

Posłałam mu uśmiech zachęcający do dalszych wspomnień.

- Naprawdę? Ja w zasadzie nic nie pamiętam, chyba byłam za mała.

—Miałaś jakieś osiemnaście miesięcy, dwa latka? Jeszcze dobrze nie umiałaś chodzić. Goniłyście się z Dori naokoło domu, krzycząc co sił w płucach. Lana kręciła wtedy głowę i dziwiła się, że nie potykasz się o własne stopy.

Pan Petracelli się uśmiechał. Nic dziwnego, że cierpiał takie

katusze, jeśli przeszłość w jego wspomnieniach była żywa niczym fotografia na stoliku nocnym, w którą co dzień się wpatrujemy.

— Nie wie pan, gdzie wcześniej mieszkaliśmy?

— Philly. Twój tata pracował gdzieś na uniwersytecie w Pensylwanii. Nie do końca wiedziałem, na czym dokładnie polegała jego praca, ale jak na naukowca, świetnie znał się na dobrych piwach. No i był za drużyną Celtics, więcej nie było mi trzeba do szczęścia.

— Ja też nie bardzo wiedziałam, czym tak naprawdę się zajmował - wyszeptałam — Dla mnie uczenie matematyki było

śmiertelnie nudnym zajęciem. Pamiętam, że wolałam udawać, że jest agentem FBI.

Pan Petracelli wybuchnął śmiechem.

— Russell? Raczej nie. Chyba nigdy nie spotkałem faceta tak przewrażliwionego na punkcie broni. Na tym zebraniu straży sąsiedzkiej niektórzy z nas rozważali możliwość zakupu broni. Twój ojciec nawet nie chciało tym słyszeć. „Już wystarczy, że ktoś zasiał strach w moim domu - upierał się. - Prędzej zginę, niż pozwolę, by dołączyła do niego przemoc”. Był do szpiku kości lewicującym intelektualistą. Proponował ob-gadanie całej sprawy, niepodejmowanie pochopnych decyzji i takie tam.

— Kupił pan broń?

— Kupiłem. Gdybym wiedział, wysłałbym ją z Dori do Lawrence — twarz pana Petracelli ponownie wykrzywił grymas bólu. Oddech miał płytki, urywany. Martwiłam się jego sercem.

— Lana mówiła mi, że twoi rodzice nie żyją - odezwał się nagle.

— To prawda.

— Kiedy zmarli? Patrzyłam na niego przez moment,

zastanawiając się,

czego mu ta informacja jest potrzebna.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Może.

— Jakie? Zaciśnął wargi.

— Dokąd wyjechaliście, Annabelle? - zapytał oschle, ignorując moje pytanie — Kiedy wyjechaliście na wakacje, jak daleko tak naprawdę wyjechaliście?

— Na Florydę.

— I twój ojciec naprawdę dostał tam pracę? To dlatego zostaliście?

— Pracował jako taksówkarz. To nie to samo, co posada na uczelni, ale chyba i tak uważał, że zamiana była tego waru. Pan Petracelli zdawał się być zaskoczony tą informacją. Tym, że ojciec poświęcił karierę naukową, czy tym, że jednak nie kłamał, że dostał pracę? Nie byłam pewna.

— Przepraszam - rzekł po chwili — chyba na starość dopada mnie paranoja. To by się nawet zgadzało, biorąc pod uwagę, że większość nocy budzę się z krzykiem.

Deszcz zaczynał na nową siąpić. Pan Petracelli zaczął powoli odchodzić, ale zatrzymałam go, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Dlaczego pytał pan o mojego ojca, panie Petracelli? Czego chciał się pan dowiedzieć?

— Bo... po zniknięciu Dori, jeden z sąsiadów doniósł, że widział mężczyznę za kółkiem białej, nieoznakowanej furgonetki, podał nawet policji jego rysopis. Lana nigdy się ze mną nie zgodziła, oczywiście, ale moja pierwsza myśl...

- Tak?

- Krótkie, ciemne włosy, opalona twarz naprawdę przystojny facet. Daj spokój, Annabelle - wyraz jego twarzy znów uległ całkowitej zmianie, spojrzenie było mroczne i przebiegłe - któż mógłby to być?

Przez chwile nie widziałam, o co mu chodzi, próbowałam

cofnąć dłoń, ale on chwycił moje palce i mocno ścisnął.

- Niech pan nie gada głupot - powiedziałam ostro.

- Tak, Annabelle, mężczyzna, który zabrał moją Dorę, wyglądał dokładnie jak twój ukochany tatuś.

Popchnął mnie nagle na mokry, śliski chodnik. Upadłam.

raniąc sobie ręce, którymi próbowałam zamortyzować

upadek. Bella zaczęła wściekle ujadać. Chwyciłam ją,

próbując jakoś uspokoić i ją, i siebie.

Kiedy spojrzałam w górę, pana Petracelli już nie było i tylko

okropieństwo rzuconych oskarżeń zdawało się wisieć w mo-

krym, ciemnym powietrzu.

ROZDZIAŁ 28

CARL WYLAŁ MNIE Z PRACY. Przyjęłam tę wiadomość całkiem nieźle, biorąc pod uwagę fakt, że potrzebowałam tych pieniędzy na luksusy typu czynsz. Poczułam przede wszystkim ulgę, że mogę opuścić głośny i chaotyczny Quincy Market, nad którym wciąż wisiły okrutne słowa pana Petracelli. Nawet Bella wydawała się przygaszona, posłusznie dreptała u mojego boku, kiedy opuszczając Faneuil Hall, zmierzałyśmy w stronę znajomych krajobrazów Parku Kolumba.

Park od strony portowej był stosunkowo mały w porównaniu z olbrzymimi połaciami zieleni, jakie miały do zaoferowania pozostałe bostońskie parki. Niewielkie gabaryty nadrabiał jednak tryskającą ku uciechu najmłodszych fontanną oraz placem zabaw, które zapewniały rodzicom bezcenne chwile spokoju w zacisznym cieniu drzew. Był też ogród różany i jeszcze jedna mniejsza fontanna, przy której zbierali się bezdomni.

Czasem, zanim poszłam do pracy w Starbucksie, zabierałam Bellę do tego ulubionego miejsca rozrywki czworonożnych pupili, pozwalając jej się wybiegać z psimi sąsiadami z North End. Stałam z pozostałymi właścicielami, obserwując, jak psy hasają uradowane.

Dziś było za zimno dla dzieci. Za późno na psie figle i spotkania towarzyskie. Bezdomni spali na ławkach. Entuzjaści knajp przenoszący się z Faneuil Hall na North End z uwagi na mglistą, nieprzyjemną aurę przemykali przez park

pośpiesznie. Oprócz nich w parku nie było nikogo.

Złapałam się na tym, że znów myślę o liściku. „Zwróć medalion albo zginie kolejna dziewczynka”.

Może gdzieś tam kolejne dziecko układało się do snu, może było opatulone flanelowym koczykiem, może ścisnęło w rączkach ukochaną maskotkę? Czy ufało rodzicom, że potrafią je obronić? Czy wierzyło, że we własnym domu nic złego nie ma prawa mu się przytrafić?

Musiał przejść przez trawnik, w dłoni trzymając zwisający przy udzie łom. Musiał się starać, żeby nikt go nie zauważył, chować się za drzewem, krzakami. Potem bardzo powoli podszedł do okna.

Podnosząc łom, szykując się do podważenia okna...

Przycisnęłam do oczu dłoń, wiedząc, że i tak nie pozbędę się w ten sposób przelatujących przed oczami obrazów. Zalewała mnie falami brzydota, przemoc coraz mocniej zaciskała swe szpony.

Nie chciałam myśleć o tym, co powiedział pan Petracelli. Nie chciałam myśleć o groźbie, którą ktoś zostawił za wycieraczką samochodu D.D. Przeszłość była przeszłością. Ja byłam dorosła. Mieszkałam tu ponad dziesięć lat. Dlaczego miałby powrócić dziecięcy koszmar, dlaczego ten ktoś żądał zwrotu medalionu, grożąc kolejnymi ofiarami? To nie miało sensu.

Pan Petracelli postradał zmysły. Zgorzkniały starzec, który nigdy się nie pogodził ze stratą córki. Obwinił mojego ojca, żeby pozbyć się ojcowskiego poczucia winy. A co do insynuacji Bobby'ego i D.D... Nie znali mojego ojca. Nie znali go tak jak ja. Nie wiedzieli, że bywał czasem niczym ogar na polowaniu, który złapał trop i którego nic nie było w stanie zmusić do odwrotu. Najwidoczniej Catherine posiadała informacje, których potrzebował.

A wtedy jego podszywanie się pod agenta FBI można było lo-

gicznie uzasadnić. Normalni ojcowie nie robili pewnie takich rzeczy, ale też nie przenosili się z rodziną na Florydę tylko dlatego, że policja nie wezwała Gwardii Narodowej z powodu jakiegoś podglądacza.

A co do krótkiego zniknięcia ojca niedługo po naszej przeprowadzce na Florydę... Na pewno miał jakieś sprawy do załatwienia. Zamknięcie konta, przechowanie rzeczy. Tylko że mógł zamknąć konto jeszcze przed naszym wyjazdem. A firmę przewozową załatwił, jak się okazuje, przez telefon. Nie pozwalałam myślom biec tym torem. Mój ojciec miał może obsesję, paranoję, był przesadnie skrupulatny.

To w dalszym ciągu nie musiało oznaczać, że był mordercą. Chyba że nie był w ogóle Russellem Grangerem? Moje skronie zaczęły pulsować, zapowiadając początek okrutnej migreny, która nawiedzała mnie od lat.

Nie wiedziałam, co robić. Pragnęłam... Chciałam tylko...

— Witam.

Na dźwięk obcego głosu krzyknęłam, obracając się tak gwałtownie, że gdyby silne męskie ramię mnie nie przytrzymało, z pewnością bym upadła. Bella ujadła wściekle, a ja stwierdziłam, że stojącym tuż przy mnie mężczyzną jest dawny pracownik bostońskiego szpitala. Charlie Marvin. Bella szczełała jeszcze głośniej. Niezrażony Charlie wyciągnął otwartą dłoń w jej stronę.

— Dobry piesek - wyszeptał, kiedy przestała szczełać i zabrała się za wąchanie jego ręki. Już po chwili podeszła na niego, merdając radośnie ogonem.

Charlie miał najwidoczniej podejście do psów.

— Dobra dziewczynka. Ależ jestem piękna. A jakie mam śliczne cętki na futrze. Jesteś pewnie owczarkiem australijskim. Tylko kogo taki pies pasterski jak ty może tu w mieście zaganiać? Chyba że wystarcza ci gonienie za taksówkami? To jak to

z tobą jest? Wyglądasz na szybką bestię. Myślę, że możesz stawać do wyścigów za taksówkami.

Bella uznała chyba, że to doskonały pomysł. Przytuliła się do Charliego, ukradkowo szukając wzrokiem mojej aprobaty. Ten facet zdobył właśnie bez najmniejszego problemu względy mojego psa.

Wstał wreszcie, uśmiechając się ze smutkiem, gdy strzeliło mu w kolanach i musiał się o mnie oprzeć, żeby się wyprostować.

— Przepraszam — powiedział pogodnie. — Co innego się schylić, a co innego wyprostować.

— Co pan tu robi? — zapytałam prosto z mostu ostrym tonem.

Niebieskie oczy zwęziły się odrobinę. Wydawał się rozbawiony moim zdenerwowaniem. Podniósł obie ręce do góry, w geście „poddaję się, moja wina”.

— Pamięta pani, jak mówiłem, że wygląda pani znajomo? Niechętnie kiwnęłam głową.

- Myślałem o tym, starałem się sobie przypomnieć, gdzie panią widziałem. Ten park. Biega tu pani z psem. Zazwyczaj o wcześniejszej porze, ale widziałem tu panią kilka razy. Mam pamięć do twarzy, zwłaszcza ładnych - popatrzył w dół, pogłaskał Bellę po karku. — Mówię oczywiście o tobie, maleńka.

Uśmiechnęłam się, nic nie mogąc poradzić na własną reakcję. Potem już na powrót stanowczym tonem spytałam:

- A co pan robi tak często w parku?

- Pracuję z bezdomnymi. Nie powinno im się odmawiać słowa Bożego tylko dlatego, że nie mają dachu nad głową. Z takim argumentem ciężko się było nie zgodzić.

- W każdym razie - ciągnął, kiwając się w miejscu, z rękoma wepchniętymi do kieszeni - i tak muszę coś wyznać.

Szukałem pani.

Nic nie odpowiedziałam, ale czułam jak serce podchodzi mi do gardła, puls wariuje.

- Nie jest pani policjantką - stwierdził. Nie odpowiedziałam.

- Ale zabrali panią na miejsce zbrodni - przekrzywił głowę, przyglądając mi się uważnie - Można by pomyśleć, że jest pani jakimś ekspertem. Botaniczką, antropologiem. Nie znam się na tym, wiem tyle, ile pamiętam z seriali kryminalnych. Ale znam się na ludziach i myślę, że nie wygląda pani bardziej na naukowca niż na glinę. A to znaczy... że stawiałbym na krewną, jednej z tych biednych dziewczynek. Może siostrę? Taka jest przynajmniej moja teoria. Musiała pani znać jedną z tych dziewczynek, których ciała odkryto, i przykro mi z tego powodu.

Bardzo powoli kiwnęłam głową. Siostra. Wiele się nie pomylił.

Charlie się uśmiechnął.

- Uff — teatralnym gestem otarł z czoła pot. — Czasem coś walnę jak łysy grzywką o kant kuli. W większości przypadków jednak trafiam. To Pan dał mi ten dar. Używam go do Bożej posługi. Ale gdy z tym skończę, ruszę do stołów pokerowych. Na starość kupię sobie cadillaca.

Jego uśmiech był zaraźliwy. Zdałam sobie sprawę, że ja też się uśmiecham, a Bella skacze radośnie wokół swego nowego przyjaciela.

- W porządku - odpowiedziałam - jestem krewną. A po co panu ta informacja?

Charlie nagle spowaźniał, ze smutkiem kręcąc głową.

- Nie mogę spać. Wiem, że to może się wydawać szaleństwem. Jestem pastorem. Jeśli ja nie poznałem prawdziwego zła, do jakiego zdolna jest istota ludzka, któż poznał? Ale jestem idealistą. Ilekroć w pobliżu czaiło się zło, czułem je. Węchem, smakiem, wszystkimi zmysłami. Christopher Eola trącił złem. Ale przez wszystkie te lata, które spędziłem w

szpitalu, nigdy do głowy mi nie przyszło, że ktoś kiedyś odkryje na tym terenie masowy grób. Chodząc po ulicach Mattapan, nie przypuszczałem, że z domów uprowadzane są małe dziewczynki. Nigdy podczas przechadzek po lesie nie spodziewałem się usłyszeć dziecięcych krzyków. A spacerowałem po tamtych lasach dosyć często. Wielu z nas spacerowało. Zresztą nic w tym dziwnego, bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie wykorzystywali tych szczodrych darów od Boga w postaci jednego z piękniejszych rezerwatów przyrody. Dokładnie to czułem, kiedy spacerowałem tamtymi polami, skrajem moczar, lasami: bliskość Boga. Głos mu się załamał. Podniósł wzrok, wbijając we mnie błękitne oczy o ponurym wyrazie.

-Ta sprawa dotknęła najgłębszych zakamarków mojej duszy, młoda damo. Skoro nie byłem w stanie wyczuć zła na tym terenie, jaki ze mnie duchowny? Jak mogę sam siebie nazywać wysłańcem Boga, jeśli byłem tak ślepy?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nigdy wcześniej żaden duchowny w taki sposób nie poruszał ze mną kwestii wiary. Po chwili stało się jednak oczywiste, że Charlie Marvin wcale nie chce usłyszeć mojej opinii. On już wyrobił sobie własną. — To stało się moją obsesją - rzekł. - Ten grób na terenie szpitala, dusze tych biednych dziewczynek. Jeśli raz zawiodłem, moim obowiązkiem jest nie dopuścić, żeby taka sytuacja się powtórzyła. Chciałbym dotrzeć do rodzin, ale jeszcze ich nie zidentyfikowano. Oprócz pani. Dlatego jestem.

Zmarszczyłam brwi, wciąż nie do końca przekonana

— Nie rozumiem? Czego pan oczekuje?

— Nie jestem tutaj, żeby czegoś od pani wymagać, drogie dziecko. Jestem tu, żeby mogła pani ze mną porozmawiać. O wszystkim, o czym tylko pani chce. Proszę usiąść. Jest zimno, jest późno, przysłała pani do parku zamiast zaszyć się w

cieplej pościeli. Coś musi panią męczyć.

Charlie wskazał na ławkę i pierwszy ruszył w jej stronę. Podążyłam za nim niechętnie, z jednej strony nie mając ochoty na rozmowę, z drugiej nie bardzo chcąc, aby to spotkanie dobiegło korka. Czułam, jak coś się we mnie odblokowuje w towarzystwie tak ciepłego i pogodnego człowieka. Charlie Ma-

rvin poznał ciemną stronę człowieczeństwa. I jeśli w dalszym ciągu potrafił znaleźć powody do uśmiechu, to może i mnie się to uda.

— No dobrze - zaczął, kiedy dotarł do ławki i przekonał się, że jeszcze nie uciekłam — zacznijmy od początku. —

Wyciągnął dłoń. — Dobry wieczór, nazywam się Charlie Marvin i jestem pastorem, miło cię poznać.

Poszłam w jego ślady.

— Dobry wieczór. Nazywam się Annabelle. Zajmuję się dekoracją okien i też cieszę się, że mogę cię poznać.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Zauważyłam, że Charlie w żaden sposób nie zareagował na dźwięk mojego imienia, ale niby czemu miałby to zrobić? Ja jednak w dalszym ciągu byłam odrobinę oszołomiona faktem, że po dwudziestu pięciu latach przedstawiłam się wreszcie prawdziwym imieniem.

Charlie usiadł. Ja również. Było już późno, park był mokry i opustoszały, spuściłam więc Belle ze smyczy. Zerwała się natychmiast i podziękowawszy mi kilkoma całusami, popędziła w stronę drzew.

- Mam nadzieję, że się pani nie obrazi - zaczął Charlie - ale po głosie poznaję, że nie pochodzi pani z Bostonu.

- Moja rodzina kilkakrotnie się przeprowadzała, kiedy byłam dzieckiem. Ale Boston uważam za swój dom. A pan?

- Wychowałem się w Worcester. Nie słychać, jak śmiesznie seplenię niektóre słowa?

Rozbawił mnie.

- A więc pochodzi pan stąd. Ma pan żonę, dzieci, psa?
- Byłem żonaty. Staraliśmy się o dziecko, które nie było nam niestety dane. Bóg miał widać inne plany. Zona zachorowała na raka jajnika. Zmarła... dobre dwanaście lat temu. Mieliśmy maryl domek w Rockport. Sprzedałem go, wróciłem do miasta. Przynajmniej nie muszę dojeżdżać, zwłaszcza że nie czułbym się już pewnie za kółkiem samochodu. Z głową wszystko w porządku, ale ręce zbyt wolno reagują na polecenia, które mózg wysyła,

— I pracuje pan z bezdomnymi?

- Tak, droga pani. Pracuję jako wolontariusz na Pine Street. Pomagam w noclegowni i w jadłodajni. Widzę, jakie efekty przynosi praca w terenie. Bezdomni nie zawsze potrafią się zebrać, żeby przyjść do ciebie, czasem ty musisz pójść do nich.

Szczerze mnie to zaciekało.

- A więc chodzi pan w miejsca takie jak to i co? Naucza pan? Kupuje talerz zupy? Rozdaje ulotki?

- W większości przypadków słucham.

— Naprawdę?

- Naprawdę - zapewnił mnie z zapalem. - Myślisz, że bezdomni nie bywają samotni? Oczywiście, że bywają. Nawet ci chorzy umysłowo i biedni jak myszy kościelne czują potrzebę bliskości drugiego człowieka. Dlatego siadam z nimi. Pozwalam, by mi opowiedzieli o swoim życiu. Czasami w ogóle nie rozmawiamy. I to też jest przyjemne.

— I to pomaga? Ocalił pan już kogoś?

- Ocaliłem samego siebie, Annabelle. Czy to nie wystarczy?

- Przepraszam, nie to miałam na myśli. Machnął na znak, że nie ma o czym mówić.

- Wiem, że nie to miała pani na myśli. Podpuszczam panią tylko odrobinę.

Zarumieniłam się, co jeszcze bardziej go rozbawiło. Potem

jednak nachylił się w moją stronę i już całkiem poważnym tonem dodał:

- Nie mogę powiedzieć, że w magiczny sposób udało mi się odmienić czyjeś życie. Choć cholernie szkoda, biorąc pod uwagę fakt, że średni wiek bezdomnych to dwadzieścia pięć lat. - Zauważył moje zaskoczenie i dodał: - strasznie przygnębiające, prawda? A prawie połowa bezdomnych jest chora umysłowo. Szczerze mówiąc, nie da się odmienić ich życia darmowym prysznicem czy talerzem zupy. Potrzebują pomocy, kogoś, kto ich poprowadzi, a najbardziej, moim skromnym zdaniem, chociaż krótkiego pobytu w specjalistycznej placówce psychiatrycznej. Nic nie zapowiada, że będzie im co dane w najbliższej przyszłości.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Charlie Marvinie. Żartobliwie chwycił się za serce.

- Serce wali mi jak szalone. Jestem za stary na pochwały z ust tak pięknych młodych dam. Niech pani uważa, bo duch mojej zmarłej żony będzie nękał nas obojga. A była diabłem wcielonym.

Znów się roześmiałam, co przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Bella podbiegła sprawdzić, co u nas słychać.

Upewniwszy się, że jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, położyła się u moich stop i ciężko wzdychając, położyła łeb na ziemi. Przez chwilę nasza trójka siedziała tak w ciszy, wpatrując się w księżyc wsłuchując się w płusk wody, czując płynący z tej ciszy spokój.

To ja przerwałam tę ciszę,

— Czy wie pan, kto to zrobił? — zapytałam, celowo nie precyzując słowa „to”.

Charlie odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Obawiam się, że znam tego kogoś. To znaczy, kiedy po cja w końcu dojdzie, kto to zrobił, okaże się pewnie, że to ktoś,

kogo znam ze szpitala.

- Wspomniał pan kilku potencjalnych podejrzanych. Tego Adama Schmidta, Christophera Eolę.

- A więc jednak pani podsłuchiwała?

- Miałam powody - odparłam spokojnym głosem. Puścił oko.

- Ja pani nie krytykuję, dziecko. Pewnie na pani miejscu też bym podsłuchiwał.

- A na którego z tej dwójki by pan stawiał?

- Nie znając żadnych szczegółów zbrodni?

- Nikt z nas nie zna szczegółów — wybrałam dyplomatyczną odpowiedź na jego zakamuflowane pytanie.

- Na Christophera Eolę - odparł natychmiast. - Żeby porwać i zamordować sześć dziewczynek, trzeba być nie tylko zepsutym do szpiku kości, ale również przewidującym. Adam był skurwysynem, nie zrozum mnie źle, ale zbyt leniwym na zaplanowanie tego rodzaju zbrodni. Natomiast Christopher... On mógłby czerpać rozkosz z takiego wyzwania.

- Wie pan, gdzie on może teraz być?

- Myślę... - zaczął, ale przerwał.

- Myśli pan, że... - zachęciłam go, żeby kontynuował.

- Zacząłem się nad tym zastanawiać po rozmowie z detektywem Dodge'em i sierżant Warren.

- I?

- Im więcej myślałem o Christopherze, tym bardziej się upewniałem, że to musiał być on. Zadzwoiłem więc do kumpla z Bridgewater. Nawet nie słyszał o kimś takim, jak Christopher Eola, co już na wstępie nie wróżyło to niczego dobrego, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale poszperał trochę w papierach i jak można się było spodziewać, Eola został wypisany w siedemdziesiątym ósmym toku. A to znaczy, że przez cały ten czas nikt o nim nie słyszał. To zaś mnie niepokoi.

— Nie wierzy pan w to, że mógł w magiczny sposób dostać

pracę, odnaleźć się w społeczeństwie i stać się przykładowym obywatelem?

Charlie zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

— A pani wierzy, że na przykład Ted Bundy mógłby zostać nagle przykładowym obywatelem? Jeśli tak, to może i Christopher miał szansę.

— Aż tak źle?

— Facet nie miał żadnych zasad etycznych. Ani krzty empatii dla innych istot ludzkich. Dla ludzi jego pokroju świat jest grą, w której wszystkie chwytaki są dozwolone. A w tej grze Chrisophera Eolę bawiło najbardziej wynajdywanie sposobów na to, jak przechytryć innych, by spełnić swoje najskrytsze, pełne przemocy zachcianki.

Zastanowiłam się chwilę nad słowami Charliego.

— Jak to więc możliwe, że przez trzydzieści lat skutecznie schodził z oczu policji?

- Nie wiem.

- Ale musi pan chociaż podejrzewać.

Charlie pogłaskał Belle, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Eola pochodził z bogatej rodziny, więc może miał dostęp do pieniędzy. Niewielka kwota pieniędzy pozwoli zamaskować wiele niecznych czynów.

- To prawda.

- Do tego jest sprytny, co też się przydaje. Ale chyba najbardziej wykorzystuje swój wygląd.

- Opisał pan go policjantom jako zniewieściałego.

- Tak, młoda damo. Jest jednak silny. Same mięśnie, bez grama tłuszczu. A wygląd ma (a przynajmniej miał w czasach, kiedy go znałem) arystokraty. Z jakich powodów nikt nigdy nie podejrzewa osób ze środowiska akademickiego?

- Akademickiego? - usłyszałam własny głos.

- Nie mówię, że miał dyplom czy coś takiego. Ale takie starał się robić wrażenie. Kilka pielęgniarek z naszego szpitala było

święcie przekonanych, że miał tytuł doktora, zanim ich nie oświeciliśmy, że nawet nie poszedł na studia.

— A udawał, że co skończył? Charlie zacisnął usta.

— Oj, to było tak dawno temu. Historię? Sztukę? A może to była literatura. Nie pamiętam już. Przypominam sobie, że niektórzy myśleli, że wykładał na MIT. Nie wiem czemu. Dla mnie raczej wyglądał na gościa z Harvardu.

Charlie uśmiechnął się do mnie pogodnie, ale ja już nie odwzajemniłam uśmiechu. Coś nie dawało mi spokoju. Zbyt dużo zbiegów okoliczności.

— Ma pan zdjęcie Christophera? — spytałam.

— Nie, proszę pani.

— Ale coś musi się dać znaleźć. W kronikach szkolnych? W kartotece policyjnej? Cokolwiek.

— Tego nie wiem, jak mam być szczery. Może w Bridgewater zrobiono mu zdjęcie.

Pokiwałam powoli głową. Zaczęłam nerwowo przytupywać stopą w miejscu. Jeśli Eola znalazł się w siedemdziesiątym ósmym na wolności... wygnany przez rodzinę i nie mając dokąd pójść...

Czy ktoś taki przyjechałby do Arlington? Urządziłby sobie kryjówkę na poddaszu domu starszej pani? A zakładając, że miał pieniądze, czy zdecydowałby się na pościg za swoim celem, gdyby ten nagłe zniknął z pola widzenia? Może bostońska policja nigdy nie miała do czynienia z Eolą z tego samego powodu, dla którego nie wiedzieli o moim istnieniu. Ponieważ oboje spędziliśmy dwadzieścia pięć lat, przeprowadzając się z miejsca na miejsce.

Robiło się późno. Tak głęboko się zamyśliłam, że nie zauważyłam, że Charlie już wstał gotów, by się pożegnać.

Wstałam więc, z torebki wygrzebując wizytówkę.

— Jeśli coś jeszcze przyjdzie panu do głowy — powiedziałam - będę wdzięczna za każdą pomoc.

— Nie ma problemu. Cała przyjemność po mojej stronie
- popatrzył na moją wizytówkę, zmarszczył czoło i spytał:
- Tanya?

— Moje drugie imię. Używam go w sprawach służbowych.
Rozumie pan, ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza gdy jest się kobietą.

Uścisnęliśmy sobie dłonie po raz ostatni i Charlie skierował się w stronę Faneuil Hall, a my z Bella udałyśmy się w kierunku North End.

Kiedy dochodziłam do końca parku i miałam przejść przez Atlantic Avenue, coś kazało mi się odwrócić. Zauważyłam Charliego u wejścia gęsto porośniętego pnączami zielonego korytarza. Stał tam, uważnie nam się przyglądając. Starszy pan pragnący się upewnić, że bezpiecznie dotarliśmy do domu? Czy może coś innego?

Zorientował się, że go zauważyłam. Podniósł więc rękę i uśmiechnął się łagodnie, potem odwróciwszy się, poszedł dalej.

Ruszyłam biegiem głównymi ulicami, w światłach latarni z paralizatorem w dłoni, Bella na smyczy i demonami, które znów zaczęły mnie ścigać.

ROZDZIAŁ 29

BOBBY SIEDZIAŁ JAKIEŚ DWA METRY NAD ZIEMIĄ, ulokowany na gałęziach olbrzymiego dębu. W mundurze polowym, kamizelce kuloodpornej i z goglami noktowizyjnymi na czole. W rękę trzymał karabin Sig Sauer 3000 wyposażony w lunetę celowniczą Leupold 3-9X o średnicy obiektywu 50 mm i naboje Federal Match Grade Remington.308 o masie 168 granów. Powinien myśleć o tym jak o starych dobrych czasach, kiedy to przemieszczał się szybciej niż świszcząca w powietrzu kula, bez wahania skakał po dachach wysokich budynków. Kiedy był najlepszym z najlepszych, najgorszym z najgorszych. Kiedy miał drużynę, misję do wypełnienia i cele, które należało osiągnąć. On czuł jednak wyłącznie ogromną wściekłość na D. D. Instrukcje w liście znalezionym za wycieraczką jej samochodu były szczegółowe. O 3:33 nad ranem medalion należy dostarczyć na teren byłego szpitala psychiatrycznego w Mattapan, w pobliżu ruin budynku administracyjnego. Miała go przynieść sama D. D. Powinna przyjść bez obstawy, a medalion mieć zawieszony na szyi. Może i Bobby nie miał zbyt wiele doświadczenia jako detektyw, ale służył w jednostce specjalnej przez siedem lat. Strategie i operacje specjalne były jego działką. D.D. traktowała list jako pewnego rodzaju szansę, dla Bobbyego był on dość oczywistą pułapką. Dlaczego D.D.? Dlaczego sama? Dlaczego, jeżeli chodziło

jedynie o zwrot medalionu, musiała go mieć na szyi?

Do tego dochodził jeszcze wybór miejsca. 68 hektarów za-
lesionego terenu. Dwie rozpadające się ruiny, jeden plac
budowy i jedno podziemne miejsce zbrodni. Nawet wszystkie
oddziały SWAT z całej Nowej Anglii nie byłyby w stanie
zabezpieczyć takiego terenu, zwłaszcza że mieli tak niewiele
czasu na przygotowanie akcji.

D.D. argumentowała, że na miejsce prowadziły jedynie dwie
drogi, więc bez trudu mogli je obstawić. Bobby zaś uważał, że
skoro istniały tylko dwa legalne wejścia, okoliczni mieszkań-
cy zapewne całymi latami przekopywali się pod
ogrodzeniem, wycinali w nim dziury i biegali do woli po
całym terenie. Co z tego, że teren był ogrodzony, jeśli to
ogrodzenie wyglądało zapewne jak ser szwajcarski.

Potrzebowali oddziałów specjalnych. Jego byłej drużyny,
która mogłaby przysłać trzydziestu dwóch. Był nawet
gotów współpracować z miejską jednostką SWAT, gdyby tyl-
ko trzymali się z dala od jego broni. Zwłoki zwłokami,
szkole-

nie szkoleniem, ale trzeba przyznać, że bostońscy chłopcy
byli całkiem nieźli, nawet jeśli stanowi nie chcieli przyznać
tego głośno.

Chętnie widziałaby helikoptery, psy i kamery noktowizyjne
umieszczone w najbardziej strategicznych punktach.

D.D. zgodziła się oczywiście tylko na jedną osobę - na niego.
Reszta miała się dyskretnie czaić w pobliżu, w pełnej goto-
wości, by otoczyć podejrzanego, gdy tylko się pojawi. Zbyt
duża liczba osób mogła go odstraszyć. To samo jeśli chodzi o
wsparcie z powietrza. Kamery nie były złym pomysłem, ale
zabrakło im czasu, żeby się bawić się w tak wyszukane
rozwiązania.

Dlatego D.D. poprzestała na najprostszych rzeczach: psy
wyszkolone do znajdowania bomb trzy godziny wcześniej

obe-

szły cały teren, dwudziestu czterech oficerów przeczesало lasy w najbliższej okolicy. Potem technicy zamontowali czujniki, dzięki którym można było przesyłać sygnały podczerwieni z miejsca na miejsce, zwłaszcza wokół wyznaczonego miejsca spotkania. Z chwilą przerwania obwodu sygnał miał natychmiast zostać wysłany do głównodowodzącego, co pozwoliłoby ostrzec Bobby'ego i D.D., że zbliża się podejrzany.

Pod kamizelką kuloodporną Kevlar, dodatkowo wzmocnioną kompozytową płytą, D.D. miała ukryty podsłuch. W uchu miała głośnik, a w kamizelce wszyty mikrofon. To umożliwiało jej komunikowanie się zarówno z Bobbym, jak i z centrum dowodzenia znajdującym się w furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie ulicy, przy cmentarzu.

D.D. była głupia, uparta jak osioł i święcie przekonana, że zdoła ocalić świat w jeden wieczór.

Bobby był przekonany, że nie tyle chodziło tu o ambicje, co o zwykłą ciekawość, a to napawało go przerażeniem.

Wierzyła, że podejrzany stawi się na spotkanie. I że wte-dy uda jej się ustalić, czy jest nim Christopher Eola, czy może dawno zaginiony ojciec Annabelle. Oczaruje go swoim oszłamiającym wdziękiem i ciętym ripostami do tego stopnia, że nie w głowie mu będą małe dziewczynki. Co więcej, podejrzany opowie jej wszystko ze szczegółami, jeszcze zanim grupa operacyjna wkroczy do akcji i zakutego w kajdanki odprowadzi do radiowozu.

D.D. była głupia. Uparta jak osioł i święcie przekonana...

Bobby pochylił się. Ustawił ostrość lunety. Usadowił się tak, by osłonić się przed wiatrem.

Ręce mu nie drżały. Dobrze i to.

Po tamtej strzelaninie ciągle miał jeszcze w pamięci rozwaloną głowę Jimmiego Gagnona, krew i mózg eksplodujące

z czaszki i długo nie był pewien, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie użyć broni. Nie był pewien, czy chciał jej jeszcze kiedyś używać.

Nigdy nie był zwolennikiem broni. Swoje pierwsze strzały oddał dopiero w akademii policyjnej. Odkrył wtedy, że jest w tym naprawdę niezły. Dzięki treningom dopracował precyzję do perfekcji, nie trzeba go było długo namawiać, żeby został snajperem. Ale to nigdy nie była jego wielka pasja. Strzelba nie była naturalnym przedłużeniem dłoni, a strzelanie nie wynikało z potrzeby duszy. Tak się po prostu złożyło, że broń była narzędziem, którym władał niezwykle sprawnie.

Trzy dni po zastrzeleniu Jimmiego Gagnona poszedł na strzelnicę, wziął broń do ręki. Pierwszy magazynek okazał się tragedią. Drugi już całkiem znośny. Powtarzał sobie, że jest hydraulikiem, który przypomina sobie arkana zapomnianej profesji. Dopóki tak to sobie tłumaczył, jakoś mu szło.

Znów zerwał się mocniejszy wiatr, rozwiewając wokół niewielką mżawkę i kołysząc gałęziami drzewa, na którym Bobby siedział. Wydawało mu się przez chwilę, że słyszy skowyt. Napomniął się, że przecież nie wierzy w duchy, nawet na terenie byłej placówki psychiatrycznej.

Niech szlag trafi D.D.

Podświetlona tarcza zegarka wskazywała 3:21. Zostało dwanaście minut, odliczanie trwało. Zsunął na oczy gogle noktowizyjne i zlokalizował swoją upartą koleżankę.

D.D. szła obok rozpadających się ruin budynku. Przez kamizelkę kuloodporną jej szczupła sylwetka sprawiała wrażenie masywnej i zniekształconej. Ze względu na pogodę na białą koszulę, którą zwykle nosiła, narzuciła żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Nie założyła nic na głowę, by nie ograniczać sobie widoczności. Nie wzięła parasolki, która krępowałaby ruchy rąk.

Odwróciła się i ruszyła w jego kierunku. Natychmiast za-

uważył dyndający na jej szyi medalion. Przez chwilę przewinęło mu się przed oczami czarno-białe zdjęcie z kartoteki osób zaginionych, na którym wokół szyi Dori Petracelli błyszczał ten sam naszyjnik.

Podejrzany pogrywał z nimi Nie zależało mu na medalionie. Jeśli będzie chciał porwać kolejną dziewczynkę, zrobi to. Tak to już jest ze zboczeńcami.

Ale może D.D. też miała trochę racji. Dzięki jej pochopnym decyzjom zyskiwali jedną noc. Instrukcje były szczegółowe i bardzo osobiste. Najwyraźniej podejrzany starał się wciągnąć w tę grę właśnie D.D. Świadczył o tym już sam fakt, że zażył sobie zobaczyć swoje trofeum na jej szyi.

Może on już tu był, schowany w gałęziach innego drzewa albo w ruinach budynku. Może obserwował D.D., podziwiał jej długie, umięśnione nogi, jej wyćwiczoną sylwetkę pełną naturalnego wdzięku.

Doszła do końca ruin. Zawróciła. 3:31.

A tak w ogóle to czemu wybrał akurat 3:33? Dlaczego tak dokładnie określił godzinę? Czy ta kombinacja cyfr miała dla niego jakieś znaczenie? Czy może chciał, żeby policja tak myślała?

W uchu Bobby'ego zabrzmiał nagle głos głównodowodzącego, porucznika Trentona:

— Zarejestrowaliśmy ruch. Obwód przerwany, na zachodzie. D.D. w dalszym ciągu szła pewnym krokiem, choć musiała przecież słyszeć tę informację.

Bobby obserwował lewą stronę, wypatrując znaków życia. Z głębi krzaków wystrzelił nagle ciemny kształt...

Dokładnie w chwili, gdy ponownie usłyszał głos porucznika Trentona:

— Ruch o większym nasileniu. Północ. Ruch, wschód. Nie, południe. Nie, poczekać. O Boże! Wszystkie cztery kierunki, obwód został całkowicie przerwany, całkowicie przerwany.

Bobby, słyszysz?

Bobby słyszał. Widział też. I natychmiast zaczął działać. Strzelba zatańczyła w powietrzu. Oddech, cel, spust. Skowyt, ciemna masa zwałająca się z hukiem na ziemię. Trzy kolejne wściekłe bestie wynurzyły się z krzaków.

Bobby odwrócił się, próbował namierzyć cel, ale obiekty znajdowały się zbyt blisko dla zasięgu jego lunety. Zaklął pod nosem, uniósł głowę w górę i darując sobie lunetę szybko pociągnął za spust. Upiorny, dudniący w uszach skowyt i kolejny pies padł na ziemię.

Poniżej też padały strzały. Bobby dostrzegł D. D. w odległości pięciu metrów. Biegła co sił w stronę jego drzewa, przez ramię obstrzeliwując napastników. Tempo miała niezłe.

Ale nie wyglądało na to, że jej się uda.

Oddychał zbyt głęboko, zbyt szybko. Próbował się opanować, skupić na tu i teraz, znaleźć cel i oddać strzał. Dwa olbrzymie brązowe podpalane psy połączyły teraz siły w pogoni za zwierzyną. Widok przesłaniała mu gałąź, jedna, druga. Teraz, gdy przedarły się przez krzaki, był dobry moment. Pociągnął za spust. Trzeci z psów padł. Dokładnie w tej chwili czwarty wzbił się w powietrze, lądując na plecach D. D.

Upadła, gdy zaczął tarmosić jej kamizelkę.

- Funkcjonariusz w niebezpieczeństwie, potrzebne wsparcie, szybko! - krzyczał Bobby, przedzierając się przez gałęzie, podczas gdy bestia sięgała szyi D.D., wydając przy tym gardłowe, pełne wściekłości dźwięki.

Bobby przedarł się przez gałęzie, zeskakując z wysokości czterech metrów i czując, jak piekielny ból promieniuje od kostek wzdłuż całych nóg. Strzelba była teraz bezużyteczna, kula przeszłyaby zwierzę na wylot, raniąc D.D. Dlatego przedzierając się przez las, sięgnął po glocka.

D.D. ciągle się ruszała. Widział, jak wymachuje rękami i nogami, próbując zrzucić z siebie psa i pięściami dosięgnąć jego

łba

Pies nadal walczył z kamizelką kuloodporną, starając się wgrzyźć w nią zębami i pazurami. Zatopić zęby w świeżym mięsie.

Bobby dobiegł wreszcie. Rottweiler nawet go nie zauważył. Nie zareagował, gdy Bobby przystawił mu do ucha lufę glocka, pociągnął za spust. Kiedy bestia wreszcie upadła na ziemię, w lesie zapanowała cisza.

DZIESIĘĆ MINUT zajęło im uwolnienie lewego ramienia D.D. ze szczęk rottweilera. W tym czasie sierżant leżała na boku, ściskając z całych sił rękę Bobby'ego, ten zaś nie przestawał do niej mówić.

Krew. Trochę na policzku, trochę na szyi. Nie tak źle, jak się obawiali. Kamizelka ochroniła jej plecy przed psimi pazurami, a kiedy D.D. upadła, ta podciągnęła się automatycznie ku górze, chroniąc przed kłami również szyję. Sierżant miała trochę zdartą skórę na twarzy, wyrwane z tyłu głowy kępki włosów, ale zważywszy na okoliczności, chyba nie było co narzekać.

Policjantom udało się wreszcie rozchylić szczękę rottweilera i ciało psa bezwładnie osunęło się na ziemię.

D.D. oparła się na Bobbym, a ten pomógł jej usiąść.

— Skąd nadleciały psy? - zapytała. Podbieg do niej sanitariusz pogotowia i próbował zmierzyć jej ciśnienie. Płaszcz przeciwdeszczowy okazał się zbyt gruby, ale D.D. wzruszyła jedynie ramionami, najwyraźniej niezadowolona z całego zamieszania.

— Z lasu — wyrzucił z siebie zasapany Sinkus, który właśnie do nich dobiegł. — Nie znaleźliśmy do tej pory żadnych śladów obecności człowieka, jedynie cztery klatki pod napięciem jakieś dwieście metrów stad, były zamaskowane gałęzia-

mi i miały regulatory czasowe. Kiedy wybiła 3:33, odcięto prąd i psy zostały uwolnione.

Bobby podniósł na niego wzrok.

— Wszystkie cztery psy puściły się w pogoń za jednym celem?

— W każdej klatce były... ekhm... niewymowne - od powiedział Sinkus.

— Niewymowne? — zapytała D. D. Ostrożnie dotknęła poharatanego policzka.

— Bielizna. Jedne majtki w każdej klatce. Nie chcę się wy-
mądrzać, ale założę się, że te stringi były twoje.

- Co? - zerwała się D.D. Sanitariusz polecił jej siedzieć bez ruchu, ale zmierzyła go takim spojrzeniem, że nie nalegał. Miło było widzieć, jak wraca do siebie, nawet jeśli oznaczało to, że miażdżyła jego dłoń w żelaznym uścisku.

- Zauważyłaś u siebie w domu coś niepokojącego? - spytał Sinkus — Coś, co by sugerowało, że ktoś przetrząsnął twoje szuflady albo raczej stertę brudnej, przygotowanej do prania bielizny? Przynęta lepiej spełnia swoją rolę, gdy jest przesiąknięta zapachem właściciela.

- Nie byłam w domu od czterech dni, nie zaglądałam więc do szuflad - odburknęła, westchnęła i wreszcie dodała: - Ani nie robiłam prania.

- Sama widzisz. Koleś pożyczył sobie kilka rzeczy, które pachniały tobą, a dobrze wyszkolonym psom to wystarczy. D. D. najwyraźniej nie podobały się te wnioski. Odwróciła się, mierząc wzrokiem zwłoki psa. Olbrzymi, czarny, umięśniony. Dotknęła jego boku. Jej twarz wyrażała nie tyle wściekłość, co żal.

- Mój wujek miał kiedyś rottweilera, suczkę. Miała na imię Meadow. Była największym i najśłodszy psem, jakiego można

na sobie wyobrazić. Mogłam jeździć jej na grzbiecie. - D.D.

przejechała dłonią po karku zwierzęcia, dotknęła drutu, który handlarzom narkotyków albo właścicielom hodującym psy do walk, służył za obrozę.

- Skurwysyn - wyrzuciła z siebie nagle, - Pewnie szkolono go od szczeniaka. Nie dano mu wyboru.

Bobby nie mógł już dłużej na nią patrzeć. Bądź co bądź, to on zastrzelił wszystkie cztery psy. I choć biorąc pod uwagę okoliczności, nie powinien się źle czuć z tego powodu, nic na własne odczucia nie mógł poradzić.

- Nie rozumiem - mruknęła D.D. - Zakładanie medalionu nie miało sensu. Skoro chciał go zobaczyć na mojej szyi, dlaczego wymyślił coś takiego? Dlaczego zdalnie pokierował całą akcją? To nie w jego stylu, on lubi działać z bliska, lubi obecność ofiary.

- Bardzo skrupulatnie przygotował to wszystko. Żebyśmy wiedzieli, że jest inteligentny. Coś w stylu Eoli.

D.D. nie skomentowała jego słów. Bobby również milczał, zastanawiając się nad tym, co powiedziała D.D. List zostawiony za wycieraczką samochodu był bardzo osobisty. Trofea, które znaleźli przy każdej z ofiar, również, fakt, że zostawiał małej Annabelle upominki też wskazywałyby na to, że facet jest typem, który stara się wytworzyć jakąś więź między sobą a ofiarą. Zorganizowanie całej akcji wymagało wykradnięcia bielizny D. D.

— co facetowi musiało sprawić nie lada przyjemność - a więc czemu nie trzymał się swojego schematu? Gość tyle zainwestował w grę wstępną, że aż dziw, iż odmówił sobie przyjemności wielkiego finału.

Coś tu nie pasowało. To nie było w stylu tego faceta.

— Przeszukujcie dalej teren — wydawała polecenia D.D.

— Szukajcie nie tylko śladów intruza, ale również sprzętu video, urządzeń podsłuchowych. Może podejrzany chciał zarejestrować całe przedstawienie, żeby potem móc je sobie

na spokojnie obejrzeć. Może chciał się pochwalić filmikiem grozy w Internecie.

— Będziemy szukać — zapewnił ją Sinkus.

— Potrzebujemy helikopterów — ciągnęła D.D. odganiając od siebie sanitariusza — i psów. Cholera, wezwijmy Gwardię Narodową. Pieprzone osiemset hektarów. Cholerny szpital dla wariatów. Mógłby się tu ukrywać w nieskończoność. Sinkus przytakiwał, skrzętnie wszystko notował, przygotowując się do nadszarpnięcia policyjnego budżetu na jednoczną akcję poszukiwawczą.

Bobbyemu w dalszym ciągu coś nie grało.

Dlaczego tak misternie uknuł swój plan? Szukali przecież pedofila, faceta, którego ofiarami padają dzieci. A teraz nagle przerzucił się na dorosłe kobiety? Na funkcjonariuszkę policji, inteligentną, uzbrojoną, przygotowaną?

Czy pedofile tak po prostu zmieniają obiekt zainteresowania? Z dziecka na przedstawicielkę władz?

Chyba że...

Nagle do niego dotarło. Chyba że facet tak naprawdę nie zmienił upodobań. Chyba, że w dalszym ciągu polował na jedną i tę samą ofiarę. Na ofiarę, która ostatnie dwa dni spędziła w towarzystwie policjantów. Aż do dziś, gdy w wyniku policyjnej akcji...

Bobby natychmiast krzyknął w stronę pozostałych detektywów:

- Annabelle!

ROZDZIAŁ 30

ZERWAŁAM SIĘ ZE SNU W ŚRODKU NOCY. Dłonie miałam zaciśnięte na prześcieradle, mięśnie napięte do granic możliwości. Przez chwilę leżałam przerażona z szeroko otwartymi oczami. Uciekać, walczyć, krzyczeć. Ale mój umysł w dalszym ciągu pracował ospale, myśli krążyły gdzieś na granicy jawy i snu.

Usiadłam z wysiłkiem, łapczywie wdychając powietrze. Na zegarze podświetlane cyfry wskazywały 2:32. Kolejny koszmar, pomyślałam. Ciężka noc.

Wstałam z łóżka. Miałam na sobie jedynie męskie bokserki i wyblakły podkoszulek. Bella podniosła łeb i oceniwszy sytuację, doszła pewnie do wniosku, że chociaż jednej z nas należał się odpoczynek. Przyzwyczajona do mojego niespokojnego snu, na powrót położyła głowę na pościeli. Podreptałam samotnie do kuchni, gdzie nalałam sobie wody z kranu. Jeśli to mnie nie obudzi, to chyba nic. Stałam tak w kuchni, wpatrując się w światło z klatki schodowej wkradające się przez szparę między drzwiami wejściowymi a podłogą, kiedy zadźwięczał sygnał domofonu. Podskoczyłam, wylewając na siebie zawartość kubka. Bella natychmiast się zerwała ze swojego pościeli i zaczęła wściekle szczekać w stronę drzwi.

Nie zastanawiałam się długo. Wrzuciłam kubek do ziewu. Pognałam do sypialni, spod poduszek wydobyłam paralizator. Szybciej, szybciej, szybciej.

Wróciłam do kuchni. Bella w dalszym ciągu szczekała, a moje

serce biło jak oszalałe. Czy ktoś właśnie otworzył drzwi na dole, czy mi się wydawało? Czy to były czyjeś kroki na schodach? Chwyciłam w końcu Bellę za obrożę, zmuszając ją, by się położyła.

— Cii cii — próbowałam ją uciszyć, ale ona doskonale wyczuwając moje zdenerwowanie, nie chciała się uspokoić. Warczała groźnie, gdy pełna napięcia czekałam, aż światło napływające z korytarza zasłoni jakiś cień, aż usłyszę pod drzwiami kroki wroga.

I...

Nic.

Upływała minuta po minucie. Zaczęłam równiej oddychać. Moja bojowa postawa ustąpiła miejsca zdziwieniu. W końcu zdecydowałam się podejść do okna, rzucić okiem na ulicę. Żad-ne obce samochody nie parkowały pod budynkiem. W cieniu nie czaiła się żadna postać.

Usiadłam przy oknie, wciąż przyciskając paralizator do piersi. Zdawałam sobie sprawę, że moja reakcja była trochę nieadekwatna do całego zajścia, ale nic nie mogłam na to poradzić. Bella miała bardziej praktyczne podejście do całej sprawy. Podsumowała sytuację jednym prychnięciem i wróciła na swoje ciepłe posłanie. Zwinęła się w kłębek, położyła łeb na przednich łapach i zapadła w drzemkę. Ja pozostałam na warcie, próbując się trochę uspokoić.

Przecież domofony dzwonią czasem w środku nocy, przekonywałam samą siebie. Nie pierwszy raz zdarzała mi się podobna sytuacja i pewnie nie ostatni. Pod domem kręcą się nieraz pijacy, gościom sąsiadów zdarza się pomylić przyciski. Moi współlokatorzy należeli do osób dosyć przezornych. Nikt nie otwierał drzwi nieznanym. A to tylko zwiększało prawdopodobieństwo, że jeśli ktoś się pomylił, musiał próbować znaleźć odpowiedni przycisk do skutku.

Innymi słowy, można by znaleźć tysiąc różnych wyjaśnień

tajemniczego dzwonka w środku nocy, ale żadne nie wydawało mi się wystarczająco przekonujące.

Podeszłam do drzwi wejściowych, przytknęłam ucho do pomalowanej powierzchni i nasłuchiwałam, czy od strony schodów dochodzą jakieś hałasy.

Problem w tym, że w prawdziwym życiu groźnym sytuacjom nie towarzyszy odpowiedni podkład muzyczny. W filmach po muzyce od razu można poznać, kiedy ma się wydarzyć coś złego. Przy motywie przewodnim z filmu *Szczęki* nasze serce przestaje na moment bić, i to jest normalne. Lubimy wiedzieć, gdy ma się wydarzyć coś złego. Cisza daje poczucie bezpieczeństwa, przecież nie może nas czekać nic strasznego, jeśli nie uprzedziły nas o tym odpowiednie takty, dźwięki, tony.

Ale w prawdziwym świecie jest inaczej. Dziewczynka może wracać do domu w letnie popołudnie, wspinać się po tych samych starych schodach, wsłuchując się w dobrze znane buczenie klimatyzatora, by za chwilę znaleźć na sofie zwłoki matki.

Mężczyzna może wyjść na spacer po mieście. Słuchać odgłosów ruchu ulicznego, trąbienia klaksonów i rozmów przechodniów, ale gdy w chwili nieuwagi wyjdzie na jezdnię, z jego twarzy może zostać krwawa miazga wbita w słup przydrożnej latarni.

Inna mała dziewczynka może się bawić w ogródku swojej babci. Wokół mogą śpiewać ptaki, pod nogami szeleścić jesienne liście, a włosami targać może delikatny wietrzyk, a jednak za chwilę ta mała dziewczynka będzie krzyczeć przerażona w znikającej za horyzontem nieoznakowanej furgonetce.

W życiu wszystko się zmienia w ułamku sekundy i próżno liczyć, że przed tym, co ma się zdarzyć, ostrzeże cię podkład muzyczny.

Ale ludzie, w tym ja, i tak podskakują, ilekroć słyszą podejrzane dźwięki.

Chciałabym na dźwięk domofonu w środku nocy reagować jak reszta moich sąsiadów, krzyknąć głośno „Odpieprzyć się!”, odwracać się na drugi bok i na powrót zapadać w sen.

Powłócząc nogami, doszłam do sypialni oświetlonej trzema różnymi lampkami nocnymi. Rozciągnęłam się na łóżku, palcami pieszcząc krawędzie.

I przez moment rozmarzyłam się, wyobrażając sobie, co by się mogło wydarzyć, gdyby Bobby Dodge nie był detektywem, a ja nie byłabym ofiarą. Podejrzaną. Świadkiem. Moglibyśmy być dwójką ludzi, która spotyka się na kościelnym zebraniu. Ja przyniosłabym ze sobą sałatkę warzywną. On przyniósłby kawalerski przysmak — paczkę nachos. Rozmawialibyśmy o kick boxingu, psach, białych płotach. Pozwoliłabym mu odprowadzić się do domu. On objąłby mnie w talii. I zamiast odgradzać się od niego murem podejrzeń, zatopiłabym się w jego ramionach. Żeby poczuć ciepło męskiego ciała, żeby poczuć, jak moje piersi wtulają się w jego tors i jak jego zarost delikatnie mnie łaskocze, jeszcze zanim jego wargi dotkną moich ust.

Moglibyśmy jeść razem kolacje, chodzić do kina, przez tydzień na okrągło uprawiać seks. Na kanapie, w sypialni, na blacie w kuchni. Bobby jest umięśniony, wysportowany.

Założę się, że jest świetny w łóżku.

Mógłby być nawet moim chłopakiem, moglibyśmy być parą, jak reszta normalnych ludzi, którzy nie przeszukują kartotek kryminalnych w poszukiwaniu informacji o swoim ukochanym.

Problem w tym, że ja nie byłam do końca normalna. Nieustanny strach, który towarzyszył mi od tak dawna, musiał wyryć swój ślad na mojej psychice. Ciężar winy za śmierć drugiego człowieka musiał z kolei zmienić Bobbyego. I tak

jak jego praca wymagała, by okłamywał mnie i mną manipulował, tak moja przeszłość zmuszała mnie do dokładnie tego samego. Co gorsza, każde z nas było przekonane o własnych racjach.

Zastanawiałam się, jak on sypia w nocy. Zgadywałam, kto pierwszy obudziłby się w środku nocy z krzykiem, gdybyśmy spali razem. Te rozmyślania zamiast uświadomić mi, jak absurdalna jest myśl o nas jako o parze, sprawił, że uśmiechnęłam się sama do siebie. Oboje mieliśmy za sobą przejścia. Może z czasem okazałoby się, że pasujemy do siebie właśnie ze względu na swoje bagaże doświadczeń.

Westchnęłam. Przeturlałam się na brzuch, wsłuchując się w tupot łap Belli, która wróciła do sypialni i ułożyła się pod łóżkiem. Pogłaskałam ją za uchem, powtórzyłam, jak bardzo ją kocham. Obie poczułyśmy się dzięki temu lepiej.

Ku własnemu zdziwieniu udało mi się rozluźnić na chwilę. Poczułam, jak moje powieki stają się coraz cięższe. Zaczęłam powoli zapadać w drzemkę.

Wtedy znów odezwał się domofon. Ciszę nocną przerwał głośny przenikliwy dźwięk dzwonka. Zerwałam się z łóżka i podbiegłam do okna. Na zalanej światłami latarni ulicy nie dostrzegłam niczego podejrzanego, wciąż spięta do granic możliwości pognałam do kuchni, w dłoni ściskając paralizator i wciąż czujnie obserwując szparę między drzwiami a podłogą. Nagle fala cienia zalała miejsce, które jeszcze przed chwilę oświetlało światło z klatki schodowej. Zamarłam.

Wstrzymałam oddech. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałam się w zacieniony kawałek podłogi. Powoli uklęknęłam, oparłam ciężar ciała na dłoniach i w pozycji na czworakach starałam się przez szparę objąć wzrokiem choć niewielki kawałek korytarza. Żadnych stóp. Żadnego nieznajomego. Zauważyłam za to coś innego. Niewielki, kwadratowy przedmiot szczelnie zapakowany w kolorowy

papier, niedzielny komiks.

W mgnieniu oka zerwałam się z podłogi, rzucając się na drzwi. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy drżącymi z wściekłości rękoma nerwowo mocowałam się z każdym z sześciu zamków. Bella zaczęła szczekać, gdy puściła ostatnia zasuwa. Razem wypadłyśmy na zewnątrz. Bella szczekając, a ja półnaga, ściskając w ręku paralizator i krzycząc, co sił w płucach: „Gdzie jesteś, skurwielu? Wyjdź i walcz jak mężczyzna, jeśli chcesz mnie dopaść”.

Minęłam pakunek. Bella popędziła na dół. Ja za nią. Nie-wyobrażalny poziom adrenaliny dodawał nam odwagi i gotowe byłyśmy na konfrontację choćby z całą armią. Ale budynek był pusty, na schodach ani śladu życia, zero ludzi w holu na dole. Idąc za hałasem dochodzącym od strony drzwi wejściowych, zauważyłam, że te niedomknięte, na silnym wietrze uderzały miarowo we framugę. Otwarłam je na oścież. Poczułam, jak twarz smaga mi zimny deszcz. Na zewnątrz szalała ulewa, ale była niczym w porównaniu z nawałnicą, która targała moim ciałem.

Żadnego śladu życia na ulicy. Zamknęłam drzwi wejściowe, zawołałam Bellę i pomaszerowałyśmy z powrotem na górę. Na wycieracze wciąż czekał podarunek Płaski, prostokątny. Na wierzchu uśmiechał się usadowiony na swej budzie Snoopy.

I nagle poczułam, że nie zniosę już więcej. Dwadzieścia pięć lat wystarczyło. Na darmo było całe szkolenie ojca. Cokolwiek mi groziło, było bardziej realne niż kiedykolwiek wcześniej, a ja w dalszym ciągu nie wiedziałam, z kim mam walczyć, jak zaatakować i w którą stronę skierować swoją wściekłość.

Zostawał mi tylko strach. Przed każdym cieniem w moim ciemnym mieszkaniu. Przed każdym nieznanym dźwiękiem

dochodzącym ze starego budynku. Przed każdą osobą, która przypadkiem koło niego przechodziła.

Zostawiłam pakunek na zewnątrz. Chwyciłam Bellę za obrozę i wciągnęłam ją do łazienki, zamknęłam drzwi, położyłam się w wannie, modląc się, by ta noc dobiegła końca.

- JESTEŚ PEWNA, że niczego nie widziałaś? - pytał Bobby - Samochodu, osoby, znikającego za rogiem płaszcza?

Nie odpowiedziałam. Obserwowałam jedynie, jak chodzi w tę i z powrotem po mojej zaledwie metrowej kuchni.

— A głos? Mówił coś, wydał z siebie, jakikolwiek dźwięk podczas gdy wchodził po schodach lub schodził?

W dalszym ciągu milczałam. Od godziny zadawał te same pytania. To, co miałam do powiedzenia, choć było tego niewiele, dawno już spisano. Teraz chodziło tylko o to, żeby jakoś poukładał sobie w głowie wszystko to, czego ja wciąż nie chciałam przyjąć do wiadomości.

Na przykład fakt, że po dwudziestu pięciu latach niezidentyfikowany biały mężczyzna znów mnie odnalazł.

Telefon zadzwonił kilka minut po czwartej. Ostry przenikliwy dźwięk na powrót przyprowadził mnie o dreszcze. Ale głos, który usłyszałam z sekretarki, nie był drwiącym głosem szaleńca. To Bobby kazał mi natychmiast podnieść słuchawkę.

Jego głos wyrwał mnie z transu, zmusił, by się pozbierać.

Udało mu się namówić mnie do opuszczenia wanny, otwarcia drzwi łazienki i stawienia czoła panującym w mieszkaniu ciem

nościom. Tylko dzięki niemu zdołałam odebrać telefon, przytknąć bezprzewodową słuchawkę do ucha i zrelacjonować całe zajście, włączając kolejne światła.

Bobby'emu nie trzeba było wiele wyjaśniać. Rozłączył się po dwóch minutach, był już w drodze do mojego mieszkania. Przyjechał w towarzystwie trzech mężczyzn w pomiętych garniturach. Detektywi Sinkus, McGahagin i Rock. Za nimi mundurowi policjanci, którzy natychmiast zajęli się przeszukiwaniem budynku.

Chwilę potem przybyli również technicy z laboratorium kryminalistyki, którzy badali całą klatkę schodową i hol pod kątem ewentualnych odcisków palców.

Moi sąsiedzi nie byli zapewne zachwyceni pobudką w środku nocy, ale wyszli na klatkę zaintrygowani, nie mogąc sobie odpuścić takiego przedstawienia.

Bella dostała szału na widok tyłu nieznanym, którzy wkroczyli na jej teren, musiałam więc zamknąć ją w samochodzie Bob-by ego, aby ekipa mogła spokojnie robić, co do nich należy.

Technicy zaczęli poszukiwania odcisków od holu na dole klatki i w unoszących się wokół oparach czarnego proszku posuwali się stopniowo w górę w stronę strefy zero, gdzie czekała na nich mała paczuszka, dziesięć na piętnaście centymetrów, starannie zapakowana w niedzielny komiks. Żadnego liściku. Żadnej kokardki. I bez tego jasne było, kto jest nadawcą, przynajmniej dla mnie.

Ktoś znów otworzył drzwi do mieszkania. Tym razem była to D.D. Na moment wszyscy znieruchomieli, wyczekująco wpatrując się w panią sierżant, która powitała ich tą samą posępną miną co zawsze. Wyglądała nieźle, zważywszy na przejścia sprzed kilku godzin, po których jedynym śladem był gruby opatrunek na policzku.

— Nie powinnaś... — zaczął Bobby.

— Daj spokój — D.D. przewróciła oczami. — A co mi zrobisz, do cholery, przykujesz mnie kajdankami do szpitalnego łóżka?

Z tego co mówił mi Bobby, D.D. ledwo uszła z życiem po tym, jak zaatakowała ją zgraja psów zaledwie kilka godzin wcześniej. Ale przecież taka błahostka nie mogła jej powstrzymać od dalszej pracy.

— Kiedy pojawił się pakunek? — spytała od razu rzeczowym tonem, jasno pokazując, że wraca do gry.

— Około trzeciej dwadzieścia — odparł Bobby. Przeniosła wzrok na mnie.

— Wygląda tak samo?

- Tak — odpowiedziałam cicho — Przynajmniej na pierwszy rzut oka wygląda jak jeden z prezentów, które zostawiał mi, gdy byłam mała. Zawsze pakował je w niedzielny komiks.

— Co widziałaś?

— Nic, budynek był pusty, na ulicy też nikogo nie zobaczyłam. Zanim otwarałam drzwi, już go nie było.

D.D. westchnęła głośno.

— To nawet lepiej. Wystarczy obrażeń jak na jedną noc.

Dołączył do nas detektyw Sinkus.

— Jesteśmy gotowi - oznajmił. Na lewym ramieniu miał plamę, jakby ktoś przed chwilą na niego splunął.

Bobby spoglądał na mnie z wahaniem.

- Jesteś wolny — rzekł. — Poczekaj na dole, aż otworzymy paczkę.

Posłałam mu wymowne spojrzenie. Bobby wzruszył ramionami, moja reakcja była łatwa do przewidzenia.

Przywołał do siebie jednego z techników. Mężczyzna zaniósł pudełko do kuchni i położył je na blacie. Całą czwórką otoczyliśmy go ciasno, ramię w ramię, i patrzyliśmy, jak zabiera się do roboty. Za pomocą czegoś, co przypominało chirurgiczny skalpel, ostrożnie usunął taśmę klejącą, a następnie z precyzją godną artysty zdejmował papier.

Po czterech minutach niedzielny komiks zniknął, ukazując cały pasek Fistaszków — kto by nie kochał Snoopy'ego i

Charlie-go Browna? — i fragmenty kilku innych pasków. W środku znaj

dowało się niewielkie błyszczące pudełko na prezenty.

Wieczko nie było zaklejone. Technik je zdjął.

Biała bibułka. Technik odchylił najpierw prawą stronę, potem lewą, by odsłonić wreszcie skarb.

Najpierw dostrzegłam kolory. Odcienie jasnego i ciemnego różu. A kiedy technik rozwinął materiał, uwalniając go niczym różową falę, przestałam na moment oddychać.

Kocyk. Ciemnoróżowy flanelowy kocyk, wykończony jasnoróżową satyną. Cofnęłam się.

Bobby zauważył moją reakcję i podtrzymał mnie.

- Co to jest?

Próbowałam otworzyć usta, odpowiedzieć. Ale nie byłam w stanie. To nie był mój kocyk - nie było takiej możliwości - ale wyglądał jak mój. I choć umierałam ze strachu, strasznie chciałam go dotknąć, sprawdzić, czy wciąż jest taki miły w dotyku, miałam ochotę palcami popieścić delikatną flanelę i przytulić do policzka zimną satynę.

- To koc — stwierdziła D.D. - Dziecięcy kocyk. Jest metka, rachunek? Jakies ślady na pudełku?

D.D. zwracała się do technika, który skończył oględziny kocyka i na powrót zajął się pudełkiem. Wyjął papier dekoracyjny, sprawdził pudełko w środku i na zewnątrz. Podniósł głowę i pokręcił nią.

W końcu udało mi się wydusić to z siebie:

- On wie.

- Kto i o czym? - spytał Bobby.

- O kocyku. Kiedy mieszkałam w Arlington, miałam kocyk. Ciemnoróżowy, obsyty satyną w jaśniejszym odcieniu.

Dokładnie taki.

- To jest twój kocyk z dzieciństwa? - D.D. była naprawdę wstrząśnięta.

- Niezupełnie. Mój był większy, bardziej wytarty na końcach. Ale jest bardzo podobny, myślę, że kupił ten, który najbardziej go przypominał.

W dalszym ciągu walczyłam z pokusą, żeby go Zacisnęłam dłonie w pięści z taką siłą, że poczułam, jak paznokcie wbijają mi się w skórę. Nagle ogarnęły mnie mdłości, poczułam zawroty głowy.

Skąd ten ktoś tyle o mnie wiedział, skoro ja nie wiedziałam o nim nic? Boże, jak można walczyć z kimś, kto wydaje się mieć nadludzkie zdolności?

- W raporcie policyjnym — wyjaśniał teraz Bobby - jest mowa o polaroidowych zdjęciach, które znaleziono na poddaszu domu sąsiadki. Jak myślisz, na ilu z nich Annabelle ma przy sobie swój ulubiony kocyk?

- Skurwysyn - szepnęłam.

- Z doskonałą pamięcią - dodała D.D.

Technik wyciągnął papierową torbę. Na wierzchu umieścił numer i krótki opis. Chwilę później kocyk - impostor dołączył do materiału dowodowego w sprawie, podobnie jak opakowanie, bibułka i niedzielny komiks.

Mój blat kuchenny był znów pusty. Dowody zostały wyniesione. Można było udawać, że nic się nie zdarzyło.

Prawie.

Przeszłam do pokoju gościnnego, żeby przez okno zerknąć na ulicę. Naliczyłam kilkanaście samochodów, oznakowanych i nieoznakowanych. Z tej wysokości widziałam jedynie dach czarnego wozu Bobby'ego i uchylone z tyłu okna, mogłam jedynie zakładać, że z bliska można by dostrzec również wilgotny nos Belli wetknięty w wolną szparę.

Żałowałam, że nie mam jej przy sobie. Miałabym się do kogo przytulić.

— I przysięgasz, że nikogo nie widziałaś? - D.D. znów skie-

rowała swą uwagę na mnie — Może wcześniej, pod wieczór? Pokręciłam głową.

— A może w pracy? Może ktoś z kolejki w Starbucksie albo ktoś na Faneuil Hall zwrócił twoją uwagę?

— Jestem ostrożna — odpowiedziałam.

Na wizytówkach, które dałam panu Petracelli i Charliemu Marvinowi, nie było nazwy ulicy, tylko numer skrytki pocztowej. Widniał tam też jedynie numer telefonu do pracy, któremu w książce telefonicznej przypisana była ta sama skrytka. Tylko dlaczego nie byłam równie przewidująca, gdy dawałam Bobby-emu numer domowy, zapraszając tym samym, jak się okazało, cały posterunek policji do domowego zacisza.

— Ilu ludzi w tej chwili wie, że naprawdę nazywasz się Annabelle? - odezwał się Bobby, dołączając do D.D.

Całkiem logiczne pytanie, ale nie mogłam sobie darować uszczypliwości.

— Ty, sierżant Warren, cały posterunek policji.

— Bardzo zabawne.

— Państwo Petracelli. Catherine Gagnon. Oh, i jeszcze Charlie Marvin.

- Kto?

D. D. nie wyglądała na zadowoloną, choć jak się głębiej zastanowić, to nie było przecież nic nowego.

Opowiedziałam o moim spotkaniu z Charlim Marvinem, przedstawiając nieco okrojoną wersję. Kiedy skończyłam, Bob-by westchnął.

- Dlaczego, do cholery przedstawiłaś się prawdziwym imieniem?

- Minęło dwadzieścia pięć lat — zacytowałam jego niedawne słowa. — Nie ma się czego bać.

- Annabelle, wiesz więcej o tym, jak się skutecznie bronić, niż ktokolwiek w tym pokoju. Po co ci ta cała wiedza, skoro

gdy przyjdzie co do czego, robisz coś tak głupiego?

Naprawdę mnie wkurzył.

- Nie powinieneś czasem zająć się ściganiem mordercy małych dziewczynek?

- A ty myślisz, że czym my się, do cholery, zajmujemy?

Annabelle, w zeszłym tygodniu po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat użyłaś swojego prawdziwego imienia. Dziś znalazłaś pakunek na wycieraczce. Naprawdę nie widzisz związku?

- Widzę, skończony idioto. Przecież to ja schowałam się w wannie. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem przerażona.

Trafiłam w czuły punkt. Moja odpowiedź go poruszyła.

Byłam zmęczona, przestraszona i nie miałam nikogo innego, na kim mogłabym się wyładować. Przyjął cios, powstrzymując się od komentarza. Świdrował mnie jedynie swoimi chłodnymi szarymi oczami.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że naszej wymiany zdań słucha cała ekipa, a najuważniej D.D., która śledziła całe zajście, starając się wyczytać z naszych twarzy coś więcej niż pozostali. Odeszłam na bok, desperacko poszukując odrobiny wolnej przestrzeni.

Żałowałam, że ściągnęłam tu Bobby'ego. Chciałam, żeby ci wszyscy policjanci już sobie poszli. Chciałam, żeby technicy opuścili moje mieszkanie. Chciałam zostać sama i zacząć pakować swoje pięć walizek.

Ciszę przerwał dźwięk domofonu. Podskoczyłam, przygryzając język. D.D. i Bobby natychmiast wypadli na schody i gnali już na dół. Nagle poczułam wstyd, wstyd mi było za własny strach. Cholera, nie chciałam już zawsze tak się czuć! Dopadłam drzwi. Jeden z detektywów — Sinkus zdaje się - próbował mnie powstrzymać, chwytając moje ramię. Nie był jednak ani tak szybki, ani tak stanowczy jak Bobby, więc

wyrwałam mu się bez najmniejszego problemu. Sąsiedzi wycofali się już do swoich mieszkań, trzaskając głośno drzwiami i ryglując wszystkie zamki. Z ostatniego piętra praktycznie zeskoczyłam, przytrzymując się drewnianej poręczy i twardo lądując na podłodze. Kiedy dopadłam drzwi, замуrowało mnie.

Pod surowymi spojrzeniami Bobby'ego i D.D. kulił się Ben, kurier z UPC. Stał z szeroko otwartymi oczami, zupełnie oszołomiony niespodziewanym atakiem.

— Tanya? — wydał z siebie piskliwy głos.

Wybuchłam niekontrolowanym atakiem histerycznego śmiechu, do jakiego jest zdolna tylko kobieta, która doszła właśnie do etapu, gdy jest w stanie przestraszyć na śmierć nawet kuriera dostarczającego zamówione materiały.

- Wszystko w porządku — próbowałam go uspokoić drżącym głosem.

- Proszę mi oddać tę paczkę — zażądał Bobby. Bobby podał mu pakunek.

- Muszę mieć podpis - odezwał się cicho. — Czy mogę... Czy powinienem?... Jezu Chryste.

Ben umilkł. Bobby świdrował go takim spojrzeniem, że biedny facet wyglądał, jakby za chwilę miał się posikać w spodnie ze strachu.

- Smith & Noble - sprawdził nadawcę Bobby i odczytał głośno adres zwrotny.

- Zasłony — wyjaśniłam — a dokładniej, skrojony na miarę materiał na rolety. Wszystko gra, naprawdę. Dostaję podobne przesyłki codziennie, prawda, Ben?

Podeszłam bliżej, srając między Bobbym a kurierem.

— Wszystko jest w porządku. W budynku zdarzył się pewien incydent i dlatego policja musi teraz wszystko sprawdzić.

— A co z Bella? — zapytał Ben. Przez cztery lata naszej znajomości zdążyłam się zorientować, że Benowi dużo bardziej

zależy na zwierzętach aniżeli na ludziach, co zupełnie nie pasowało zresztą do stereotypu dostawcy, któremu powinno chyba bardziej zależeć na klientach niż na ich psach.

— Nic jej nie jest.

Jak na zawołanie, Bella usłyszawszy mój głos, zaczęła szczekać. To wcale nie uspokoiło Bena, który spojrzawszy w stronę nieoznakowanego wozu policyjnego, znów szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

— Ale to naprawdę grzeczny pies — wybuchnął.

Na te słowa miałam ochotę szczerze się roześmiać, ale wiedziałam, że nie stać mnie w tym momencie na szczery, radosny śmiech, bez cienia goryczy czy smutku.

— Musieliśmy ją wyprowadzić z mieszkania — próbowałam wyjaśniać - Nic jej nie jest. Możesz do niej podejść. Bardzo się ucieszy.

Ben nie bardzo wiedział, co zrobić. Bobby w dalszym ciągu z niewyraźną miną trzymał pod pachą paczkę. Mina D.D. świadczyła dobitnie o nienawiści do całego świata i wszystkich wokoło.

Wypadało podjąć jakąś decyzję. Chwyciłam Bena za rękaw brązowego munduru i poprowadziłam w stronę samochodu. Bella wcisnąwszy głowę w szczelinę, szczekała radośnie. To wreszcie podziałało.

Ben wydobył z kieszeni ciasteczka. Stary, znajomy scenariusz.

Bella uprosiła go jeszcze o cztery inne przysmaki. Kiedy wróciliśmy przed drzwi do budynku, cała akcja straciła swoje tempo i rozmach rodem z Policjantów z Miami i musieliśmy na powrót wejść w swoje role.

Bobby miał parę pytań do Bena. Chciał wiedzieć, jaką trasą zazwyczaj jeździ, jak często jest w sąsiedztwie, o jakich porach dnia i czy kiedykolwiek widział, żeby ktoś czał się w pobliżu budynku.

Okazało się, że Ben to weteran z dwudziestoletnim stażem. Miał mapkę Bostonu w małym palcu. Kilka razy dziennie przejeżdżał moją ulicą, żeby uniknąć korków w rejonie Atlantic. Nikogo nie zauważył, ale niby czemu miałby się za kims rozglądać.

Żywot dostawcy firmy kurierskiej nie był łatwy. Oznaczał setki paczek, skomplikowany harmonogram dostaw, zawiłe trasy, mające zapewnić maksymalną wydajność, a wszystko to diabli brali gdy nagle trzeba było dostarczyć ekspresem super-ważną przesyłkę. Stres, stres i jeszcze raz stres, nie wspominając już o okresie przedświątecznym. Ale najwidoczniej warto było pilnować posady dla wysokiej emerytury.

Możliwość, że ktoś zabił się na mnie i na Bellę, najwyraźniej zmartwiła Bena. Obiecał Bobby emu, że będzie miał oczy szeroko otwarte. Zaproponował nawet, że ustawi trasy, żeby częściej przejeżdżać moją ulicą. Tyle mógł przecież zrobić. Ben nie był już młodzieniaszkiem. Patrząc na jego siwiejące wąsy i grube jak denka od słoika okulary, stawiałam, że ma około pięćdziesiątki. Praca utrzymywała go jednak w niezłej formie. Był smukły i wysportowany, jedynie okolice brzucha wydawały się odrobinę zwiotczałe. Wyglądał tak, jak pewnie Bobby będzie wyglądał za dwadzieścia lat. Spod baseballowej czapeczki z nadrukiem UPC wyglądała twarz byłego boksera - spłaszczony nos, który otrzymał o kilka ciosów za dużo, blizna biegnąca od linii włosów na lewym policzku aż do drutowanej wielokrotnie szczęki, przekrzywionej lekko w lewą stronę.

Ben wyprostował się, napiął tors i z ogromną powagą uściśnił dłoń Bobby ego.

Tak więc miałam za ochroniarzy całą bostońską policję i jednego kuriera. Powinnam spać jak dziecko.

Ben odjechał. Bobby wniósł moją paczkę na górę. Szłam za

nim, utwierdzając się w przekonaniu, że oto wpadłam w prawdziwą depresję.

ROZDZIAŁ 31

PIĘTNAŚCIE MINUT PÓŹNIEJ przypadkowo podsłuchałam kłótnię Bobby ego i D.D. Byli przekonani, że siedzę grzecznie na kanapie, jak mi polecono, ja jednak nie potrafiłam w takim stanie ducha znieść tłumu obcych ludzi, ani tym bardziej wysiedzieć w jednym miejscu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Postanowiłam więc zejść na dół i sprawdzić, czy wszystko w porządku z Bella.

Stali na zewnątrz przy krawężniku. W pobliżu nie było innych detektywów. Najpierw usłyszałam pełen gniewu głos D. D. Przystanęłam.

- Czy ty zdajesz sobie, do cholery, sprawę z tego, co robisz?
— warczała.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi — odparł Bobby. Choć starał się udawać zaskoczonego jej pytaniem, pozycja obronna, która przyjmował już na wstępie, potwierdzała tylko, że doskonale wiedział, co jego koleżanka ma myśli. Cofnęłam się na klatkę schodową i przytknęłam ucho do przymkniętych drzwi.

- Zaangażowałaś się — rzucała oskarżeniami D. D. - W co? Słyszałam, jak uderza go w ramię.

- Hej! O co, do cholery chodzi? Dzisiaj to na mnie postanowiłaś się trochę wyżyć?

- Nie udawaj głupiego. Znamy się nie od dziś. Zapadła cisza, a gdy Bobby w dalszym ciągu nie odpowiadał, wyrzuciła z siebie:

- Jezu, Bobby, co z tobą jest nie tak? Najpierw Catherine, teraz Annabelle. Czy ty masz jakiś kompleks zbawiciela? Lubisz odgrywać rycerza ratującego dziewicę z paszczy smoka? Jesteś detektywem. Powinieneś zdawać sobie sprawę z konsekwencji.

- Nie zrobiłem nic złego - odpowiedział już bardziej stanowczo.

- Widziałam, jak na nią patrzysz.

- Na litość boską, D.D.

- A więc mam rację? Jeśli nie, popatrz mi prosto w oczy. Znów zapadła cisza. Mogłam się założyć, że nie mógł popatrzeć jej w oczy.

- Niech to cholera! — zaklęła po chwili D.D.

- Nie zrobiłem nic złego - powtórzył stanowczo.

- I co, mam ci dać za to medal? Bobby... wiesz, że robiłam, co mogłam, żeby jakoś zatuszować sprawę Catherine. Ukryć fakt, że się zaangażowałeś. Ze straciłeś dla niej głowę i rozsądek. Nie wiem, co ona ma w sobie, że tak działa na mężczyzn. I po co? Żebyś znów wywinął taki numer? Czy to dlatego nam nie wyszło? Bo żebyś się zakochał, kobieta musi być ofiarą?

Ostatnie zdanie naprawdę mnie wkurzyło, zresztą Bobby'ego też.

- Ty chcesz dyktować warunki. Jeśli chcesz wiedzieć, lubię wyzwania jak każdy facet, ale my nie stanowiliśmy wyzwania dla siebie nawzajem. Jesteśmy jak dwie krople wody. Żyjemy pracą, oddychamy nią jak powietrzem. I kiedy się spotykaliśmy, zabieraliśmy pracę na każdą randkę.

Popatrz, znamy się od dziesięciu lat, a ja dopiero sześć godzin temu dowiedziałem się, że masz wujka i lubisz rottweilery.

Czemu dopiero teraz?

Bo zawsze rozmawialiśmy tylko o pracy. Nawet w łóżku byliśmy gliniarzami.

— Chwileczkę, dla mnie się coś liczy poza pracą! — odkrzyknęła D.D. i przez chwilę bałam się, że zaraz się rozplacze.

— O Boże — powiedział Bobby zmęczonym głosem.

— Przestań — kolejne uderzenie. Zgadywałam, że próbował ją dotknąć — Nawet się nie ważył litować nade mną.

— Dobra, D.D. Chcesz szczerości? To nazywaj rzeczy po imieniu. Przyznaj, że nigdy nie brałaś pod uwagę czegoś poważniejszego. Byłam dla ciebie ciekawostką. Snajper z elitarnej jednostki, który robił niezłe wrażenie, kiedy gadał o swojej pu-kawce. Oboje wiemy, że twoje ambicje sięgają nieco wyżej.

— Nie przebierasz w słowach.

— Bo też nie zaczęliśmy tej rozmowy, żeby wymienić się komplementami.

Długa, pełna napięcia cisza.

— Będziesz miał przez nią kłopoty.

— Jestem dużym chłopcem.

— Nie pracowałeś jeszcze przy tak poważnym śledztwie. Nie powinieneś się angażować.

— Dziękuję, że masz do mnie takie zaufanie. A teraz, jeśli nie ma mi pani sierżant nic więcej do powiedzenia w sprawach zawodowych, wracam do środka.

Usłyszałam szelest materiału, po którym nastąpiła nagła cisza. Zgadywałam, że chciał odejść, ale zatrzymała go, chwytając za ramię.

— Byłam w domu, Bobby. Nie ma żadnych śladów włamania. Drzwi były zamknięte, okna nietknięte. Ale Sinkus miał rację, to była moja bielizna. Ktoś się włamał, zabrał majtki z kosza z brudną bielizną, a co gorsza, zrobił to bardzo, bardzo sprytnie.

— Technicy...

— Nic nie znajdą. Nie będzie śladów, tak jak i tu ich nie znaleźliśmy. Nie wygląda to najlepiej.

- Bzdura. Jak tylko tu skończymy pojedę z tobą rozejrzeć się na miejscu.

Musiała wyglądać na niezdecydowaną, bo dodał podirytowany:

— Pracowałem w jednostce specjalnej, pamiętasz? Wiem co nieco o tym, co się robi, żeby dostać się ram, gdzie się chce.

- Ja bym powiedziała, że jednostka specjalna wyłamuje drzwi gigantycznym łomem, jeśli chce się dostać do środka. Nasz podejrzany działa trochę inaczej.

— Tak, jasne, oczywiście — mamrotał pod nosem Bobby, słychać było jednak, że coś go gryzie. - Sposób działania niby ten sam, ale jedna rzecz mi tu zupełnie nie pasuje...

dwadzieścia pięć lat temu naszego podejrzanego interesowały małe dziewczynki. Siedmioletnia wówczas Annabelle Granger, jej przyjaciółka Dori Petracelli. A teraz nagle przerwucił się na dorosłe kobiety? Ty, Annabelle ... Nie tworzę portretów psychologicznych, ale coś mi tu nie gra.

- Może nie umie się odnaleźć w dzisiejszej rzeczywistości.

Annabelle jest tą, która zdołała mu umknąć, skoro więc ją odnalazł, zrobi wszystko, byle tylko znów nie wymknęła mu się z rąk. A ja? Ja tylko dowodzę śledztwem, więc chce mi pomieszać szyki. Nie jest do mnie w żaden sposób

przywiązany emocjonalnie, dlatego wysłał psy, nie czuł potrzeby załatwienia sprawy osobiście. Jestem jedynie wprawką przed wielkim finałem, jaki szykuje dla Annabelle.

- Brzmi obiecująco.

- Zwłaszcza dla mnie. Myślisz, że mam ochotę zginąć tylko dlatego, że stanęłam na drodze do spełnienia jego innych chorych fantazji? Poza tym, Bobby, pomyśl o Eoli.

Zakładając, że to on zabił tę pielęgniarkę, jak uważa zresztą większość personelu, znaczyłoby to, że wiek nie jest dla niego aż tak ważny. Jeśli to jego szukamy, powinniśmy wziąć to pod uwagę. Zresztą to nie jest wcale takie nietypowe, nie

przypomina ci to sprawy Bundy ego? Niby kręciły go jedynie studentki, ale tak naprawdę wiele z jego ofiar było dużo młodszych. W przypadku tego typu popaprańców nigdy nie wiadomo, co, kiedy i gdzie obudzi w nich morderczą żądzę. Bobby nie odpowiedział natychmiast. Odezwał się dopiero po chwili-

- Ciągłe bierzesz pod uwagę możliwość, że stoi za tym Russell Granger?

- Nie przestanę go brać pod uwagę, dopóki nie udowodnisz, że jest inaczej.

- Zakładasz, że wrócił z zaświatów? - spytał z wyraźną drwiną.

Odpowiedź D.D. zaskoczyła i mnie, i Bobby ego.

- Rozmawiałam wczoraj z koronerem, Bobby. Mając na uwadze, jak wiele obowiązków spadło na ciebie w ostatnich dniach, postanowiłam cię trochę odciążyć i zbadać bliżej okoliczności śmierci ojca Annabelle. W aktach wyczytałam, że policja skontaktowała się z Annabelle (Tanya), która zidentyfikowała ojca, i to im wystarczyło. Zastanów się, Bobby. Z jego twarzy została krwawa miazga. Koroner nie pobrał odcisków palców, nie uwzględnił w raporcie żadnych znaków szczególnych, a że sprawa dotyczyła potrącenia, wystarczyło słowo córki denata. To zaś oznacza, że tak na dobrą sprawę mógł to być ktokolwiek, kto miał przy sobie prawo jazdy na nazwisko Michaela W. Nelsona. Ktoś zupełnie obcy, włóczęga, który zagapił się i wylądował pod kołami samochodu.

Bobby'emu odebrało na moment mowę. Ta chwilowa cisza mi odpowiadała, bo i tak nie byłabym w stanie usłyszeć nic więcej aniżeli szum krwi pulsującej w skroniach. D.D. uważała, że mój ojciec wciąż żyje? Zakładała, że upozorował własną śmierć? Naprawdę wierzyła, że to on stał za tą masakrą?

Przecież to absurd! Mój ojciec nie był mordercą! Nie mógł zamordować tych małych dziewczynek, Dori Petracelli. W życiu by czegoś takiego nie zrobił.

Nie zostawiłby mnie.

Nogi się pode mną ugięły. Oparłam się całym ciężarem o drzwi. Te otwarły się natychmiast, ale D.D. i Bobby nawet mnie nie zauważyli, zbyt byli zajęci dyskusją nad swoją nową teorią, pastwiąc się nad moim ojcem i obracając tych kilka wspomnień, które mi zostały, w jedno wielkie kłamstwo.

Nie wyjechał z Darlington, żeby zatrzeć za sobą siady. Wyjechał, żeby mnie chronić. Wyjechał bo...

„Roger, proszę, nie jedź. Roger, błagam cię, nie rób tego...”

- Kimkolwiek jest nasz podejrzany — ciągnął Bobby, najwyraźniej w dalszym ciągu sceptycznie nastawiony do hipotezy D.D. — szuka rozgłosu. I choć nie można mu odmówić sprytu, brak w tym wszystkim jakieś subtelności. Pod wycieraczką twojego samochodu zostawił liścik, pod drzwiami Annabelle upominek. Tylko po co? Jeśli jest takim spryciarzem, czemu nie zabije was obu i po sprawie? Wiesz, dlaczego? Bo bawi go sam pościg. Daje mu szansę wykazania się. I to właśnie musimy wykorzystać, żeby go złapać.

Wkrótce zrobi kolejny krok, a wtedy go przyskrzynimy.

— Obyś miał rację — podsumowała D.D. - Bo jestem pewna, że facet taki jak on ma w zanadru kolejny makabryczny scenariusz.

Kiedy ruszyli w stronę schodów, ja też odwróciłam się na pięcie i popędziłam na górę. Detektywi Sinkus i McGahagini przyglądali mi się z zaciekawieniem, gdy wracałam do mieszkania. Poszłam wprost do sypialni, zamknęłam za sobą drzwi.

Mijały sekundy. W końcu dobiegło mnie delikatne pukanie do drzwi.

Nie odpowiedziałam. Ktokolwiek to był, oddalił się.

Siedziałam tak na wąskim łóżku, ściskając w dłoni fiolkę z prochami i zastanawiając się, czy nawet ona jest jednym wielkim kłamstwem.

TAK W ZASADZIE TO BYŁA MOJA WINA. Kiedy zadzwonił telefon, nie miałam ochoty wstać, żeby go odebrać. No i pan Peiracelli nagrał się na automatyczną sekretarkę, a że telefon był na pod-słuchu, słyszała go oczywiście od razu cała bostońska policja.

- Annabelle, udało mi się znaleźć ten portret, o który prosiłaś, ten, który sporządziliśmy na zebraniu sąsiadów. Jak się pewnie domyślasz, wolałbym tego typu rzeczy nie wysyłać pocztą. Jeśli bardzo ci zależy, mogę znów podjechać do centrum. O tej samej porze, w tym samym miejscu? Oddzwoń.

Wyrecytował numer. Usiadłam na łóżku, westchnęłam ciężko.

Tym razem pukanie w drzwi było stanowcze i zdecydowane. Otwarłam drzwi. Bobby miał bardzo ponurą minę.

- Portret? O tej samej porze? W tym samym miejscu?

- Hej — odpowiedziałam pogodnie. — Masz ochotę na przejażdżkę?

PAN PETRACELLI UCIESZYŁ SIĘ, że ominie go budząca postrach wyprawa do centrum. Bella uznała, że przejażdżka to doskonały pomysł. Mnie i Bobby'emu nie pozostało więc nic innego, jak przetrwać jakoś tę drogę, skupiając uwagę na wszystkim dookoła, byle tylko nasze spojrzenia nagle się przypadkiem nie spotkały.

Ruch był niewielki. Bobby połączył się z dyspozytorem i poprosił o rutynowe sprawdzenie moich starych sąsiadów.

Ucieszyło mnie, że ktoś inny dla odmiany popadał w paranoję. Nie byłam jedyną szaloną, która nazwisko każdego nowo poznanego człowieka przepuszczała najpierw przez Google.

— A gdzie D.D.? — odezwałam się w końcu.

— Musi się zająć innymi sprawami.

— Eolą? - tropiłam dalej. Rzucił mi groźne spojrzenie.

— A ty niby skąd znasz to nazwisko? Kłamstwo przyszło mi bez trudu:

— Z Internetu.

Choć nie przypuszczam, żeby dał się na to nabrać, zmarszczył brwi i zaspokoił moją ciekawość.

— D.D. jest z technikami z laboratorium u siebie w domu.

Tobie zostawił jedynie podarunek pod drzwiami, a do mieszkania D.D. włamał się, żeby ukraść jej bieliznę.

— Bo to ona jest blondynką - wyjaśniłam, na co Bobby odpowiedział rozbawionym spojrzeniem.

Wjechaliśmy na podjazd domu państwa Petracelli.

— Pan Petracelli twierdzi, że policja z Lawrence nie poświęciła wystarczająco dużo uwagi sprawie jego córki - tłumaczyłam, gdy wysiadaliśmy z samochodu. Bella przypomniała o sobie głośnym skomleniem. Kazałam jej zostać na miejscu. - Jeśli będziesz się trzymał wersji, że szukasz powiązania między moim prześladowcą a porwaniem Dori, powinien być skłonny do współpracy.

— Ja mówię, ty tylko słuchasz - poinformował mnie oschle.

„Pieprzony macho” - mruknęłam do siebie, tak żeby nie słyszał, kiedy szliśmy chodnikiem w stronę drzwi.

Bobby nacisnął dzwonek. Drzwi otwarła pani Petracelli. Na widok naszej dwójki westchnęła. Spojrzenie, które mi posłała, wyrażało skrucę.

- Walter — powiedziała spokojnym tonem - są już twoi goście.

Pan Patracelli zszedł na dół z werwą, jakiej nie zauważyłam przy naszym ostatnim spotkaniu. Pod ręką trzymał staromodną teczkę wypchaną papierami, jego oczy błyszczały podejrzenie.

— Wejdźcie, wejdźcie — zapraszał nas serdecznie. Uścisnął rękę Bobby'ego, potem moją, rozglądając się za moim psem obronnym.

— Strasznie się ucieszyłem, że pan przyjedzie. I to tak szybko! Mam tu w teczce wszystkie informacje, wszystko, czego nam trzeba. Ale chwileczkę, aż wstyd, że trzymam was tak w przedpokoju. Zapraszam do gabinetu, rozgłoście się. Lana, kochanie, zrób, proszę kawy naszym gościem.

Lana znów głośno westchnęła i zniknęła w kuchni. My zaś podążyliśmy za panem Petracellim do salonu. Tam starszy pan

usiadł w skórzanym fotelu i niezwłocznie zabrał się do segregowania swoich papierów. Ponury nastrój z dnia wczorajszego gdzieś prysnął, a w jego miejsce pojawiło się podekscytowanie. Gwizdał sobie pod nosem, wyciągając kartkę za kartką, kolejne dokumenty, które zawierały przecież ponure szczegóły porwania jego córki.

— Jest pan z policji bostońskiej? — spytał Bobby'ego.

— Detektyw Robert Dodge, proszę pana, z policji stanowej Massachusetts.

— Doskonale! Od początku twierdziłem, że powinna się tym zająć policja stanowa. Lokalna policja nie ma takich zasobów. Małe miasteczka to mali gliniarze, a to z kolei małe umysły. Kiedy poukładał sobie wszystkie papiery, podniósł głowę i zauważywszy, że dalej stoimy drzwiami, ponowił zaproszenie:

— Usiądźcie, proszę, czujcie się jak u siebie w domu. Sporządziłem tę dokumentację latami, mamy sporo do przejścia. Usiadłam na kraciastej kanapie, Bobby tuż obok mnie. Pani

Petracelli wniosła kawę, cukier i śmietankę i czym prędzej opuściła pokój. Jakoś się jej nie dziwiłam.

Okazało się, że dokumentacja pana Petracelli jest rzeczywiście nad podziw skrupulatna. Przez wszystkie te lata stworzył niezwykle dokładny obraz ostatnich godzin sprzed porwania. Wiedział, o której Dori wstała. Co zjadła na śniadanie. W co była ubrana i jakie zabawki miała ze sobą w ogrodzie. Gdzieś około południa babcia zdecydowała, że czas na drugie śniadanie. Ponieważ Dori chciała urządzić proszoną herbatkę dla swoich pluszowych miśków przy stole piknikowym, babcia przygotowała jej talerz kanapek bez skórki z masłem orzechowymi i dżemem oraz pokrojone jabłko. Kiedy widziała ją po raz ostatni, Dori częstowała swoich pluszowych gości smakołykami. Babcia wróciła do domu uprzątnąć kuchnię i zagadała się z sąsiadką przez telefon. Kiedy wróciła na zewnątrz dwadzieścia minut później, przy stole zastała jedynie pluszaki, każdy z kanapką i kawałkiem jabłka przy nosie. Dori zniknęła.

Pan Petracelli wiedział dokładnie, kiedy dokonano pierwszego zgłoszenia na numer 911. Znał nazwisko policjanta, który odebrał telefon, pytania, które zadał, i odpowiedzi, których mu udzielono. Zapisał nazwiska wszystkich osób pomagających w poszukiwaniach, wraz z podziałem na konkretne grupy poszukiwawcze. Gwiazdką oznaczył tych, którzy na popołudnie między 12:15 a 12:35 nie potrafili podać przekonującego alibi. Miał też listę wszystkich właścicieli psów, którzy zaoferowali swoją pomoc, nurków, którzy przeszukiwali okoliczne stawy. Całe siedem dni poszukiwań policjantów, sąsiadów i ochotników w dokumentach pana Petracelli figurowało w formie misternie sporządzonych chronologicznych wykresów i długich list z nazwiskami.

Miał też informacje, które otrzymał od mojego ojca.

Z twarzy Bobby'ego nie mogłam wyczytać, jakie wrażenie zrobiła na nim prezentacja pana Petracelli. Ten zaś ciągnął niestrudzenie dalej, a jego barwa głosu zmieniała się w zależności od tego, co miał do dodania. Mówiąc o oczywistych zaniedbaniach policji, wypluwał z siebie słowa z nieukrywaną złością. Kamienna twarz Bobby'ego w dalszym ciągu niczego nie zdradzała.

Ja za to bardzo chciałam zobaczyć ten rysunek. Chciałam spojrzeć na twarz mężczyzny, który mnie prześladował, skazał moją rodzinę na życie na walizkach, a potem zabił moją najlepszą przyjaciółkę.

Rzeczywistość mnie rozczarowała.

Spodziewałam się dużo groźniej wyglądającej twarzy. Czarno-białego szkicu mężczyzny z wytatuowaną łżą na prawym policzku i świdrującym spojrzeniem chytrych ciemnych oczu.

Mój ojciec wykonał szkic z niemal pedantyczną starannością. Mężczyzna był młody — mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Miał krótkie ciemne włosy, ciemne oczy, mocną żuchwę o wyraźnym zarysie. Nie wyglądał na bandziora. Przypominał nu raczej chłopaka, który kiedyś pracował w pizzerii nieopodal.

Przez dłuższą chwilę studiowałam jego rysy, czekając, aż do mnie przemówi, aż zdradzi mi swoje sekrety. Nic takiego się nie zdarzyło. Szkic pozostał jedynie szkicem, a młody człowiek niczym nie różnił się od dziesiątków tysięcy ciemnowłosych nastolatków spacerujących po ulicach Bostonu.

Nie potrafiłam tego zrozumieć. To przed nim ojciec uciekał? Bobby spytał pana Petracelliego, czy może skorzystać z faksu, który jak oboje zauważyliśmy, stał na biurku. Bobby wytłumaczył mu, że tym sposobem dokumenty szybciej trafią do rąk policjantów, ci zaś od razu będą mogli rozpocząć swoją

pracę. Pan Petracelli nie posiadał się z radości, widząc, że ktoś wreszcie na poważnie zajął się jego sprawą.

Przyglądałam się Bobby'emu, gdy wybierał numer kierunkowy, zupełnie przecież zbędny w połączeniach lokalnych. Widziałam też, że jedynym wysłanym dokumentem jest portret pamięciowy.

Resztę dokumentów tylko skopiował. Pan Petracelli z płożącymi policzkami i szerokim uśmiechem na twarzy kiwał się w przód i w tył w swoim fotelu. Podekscytowanie musiało mu znacznie podnieść ciśnienie. Zastanawiałam się, kiedy znów dopadnie go atak serca. Byłam ciekawa, czy zdoła przed śmiercią zrealizować swój jedyny cel: odnalezienie ciała córki.

Z grzeczności dopiliśmy kawę. Panu Petracelliemu ciężko było nas pożegnać, kilkakrotnie ścisnął nasze dłonie, a gdy doszliśmy do samochodu, on wciąż stał na ganku, machając nam ręką.

Kiedy odjeżdżaliśmy, zerknęłam po raz ostatni w jego stronę. Ujrzałam niewielkiego, zgarbionego mężczyznę z czerwoną twarzą i nienaturalnym uśmiechem, machającego energicznie policjantowi, który miał zwrócić mu wkrótce jego córeczkę.

- PRZEFAKSOWAŁEŚ PORTRET PAMIĘCIOWY do
Catherinc Gagnon

- odezwałam się, gdy tylko wyjechaliśmy z osiedla. -
Dlaczego?

- Twój ojciec pokazał go jej wtedy w szpitalu - odpowiedział.

- Pokazał jej portret pamięciowy?

— Chcą się dowiedzieć, czy to ten sam rysunek.

- Ale to niemożliwe! Catherine była w szpitalu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, a ten szkic został narysowany dopiero dwa lata później.

— Skąd wiesz?

- Bo facet, który mnie prześladował, zaczął zostawiać upominki dopiero w osiemdziesiątym drugim. A jak można narysować prześladowcę, zanim stanie się on prześladowcą?

— Jest tylko jeden problem.

- Mianowicie?

— Według policji nikt nigdy nie widział twarzy twojego prześladowcy. Ani twój ojciec ani matka, ani pani Watts, ani żaden z sąsiadów. Teoretycznie rzecz biorąc, jego twarz nie miała prawa znaleźć się na portrecie pamięciowym.

Bobby miał rację. Ciężko to było wytłumaczyć. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że po pierwsze, musiało przecież istnieć jakieś logiczne rozwiązanie, po drugie, zbyt wiele rzeczy musiałam sobie ostatnio w ten sposób tłumaczyć. Mój ojciec musiał coś wiedzieć już w 1980 roku. Coś na tyle ważnego, że nie wahał się udawać agenta FBI i ze szkicem w ręku udał się do Catherine Gagnon. Tylko co?

Starałam się coś odgrzebać w zakamarkach pamięci. W 1980 roku miałam zaledwie pięć lat. Mieszkałam w Ariington i...

Nic nie przychodziło mi do głowy. Nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć owiniętych w komiksy podarków. Byłam pewna, że zaczęłam je dostawać dopiero dwa lata później.

Milczenie przerwał dopiero sygnał przypiętego do paska telefonu komórkowego Bobby'ego. Podniósł go do ucha, rzucał do słuchawki kilka zdawkowych odpowiedzi, odwrócił się w moją stronę, chcąc coś powiedzieć, ale telefon zadzwonił ponownie.

Tym razem uprzejmy, służbowy ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że jest to rozmowa policjanta z nieznanym. Domyśliłam się, że próbuje się umówić na spotkanie, ale negocjacje nie idą po jego myśli.

- Kiedy wyjeżdża pan na konferencję? Będę z panem szczerzy, musimy się zobaczyć jak najszybciej. Sprawa dotyczy jednego

z pana byłych profesorów, Russella Grangera.

Nawet ja usłyszałam jęk na drugim końcu linii. Potem Bobby kiwnął głową.

— Skąd pan wyjeżdża? Lexington. Dziwnym zbiegiem okoliczności jestem tuż za rogiem.

Zerknął na mnie, wzruszyłam jedynie ramionami, szczęśliwa, że nie muszę nic mówić. Najwyraźniej Bobby próbował się umówić na spotkanie z byłym szefem mojego ojca i najwyraźniej miało ono się odbyć już teraz.

Nie miałam nic przeciw. Co więcej, nie zamierzałam grzecznie czekać w samochodzie.

ROZDZIAŁ 32

- BELLI PRZYDAŁBY SIĘ SPACER - stwierdził Bobby, gdy dojeżdżaliśmy na miejsce krętą boczną uliczką na północ od znajdującego się w kompleksie Lexington Center pomnika żołnierza ochotnika z czasów amerykańskiej rewolucji obywatelskiej. Paul Schuepp mieszkał pod numerem 58. Bobby minął kolejno numery 26 i 32, wiedział więc, że jedzie w dobrym kierunku. - Idealne miejsce, żeby rozprostować kości - podsunął.

Annabelle zareagowała dokładnie tak, jak przypuszcza.

- Ha, ha, ha. Bardzo zabawne.

- Ja mówię poważnie. To oficjalne policyjne śledztwo.

- To lepiej zastanów się, jak by tu szybko wcielić mnie w policyjne szeregi, bo idę z tobą.

Numer 48... Tam, biały domek w stylu kolonialnym z ceglaną elewacją.

- Nie chcesz się chyba bawić w kowboja. Zdajesz sobie sprawę, że czasy Dzikiego Zachodu dawno już minęły?

- Patrząc nas relacje z kolejnych strzelanin w mieście, wcale nie byłabym tego taka pewna.

Bobby wjechał na podjazd. Musiał szybko podjąć decyzje.

Miał do wyboru zmarnować dziesięć minut z trzydziestu, które Schuepp mógł mu poświęcić, na kłótnię z Annabelle albo zabrać ją ze sobą i potem wysłuchać kolejnego wykładu D.D. na temat przestrzegania policyjnych procedur.

Rozgoryczenie, które wciąż czuł po ich ostatniej rozmowie, nie przemawiało na korzyść D.D.

Bobby otworzył drzwi i nie odezwał się słowem, gdy Annabelle poszła w jego ślady.

- Detektyw Sinkus namierzył Charliego Marvinę - po-

informował ją, kiedy zmierzali w kierunku drzwi frontowych. - Marvin spędził noc w noclegowni na Pine Street, był tam od północy do ósmej rano. Dziewięciu bezdomnych i trójka pracowników potwierdziła tę wersję. Tak więc ktokolwiek przyniósł ci ten podarunek, na pewno nie był to Charlie Marvin.

Annabelle była zawiedziona. Nic dziwnego, dla niej Charlie Marvin był doskonałym podejrzanym. Po pierwsze, dziwak jakich mało, takie wielkemiejskie skrzyżowanie pastora ze Świętym Mikołajem. Po drugie, odsuwał podejrzenia od jej ojca.

Bobby wolałby powiedzieć, że nie wierzy w teorię, jakoby ojciec Annabelle powrócił do świata żywych, ale z każdą minutą jego wątpliwości rosły. Przypadek pana Petracelliego dał im świetny pogląd na to, jak potężna może być siła obsesji. Bobby zlecił jednemu z policjantów sprawdzenie, co starszy pan robił zeszłej nocy, ale ani przez moment nie wierzył, że kogoś do tego stopnia ogarniętego szaleństwem stać by było na tak wyrafinowane metody, jak podrzucanie owiniętych w komiksy prezentów.

Bobby doszedł do wniosku, że kluczem do całej sprawy jest portret pamięciowy. Kogo narysował Russell Granger i dlaczego już dwa lata przed złożeniem pierwszego doniesienia na policję czuł się zagrożony?

Po pięciu minutach spotkania z Walterem Petracelli Bobby upewnił się, że były sąsiad Annabelle nie udzieli mu odpowiedzi na te pytania. Miał nadzieję, że poszczęści mu się wreszcie z dawnym szefem Grangera, do którego zadzwonił już o siódmej rano,

spod budynku w którym mieszkała Annabelle. Ostatnimi czasy jego praca ograniczała się w większości do rozmów telefonicznych. Mimo to D.D., żeby go „odciążyć”, prowadziła dochodzenie na własną rękę za jego plecami.

Nietrudno się było domyślić, że dotarła do koronera, aby znaleźć coś na poparcie swojej teorii... Bobby'ego ogarniała wściekłość na samo wspomnienie.

Z trudem odnalazł mosiężną kołatkę wśród gałęzi zawieszonych na drzwiach wieńca z ostrokrzewu. Po trzech uderzeniach, z których każde wywoływało lawinę spadających jagód, drzwi się otwały.

Pierwsze wrażenie Bobby'ego na widok Paula Schueppa: pięć centymetrów wyższy od mistrza Yody i dwa lata młodszy od Ziemi. Były szef matematyki na MIT był niski, pomarszczony, miał rzadkie siwe włosy, pofałdowaną skórę na czubku głowy, załzawione niebieskie oczy i białe krzaczaste brwi. Obwisła skóra boleśnie podkreślała zaczerwienione powieki, trzęsący się podbródek i warstwy dodatkowej skóry zwisającej wokół szyi.

Schuepp wyciągnął na powitanie sękatą dłoń i uściśnął rękę Bobby'ego z zadziwiającą siłą.

- Wejdźcie, wejdźcie, proszę. Miło pana widzieć, detektywie, a ta młoda dama to...?

Przerwał nagie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

- Niech mnie diabli, jeśli to nie ty, Annabelle, wyglądasz kropka w kropkę jak twoja matka. Ale wyrosłaś. Niech mnie diabli. Proszę, proszę, wejdźcie. To prawdziwy zaszczyt.

Napijemy się kawy. A zresztą, jest już prawie południe, więc może napijemy się szkockiej.

Schuepp energicznym krokiem ruszył przez przedpokój w kierunku salonu, stamtąd, mijając jadalnię, skręcił w prawo do kuchni.

Bobby i Annabelle podążali za nim. Bobby ze zdziwieniem rozglądał się dookoła. Bogato zdobione motywami kwiatowymi meble, szydełkowane serwetki i girlandy z liści eukaliptusa zawieszane nad sięgającymi samej ziemi bladofioletowych zasłonach.

Miał cichą nadzieję, że zaraz zza rogu wychyli się pani Scheupp, bo aż strach było pomyśleć, że taki wystrój jest dziełem faceta.

Kuchnię urządzono w stylu wiejskim, z dębowymi szafkami i masywnym owalnym stołem z drewna orzechowego. Na tacy oprócz soli i cukru leżał cały asortyment różnych leków. Schuepp pomajstrował chwilę przy ekspresie do kawy, po chwili jednak otworzył kredens i pobrzękując szkłem, wyjął butelkę Chivas Regal.

— Kawa będzie smakować jak pomyje — ostrzegł gości. — Moja żona odeszła w zeszłym roku. Ona to umiała parzyć kawę, i to nie używając ekspresu - dodał, stawiając butelkę Chivas na środku stołu. — Polecam więc szkocką.

Annabelle wpatrywała się w Schueppa szeroko otwartymi oczami. Mężczyzna wyjął trzy szklanki- Kiedy Bobby i Annabelle odmówili, wzruszył ramionami, nalał sobie szkockiej na dwa palce i wychylił ją. Natychmiast wstrząsnął nim tak gwałtowny kaszel, że Bobby miał przez chwilę wizje, w której przesłuchiwany przez niego świadek pada trupem, nie zdążywszy odpowiedzieć na żadne pytanie. Profesor matematyki po kilku uderzeniach w klatkę piersiową doszedł w końcu do siebie.

- Rzadko piję - rzekł. - Ale przy takiej okazji nie mogłem sobie odmówić.

- Czy wie pan, dlaczego tu jesteśmy? - spytała cicho Annabelle.

- Pozwól, że zapytam cię o jedno, młoda damo. Kiedy zmarł twój ojciec?

- Prawie dziesięć lat temu.

- Tak długo żył? Pogratulować. Gdzie zmarł?

- Właściwie to wróciliśmy do Bostonu.

- Naprawdę? Hmmm, ciekawe. Wybacz pytanie, ale w jaki sposób zmarł?

- Potrąciła go taksówka, kiedy chciał przejść przez ulicę. Schuepp zmarszczył białe krzaczaste brwi, kiwając głową.

- A twoja matka?

Annabelle zawahała się.

- Osiemnaście lat temu w Kansas City. - Jak?

- Przedawkowała. Alkohol w połączeniu ze środkami przeciwbólowymi. Już wcześniej miała problemy z alkoholem. Znalazłam ją w domu po powrocie ze szkoły.

Bobby spojrział na nią z wyrzutem. Jemu nigdy nie wyjawiała tych szczegółów.

- W terminologii wojskowej nazywają to stratami ubocznymi — rzeczowym tonem podsumował Schuepp. - Wcale mnie to nie dziwi, proszę, siadajcie — gestem zaprosił ich do stołu. — Kawa zaparzona, choć w dalszym ciągu nalegam na szkocką. Wrócił do kuchni, a po chwili pojawił się, niosąc tacę z dzbankiem, filiżankami i śmietanką. Bobby bez słowa wziął od niego tacę, która w dłoniach wątłego staruszka zdawała się ważyć tony. Schuepp uśmiechnął się z wdzięcznością.

Usiedli przy stole, Bobby wciąż zamysłony, Annabelle bledsza z każdą minutą.

— Znał pan mojego ojca — zaczęła.

— Miałem zaszczyt kierować zakładem matematyki przez ponad dwadzieścia lat. Twój ojciec pracował z nami przez pięć. Może to niezbyt długo, ale wniósł spory wkład w pracę instytutu. Zajmował się matematyką stosowaną. Miał doskonały kontakt ze studentami i ponadprzeciętne zdolności strategiczne. Zawsze mu powtarzałem, że powinien rzucić szkolnictwo i pracować dla Departamentu Obrony.

— Był pan jego przełożonym?

— Zatrudniłem go na podstawie doskonałych referencji, które otrzymał od mojego przyjaciela, doktora Gregoryego Badingtona z Uniwersytetu Pensylwanii. To był jedyny sposób, zważając na okoliczności.

— Chwileczkę - Bobby kojarzył to nazwisko. - Gregory Badington z Filadelfii?

- Zgadza się. Greg był dziekanem wydziału matematyki w Pensylwanii od siedemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego dziewiątego roku, tak mi się wydaje. Zmarł kilka lat temu, pękł mu tętniak. Żałuję, że ja nie miałem tyle szczęścia - dodał bez cienia sarkazmu.

- A więc Gregory Badington był dawnym szefem Russella Grangera — wolno powtórzył Bobby. — Załatwił Grangerowi pracę u pana i jednocześnie pozwolił zamieszkać mu z rodziną w swoim domu w Arlington. Niby dlaczego miałyby to wszystko robić?

— Greg skończył Harvard - wyjaśnił Schuepp. - Wciąż jednak kochał Boston. Kiedy stało się oczywiste, że rodzina Grangerów musi opuścić Filadelfię, Gregory był zachwycony, że może pomóc — starszy pan zwrócił się do Annabelle, biorąc jej dłoń w swoje starcze palce. — Jak dużo ojciec ci powiedział, kochanie?

— Nic. Nie chciał mnie martwić, a potem było już za późno.

— Aż odkryli grób w Mattapan - dokończył za nią. - Słyszałem o tym w wiadomościach. Nawet się zastanawiałem, czy nie zadzwonić na policję, kiedy usłyszałem twoje nazwisko. Byłem prawie pewien, że to nie twoje zwłoki tam znaleziono. Stawiałem raczej na tę drugą dziewczynkę, tę, która mieszkała na twojej ulicy.

— Dori Petracelli.

— Tak, na nią. Zniknęła kilka dni po waszym wyjeździe, co niemal wykończyło twojego ojca. Przy całym tym jego planowaniu nawet mu przez myśl nie przeszło, że sprawy mogą przybrać taki obrót. Musiał dźwigać ogromne brzemie. Nie dziwi mnie, że o niczym ci nie powiedział. Który z ojców chciałby, aby jego córka wiedziała, że ocalił jej życie, poświęcając jej najlepszą przyjaciółkę? To musiał być bolesny

wybór w tamtym bolesnym okresie.

— Panie Schuepp... — zaczęła Annabelle.

— Panie Schuepp - niemal jednocześnie odezwał się Bob-by, ściskając w dłoni pióro, gotów do zapisania każdego jednego słowa.

Pomarszczony staruszek uśmiechnął się.

— Coś mi mówi, że nie dojadę na tę konferencję... — stwierdził, podnosząc szklaneczkę whisky i upijając solidny łyk.

Zaczął swoją historię od samego początku.

-TWÓJ OJCIEC, ROGER GRAYSON, bo tak się wtedy nazywał, stracił rodziców w wieku dwunastu lat. Nie lubił o tym mówić. Szczegóły znam nie od niego, ale od Grega, do którego dotarły plotki krążące po wydziale. Obawiam się, że sprawa dotyczyła przemocy w rodzinie. Russell, czy raczej Roger...

— Russell, proszę go nazywać Russell - poprosiła Annabelle - Dla mnie był on Russellem. — Bezgłośnie poruszyła ustami, jakby próbowała powiedzieć „Roger Grayson”. „Roger, proszę,

nie jedź...” - zmarszczyła brwi, skrzywiła się odrobinę i powtó-rzyła już bardziej stanowczo: — Russell.

- Niech będzie Russell. Tak więc matka Russella chciała zostawić ojca Russella. Ojciec nie przyjął tej wiadomości zbyt dobrze, wrócił pewnego dnia do domu z bronią i zastrzelił siebie i małżonkę. Russell był w domu tamtej nocy. Jego młodszy brat również.

— Brat? — krzyknęła Annabelle zupełnie oszołomiona. Dłoń Bobby ego znieruchomiła, pióro zawisło nad kartką.

— Było dwóch Greysonów?

Przypomniał sobie twarz ze szkicu Grangera i nagle wszystko stało się jasne.

Schuepp skinął głową.

— Brat. Masz wujka, moja droga, choć zapewne nigdy o nim nie słyszałaś.

- Nie, nie słyszałam.

- Tak chciał twój ojciec. Miał swoje powody. Russell i jego brat, Tommy, mieli szczęście, że po strzelaninie umieszczono ich w Milton Hershey, szkole dla dzieci, które znalazły się w trudnych sytuacjach życiowych. Już wtedy obaj chłopcy świetnie się zapowiadali, tak więc dobra, rygorystyczna szkoła z internatem, usytuowana na odludziu, była tym, czego potrzebowali. Twój ojciec osiągał rewelacyjne wyniki, siedem lat młodszemu Tom-my'emu szło znacznie gorzej. Pojawiły się pierwsze symptomy zaburzeń psychicznych. Niekontrolowana agresja, impuizyw-ność. ADHD. Zespół zaburzeń więzi. Trochę się rym interesuję, pracowałem nad modelem statystycznym, który mogliby wykorzystać specjaliści badający małe dzieci. Ale to nie ma nic do rzeczy. Zorientowawszy się, że odbiega od tematu, szybko powrócił do straconego wątku.

— Twój ojciec ukończył szkołę i został przyjęty na uniwersytet w Pensylwanii. Był piekielnie zdolnym studentem i Gregory zapałał do niego ogromną sympatią. Pod jego skrzydłami Russell obronił tytuł magistra i zaczął poważnie myśleć o doktoracie. Tymczasem zakochał się w uroczej studentce pielęgniarstwa. Pobrali się, gdy był mniej więcej w połowie pracy nad doktoratem. Tommy skończył w tym czasie Hershey i nie mając się gdzie podziać, odnalazł twojego ojca. Ten z kolei, nie widząc innego wyjścia, pozwolił mu ze sobą zamieszkać. Dla kogoś, kto usilnie próbował pogodzić obowiązki młodego męża z wymagającą pracą na uczelni, nie była to komfortowa sytuacja, ale czego się nie robi dla rodziny. Tommy zaczął pracować w pobliskiej restauracji. Wieczorami stał na bramce, a za dnia pakował się

w kolejne tarapaty. Russell trzy razy wyciągał go z aresztu, gdzie trafiał za awantury, narkotyki i alkohol. Tommy zawsze zwał winę na kogoś innego.

W końcu pewnego dnia twoja matka wyznała ojcu, że się boi. Okazało się, że dwa razy przyłapała Tommy'ego, jak podglądał ją w sypialni, kiedy się przebierała, a raz, gdy brała prysznic, była niemal pewna, że wszedł jej do łazienki. Kiedy zawołała go po imieniu, wpadł w panikę i uciekł. Dla twojego ojca miarka się przebrała. On sam ciężko pracował, by coś w życiu osiągnąć, i Tommy mógł zrobić to samo. Tak więc Russell wyrzucił z domu młodszego brata, na szczęście, bo wkrótce okazało się, że twoja matka jest w ciąży. Tommy jednak nie zamierzał dać wam spokoju. Wpadał niezapowiedziany o różnych dziwnych porach. Czasem Russell był w domu. Zazwyczaj jednak twoja matka była sama. Leslie bądź Lucy, jak się wtedy nazywała...

Bobby zapisał pospiesznie imię, przyglądając się, jak wargi Annabelle układają się w kształt imienia Lucy. Lucy. Lucy Gray-son. Zaczął się zastanawiać, co czuje Annabelle, słysząc po raz pierwszy prawdziwe imię matki. Jego rozmyślenia szybko jednak przerwał Schuepp, który kontynuował swoją opowieść.

- Tak bardzo się bała, że nie zapalała w domu świateł i ściszała telewizor, żeby wyglądało na to, że nikogo nie ma. Ale gdy tylko wracała z pracy, po dziesięciu minutach pojawiał się Tommy. Leslie, twoja matka, utwierdzała się w przekonaniu, że musiał ją śledzić. Russell w końcu powiedział wprost swojemu bratu, że ma skończyć z tą błazenadą. Miał się już nie pojawiać w waszym domu, pod groźbą wezwania policji. Niedługo potem pod ich domem zaczęły się pojawiać martwe i okaleczone zwierzęta. Obdarte ze skóry koty.

Wiewiórki z odciętymi głowami. Russell był przekonany, że to sprawka Tommy'ego. Zgłosił to na policję, ale niewiele

mogli zrobić bez dowodów. Russell zainstalował alarm antywłamaniowy, zamontował w drzwiach dodatkowe zasuwę, a przed drzwiami frontowymi światło z czujnikami ruchu. Leslie zgodziła się nie wracać samotnie z pracy. Odtąd Russell towarzyszył jej dzień w dzień. Gregory pamięta, jak któregoś dnia zastał Russella siedzącego w swoim biurze z nieobecny wzrokiem utkwionym w martwym punkcie. Kiedy Gregory zapukał cicho w drzwi, twój ojciec powiedział: „On ją zabije. Mój ojciec zabił matkę, a Tommy zrobi to samo z moją żoną”. Gregory nie wiedział, co powiedzieć. Czas płynął dalej, aż nadszedł czas porodu. Tommy zniknął z widoku, Russell nie wiedział, co się z nim działo, i miał to głęboko gdzieś.

Pokochał rolę ojca. Cieszyła go każda, nawet najbardziej błaha rzecz. Twoi rodzice wreszcie się zaadaptowali w nowym środowisku, a ich życie zaczęło przypominać miesiąc miodowy, którego wcześniej nie mieli. Dopóki...

- Nie wrócił Tommy — dokończyła Annabelle.

- Miałaś wtedy półtora roku - dodał Schuepp. - Później Russell dowiedział się, że Tommy cały ten czas przesiedział w więzieniu za napad. Kiedy tylko go wypuścili, powrócił, by dokończyć to, co zaczął. Tylko że nie chodziło mu już o Leslie. Chciał ciebie.

Po raz pierwszy spotkali go na spacerze. Wracali właśnie z parku, ty siedziałaś w wózku spacerowym. Był środek dnia. Tommy, gdy tylko ich ujrzał, przeszedł przez ulicę i zagroził im drogę. „Co słysząc? Miło was widzieć, czy to jest moja bratanica? Jaka urocza”.

Chwycił cię, nim Russell zdążył w jakikolwiek sposób zareagować. Zaczął cię tulić i mówić do ciebie pieszczotliwym głosem. Russell próbował cię zabrać, ale Tommy odskoczył. Russell twierdził, że oczy jego brata nienaturalnie błyszcząły. Sam był przerażony. Nie wiedział, czy szaleniec zamierza cię

pocałować, czy wrzucić pod nadjeżdżający samochód. Russell udawał miłego, Leslie również. W końcu Tommy cię oddał. Wsadzili cię z powrotem do wózka i poszli dalej, jak gdyby nigdy nic, choć oboje byli do głębi wstrząśnięci tym, co się przed chwilą wydarzyło. Nazajutrz Russell zmienił zamki i zapłacił za system antywłamaniowy w całym budynku. Poszedł też na policję, która sprawdziła Tommy'ego, odkrywając jego kryminalną przeszłość. Jednak nic więcej nie mogli zrobić. To nie zbrodnia spotkać się z bratanicą. Odnotowali zgłoszenie, przyjęli do wiadomości obawy Russella. Russell wyszedł z posterunku bardziej przerażony, niż gdy tam wchodził. W końcu zaczął z Gregiem rozmawiać o bezpłatnym urlopie. Nie chciał ani na godzinę zostawiać Leslie samej z dzieckiem. Greg odwiódł go od tego pomysłu. Russell właśnie zdobył tytuł doktora i taka przerwa byłaby dla jego kariery bardzo niekorzystna. Poza tym twoja matka już wtedy nie pracowała, a ktoś musiał zarobić na utrzymanie rodziny. Tak więc Russell zgodził się pracować dalej, a Leslie poprosiła o pomoc swoich rodziców. Całej trójce miało być różniej.

— O nie — wyszeptała Annabelle. Ręką zasłoniła usta. Bobby podążył jej tropem myślenia. Powiedziano jej, że dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym, coś mu jednak podpowiadało, że prawda okaże się bardziej makabryczna.

Schuepp ze smutkiem skinął głową.

- O tak. Rodzice twojej matki przyjechali i zabrali cię na spacer, z którego nigdy nie wrócili. Znalazł ich policjant na służbie. Siedzieli na ławce w parku, jedno obok drugiego. Zabici strzałem z broni małego kalibru prosto w serce. Ty dreptałaś wokół nich, ściskając w rękach nowiuśkiego misia, do którego doczepiona była karteczka „Z wyrazami miłości. Wujek Tommy”.

Policja od razu go przesłuchała, ale on wszystkiemu zaprzeczył. Twierdził, że spotkał twoich dziadków w parku, porozmawiali sobie chwilę, dał ci misia i kiedy odchodził, wszystko było w jak najlepszym porządku. Policja przeszukała jego mieszkanie, ale niczego nie znaleźli. Bez broni, świadków i bez jakichkolwiek innych dowodów policja miała związane ręce. Poradzili Russelowi, by postarał się o zakaz zbliżania się do jego rodziny. On odpowiedział im jedynie, że jego matce też udało się taki uzyskać. Tamtego popołudnia przyszedł do gabinetu Grega i oświadczył mu, że podjął decyzję. On i jego rodzina muszą zniknąć. Tylko w tym widział szansę zapewnienia bliskim bezpieczeństwa. Greg znów próbował przemówić mu do rozsądku. Co on i Leslie wiedzieli o ukrywaniu się? Jak zamierzali zdobyć nowe nazwiska, papiery, prace? To wszystko wyglądało prosto tylko na filmach. Ale Russell był nieugięty. Kiedy patrzył na swojego brata, widział ojca. Już wystarczająco dużo stracił przez szaleńczą wściekłość tego drugiego. Nie zamierzał stracić nic więcej. Im dłużej mówił, tym bardziej przekonywał Grega do swojego pomysłu. To w końcu Greg zaproponował, żeby wprowadzili się z Leslie do jego domu w Arlington. Ja załatwiłem twojemu ojcu pracę na uniwersytecie. Do rejestru pracowników musiałem oczywiście wprowadzić jego prawdziwe nazwisko, Roger Grayson, ale do wszystkich pozostałych celów został Russellem Grangerem, mężem Leslie Ann Granger i ojcem uroczej Annabelle Granger. Jedynie na czekach i wykazach wypłat figurowało inne nazwisko. Byliśmy tacy dumni ze swojego sprytu, ale ten nie wystarczył.

- Tommy ich znalazł - bezbarwnym głosem stwierdził Bobby. Annabelle się nie odzywała. Siedziała oszołomiona, niezdolna wydobyć z siebie głosu.

- Tak przynajmniej twierdził Russell. Zaraz po przepro-

wadźce do Arlington, w wiadomościach mówili o sprawie porwanej dziewczynki, która mogłaby być twoją starszą siostrą, Annabelle. Russella to zaniepokoiło. Bał się, że Tommy jest w pobliżu i szuka ciebie.

— Sprawa Catherine — wtrącił Bobby. — Ale za to był odpowiedzialny ktoś inny. Facet nazywał się Richard Umbrio. Ale rozumiem, że podobieństwo między dziewczynkami musiało Russella wystraszyć i sprawić, że zaczął podejrzewać najgorsze - zerknął na Annabelle — i nie wahał się nawet udawać agenta federalnego, byle się dostać do szpitala i przesłuchać Catherine

— To Tommy jest na tym portrecie - szeptem dodała Annabelle — Mój ojciec naszkicował swojego brata, żeby sprawdzić, jak Catherine zareaguje.

— Prawdopodobnie

— Mówiłam ci, że musi być jakieś logiczne wytłumaczenie

— zmusiła się do słabego uśmiechu, ale jej twarz pozostała blada jak kreda.

— Umbrio, Umbrio — powtarzał Schuepp. - Zgadza się. Policja w końcu aresztowała tego tłustego bydlaka i postawiono mu zarzuty. Teraz sobie przypominam. Ale to nie uspiło czujności Russella. Zaczął trenować karate, czytał tony literatury o porywaczach. Nawet sobie nie potrafię wyobrazić, co czuł, najpierw tracąc obojga rodziców w tak młodym wieku, a potem widząc po latach, że cały koszmar zdaje się powracać. Wiem, że obwiniał się o wszystko, przez co musiała przejść twoja matka. Przyglądałem się im czasem na różnych imprezach, twój ojciec był zawsze nad podziw uważny i na przekór wszystkiemu pogodny. Jakby to od tej pogody ducha zależało, czy wszystko się w końcu ułoży. Twoja matka cię kochała, Annabelle - dodał ciszej. - Kiedy trzeba było, nie wahała się ani przez moment. Russell przyszedł do mojego biura w połowie października i powiedział,

że Tommy wrócił. Znow cię prześladował, zostawiając podarki przed domem. Twój ojciec całą winę brał na siebie. Upierał się, że nie był wystarczająco ostrożny. Przecież można było namierzyć przelewy bankowe, dane z urzędu skarbowego. To tylko kwestia czasu. Tym razem kupił więc dla was nową tożsamość, zmienił samochód, zostawiając całą resztę. Szybko i bez bólu.

Nawet mnie nie powiedział, dokąd się wybieracie. Pamiętam, że gdy wyjechał, często się zastanawiałem, czy mu się uda, czy może usłyszę o finale tej historii w wieczornych wiadomościach. Przez dwa tygodnie nic się nie działo. Potem jednak zniknęła twoja przyjaciółka. Gdy tylko usłyszałem, gdzie mieszkała, wiedziałem, kto za tym stoi. Twój ojciec zawsze mówił, że Tommy nie umiał godzić się z porażkami.

— Czy mój ojciec wiedział o Dori? — dopytywała się zniecierpliwiona Anabelle. — Rozmawiał z panem o tym?

— Zadzwoił trzy dni później - odpowiedział Schuepp —

Mówił, że usłyszał o wszystkim w wiadomościach. Nie wiedział, co robić. Z jednej strony, był pewien, że to Tommy. Z drugiej strony, gdyby wrócił porozmawiać z policją...

— Tommy mógłby go znow namierzyć - dokończył Bob-by. - A pan? Poszedł pan na policję?

— Złożyłem anonimowe doniesienie, dzwoniąc na gorącą linię. To wystarczyło, by uspokoić moje sumienie, poczułem się lepiej, ale...

- Nie wystarczyło, by pomóc Dori Petracelli. - Bobby spojrzał na niego z wyrzutem. - Był pan w posiadaniu niezwykle cennej informacji. Gdyby pan wtedy poszedł na policję...

- Policja zaczęłaby szukać Russella i Leslie - odparł staruszek.

- Ściągnęliby ich z powrotem do Massachussets, podali Tommy'emu na tacy. Córka Petracellich i tak pewnie już nie żyła. Skupiłem się więc na tych, których życie można było jeszcze uratować. Na twoim życiu, Annabelle.

Bobby otworzył usta, ale Annabelle go ubiegła:

— Niech pan to wytłumaczy państwu Petracelli. Oni też byli rodzicami i zasłużyli na coś więcej niż spisanie ich córki na straty po to, by sąsiedzi mogli spokojnie dalej żyć.

Schuepp nalał kolejną szklanę szkockiej i podał Annabelle. Odmówiła, zbierając się w sobie. Na twarzy pojawił się ten sam stanowczy wyraz twarzy, który Bobby zdążył już poznać.

— Ostatnie pytanie, panie Schuepp. Może mi pan podać moje prawdziwe imię?

ROZDZIAŁ 33

NAZYWAM SIĘ AMY MARIE GRAYSON. Amy Marie Grayson.

Wbita w siedzenie pasażera crown victorii Bobby ego, ścisnęłam w dłoni fiolkę z prochami rodziców, powtarzając te trzy wyrazy raz po raz w nadziei, że za chwilę wymówienie własnego imienia i nazwiska przyjdzie mi zupełnie naturalnie. Byliśmy już z powrotem na drodze nr 2. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale nie miało dla mnie w tej chwili większego znaczenia.

Amy. Marie, Grayson. Wciąż brzmiało to obco w moich ustach.

Przez całe "życie" byliśmy we dwie: Annabelle Granger i dziewczynka, której imię i nazwisko zmieniały się w zależności od miejsca. Teraz, zgodnie z tym, co powiedział pan Schuepp, powinnyśmy być trzy: Amy Grayson, Annabelle Granger i...

Te rozmyślenia jeszcze bardziej męciły mi w głowie. Przytuliłam policzek do zimnej szyby i przypomniałam sobie zadowolony wyraz twarzy ojca tamtego dnia w Giacomos, gdy świętowaliśmy moje dwudzieste pierwsze urodziny.

Moj ojciec wygrał. Wtedy tego nie rozumiałam, bo niepozwolił mi brać udziału w wojnie, którą prowadził. Ale tamten wieczór moich urodzin musiał mieć dla niego smak zwycięstwa.

Stracił matkę. Stracił żonę. Zapłacił ogromną cenę, ale przynajmniej udało mu się uratować córkę.

Na myśl o tym, że moje życie było dla ojca zwycięstwem, poczułam ogromny wstyd, do oczu napłynęły mi łzy.

Poświęcił dla mnie karierę. Poświęcił sąsiedzkie przyjaźnie,

dom, samego siebie, wreszcie poświęcił żonę.

Pamiętam, że ojciec bywał zamknięty w sobie, nieustępliwy, surowy i agresywny, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był zgorzkniały czy złośliwy. I choć jego paranoja doprowadzała mnie do szaleństwa, miał przecież konkretne powody, by właśnie tak reagować.

Teraz, gdy znałam już całą prawdę, jedyne czego naprawdę pragnęłam, to cofnąć się w czasie, by go przeprosić, przytulić, zapewnić, że wreszcie wszystko rozumiem. Chociaż wiem, że wcale tego ode mnie nie oczekiwał. On chciał widzieć we mnie wojownika; nasze małe wojny, które bezustannie toczyliśmy, miały mnie zahartować, a jemu zapewnić rozrywkę w postaci dobrego pojedynku.

Amy Marie Grayson. Amy Marie.

I nagle z zakamarków pamięci dobiegł mnie głos matki i pieszczotliwe słowa, między które wplatała niby przypadkiem słowa łądząco podobne brzmieniem do imienia Amy.

Płakałam. Nie byłam w stanie powstrzymać łez. Ogrom tego, co zrobili dla mnie rodzice, spadł na mnie zupełnie niespodziewanie. Poświęcenie matki. Niepowetowana strata ojca. Zanosłam się płaczem, zupełnie nie zwracając uwagi na obecność Bobbyego i na jego rękę na moim ramieniu.

Samochód nagle zwolnił, zatrzymał się. Usłyszałam dźwięk odpinanych pasów. Bobby przyciągnął mnie do siebie i posadził na swoich kolanach. Nie zważając na wbijającą się boleśnie w plecy kierownicę, przywarłam do niego niczym bezbronne dziecko, chowając twarz w jego ramionach. I płakałam z wściekłości, że rodzice poświęcili wszystko, by mnie ratować, a ja całe życie miałam im to za złe.

— Ciii — powtarzał Bobby.

— Dori zginęła przeze mnie.

- Ciii.

- I moja matka, i mój ojciec. I pięć pozostałych dziewczynek. Tylko dlatego, żebym ja mogła żyć? Cóż jest we mnie takiego cholernie wyjątkowego? Właśnie wyleciałam z pracy, a jedynym moim przyjacielem jest pies.

Jak na zawołanie, z tylnego siedzenia dobiegł nas psi skowyt. Zupełnie zapomniałam o Belli, ta zaś, usłyszawszy swoje imię, rzuciła się w naszą stronę, próbując się precyzyjnie między siedzeniami. Poczułam ciężar jej łap na nogach. Bobby, nie zważając na psa, szeptał mi do ucha kolejne słowa pociechy. Czułam kojącą siłę jego ramion, napięte do granic możliwości mięśnie i potężne zawroty głowy.

Tylko Bobby wydawał się prawdziwy na tle ostatnich wydarzeń, na tle całego mojego poukładanego świata, który został przed chwilą bezlitośnie zburzony. Dziękowałam Bogu, że znajdujemy się w zaparkowanym na poboczu samochodzie, bo w przeciwnym razie rzuciłabym się na niego. Zerwałabym z niego ubranie, kawałek po kawałku, by móc dotknąć jego skóry, pieścić delikatnie językiem jego brzuch, czuć na jego ramionach słony smak własnych łez. Tak desperacko pragnęłam uciec od własnych myśli, dać się ponieść tej pełnej napięcia chwili, poczuć, że żyję.

Amy Marie Grayson. Amy. Marie. Grayson.

Och Dori, tak mi przykro. Och, Dori.

Poczułam na ustach pocałunek Bobby'ego. Uniósł delikatnie mój podbródek i przykrył usta swoimi w geście pełnym tak ogromnej czułości, że na nowo wybuchłam płaczem.

Chwyciłam jego dłoń i przycisnęłam do swojej piersi. Mocno i zdecydowanie, tak by ukryć swoją bezbronność i zagubienie.

Amy Marie Grayson. Która przez wujka straciła najbliższą rodzinę.

Którą wujek odnalazł po latach zeszłej nocy.

Odsunęłam się od Bobby'ego, uderzając łokciem o kie-

rownice. Bella znow zaskamlała. Wróciłam na swoje siedzenie i przytuliłam do siebie psa.

Bobby nie próbował mnie zatrzymać. Nie odezwał się ani słowem. Słyszałam jedynie jego ciężki oddech.

Zacięłam wycierać mokre od łez policzki. Bella z radością zaoferowała swą pomoc, liżąc mnie radośnie.

- Muszę wracać do pracy — rzuciłam szorstko. Bobby popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- A konkretnie do jakiej?

- Mam do skończenia projekt. Dla klientki z Back Bay. Będzie się zastanawiać, czemu się nie odzywam.

Bobby wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Annabelle... Amy?... Annabelle.

- Annabelle. Wolę... przywykłam do... Annabelle.

- Annabelle, musisz sobie znaleźć nowe mieszkanie.

- Dlaczego? Spojrzał groźnie.

- Choćby dlatego, że jakiś szaleniec zna twój adres.

- Ten szaleniec nie jest już pierwszej młodości, a ja nie jestem łatwym przeciwnikiem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Nie jesteś moim ojcem.

- Hej, nie przesadzasz trochę? Pomijając moje osobiste zaangażowanie - zerknął wymownie na wyrzuczone w okolicach rozporka spodnie - jestem w końcu detektywem. Mam doświadczenie w takich sprawach. Jeśli prześladowcy uda się namierzyć dom ofiary, nie wróży to nic dobrego. Ten Tommy, czy jakkolwiek się teraz nazywa, musiał się dowiedzieć, że wciąż żyjesz i że mieszkasz teraz na North End. Wciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin udało mu się włamać do domu funkcjonariuszki policji, zorganizować przedstawienie z czterema psami w rolach głównych i dostarczyć kolejny dowód przywiązania pod twoje drzwi. Krótko mówiąc, nie warto z nim zadzierać. Daj nam dzień

czy dwa. Przenieś się do hotelu, nie rzucaj się w oczy. Nie mówię, że masz uciekać z podkulonym ogonem, po prostu niepotrzebnie nie ryzykuj.

— Do hotelu nie wpuszczą psa - upierałam się, tuląc się do Belli.

— Na miłość boską... Są hotele, które pozwalają gościom trzymać zwierzęta. Poszukam takiego.

— Tylko że ja muszę pracować. Z czegoś trzeba zapłacić rachunki.

— To weź maszynę do szycia ze sobą.

— Potrzebne mi też materiały, komputer, projekty.

— Pomogę ci to wszystko spakować.

Spojrzałam na niego spode łba, wtuliłam głowę w sierść Belli i szeptem odpowiedziałam:

— Chcę, żeby już było po wszystkim. Jego spojrzenie złagodniało.

— Wiem.

— Nie chcę być Amy — wyszeptałam. — Wystarczająco trudno być Annabelle.

Bobby odwiózł mnie do mieszkania. Gdy wysiadłam z samochodu, dobiegł mnie dźwięk klaksonu. Bella zaczęła szczekać. Odwróciłam się.

Drogą przejeżdżał właśnie olbrzymią ciężarówką UPS Ben, mój osobisty ochroniarz. Zwolnił, upewniając się, czy wszystko w porządku ze mną i Bella. Podniosłam oba kciuki w górę i po chwili, uspokojony, odjechał.

- Widzisz - odezwałam się do Bobby ego - skoro mam całodobową ochronę UPS, po co mi policja?

Bobby nie widział w tym nic śmiesznego.

Odprowadził nas na górę. Ktoś, może technicy, może któryś z detektywów, napracował się, żeby poodkładać wszystko na swoje miejsca. Mieszkanie, choć nosiło ślady ingerencji, wyglądało po staremu.

- Daj mi godzinę - odezwał się Bobby - najwyżej dwie. Muszę sprawdzić kilka tropów, wyprostować kilka spraw.

- Musisz odnaleźć Tommy'ego - odparłam. - I powiedz D.D., że może już sobie dać spokój z oczernianiem mojego biednego nieżyjącego ojca.

Bobby zacisnął zęby, powstrzymując się od komentarza.

- Dam ci sygnał, jak będę dojeżdżał.

- Tak jest, szefie.

- Spakuj na wszelki wypadek rzeczy na tydzień. Jeśli czegoś zapomnisz, w każdej chwili mogę tu wpaść, żeby to zabrać.

- Naprawdę? A może mój ulubiony czarny koronkowy biu-
stonosz? Albo absolutnie niezbędne krwistoczerwone stringi?

W jego oczach pojawił się niebezpieczny ogień.

- Słonko, chętnie bym pobuszował w twojej szufladzie z bielizną, miej jednak na uwadze możliwość, że to innemu policjantowi może przypaść to zadanie.

- Och — wzruszyłam ramionami. — W takim razie, sama jednak spakuję swoją bieliznę.

- Weź wszystko, co chcesz, Annabelle. Możemy zapakować cały samochód.

— To nie będzie konieczne. Mam wprawę w podróżowaniu z niewielkim bagażem.

Ta próba rozbawienia go również nie przyniosła skutku.

Podszedł i zanim zdążyłam zaprotestować, mocno mnie pocałował.

- Dwie godziny - przypomniał. - Nie dłużej.

Potem wyszedł. Bella niczym szczeniak zawodziła pod drzwiami. A ja zastanawiałam się, jak to możliwe, że dorosła kobieta czuje się tak bezbronna w swoim własnym domu.

BOBBY ZACZAŁ DZWONIĆ, gdy tylko doszedł do samochodu. Miał już nazwiska, teraz potrzebował informacji.

Zaczął od D.D., ale odezwała się poczta głosowa. U Sinkusa również.

Walczył przez chwilę ze sobą, w końcu podjął decyzję. Bostońska policja miała swoje procedury, a on potrzebował tych informacji szybko. A niech to, pracował w końcu w policji stanowej. Zadzwoił do jednego ze starych kumpli i wprawił w ruch tryby federalnej maszyny.

Potrzebował każdej informacji dotyczącej a) Tommy ego Graysona, b) Rogera Graysona, c) Lucy Grayson - w pierwszej kolejności, a potem Gregory'ego Badingtona, Paula Scheuppa i Waltera Petracelli. To musiało trochę potrwać. Jeśli Scheupp mówił prawdę, osobą prześladowaną Anna-belle musiał być jej wujek, Tommy Grayson. I to on, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zamordował Dori Petracelli, a następnie ukrył jej zwłoki w Mattapan. To zaś oznaczało, że Tommy Grayson przeniósł się z Pensylwanii do Massachussets.

I co dalej?

Tommy wiedział, że rodzina Annabelle wyjechała. Jeśli przeniósł się za nimi z Filadelfii do Arlington, dlaczego miałby nie pojechać za nimi dalej? W przeciwieństwie do Christophera Eoli, Tommy nie miał nieograniczonych funduszy. A to znaczyło, że jeśli chciał dalej ich prześladować, musiał to sobie jakoś logistycznie zaplanować, zdobyć pieniądze na transport, na czynsz, szukać co kilka miesięcy nowej pracy. Zapewne była to praca fizyczna, która nie wymagała specjalnych kwalifikacji. Schuepp wspominał, że w Filadelfii Tommy pracował jako bramkarz. To byłaby idealna praca dla kogoś, kto ciągle się przeprowadza. Należało przesłać rysopis Tommy ego do wszystkich organów ścigania i polecić, by dostarczyli go do okolicznych knajp. Może uda się dzięki temu odtworzyć trasę jego podróży.

Tylko w jaki sposób udawało mu się namierzać rodzinę

Annabelle? Schuepp twierdził, że ojciec Annabelle był sprytny. Wyciągał wnioski z własnych pomyłek. Zapobiegawczo przeprowadzał rodzinę przynajmniej co dwa lata, czasami co półtora roku.

Zbyt impulsywne działanie Grangera? Gdy tylko usłyszał w wiadomościach o zaginięciu dziecka, wpadał w panikę i szykował się drogi. A może to Tommy był tak błyskotliwy? Bobby chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Tommym. I o ojcu Annabelle.

Wszystkie dobre miejsca parkingowe pod komendą policji były oczywiście zajęte. Bobby objechał budynek cztery razy, zanim jeden z samochodów odjechał, zwalniając miejsce. Wciąż zamysłony, zamknął auto i ruszył w stronę budynku. Pierwszą rzeczą, którą zauważył po wejściu do wydziału zabójstw, była niesamowita cisza. Recepcjonistka, Gretchen, wpatrywała się tępo w ekran komputera. Funkcjonariusze pochłonięci papierami na swoich biurkach wyglądali na przygaszonych.

Gretchen podniosła wzrok dopiero, gdy zastukał palcami w blat stołu.

- O co chodzi? - spytał cicho.

- Mama Tony'ego Rocka - również szeptem odpowiedziała recepcjonistka.

-O Jezu.

- Dzwonił jakieś pół godziny temu. Nie jest z nim najlepiej. Sierżant Warren próbuje się od tamtej pory do niego dozwonić, ale nie odbiera telefonu.

- O nie.

- Pewnie potrzebuje trochę czasu.

- Jasne. Makabra. Jak będziesz już miała jakąś informację o pogrzebie...

- Zawiadomię wszystkich — obiecała Gretchen.

Bobby podziękował i skierował się od razu do gabinetu D.D.

Rozmawiała przez telefon, kiedy pojawił się w drzwiach, ale gestem poleciła mu wejść. Oparł się o framugę i czekał, przysłuchując się, jak D.D. odpowiada głównie „Tak, hmmm, rozumiem”. Musiała rozmawiać z przełożonymi.

Bobby oparł się mocniej o drzwi. Nagle poczuł ogromne zmęczenie. Zasadzka w lesie, D.D. powalona na ziemię przez gigantycznego rottweilera, niepokój o nią, telefon do Annabelle, jej przerażony głos w słuchawce. Kolejny szalony pęd przez miasto, obawa przed tym, co zostanie na miejscu, strach, że przybędzie za późno.

Czyż nie tak musiał się czuć w którymś momencie ojciec Annabelle? Jakby życie wymykało mu się spod kontroli? Tak jakby widział nadjeżdżający pociąg, ale nie umiał zejść z torów.

Boże, potrzebował porządnej drzemki.

D.D. w końcu odłożyła słuchawkę.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale mama Rocka...

- Słyszałem.

- Nie będzie go przez kilka dni, oczywiście.

- Jasna sprawa. - A to znaczy...

- Hej, nie mam nic przeciw ciężkiej pracy. Kształtuje charakter.

- Więc...

- Więc Russell Granger naprawdę nazywał się Roger Grayson. Kiedy mieszkali jeszcze w Filadelfii on, jego żona, Lucille przez obłąkanego brata Russella, Tommy'ego Graysona.

Roger był przekonany, że Tommy posunął się nawet do zamordowania rodziców Lucy, kiedy ci byli z małą Annabelle na spacerze w parku. Krótco po tym Roger załatwił wszystkie formalności i zamieszkał wraz z rodziną pod przybranym nazwiskiem Gran-ger w Arlington. Niestety nie wiedział, jak zdobyć fałszywe dokumenty, więc na wszystkich transakcjach finansowych widniało jego prawdziwe

nazwisko. Paul Schuepp, dziekan wydziału matematyki na MIT twierdzi, że w osiemdziesiątym drugim roku Roger doszedł do wniosku, że Tommy ich znów odnalazł. Wtedy właśnie po raz kolejny wyjechał z rodziną, tym razem jednak zadbał o wszystkie szczegóły.

- Ożeż kurwa.

- Kumpel sprawdza mi właśnie prawdziwe nazwiska Rogera, Lucille, Tommyego i jeszcze kilka innych. Tommy ma kartotekę policyjną, więc powinien być w systemie. Pytanie za milion dolarów: czy kiedy Tomy zdał sobie sprawę, że rodzina Annabelle znów mu się wymknęła, został w Massachussets, czy ruszył w pościg? No i gdzie jest teraz? D.D. potarła skronie.

- Głównym podejrzanym jest teraz Tommy Grayson?

- Tak, przykro mi cię rozczarować, ale ojciec Annabelle chyba naprawdę nie żyje.

— Ale całe to udawanie agenta federalnego?

— Russell zauważył to samo co my. Ze Catherine jest niesamowicie podobna do Annabelle. Wystraszył się, że atak na Catherine to sprawa Tommy ego. A ponieważ starał się nie rzucać w oczy, nie poszedł na policję, tylko wziął sprawy w swoje ręce.

- A Christopher Eola?

— Pewnie też skończył jako morderca, tyłe że nie jego obecnie szukamy.

- Charlie Marvin?

- Najzwyklejszy w świecie emerytowany pastor, który pracuje w noclegowni przy Pine Street. Według zeznań świadków, tam właśnie spędził zeszłą noc.

- Adam Schmidt?

- Pojęcia nie mam. Musiałabyś zapytać Sinkusa.

- Szukał cię. Spędził popołudnie w towarzystwie Jill Cochran ze szpitala psychiatrycznego. Musicie się ze sobą zga-

dać.

Bobby patrzył na nią wyczekująco.

- I to wszystko? Odkryłem prawdziwą tożsamość ojca Annabelle, dokonałem przełomu w śledztwie, a ty się mnie czepiasz tylko dlatego, że jeszcze nie złożyłem sprawozdania koledze detektywowi?

- Nie czepiam się - odcięła się. - Ale przy całym twoim sprycie, wciąż nie wiemy najważniejszego.

- Czyli?

- Gdzie, do diabła, jest Tommy Grayson i co robi oprócz tego, że krąży wokół mieszkania Annabelle i podrzuca jej prezenty?

- Następnym razem podam ci podejrzanego na srebrnej tacy.

- Ja zakładam - ciągnęła, udając, że nie słyszała jego odpowiedzi - że skoro rodzina Grayson przybrała nowe nazwiska, Tommy zapewne zrobił to samo. Jeśli więc chcemy go znaleźć, nim będzie za późno, musimy skupić się na pozostałych elementach układanki.

- To znaczy?

- Bostoński Szpital Psychiatryczny.

- No tak - odpowiedział zbity z tropu Bobby. Po chwili jednak dotarło do niego, o co chodzi D.D. - Dobra. Już wiem. Rozumiem. Wracamy do naszej pierwszej teorii: zabójcę coś musiało łączyć z tym miejscem, skoro czuł się na tyle swobodnie, by umieścić tam zwłoki sześciu osób. Skoro więc Grayson

- Który, jak sam powiedziałaś, nie jest końca normalny...

- Świr do potęgi.

- To zapewne stacjonował jakiś czas w szpitalu.

- I - Bobby bardzo chciał sam wydedukować resztę. - Coś więcej może wiedzieć Sinkus.

- Będzie z ciebie detektyw - sucho skomentowała D.D. —

Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

- Próbuję znaleźć jakiś hotel dla Annabelle. D.D. zmarszczyła czoło.

- I tak się zastanawiam, choć jej jeszcze o tym nie mówi-łem, że moglibyśmy w jej mieszkaniu zastawić w tym czasie pułapkę.

D.D. wykrzywiła usta.

- Zbyt kosztowna akcja. Bobby wzruszył ramionami.

- To już twój problem, nie mój. Zresztą myślę, że nie potrwałoby to długo. Biorąc pod uwagę jego aktywność w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wygląda mi na to, że powoli kończy mu się cierpliwość.

- Przedstawię ten pomysł zastępcy komendanta.

- Jasne.

Zbierał się już do wyjścia, kiedy zatrzymała go jeszcze na chwilę.

- Nieźle - powiedziała cicho. - Nieźle.

ROZDZIAŁ 34

KIEDY MIAŁAM DWANAŚCIE LAT, zapadłam na paskudną infekcję wirusową. Pamiętam uczucie gorąca i nudności, a potem dopiero szpital, gdzie po sześciu dniach w końcu odzyskałam przytomność. Mama wyglądała, jakby przez te sześć dni ani na chwilę nie zmrużyła oka.

Byłam tak osłabiona, że nie miałam siły podnieść ręki ani nawet ogarnąć wzrokiem wszystkich rurek i kabli podpiętych do mojego ciała. Mama siedziała na krześle przy moim łóżku. Kiedy otwierałam oczy, rzuciła się w moją stronę.

- Dzięki ci, Boże.

- Mamusia? - od lat nie nazywałam jej w ten sposób. - Jestem tu, kochanie. Wszystko w porządku. Jestem przy tobie.

Pamiętam, że znów zamknęłam oczy. Czułam chłodne palce, którymi odgarniała opadające mi na spocone czoło włosy. Zasnęłam, ściskając jej drugą rękę w swojej dłoni. Wtedy naprawdę czułam się bezpieczna. Miałam przy sobie marne, a kiedy człowiek ma dwanaście lat, naiwnie wierzy, że rodzice zdołają obronić go przed wszelkim złem.

Dwa tygodnie później tata oznajmił, że wyjeżdżamy. Nawet ja wiedziałam, że tak to się skończy. Najlepsi specjaliści przez cały tydzień skakali wokół mojego szpitalnego łóżka. Osoby pragnące zachować anonimowość nie mogły sobie pozwolić na luksus bycia w centrum zainteresowania.

Sama spakowałam swoją walizkę. Nie zajęło mi to dużo czasu. Kilka par dżinsów, koszule, skarpetki, bielizna, jedna wizytowa sukienka. Spakowany kocyk. Spakowany Boomer. Nauczyłam się już rozstawać z całą resztą.

Tata wyjechał, żeby pozafatwiać wszelkie formalności — wy-

mówić wynajem, zatankować samochód, złożyć wypowiedzenie w kolejnej pracy. Pakowanie zawsze zostawiał mamie. Najwyraźniej zmieszczenie całego dobytku w pięciu walizkach uważał za typowo kobiece zajęcie. Niezliczoną ilość razy widziałam mamę podczas tego zajęcia. Nucąc pod nosem nieznane melodie, działała jak w transie. Otworzyć szufladę, złożyć, spakować. Otworzyć szufladę, złożyć, spakować. Gotowe.

Tamtego dnia zastałam ją w ciasnej sypialni. Siedziała na skraju łóżka i przyglądała się własnym dłoniom. Wczołgałam się na łóżko i usiadłam obok niej, ramię w ramię.

Mama polubiła Cleveland. Dwie starsze panie z dołu wzięły ją pod swoje skrzydła. W piątkowe wieczory grywała z nimi w karty, sącząc kanadyjską whisky Crown Royal. Nasze mieszkanie było małe, ale dużo przytulniejsze niż to w St. Louis. Żadnych karaluchów. Żadnego przeraźliwego pisku kół hamującego dwie przecznicie dalej pociągu.

Mama zaczęła pracować jako kasjerka na pół etatu w sklepie spożywczym. Rano przed pójściem do pracy odprowadzała mnie na szkolny autobus. Popołudniami spacerowałyśmy uliczkami, w cieniu drzew, zatrzymując się przy stawie, żeby nakarmić kaczki.

Mieszkaliśmy tu całe osiemnaście miesięcy. Przetrwaliśmy mroźną zimę. Mamie nie przeszkadzał rozmokły szary śnieg, twierdziła, że przypomina jej Nową Anglię.

Mysie, że mogłaby się zadomowić w Cleveland.

— Przepraszam - wyszeptałam, kiedy tak siedziałyśmy obok siebie na łóżku.

— Ciiii.

— Może gdybyśmy obie się postawiły.

— Ciii.

— Mamo.

— Wiesz, co robię w dni takie jak ten? — spytała.

Pokręciłam głową.

— Myślę o przyszłości.

— O Chicago? — spytałam zdziwiona, pamiętając, że ojciec wspominał, że tam właśnie się udamy.

— Nie, głuptasku. Mówiąc o przyszłości, wybiegam myślą jakieś dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, nawet czterdzieści lat w przód. Wyobrażam sobie, jak odbierasz dyplom. Planuję twoje wesele. Marzę, żeby utulić w ramionach wnuki.

Skrzywiłam się.

— Uch, żadnych wnuków.

— Ależ oczywiście, że będą wnuki.

- Nie, nigdy. Nie zamierzam wychodzić za męża. Uśmiechnęła się, zmierzwiła mi włosy, udając, że żadna z nas nie zauważyła jej trzęsących się dłoni.

- Wszystkie dwunastolatki tak mówią.

- Ale ja mówię poważnie. Żadnego męża, żadnych dzieci.

Dzieci oznaczają ciągłe przeprowadzki.

- Och, kochanie - powiedziała tylko smutnym głosem i mocno mnie przytuliła.

Myślę o niej, wychodząc z mieszkania, z Bella na smyczy. W ręku ściskam paralizator. Skradanie się w środku dnia schodami we własnym budynku może wyglądać na lekką paranoję, ale Bobby miał rację, mój dom przestał być bezpieczny. W filmach szpiegowskich powiedzieliby, że zostałam „zdemaskowana”. Lepiej więc pójść za radą Bobby'ego i zamieszkać na jakiś czas w hotelu.

Tak przynajmniej postąpiłby mój ojciec.

Ale to oznaczało, że muszę się spakować, a tu z kolei rodził się problem walizek, które trzymam w piwnicy.

Niejednokrotnie schodziłam po różne rzeczy do piwnicy i przekonywałam samą siebie, że dzisiejsza wyprawa niczym się nie różni od pozostałych.

Schody zaskrzypiały pod moim ciężarem. Zamarłam na

moment. Byłam właśnie na wysokości drugiego piętra, naprzeciw drzwi z numerem 3C. Wpatrywałam się w nie uporczywie, czekając na dalszy rozwój wypadków. Serce biło jak oszalałe. Po chwili wyczekiwania zgaśniałam w myślach samą siebie i zdołałam jakoś się pozbierać.

Znałam przecież lokatorów z mieszkania 3C. Młoda para z szarym pręgowanym kotem o imieniu Asthon, który prychał zza drzwi na Bellę. Pomijając kocią niechęć do mojego psa, nasze sąsiedzkie stosunki pozostawały bez zarzutu. Dlaczego miałabym nagle się ich bać? Z drugiej strony, niby czemu miałam się czuć bezpieczna? Bez żadnego namacalnego źródła własnego strachu, najłatwiej było wypatrywać każdego cienia, który mógłby przybrać kształty wujka Tommy'ego.

Doszłam do pierwszego piętra i w końcu na parter. Najgorzej było znaleźć odpowiedni klucz trzęsącymi się rękoma i trafić nim do dziurki. Stare i ciężkie drzwi w końcu puściły, odkrywając ciemności prowadzące w głąb podziemi budynku. Musiałam wymacać włącznik gołej żarówki, zanim ta zalała światłem przestrzeń dookoła.

Unosił się tu specyficzny zapach. Zimno i pleśń, woń obrosniętych mchem kamieni albo wilgotnej ziemi.

Przypominający zapach grobu Dori.

Bella bez chwili zastanowienia pognęła w dół. Przynajmniej jednej z nas nie brakowało odwagi. Drewniane boksy stały pod najdalszą ścianą. Jako że mieszkałam na piątym piętrze, moja komórka znajdowała się na samym końcu, zamknięta na kłódkę. Dopiero za drugim razem udało mi się ją otworzyć.

Tym-

czasem Bella badała teren, obwąchując wszystko dookoła i poszczekując radośnie, niczym poszukiwacz skarbów, który trafił na nowe znalezisko.

Wydobyłam walizki rodziców. Pięć sztuk w kolorze zie-

lonego groszku. Przemysłowa tkanina załatana w przetartych miejscach taśmą tekstylną. Kiedy ciągnęłam po ziemi największą z nich, zaskrzypiała złowieszczo.

I nagle przed oczami stanęły mi wszystkie obrazy z przeszłości. Ojciec tego ostatniego popołudnia w Arlington. Mama radośnie rozpakowująca walizki w naszym pierwszym mieszkaniu, podekscytowana ciepłym słońcem Florydy. Pakowanie w Tampie. Rozpakowywanie w Baton Rouge. Krótki pobyt w Nowym Orleanie.

Wytrzymaliśmy wszystko. Nieustanną walkę, ciągle budowanie od nowa, zmartwienia i smutki. Porażki, nienawiść, zwycięstwa i łzy. Działaliśmy instynktownie, nie zawsze z głową, ale wytrzymaliśmy wszystko. I nigdy wcześniej aż tak nie tęskniłam za rodzicami. Zacisnęłam dłoń na naszyjniku i mogłabym przysiąc, że czuję ich obecność w tej ciemnej, zatęchłej piwnicy.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że na ich miejscu postąpiłabym dokładnie tak samo. Poruszyłabym niebo i ziemię, by ocalić swoje dziecko. Poświęciłabym pracę, tożsamość, znajomych, a nawet życie. Nie żałowałabym niczego. Taka już dola rodzica.

Kocham was. Kocham was. Kocham was. Próbowałam im to powiedzieć. Musiałam wierzyć, że są w stanie mnie usłyszeć. Bez tego przekonania skończyłabym jak tonący w morzu gorczy pan Petracelli.

„Ruszać dalej naprzód” - mawiał mój ojciec. „W tak pięknym miejscu jeszcze nie mieszkaliśmy*.”

Wyciągnęłam walizki. Zamknęłam komórkę i zagwizdałam, przywołując Bellę. Wiedziałam, że nie wniosę wszystkiego naraz. Zaczęłam od największej walizki, kładąc na niej mniejszą i przewieszając sobie przez ramię jedną z najmniejszych.

Przeciskając się wąskim korytarzem, zerknęłam w górę. I

zauważyłam Charliego Marviną przyglądającego się nam ze szczytu schodów prowadzących do piwnicy.

BOBBY SZEDŁ WŁAŚNIE DO SINKUSA, gdy zadzwonił mu telefon. Sprawdził, kto dzwoni, i odbierając, od razu spytał:

— Dostałaś faks?

— I ja cię witam — odparła Catherine.

— Przepraszam. Zbyt dużo się ostatnio dzieje.

— Czego dowodem jest ten faks. A odpowiadając na twoje pytanie, tak dostałam i to mógłby być ten sam portret.

— Mógłby?

— Bobby, to było siedemnaście lat temu.

— Ojca Annabelle rozpoznałaś na zdjęciu od razu.

— Bo z nim rozmawiałam — odpowiedziała podirytowana. - Wkurzył mnie tym, że próbował mi coś wmówić. Dlatego go zapamiętałam. Natomiast sam portret... Pamiętam tylko swoje pierwsze wrażenie: ten mężczyzna nie był moim napastnikiem.

Bobby westchnął. Na tym etapie potrzebował konkretów.

- Ale to możliwe, że to właśnie ten portret pokazał ci wtedy w szpitalu?

- Możliwe — zgodziła się i po chwili milczenia spytała: - Kim jest ten mężczyzna?

- To wujek Annabelle, Tommy Grayson. Wygląda na to, że zaczął prześladować Annabelle, kiedy ta miała zaledwie półtora roku. To przed nim jej rodzina uciekła z Filadelfii do Arlington. On ich jednak odnalazł.

- Czy ten Tommy znał Richarda?

- Nic nam o tym nie wiadomo. Tommy zapewne podchwycił pomysł kryjówki w jamie po obejrzeniu w telewizji relacji z twojego porwania.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - dodała bez emocji. Bobby

przystanął na chwilę, znał ją lepiej niż ktokolwiek inny.

- To nie twoja wina. Nie odpowiedziała.
 - A poza tym - ciągnął dalej — skoro wiemy już, kto to zrobił, sprawa jest prawie zamknięta. Pozostaje go odnaleźć i przymknąć.
 - Przyjedziesz do Arizony, żeby uczcić ten sukces?
 - Catherine...
 - Wiem, Bobby. Będziesz świętował kolacją z Annabelle. Teraz to on nie odpowiedział.
 - Lubię ją, Bobby, naprawdę. Chciałabym, żeby była szczęśliwa.
 - Któregoś dnia ty też odnajdziesz szczęście.
 - Nie, Bobby, nie ja. Szczęścia nie odnajdę, ale może zgubię gdzieś po drodze choć odrobinę tego gniewu. Powodzenia w zamykaniu sprawy, Bobby.
 - Dziękuję.
 - A jak już się to wszystko skończy, możecie oboje z Annabelle wpaść do mnie z wizytą.
- Bobby wiedział, że nigdy nie skorzysta z tego zaproszenia, podziękował jednak, zanim się rozłączył. Jeden z tropów nic mu nie dał. Czas posprawdzać resztę elementów układanki. Szedł dalej w stronę gabinetu Sinkusa.

SINKUS SPRAWIAŁ WRAŻENIE ROZZALONEGO, niczym wierny kibic, który trzymał kciuki cały mecz, ale odwrócił się na moment właśnie w chwili, gdy padała ta najważniejsza, rozstrzygająca bramka. Pachniał skwasniałym mlekiem.

- I mówisz, że ten profesor wiedział o wszystkim przez cały ten czas?
- Na to wygląda.

- O matko, a ja spędziłem trzy godziny z Jill Cochraa i jedyne, czego się dowiedziałem, to, że były pielęgniarki oddziałów psychiatrycznym są gorsze od zakonnic.

- A co, dała ci linijką po łapach?

— Nie, ale musiałem wysłuchać całego wykładu o tym, że nie powinno się z góry zakładać, że wszyscy umysłowo chorzy są zdolni do makabrycznych zbrodni. Wariaci też są ludźmi. Mają swoje prawa. Większość jest zupełnie nieszkodliwa, a ich problemy wynikają z braku zrozumienia. „Zapamiętaj moje słowa”, mówiła. „Gwarantuję ci, że jak już go znajdziecie, okaże się, że wcale nie był to jeden z naszych pacjentów. Szukajcie raczej przykładowego ojca, który co niedzielę chodzi do kościoła i od dziewiątej do piątej siedzi w pracy. Najokropniejsze zbrodnie popełniają właśnie ci z pozoru normalni”. Miała sporo do powiedzenia na ten temat.

— A gdzie są wszystkie dokumenty? — spytał Bobby, próbując ukryć zniecierpliwienie.

— Masz je przed sobą — Sinkus wskazał na cztery ustawione pod ścianą kartony. - Nie jest źle, myślałem, że będzie gorzej. Pamiętaj, że wtedy jeszcze nie prowadzono komputerowych kartotek. Bałem się, że takich kartonów może być ze sto. Ale kiedy zamknięto szpital, pani Cochran stwierdziła, że nie ma sensu trzymać wszystkich dokumentów, zrobiła więc selekcję i wybrała te najważniejsze. Tym sposobem, gdyby ktoś kiedyś potrzebował informacji dotyczących któregoś z byłych pacjentów, wiedziała dokładnie, gdzie je znaleźć. Odniosłem poza tym wrażenie, że trzymała je z zamiarem napisania książki zawierającej wspomnienia z czasów, gdy pracowała z umysłowo chorymi.

Bobby wzruszył ramionami. Czemu nie?

Otworzył pierwszy z kartonów. Jill Cochran była bardzo skrupulatna. Podzieliła dokumenty według dat i według poszczególnych budynków. Bobby próbował sobie przypomnieć

wszystko, co powiedział im o organizacji szpitala Charlie Marvin. Budynek, w którym znajdowali się najbardziej niebezpieczni pacjenci, oznaczono chyba rzymską jedynką, tak mu się przynajmniej wydawało.

Odnalazł dokumenty z lat siedemdziesiątych i zabrał się za szukanie budynku I. Historię choroby każdego z pacjentów ograniczono do jednej strony, a ilość papierów i tak była imponująca.

Najpierw odszukał Christophera Eole i przeleciał wzrokiem zapiski Jill Cochran. Data przyjęcia, krótki wywiad rodzinny, mnóstwo terminów medycznych, które zupełnie nic mu nie mówiły, i wreszcie krótka opinia siostry oddziałowej — bardzo niebezpieczny, bardzo przebiegły, dużo silniejszy niż na pierwszy rzut oka wygląda.

Bobby zaznaczył sobie tę stronę żółtą karteczką, żeby łatwiej ją później odnaleźć. Był oczywiście pewien, że za grób w Mattapan odpowiada wujek Annabelle, ale szedł o zakład, że Christopher Eola też ma niejedno na sumieniu. I niezależnie od tego, czym zakończy się obecne śledztwo, miał przeczucie, że detektywi będą go szukać bez wytchnienia.

Przewertował karty pozostałych pacjentów, czekając, aż coś rzuci mu się w oczy. Sam nie wiedział, co, jakaś samoprzylepna karteczka z wyznaniem „jestem szaleńcem” albo notatka lekarska „Ten pacjent jest jak najbardziej zdolny do porwania i zamordowania sześciu dziewczynek”.

Wielu pacjentów miało na swoim koncie akty przemocy, wielu miało kryminalną przeszłość. Ale przynajmniej połowa była zupełnie czysta. „Przywieziony przez policję”, „błąkał się” - to były powtarzające się zapiski. Już wtedy, zanim w latach osiemdziesiątych zaczęto głośno mówić o tym problemie, Boston borykał się z zatrważającą falą bezdomnych.

Bobby przejrzał cały stos papierów, które dawały niezwykle

przygnębiający obraz rzeczywistości. Przerwał na moment, po czym powrócił do początku lektury.

- Czego dokładnie szukasz? - spytał Sinkus.

- Nie wiem.

- To raczej nie ułatwia sprawy.

- A ty co robisz?

Sinkus uniósł swój stos dokumentów.

- Dane personelu.

- Znalazłeś coś?

- Tylko Adama Schmidta, tego zboczeńca.

- Szkoda. Namierzyli go już?

- Pracuję nad tym. Jak myślisz, ile mógł mieć wtedy lat? -

Kto?

- Szukasz pacjenta, który mógłby być Tommym Grayso-nem, prawda? Wspominałeś, że był siedem lat młodszy od Russella Grangera. Siedział trochę za kratkami, trochę po szpitalach odkąd skończył, mówiłeś ile, szesnaście lat?

- Tak twierdził Russell.

- Jeżeli więc był kiedykolwiek w bostońskim szpitalu, musiał być nastolatkiem albo młodzieńcem.

Bobby zastanowił się nad tym chwilę.

- Masz rację.

Na powrót zaczął wertować papiery, odkładając ostatecznie na bok czternaście kart, w tym Eoli i jeszcze jednego chłopaka, o którym wspominał Charlie Marvin, tego, który zaczął

uczęszczać do elitarnej szkoły Boston Latin. I co dalej?

Zerknął na zegarek. Zmarnował już półtorej godziny. Czas poszukać hotelu, do którego wpuszczają zwierzaki, i pojechać po Annabelle.

Podniósł te czternaście odłożonych na bok kart.

- Mogę zrobić kopie?

- Bardzo proszę. Hej, to ty wspominałeś, że to Charlie Marvin

pracował w szpitalu?

- Był sanitariuszem, jeszcze za czasów studenckich. Potem aż do zamknięcia pracował tam jako pastor.

- Jesteś pewien?

- Tak facet twierdził. A czemu? Sinkus w końcu podniósł wzrok.

- Mam przed sobą listę wszystkich pracowników. Od lat pięćdziesiątych do zamknięcia. Nikt o takim nazwisku nigdy w tym szpitalu nie pracował.

ROZDZIAŁ 35

- MOŻE POMÓC? - zawołał z góry Charlie.

— Och, hmm, nie trzeba. Już idę na górę — moje zaniepokojenie jego niespodziewaną wizytą zupełnie nie udzieliło się Belli, która gnała już w jego kierunku, uszczęśliwiona widokiem swego nowego przyjaciela.

Dopadła go po chwili, liżąc, gdzie popadnie, a ja męcząc się z walizkami, myślałam szybko. O ile mi wiadomo, Charlie nie miał

mojego adresu. Gdzie, do cholery, podział się mój paralizator. Przypomniałam sobie po chwili. Odłożyłam go. Na półkę. W swojej komórce, kiedy wyciągałam walizki. Chciałam zawrócić, pognać schodami w dół. Odruchowo niemal zawróciłam. Niemal.

- Chyba miałaś ciężki ranek - pogodnym głosem skomentował Charlie, kiedy obie z Bella wyszłyśmy już na klatkę. Zauważyłam, że któryś z sąsiadów zostawił otwarte na oścież drzwi. Zapewne wnosił zakupy z samochodu. Już sobie wyobraziłam nagłówki w Boston Herald „Młoda kobieta została zadżgana, bo współlokator miał dużo zakupów”. Musiałam się uspokoić. Znów popadałam w paranoję. Przecież Bobby mówił, że Charlie spędził ostatnią noc w noclegowni

na Pine Street. Nie mógł więc podrzucić mi paczki. Kiedy staliśmy teraz na jednym poziomie, okazało się, że wcale nie

jest taki wysoki ani postawny, poza tym jego wiek też działał na moją korzyść. I podczas gdy ja przezornie postawiłam na ziemi walizki, gotowa na ewentualny atak, on kucał, drapiąc Bellę po szyi.

— Jakiś policjant dzwonił do noclegowni, pytając o mnie - oznajmił.

— Tak? Przykro mi.

— Trochę mnie to rozbawiło — odparł. — Podejrzany w moim wieku. A tak w ogóle to gość, który prowadzi noclegownię, ma u siebie radiostację działającą na policyjnych częstotliwościach. Wymienili twój adres, a że z natury jestem ciekawski, postanowiłem wpaść i sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Nie mogę przestać myśleć, że to moja wina.

— Niby dlaczego?

— Ktoś mnie śledzi - wyznał Charlie. - Jestem tego pewien. Od dnia, w którym rozmawiałem z sierżant Warren i detektywem Dodge'em w Mattapan. Na początku nie byłem pewien.

Miałem po prostu takie przeczucie. Może wtedy, kiedy wpadliśmy na siebie w parku, również mnie śledzono. Myślę też, że ten, kto mnie śledzi, wie coś o tym grobie w Mattapan. I może jeszcze coś o tobie.

— Dlaczego o mnie?

— Bo ty jesteś kluczem do zagadki tego grobu, prawda, Annabelle? Nie wiem, w jaki sposób, nie wiem, dlaczego, ale we wszystkim, co się dzieje, chodzi tak naprawdę o ciebie.

Minął nas sąsiad obładowany czterema reklamówkami.

Uklonił się jedynie — zresztą nie było na co zwracać uwagi, młoda kobieta, starszy pan i wniebowzięty pies - minął nas i poszedł na górę.

Charlie nie przestając głaskać psa, odprowadził mężczyznę wzrokiem.

— Pan coś wie o Mattapan - stwierdziłam raczej, niż zapytałam.

Bardzo powoli kiwnął głową.

— Coś, czego nie powiedział pan policji. Kolejne powolne kiwnięcie głową.

— Po co pan tu przyszedł, panie Marvin? Dlaczego pan mnie nachodzi?

— Chcę wiedzieć — odparł cicho. — Chcę wiedzieć wszystko. Nie tylko o nim, ale również o tobie, Annabelle.

— Powiedz mi - zażądałam natychmiast, choć to nie było mądre posunięcie.

Charlie Marvin uśmiechnął się.

— W porządku, ale skoro już się na dobre zaprzyjaźniliśmy, musisz mnie zaprosić do środka.

— A jeśli odmówię?

— Nie zrobisz tego, Annabelle. Musisz się zgodzić, jeśli chcesz poznać prawdę.

Nie miałam wyjścia. Oboje o tym wiedzieliśmy. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, upominałam samą siebie.

Ale możliwość poznania prawdy wydawała się zbyt kusząca.

Powoli, aczkolwiek zdecydowanie, kiwnęłam głową.

ZAPROPONOWAŁAM, żeby wchodził na górę jako pierwszy. Wolałam mieć go na oku. Powiedziałam mu, że sama muszę się zająć walizkami. Przekonywałam też, że mogę upuścić na niego którąś z walizek i zapewniałam, że bywam niesamowicie niezdarna.

Charlie przystał na propozycję z pogodnym uśmiechem.

Dokładnie wiedział, jaki jest prawdziwy powód.

Mogłam przeklinać samą siebie przez całą mozolną wędrówkę na piąte piętro. Czemu nie zabrałam paralizatora? I czemu, do cholery, dostał mi się pies, który nie miał wyczucia do

ludzi.

Bo ja byłam pewna, że Charlie stanowi zagrożenie. Nie wiedziałam jeszcze tylko, jakie.

Na moją korzyść w obecnej sytuacji przemawiał jedynie fakt, że to ja byłam młoda i wysportowana. Zanim dotarliśmy na ostatnie piętro, Marvin dyszał ciężko i trzymał się za bok.

Odsunął się, pozwalając mi otworzyć wszystkie zamki.

— Przezorna dziewczynka — skomentował.

— Nigdy nic nie wiadomo.

Drzwi do mojego mieszkania stanęły otworem. Raz jeszcze puściłam go przodem. Drzwi zostawiłam otwarte na oścież, blokując je największą z walizek.

— W budynkach takich jak ten każde nasze słowo będzie słychać na klatce schodowej.

— Jak najbardziej — zapewniłam go. — Krzyki również. No i wiemy, że przynajmniej jeden z sąsiadów jest teraz w domu.

Uśmiechnął się, tym razem ze smutkiem.

- Aż tak cię wystraszyłem?

- Proszę mi po prostu powiedzieć, co pan wie, panie Marvin.

- To nie ja jestem prawdziwym zagrożeniem - odpowiedział cicho. Miałam wrażenie, że sam jest zawiedziony z tego powodu.

- Panie Marvin...

- To on... - rzekł, wskazując palcem na korytarz za moimi plecami.

BOBBY SZEDŁ. Z pośpiechem. D. D. krzyczała na niego. Z wściekłością.

- Nie sprawdziłeś tego całego Charliego Marvina?

- Sprawdziliśmy go. Sinkus odkrył to dopiero dzisiaj. On jest rzeczywiście wolontariuszem w noclegowni przy Pine Street. I rzeczywiście ma alibi na wczorajszą noc.

- No jasne. A skąd masz pewność, że Charlie Marvin, który pracuje w noclegowni, to ten sam Charlie Marvin, który z nami rozmawiał?

- Co?

- Trzeba było tam iść osobiście. Pokazać zdjęcie. Głupie, elementarne błędy.

- To nie ja dzwoniłem - rzekł jeszcze, po czym poddał się, bo D. D. była i tak zbyt wściekła, żeby go wysłuchać. Musiała się na kimś wyżyć, a on był tym szczęściarzem, który znalazł się w pobliżu. Wiedział już, czego unikać w przyszłości.

Rozesłali rysopis Charliego Marvina po całym stanie.

Musieli najpierw sprawdzić wszystkie miejsca, w których widziano go do tej pory: noclegownię przy Pine Street, Park Kolumba, tereny byłego szpitala w Mattapan. Przy odrobinie szczęścia powinni go dopaść w ciągu godziny. Zanim zaczną cokolwiek podejrzewać.

— To się dalej nie trzyma kupy - upierał się Bobby, gdy szli pospiesznie korytarzem. — Marvin nie może być wujkiem Tommym. Jest za stary.

- Jedziemy moim samochodem - rzuciła D.D., napierając całym ciężarem ciała na szklane drzwi wyjściowe.

- Gdzie zaparkowałaś?

Gdy odpowiedziała, pokręcił głową.

— Mój stoi bliżej, poza tym prowadzisz jak baba.

- Znalazł się kierowca rajdowy - odgryzła się, ale poszła za nim. Odpowiedziała mu na wcześniejsze pytanie dopiero, gdy wsiadali do samochodu.

- Charlie Marvin kłamał. Mnie to wystarczy.

- Ale on mi nie pasuje - upierał się Bobby, uruchamiając silnik. - Wuj Tommy miałby teraz koło pięćdziesiątki.

Charlie Marvin wygląda co najmniej dziesięć lat starzej.

- Może tylko wygląda tak staro. Może zbrodniarze szybciej się starzeją.

Bobby nie odpowiedział. Wyjechał z parkingu, włączył światła i pognął w stronę noclegowni przy Pine Street.

ODWRÓCIŁAM SIĘ, sprawdzając korytarz. Nikogo nie zobaczyłam. Zwróciłam się z powrotem w stronę Charliego, ręce luźno, stopy szeroko rozstawione, żeby lepiej trzymać równowagę, przygotowana na ewentualny atak.

Charlie Marvin stał jednak bez ruchu z błogim wyrazem twarzy. Bella zaczęła w końcu cicho popiskiwać.

- Lepiej późno niż wcale - rzuciłam, choć psy nie wyczuwały pewnie sarkazmu.

- Jesteś piękna.

- Bo się zaczerwienię.

- Tylko za stara jak na mój gust.

- A tak było, cholera, romantycznie.

- To ty jednak jesteś kluczem do całej sprawy. Ciebie tak naprawdę on chce.

Przestałam na moment oddychać, czując, jak wysycha mi w ustach. Powinnam coś zrobić. Chwycić za telefon. Wzywać pomocy. Zbiec na dół. Ale nie potrafiłam się ruszyć. Nie chciałam się ruszyć. Ja naprawdę, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, chciałam usłyszeć, co Charlie Marvin ma do powiedzenia.

- Wiedziałeś - powiedziałam szeptem.

- Dowiedziałem się. Pewnej nocy kilka lat temu. Kiedy po raz pierwszy wspomnieli, że chcą tam wkroczyć z buldożerami. Poszedłem na pożegnalny spacer. By po raz ostatni zobaczyć miejsca, do których miałem już nie wrócić. Ale nagle usłyszałem w lesie szelest liści. Zaintrygował mnie. Mogłem przysiąc, że coś tam było, i nagle ot tak, znikło. Jak jakaś nadprzyrodzona istota, chociaż oczywiście nie wierzę w duchy ani żadne takie. Spacerowałem tamtędy cztery kolejne

noce, zanim zauważyłem wydobywające się spod ziemi światło. Czekałem ukryty za drzewami. Aż zobaczyłem wychodzącego stamtąd mężczyznę. Nie mogłem w to uwierzyć. Zaparło mi dech w piersiach. To dopiero było cudo, choć wiedziałem, że ktoś je prędzej czy później zniszczy.

- Kto to zrobił, Charlie? Kto wyszedł spod ziemi? Kto zabił te dziewczynki?

Pokręcił głową.

- Sześć dziewczynek Zawsze te same sześć dziewczynek. Nie mniej, nie więcej. Sprawdzałem, ale nic się nie zmieniało. Rok po roku. Niezmiennie dwie półki. Po trzy ciała na każdej. Idealna widownia. I nigdy więcej nie natknąłem się na tego mężczyznę, choć Bóg jeden wie, jak bardzo próbowałem. Miałem do niego tyle pytań.

- Czy to ty je zabiłeś? Czy to twoje dzieło odkryli w Mat-tapan?

Ciągnął dalej, tak jakby wcale mnie nie słuchał.

- Potem, oczywiście, dowiedziałem się o wszystkim z wiadomości. I wtedy do mnie dotarło, że dzięki temu on zechce tam wrócić, żeby spojrzeć na swoje dzieło po raz ostatni. Zacząłem więc kręcić się w okolicy z nadzieją, że uda mi się go wypatrzeć. Ale zobaczyłem tylko ciebie. A ty jesteś kłamczucha.

Po raz pierwszy ton jego głosu zmienił barwę, i ta nowa zaczęła napawać mnie przerażeniem. Instynktownie cofnąłem się o krok.

- Kim jesteś? - spytałam. - Bo na pewno nie pastorem.

- Byłem pacjentem, entuzjastą masowych grobów. A ty kim jesteś?

- Ja jestem martwa - odparłam. - Jestem duchem, który nawiedza tamtą ziemię i który czeka na tego potwora, by go zabić.

Charlie zmrużył oczy.

— Annabelle. Annabelle Granger. Pisali o tobie w gazetach.

Ty naprawdę nie żyjesz.

A potem w mgnieniu oka na jego twarzy zagościł ki uśmiech.

- Wiesz, przymierzałem się do tej twojej blond przyjaciółeczki, pani sierżant - stwierdził z chytrym błyskiem w oku. Zauważyłam blask ostrza w jego dłoni. - Ale jak się nad tym dłużej zastanowić, może nawet i ty mi wystarczysz.

BOBBY POSPIESZNIE OPISAŁ CHARLIEGO MARVINA młodemu Latynosowi, który przyjął ich w noclegowni. Juan Lopez potwierdził, że Charlie Marvin, który z nimi rozmawiał, był tym samym Marvinem, który pracował u nich jako wolontariusz przez ostatnie dziesięć lat. Punkt dla policji.

Problem w tym, że Marvina nie było teraz u nich. Wyszedł jakąś godzinę wcześniej. Nie, Lopez nie wiedział, dokąd. Był w końcu wolontariuszem, nie mieli prawa go kontrolować.

Pan

Marvin zwykł jednak pracować na ulicy, rozmawiając z bezdomnymi. Policja może przeszukać parki.

Bobby zapewnił, że policjanci są już w drodze. Musieli go natychmiast przesłuchać.

Lopez nie był przekonany.

— Naszego Charliego Marvina? Tego samego wieczne uśmiechniętego Charliego Marvina z białymi gęstymi włosami i jasnymi niebieskimi oczami? Co on mógł zrobić złego? Ukraść bogatym, by dać biednym?

— To oficjalne policyjne dochodzenie. W sprawie o morderstwo.

— Niemożliwe.

— A jednak. Punkt dla Charliego.

— Proszę do nas zadzwonić, jeśli go pan zobaczy.

— Oczywiście, ale właściwie, tak sobie teraz myślę, że na waszym miejscu sprawdziłbym najpierw Mattapan. Wiecie, tam, gdzie ostatnio kopali. Od tamtego czasu kręci się tam dniami i nocami... O kurcze, nie myślcie chyba...

- Dziękujemy, panie Lopez, będziemy w kontakcie. Bobby i D.D. ruszyli w stronę Mattapan. Bobby wyciągnął telefon, żeby zadzwonić do Annabelle.

PRZEWIDZIAŁAM PIERWSZE ZUCHWAŁE PCHNIĘCIE Charliego, uskakując instynktownie, a jednocześnie próbując ogarnąć w myślach wszystko, co wiem. Charlie Marvin leczył się w szpitalu w Mattapan. Charlie Marvin odkrył grób.

Charlie nie był zdruzgotany, Charlie był pełen podziwu. Wyglądało na to, że Marvin miał już na swoim sumieniu akty przemocy. Wiedział zapewne, jaki użytek zrobić z noża.

Po jego nietrafionym ciosie przemieszczaliśmy się wkoło przez chwilę po mojej małej kuchni. Zanim zdążyłam sobie pogratulować, zorientowałam się, że jego plan był doskonały. Dzięki temu blokował mi teraz wyjście z mieszkania.

Widząc, jak zerkam mu przez ramię na jedyną drogę ucieczki, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nieźle jak na takiego starucha. Muszę przyznać, że nie robiłem tego od lat. Ale coś mi jeszcze zostało z tamtej magii. Bella oparła się o moje nogi. Sierść miała zjeżoną i obserwowała każdy ruch Charliego, cicho warcząc.

„Szczekaj”, chciałam krzyknąć na mojego pobudzonego psa. „To dobry moment, żeby narobić hałasu”. Ona jednak dalej warczała ostrzegawczo. Zresztą wcale jej się nie dziwiłam, ja sama, trzy minuty po tym, jak dotarło do mnie, że mam do czynienia ze złem wcielonym, dalej nie mogłam zdobyć się na krzyk.

Strach paraliżuje czasem struny głosowe, tak twierdził mój ojciec. On naprawdę wiedział, o czym mówi.

Charlie zrobił krok w moim kierunku, ja cofnęłam się, uderzając o blat. Niewielka kuchenna przestrzeń nie dawała dużego pola manewru, ale nie mogłam pozwolić, żeby Charlie zagonił mnie w głąb mieszkania. Jedyne otwarte drzwi i klatka schodowa dawały jakąś szansę na ucieczkę. Złapałam równowagę, przyjąłam pozycję. Charlie był stary, a ostrze nie stanowiło takiego zagrożenia jak lufa pistoletu. Miałam sporą szansę.

Charlie zamarkował cios w prawą stronę.

Szykowałam się do kopnięcia.

Bella skoczyła na niego w ostatniej chwili.

Usłyszałam tylko, jak mój niemądry, bohaterski pies zawył, gdy ostrze zanurzyło się gdzieś w okolicach klatki piersiowej.

SYGNAŁ TELEFONU. Sygnał telefonu. Sygnał telefonu.

Odezwała się automatyczna sekretarka. Bobby usłyszał rzeczowy głos Annabelle: „Nie ma nas teraz w domu. Zostaw imię i numer telefonu po sygnale”.

— Annabelle - wykrzyczał do telefonu. - Odbierz, Annabelle. Musimy pogadać. Mam nowe informacje dotyczące Charliego Marvina. Spóźniłem się trochę, ale proszę, podnieś słuchawkę.

Ciągle nic. Może zmęczyło ją czekanie na niego i pojechała sama? Z tą kobietą wszystko było możliwe. Może dlatego tak się o nią bał.

Niech to szlag. Nacisnął gwałtownie na hamulec.

— Co, do cholery? - krzyknęła D.D.

— On ją śledził. - Kto?

— Charlie Marvin. Spotkał ją ostatnio w parku. Do wszystkich jednostek, Charlie Marvin zna adres Annabelle.

ROZDZIAŁ 36

BELLA OSUNĘŁA SIĘ NA PODŁOGĘ. Dobiegł mnie dźwięk telefonu, a potem mój własny wyrywający się z gardła głos.

— Ty sukinsynu!

Rzuciłam się na Charliego, celując w gardło zaciśniętą w pięść dłońią. Zanim się zatoczył, zdążył mnie jeszcze dźgnąć w ramię. Upadłam i po chwili szamotaliśmy się na podłodze, uwięzieni w jakiejś przedziwnej plątaninie rąk i nóg. Część mojego mózgu odpowiedzialna za bierne obserwowanie całego zdarzenia zaczęła mi dawać sygnały, że na taki rodzaj walki nie jestem przygotowana. A gdzie rytmiczna, dopracowana do perfekcji praca stóp? Co ze starannie przemyślanymi ciosami i sztuką pełnych gracji uników? Zamiast tego sapaliśmy i dyszeliśmy, turlając się po podłodze i okładając wzajemnie pięściami.

Czułam słony smak potu zalewającego mi twarz i pieczenie w całych rękach. Okładałam go po głowie, prawą ręką usilnie próbując trafić między oczy, lewą asekurując się i zasłaniając przed ciosami.

Byłam szybsza. Ale on był lepiej uzbrojony. Krwawiłam. Ale jemu brakowało tchu. Trafił w lewy policzek, rozcinając głęboko skórę. Ja trafiłam z całej siły w mostek, dzięki czemu opadł na podłogę, z trudem łapiąc powietrze.

Podparłam się rękoma. Kiedy z trudem udało mi się wstać, chwiejnym krokiem skierowałam się w stronę drzwi.

Ale nie mogłam wyjść. Nie mogłam zostawić Belli. Skazałabym ją tym samym na pewną śmierć.

Charlie zdążył się podnieść i kierował się już w moją stronę.

Odskoczyłam, opierając się o kuchenne meble. Był coraz bliżej. Rękami starałam się wymacać za sobą uchwyt szafki.

Podszedł wystarczająco blisko, żebym mogła zadać cios.

Udałam, że celuję w podbródek Odskoczył, a ja zmieniając kierunek uderzenia, trafiłam w środek głowy. Może nie tak mocno jak chciałam, ale wystarczyło.

Udało mi się otworzyć szafkę, a tam między garnkami i rondlami zaczęłam szukać jakiejś broni.

Charlie już się prostował.

No dalej, dalej.

W końcu znalazłam. Żeliwną patelnię. Doskonałą broń.

Charlie zbliżał się, a ja przygotowywałam się do zrobienia czegoś, do czego miałam nadzieję nigdy nie być zmuszona: do zabicia drugiego człowieka.

I nagle z oddali usłyszałam najśłodsze dla ucha odgłosy, odgłosy kroków na schodach. Charlie zamarł. Ja stałam nieruchomo.

Bobby, pomyślałam. Bobby przybył, żeby mnie uratować. W drzwiach ujrzałam jednak brązowy kombinezon z logo UPS.

- Ben — wysapałam.

Dokładnie w chwili, gdy Charlie spytał:

- Benji?

A oszołomiony Ben odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Christopher?

BOBBY UTKNĄŁ W KORZAKU. Nic dziwnego. To był w końcu Boston, a tu podróż samochodem przypominała sport walki i

nikt nie zamierzał się poddawać tylko dlatego, że ty miałaś syrenę, a on nie.

Wybrał ponownie numer Annabelle. Znów odezwała się sekretarka. Rozłączył się. Uderzył w kierownicę.

- Opanuj się - powiedziała D.D.

- Coś się stało.

- Bo kochanka nie czeka stęskniona przy telefonie? Rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Mówię serio. Wiedziała, że wrócę zabrać ją do hotelu. Nie wyszłaby ot tak sobie.

D.D. wzruszyła ramionami.

- Ma psa. Może musiała go wyprowadzić albo poszła pobiegać.

- Albo — dorzucił — Charlie Marvin nas uprzedził.

Zadzwoił telefon Bobbyego. Przyłożył go do ucha, nawet nie sprawdzając, kto dzwoni. Nie była to Annabelle, tylko jego kumpel z policji stanowej, detektyw Jason Murphy.

- Sprawdziłem Rogera Graysona, tak jak mnie prosiłeś - przeszedł od razu do rzeczy. - Znalazłem dowód wynajmu ma-

gazynu przy drodze numer dwa na północ od Arlington.

Grayson co pięć lat płacił z góry za przechowanie. Ostatnia wpłata wpłynęła kilka lat temu, więc właściciel zajął wszystko w zastaw. Tak w ogóle, gdybyśmy potrzebowali tych rzeczy, jemu byłoby to nawet na rękę. Zwolniłoby mu się miejsce.

- Doskonale.

- Nie miał żadnych kłopotów z prawem. Miał na koncie jedynie wykroczenie drogowe, a i to jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Jest czysty jak łąza.

- Złamanie przepisów drogowych?

- Nadmierna prędkość. Piętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Jechał sto

dwadzieścia na godzinę przy ograniczeniu do stu.
Piętnasty listopada 1982. Trzy dni po zniknięciu Dori Petracelli.

- I co jeszcze?

- Co jeszcze? Bobby, zacząłem jakąś godzinę temu.

— A co z Walterem Petracellim?

— Jeszcze nic nie mam.

— Dasz mi znać, jak czegoś się dowiesz?

— Możesz na mnie liczyć. Tylko żeby bostońska policja za bardzo ci się nie spodobała.

Jason się rozłączył. Bobby schował telefon do kieszeni na piersi. Na powrót włączył syrenę, ale ulice były już tak zakorkowane, że i tak nie miał szans przejechać.

Zerknął na zegarek. Znajdowali się na Atlantic Avenue. Jakieś półtora, może dwa kilometry od mieszkania Annabelle.

— Zostawiamy samochód — oznajmił. - Co?

— Zapomnij o aucie. Jesteśmy silni, szybcy, biegniemy.

- BEN, BEN, DZIĘKI BOGU ŻE JESTEŚ. On dźgnął Bellę. To szaleniec. Musisz nam pomóc, Bella, biedna Bella. Jestem tu, maleńka, już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Upuściłam żeliwną patelnię i zajęłam się Bella. Uklękałam, kładąc ją sobie na kolanach. Czułam, jak ciepła krew oblewa jej białą sierść. Skomlała, próbując lizać moje dłonie.

- Ben! - krzyknęłam.

Ale Ben wciąż stał nieruchomo w progu, wpatrując się w Charliego Marvina.

- To byłeś ty? O mój Boże, to prawda, że cicha woda brzegi rwie - odezwał się Charlie.

- Ona jest moja - stanowczym tonem powiedział Ben. - Nie dostaniesz jej. Ona jest moja.

- Wezwij policję - szlochałam. - Zadzwoń na sto dwanaście,

powiedz, że chcesz rozmawiać z Bobbym Dodgem, powiedz, że potrzebujemy lekarza. Nie wiem, kogo wysyłają do psów, ale wystarczy zwykły sanitariusz. Ben? Czy ty mnie słyszysz? Ben?

Ben spojrzał na mnie w końcu. Wszedł do mieszkania, zamknął za sobą najpierw drzwi, a potem zamki, jeden po drugim.

- Wszystko będzie dobrze - oznajmił uroczystym tonem. - Wujek Tommy już tu jest, Annabelle, i zaraz się wszystkim zajmie.

CHARLIE WYBUCHNĄŁ ŚMIECHEM, który po chwili przeszedł w świszczące rżenie, najprawdopodobniej na skutek ciosu w mostek. Teraz, gdy szum w moich uszach zaczął powoli cichnąć, zalała mnie ogromna fala bólu promieniująca z posiniaczonych żeber, pociętych kostek i rozharatanego policzka.

Przynajmniej nie pozostałam mu dłużna. Jego prawe oko tak spuchło, że prawie nic na nie widział, a idąc przez kuchnię, wyraźnie utykał na prawą stronę, sycząc z bólu.

Nie umiałam już trzeźwo i logicznie myśleć. Nie interesowało mnie, co się dzieje z Charliem. Nie rozumiałam zachowania Bena. Pragnęłam jedynie wyciągnąć stąd mojego psa.

Upewnić się, że nic jej nie grozi.

Zresztą to nawet lepiej, że myślałam jedynie o Belli, gdyż rozmowa, którą prowadzili, była tak przerażająca, że wolałabym tego nie słyszeć.

-Jak je zabiłeś?

Ben wciąż w milczeniu nie spuszczał z Charliego wzroku, - Szukałem cię, Benji. Od czasu kiedy odkryłem twoją kryjówkę. Do tej pory to siebie uważałem za spryciarza.

Praca z bezdomnymi dawała świetną przykrywkę, kiedy ktoś

chciał wiedzieć, co robiłem takiej i takiej nocy na takiej a takiej ulicy. Albo kiedy ktoś się zastanawiał, dlaczego znałem tyle zaginionych dziwek. Ale kiedy znalazłem tę kryjówkę... nie mogłem uwierzyć w twoją pomysłowość, w to, czego udało ci się dokonać. Gdybym tylko wpadł na to wcześniej. Ile rzeczy mógłbym zrobić inaczej.

— Ona krwawi.

- Po jakim czasie je zabijałeś? Po kilku dniach, tygodniach, miesiącach? To dawało tyle możliwości. Moja przykrywka pozwalała mi rozkoszować się samym polowaniem. Ale potem...

Zawsze musiałem się spieszyć, nigdy nie miałem wystarczająco czasu. Trzeba było poświęcić tyle czasu i energii, żeby je zwabić, potem związać, a kiedy wreszcie można się było zabawić, trzeba było myśleć praktycznie. Ktoś mógł przecież usłyszeć hałas, ktoś mógł się zacząć zastanawiać. I trzeba było kończyć romanse i brać się do roboty. Nie chciałem ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, nie ryzykowałem nawet w wypadku tych najbardziej wyjątkowych.

— Powiedz mi prawdę - dopytywał się Charlie. — Nie za-inspirowała cię ani trochę moja robota? Ta pielęgniarka w siedemdziesiątym drugim? To był impuls. Udało mi się opuścić oddział, ona też była na zewnątrz. I tak jakoś wyszło. To była największa zbrodnia w Bostońskim Szpitalu Psychiatrycznym, oczywiście przed odkryciem twojej kryjówki. Benji? Benji, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ben podszedł do Charliego. Spojrzenie w jego oczach przypawiło mnie o gęsią skórę. Zatopiłam palce w sierści Belli. Modliłam się, żeby leżała cicho.

I

Jedną ręką oparłam się na podłodze i powoli zaczęłam przesuwac się w stronę drzwi.

— Skrzywdziłeś moją Amy — odezwał się Ben. — A teraz ja zrobię krzywdę tobie.

Charlie w ostatniej chwili zorientował się, że nie ma w Benie sprzymierzeńca. W ostatniej chwili zdążył jeszcze podnieść nóż, zanim dotarło do niego, co mu grozi.

Ben chwycił nadgarstek Charliego swoją umięśnioną ręką, Usłyszałam trzask łamanych kości.

Dopałam drzwi, w panice mocując się z zamkami. Dlaczego, na Boga, moje drzwi miały tyk zamków?

Nie mogłam się obrócić, ale też nie mogłam nic zrobić, żeby zagłuszyć hałas.

A raczej żeby zagłuszyć wściekłe wrzaski Charliego Marvina, kiedy wujek Tommy, odebrawszy mu nóż, wbił całe ostrze w sam środek jego oka. Krzyk. Głośny odgłos przypominający

pęknięcie. Długie, płytkie i świszczące jęki, jakby ktoś powoli wypuszczał powietrze z opony. A potem cisza.

- Och, Amy - Ben zwrócił się teraz do mnie. Nie umiałam już nad sobą dłużej panować. Skulona pod drzwiami, z Bella w ramionach, wybuchłam płaczem.

ROZDZIAŁ 37

- OD ZAWSZE PRAGNAŁEM TYLKO CIEBIE. Te inne dziewczynki, one nic dla mnie nie znaczyły. Już kilka ładnych lat temu zdałem sobie sprawę, że były pomyłką. I czekałem na ciebie. Aż któregoś dnia cierpliwość się opłaciła.

- Zakrwawioną ręką dotknął mojego policzka.

Próbowałam się cofnąć, ale nie miałam gdzie.

- Proszę, otwórz drzwi, Ben - chciałam być stanowcza, ale głos mi się załamywał. - Bella jest ranna. Potrzebuje lekarza. Proszę, Ben.

Popatrzył na mnie. Westchnął ciężko.

— Wiesz przecież, Amy, że nie mogę tego zrobić.

— Nie powiem nikomu o tobie. Powiem, że to Charlie mnie zaatakował. Że był szaleńcem. Że sama go zadźgałam.

Popatrz, jaka jestem pokiereszowana. Uwierzą mi.

— Wszystko się teraz zmieniło. Na początku, kiedy cię odnalazłem, wszystko było w porządku. Od razu wiedziałem, że tylko ja tak naprawdę wiem, kim jesteś. Byłaś wyjątkowa, nietknięta. Należałaś do mnie.

— Nie ucieknę. Zostanę. Będę zamawiać materiały, ty mi je będziesz dostarczać. Nic nie musi się zmienić.

- Wiesz, że to niemożliwe. Policja już wie. Wszystko się zmieni.

Przymknęłam oczy, próbując odzyskać kontrolę. Bella znów zaskomlała. To dodało mi sił.

— Nie rozumiem. Jakoś ci mnie nie brakowało przez te dwadzieścia pięć lat. Znalazłeś sobie inne dziewczyny. Tak naprawdę nic dla ciebie nie znaczę.

— To nieprawda - zapewnił mnie bez wahania. — Sam nie zrezygnowałem z poszukiwań. To wcale nie było tak. - Zdjął z głowy brązową bejsbolówkę i po raz pierwszy zobaczyłam głęboką bruzdę, którą ciągnęła się od czubka głowy, łysą bliznę. - Oto, co mnie powstrzymało. Gdyby nie to, szukałbym cię do upadłego. Już dwadzieścia pięć lat temu byłabyś moja.

- O Boże - wydusiłam z siebie i jęknęłam, bo w końcu zdałam sobie sprawę z czegoś strasznego. Może i Ben wyglądem nie przypominał ojca, ale gdy wyrzucał z siebie wszystko, co leżało mu na sercu, tym poważnym tonem, zdałam sobie sprawę..., że ten głos brzmi znajomo. Ten sam ton, ten sam rytm, dokładnie ten sam głos.

A może nawet gdzieś w podświadomości dotarło to już do mnie wcześniej? Może pozwoliłam mu wkroczyć w moje życie i uczyniłam z niego pośrednika w kontaktach ze światem zewnętrznym, bo jakaś część mnie podświadomie radowała się z odnalezienia jedynej rodziny?

- Ja tylko pragnąłem mieć kogoś, kto by mnie nie opuścił — ciągnął dalej tym samym znajomym głosem — kto byłby ze mną już zawsze. Myślałem, że będzie to twoja matka, ale ona niczego nie rozumiała. Potem trafiłem do więzienia - zniżył odrobinę ton, ale tylko na chwilę. — Ale kiedy mnie wypuścili, zobaczyłem ciebie i już wiedziałem, że to ty będziesz mnie zawsze kochać i nigdy mnie nie opuścisz. I ogarnęło mnie takie szczęście. Dopóki nie przyszedłem pewnego dnia i nie odkryłem, że ciebie już nie ma. Że cała twoja rodzina wyjechała. Zapadła się pod ziemię.

— Bella jest ranna — błagałam. — Proszę.

- Nie było mi łatwo. Wiedziałem, że to nie był twój świadomy wybór. To jasne, że zmusił cię do tego ojciec. - Chwycił moją dłoń i zakrwawionymi palcami zaczął pieścić nadgarstek. - Zacząłem więc wypytywać. Cała rodzina nie

może ot tak zniknąć. Ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć. A potem nagle dotarło do mnie, że twój ojciec potrzebował przecież jakiejś pracy, żeby utrzymać rodzinę. A kto mógłby mu załatwić pracę? Jego były szef, oczywiście. Tak więc włamałem się do domu doktora Badingtona. Zastałem jego żonę.

- Co?

— Poszedłem tam po południu. Na początku nie chciała mi oczywiście nic powiedzieć, ale kiedy skończyłem z jej kotem, stała się całkiem rozmowna. Wyśpiewała wszystko o posadzie twojego ojca na MIT, o domu w Arlington, a co najlepsze, nawet nikomu nie wspomniała o mojej wizycie. Nie dziwię się, też na jej miejscu nie miałbym ochoty się przyznać do wszystkich obrzydliwych rzeczy, które jej zrobiłem, poza tym zagroziłem, że jeśli piśnie komuś choćby słowo, wrócę i dokładnie taki sam los spotka jej męża.

- O Boże.

— I tak wyruszyłem do Massachusetts. Chciałem cię zobaczyć już pierwszej nocy, ale było późno. Zgubiłem się i stało się coś niesłychanego. Porwało mnie czterech koleśków. Znalazłem się po prostu w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, a oni skrzętnie to wykorzystali. Najpierw mnie skatowali, potem ściągnęli ze mnie ubranie i... A potem była już tylko ciemność. Przez długi, długi czas. Powoli, małymi kroczkami, wracałem do życia. Uczyłem się na nowo jeść, ubierać, myć zęby. Miałem świetnych lekarzy, którzy przekonywali mnie, że moje życie źle się zaczęło, ale oto dostałem od losu drugą szansę. Mówili, że teraz mogę być, kimkolwiek zechcę. Mogę na nowo stworzyć samego siebie. I przez jakiś czas próbowałem. To było całkiem rozsądne rozwiązanie. Mogłem być Benjim, synem agenta CIA a nie jakiegoś pijaka, który zanim odstrzelił sobie łeb, zdążył jeszcze zamordować własną żonę. Lubiłem być

Benjim. Naprawdę. Ale byłem taki samotny. Musisz zrozumieć, jak to jest, gdy nie ma się żadnej rodziny. Gdy nikt nie zwraca się do ciebie prawdziwym imieniem. Nikt nie wie, jaki naprawdę jesteś, tam w środku, kiedy nie udajesz kogoś, za kogo chcesz wśród nich uchodzić. Tak się nie da żyć.

— Przestań — szepnęłam, wrywając mu rękę.

Ale on nie zamierzał przestać. Mówił dalej głosem ojca, a ja nie mogłam powstrzymać kotłujących się w głowie myśli.

— Pewnego dnia podczas spaceru odkryłem ten stary przepust. Zaintrygował mnie na tyle, że postanowiłem urządzić tam sobie taką małą kryjówkę z dala od domu. Czułem się wtedy całkiem nieźle, jeszcze byłem pacjentem szpitala, chodziłem już jednak do normalnej szkoły. Urządziłem tam sobie pokój do nauki, ale potem pewnego dnia...

— Cii — znów spróbowałam mu przerwać. — Cii, cii. Jesteś szalony. Nienawidzę cię. Moi rodzice cię nienawidzili.

Wolała-

bym, żebyś nie żył.

— Ale ona zmieniła zdanie w ostatniej chwili. Walczyła.

Krzyczała. Musiałem więc... Nie trwało to długo i potem było mi smutno. Nie tak to sobie zaplanowałem. Musisz mi uwierzyć, Amy. I wtedy uświadomiłem sobie, że przecież mogę ją zatrzymać. Znałem takie jedno miejsce. Tylko tak zyskiwałem pewność, że nigdy mnie nie opuści.

— Jesteś chory - z całej siły szarpnęłam ręką i w końcu udało mi się ją wyswobodzić. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

— Próbowałem więc dalej — kontynuował rzeczowym tonem. — I dalej, dalej. Każdy związek zapowiadał się tak obiecująco, a potem wszystko się psuło. Aż pewnego dnia zrozumiałem. Nie pragnąłem tak naprawdę żadnej z tych bezużytecznych głupich dziewczuch. Pragnąłem ciebie. Wtedy

przypomniałem sobie, co powiedziała pani Badington. I odnalazłem cię. Moja Amy, moja najdroższa Amy. Tym razem mogliśmy się do siebie naprawdę zbliżyć. Nie chciałem robić nic na siłę, zacząłem od drobnych podarunków, żeby zdobyć twoje zaufanie, zobaczyć uśmiech na twojej twarzy, gdy odpakujesz prezent. Właśnie tak to sobie wyobrażałem. Miałaś być tylko moja. Przerwał na chwilę, westchnął i zamilkł. Czułam taką ulgę, że omal na nowo nie wybuchłam płaczem. Ale on niestety jeszcze nie skończył.

— Roger mnie zobaczył. Wydawało mi się, że byłem wystarczająco sprytny, ach, ci starsi bracia. Mają siódmy zmysł i zawsze wiedzą, co knują ci młodszy. Roger też wiedział. Oczywiście, że wiedział. Zrozumiałem, że muszę zacząć działać szybciej, tylko że wtedy policja odkryła moją kryjówkę na poddaszu. I zamiast zająć się tobą, musiałem uciekać przed gliniarzami. Zanim na powrót byłem gotów do akcji, było po wszystkim. Dom stał pusty. Wyście zniknęli. Roger zawsze był cholernie sprytnym sukinsynem. Ale musiał mi za to zapłacić.

Podniósł głowę i zamyślony pocierał bliznę. Taki tik nerwowy czy może bolesne wspomnienie?

— Porwałś Dori — wyszeptałam.

— Musiałem — wzruszył ramionami. — Potrzebowałem kogoś. Nie chciałem być sam. A ona ukradła twój medalion. Nie mogłem na to pozwolić.

— Ona go wcale nie ukradła, ty draniu. Oddałam go jej. Była moją przyjaciółką, a przyjaciele umieją się dzielić. Jesteś okropny, wstrętny i nigdy nie będę twoja. Rzygać mi się chce, gdy mnie dotykasz.

— Och, Amy — znów westchnął. — Nie powinnaś być zazdrosna. To nie Dori tak naprawdę pragnąłem. Porwanie jej miało tylko jedno na celu: ściągnięcie twojego ojca do

Arlington.

Zmrużyłam oczy z niedowierzaniem. Ta informacja była dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

— Widziałeś się jeszcze z moim ojcem? W Arlington?

— Roger wrócił do domu. Tak jak przewidziałem. Kiedyś, bardzo dawno temu, Roger mnie kochał. Chowaliśmy się razem w szafie, kiedy rodzice się awanturowali, trzymał mnie za rękę. Zapewniał, że wszystko będzie dobrze, że nie pozwoli, żeby stało mi się coś złego, że mnie ochroni. Potem ojciec wszedł któreś nocy do kuchni i celując w pierś mamy, oddał trzy strzały. Bang, bang, bang. Potem odwrócił się w moją stronę. Podniósł lufę. Wiedziałem, że zaraz pociągnie za spust. Ale Roger go powstrzymał. Roger kazał mu odłożyć broń. Roger powiedział, że jeśli już musi kogoś zabić, to powinien zastrzelić siebie. I tak też tatuś zrobił. Ten pojeb przycisnął sobie lufę do skroni i pociągnął za spust. Żegnaj, tatusiu. Witaj, szkoło z internatem. Tylko że w szkole Roger się ode mnie odsunął. Miał nagle swoich przyjaciół, swoje życie. Tak po prostu. Czekałem więc na niego w domu w Arlington. Bo od zawsze wiedziałem, że Roger wróci. Że znów będziemy razem. Ja, on i pistolet.

— Próbowaleś zabić mojego ojca?

Ben spojrzał na mnie, pokręcił ze smutkiem głową, znów dotknął blizny.

- Nie, droga Amy. To twój ojciec, mój kochany brat, próbował zabić mnie.

OSTATNI ODCINEK MARATONU. Bobby i D.D. gnali ulicą Hanover, roztrącając przechodniów i ignorując klaksony rozwścieczonych taksówkarzy. Zapadał już zmrok, za chwilę zaczęną otwierać knajpki i na ulicach tłoczyli się już stali bywalcy. Bobby i D.D. manewrowali wśród paplających

przez komórki nastolatków, matek pchających przed sobą wózki i właściciele psów, którzy wybrali się na wieczorny spacer.

D.D. biegła równym tempem. Bobby zaczął opadać z sił. Bez dwóch zdań: jak tylko zamknie tę sprawę, czas zabrać tłusty tyłek na siłownię.

Annabelle dalej nie dawała znaku życia.

Panika pomogła mu zwiększyć tempo.

I biegł dalej.

NIE WIERZYŁAM MU. Mój ojciec i broń? Nawet pan Petracelli mówił przecież o tym, jak bardzo ojciec nienawidził broni. Teraz, kiedy wiedziałam, co wydarzyło się tamtej nocy w jego domu rodzinnym, w ogóle się temu nie dziwiłam. Ale najwyraźniej nawet dla kogoś, kto tak nie cierpiał broni palnej, porwanie Dori było kroplą, która przelała czarę goryczy. W jakiś sposób udało mu się zdobyć broń. Złapał nocny lot do Bostonu, żeby odszukać brata. „Roger, proszę, nie jedź. Roger, błagam cię, nie rób tego...” Z tego, co mówił Tommy/Ben, stanęli do pojedynku w ciemnościach mojego dawnego domu. Tommy uzbrojony w łom, dzięki któremu dostał się do środka. Ojciec dzierżył w dłoni niewielki pistolet.

- Myślałem, że się zgrywa - opowiadał Tom. - Roger nie mógłby mnie skrzywdzić. Przecież mnie ocalił. Przecież mnie kochał. Mówił, że zawsze będzie się mną opiekował. Ale wtedy... Widać było po nim ogromne zmęczenie.

Zapytał, czy to ja porwałem tę dziewczynkę. Cóż miałem robić? Wyznałem mu prawdę.

Że porwałem te sześć dziewczynek. Że uwięziłem je w plastiko-wych workach na śmieci i zostawiłem je sobie, żeby mieć własną rodzinę. I że wcale mi to nie wystarczyło. Że

chcę ciebie, Amy. Że cię potrzebuję. Że nie spocznę, póki nie będziesz moja.

„Kiedyś wierzyłem — odpowiedział mi Roger - że natura nie ma w tych sprawach nic do rzeczy, że liczą się czynniki środowiskowe, to jak wychowują cię rodzice albo jak sam nad sobą pracujesz. Myślałem, że jeśli poświęcisz komuś odpowiednio dużo czasu i uwagi, może on być, kimkolwiek zechce. Myliłem się. Nie da się przechytrzyć DNA. Nie da się oszukać genetyki. Stałeś się naszym ojcem”.

Powiedziałem bratu, że jego teoria jest całkiem fascynująca, zważywszy na fakt, że to on trzyma w ręku broń. Nie mi nie odpowiedział. Skinął tylko głową, jakby moje słowa go przekonały.

„Prawda - oparł po chwili, - Nigdy bym nie pomyślał, że będę w stanie to zrobić”.

A potem strzelił. Tak po prostu. Podniósł broń. Wycelował w moją głowę - palcami znów przejechał po bliźnie - zabawna sprawa z tym szokiem. Usłyszałem strzał. Poczułem ogromne pieczenie w czole. Ale stałem jeszcze długo, a przynajmniej tak mi się wydawało. Stałem tak i patrzyłem na twojego ojca.

„Kocham Cię”, powiedziałem. Potem upadłem. Podszedł do mnie. „Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz”, poprosiłem. A on wyszedł z domu. Nie wiem, jak długo tam leżałem.

Straciłem przytomność czy coś takiego. Ale kiedy się ocknąłem, zorientowałem się, że mogę się poruszyć. Wstałem więc i wyszedłem z domu. Dopiero po jakimś czasie zaczepił mnie jakiś koleś, pytając, czy nie potrzebuję czasem lekarza. Wezwał pogotowie. Sześć godzin później chirurg usunął kulę, kaliber dwadzieścia dwa, która rykoszetem minęła przedni płat mojego mózgu. To było dobre dwadzieścia pięć lat temu, od tamtej pory nie czuję nic. Ani radości. Ani smutku. Ani rozpaczy, ani gniewu. Nawet samotności. Tak się, droga Amy, nie da żyć.

Historia Tommyego dobiegała końca. Byłam ciągle sparalizowana. To był dla mnie szok, dowiedzieć się, że mój ojciec postrzelił własnego brata. Że Tommy'emu udało się przeżyć. Nie mogłam uwierzyć, że życie dwójki braci może być uwikłane w taką spiralę przemocy.

— Nie czujesz kompletnie niczego? — spytałam, żeby jakoś przeciągnąć rozmowę. — Zupełnie nic?

Tommy pokręcił głową.

— Nie porwałeś już żadnych dziewczynek?

— Nie potrafię się zakochać.

- W takim razie mnie też nie potrzebujesz.

- Ależ nieprawda. Ty jesteś moją rodziną. Rodzinę się kocha bezwarunkowo.

- Ben...

- Tommy. Chcę usłyszeć, jak wymawiasz to imię. Tyle lat minęło. No dalej, Amy. Dla wujka. Chcę usłyszeć to z twoich ust.

Pewnie lepiej by było go wtedy dodatkowo nie drażnić, ale w chwili, gdy poprosił, bym zwróciła się do niego po imieniu, wiedziałam, że nie jestem w stanie tego zrobić. Uwięziona we własnym mieszkaniu, zakrwawiona, wycieńczona, przytulona do mojego umierającego psa, nie miałam już w ręku żadnych atutów poza tym jednym.

Pokręciłam głową. A mój drogi, pozbawiony wszelkich uczuć wujek uderzył mnie. Poczułam smak krwi. Splunęłam mu nią w twarz.

— Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę! —

krzyczałam. Kolejny cios spadł na głowę. Moja czaszka z hukiem odbiła się od drzwi.

- Powiedz to - darł się.

— Pieprz się.

Znów się zamachnął, ale tym razem byłam przygotowana.

- Hej, Ben! - krzyknęłam. - Łap!

I rzuciłam mu Bellę, błagając Boga, by okazało się, że nawet psychopatyczni zabójcy mają odruch łapania, kiedy coś się do nich rzuca.

BOBBY PIERWSZY USŁYSZAŁ KRZYK. Był już prawie pod domem Annabelle, jakiś metr przed D.D. Wciąż próbował sobie wmówić, że milczenie Annabelle da się jakoś wytłumaczyć i że wszystko z nią w porządku.

Ale wtedy usłyszał krzyk i popędził co sił w stronę klatki schodowej. Drzwi były otwarte na oścież, po chwili wyłonił się z nich młody mężczyzna.

— Policja, policja, niech ktoś wezwie policję. Ten facet z firmy kurierskiej chce ją chyba zabić.

Bobby rzucił się na schody, a D.D. wyciągnęła telefon, żeby wezwać wsparcie.

BEN PRÓBOWAŁ SIĘ WYGRZEBAĆ SPOD BELLI, a kiedy mu się wreszcie udało, znów zaczęłam krzyczeć z wściekłości. Nienawidziłam samej siebie za to, że poświęciłam swoją najlepszą przyjaciółkę. Nienawidziłam Bena za to, że mnie do tego zmusił.

Dopadłam drzwi, próbując otworzyć zamki. Zdołałam sobie poradzić z dwoma, kiedy on się zebrał i chwycił mnie za koszulę. Uderzyłam łokciem z całej siły, trafiłam go w skroń, tłukąc jego okulary.

Upadł. Zabrałam się za łańcuch.

Szybciej, szybciej, szybciej.

Dłonie mi drżały, palce odmawiały współpracy. Płakałam histerycznie, powoli tracąc kontrolę.

I wtedy usłyszałam kroki na klatce schodowej. Upragniony,

znajomy głos:

— Annabelle!

- Bobby! - zdołałam krzyknąć, zanim Ben zaatakował mnie od tyłu. Upadłam z hukiem na ziemię, nosem uderzając w drzwi. Do oczu napłynęły mi łzy, z gardła dobył się pełen wściekłości wrzask. Drzwi drgnęły, Bobby napierał na nie całym ciężarem. Ale nie dał rady, nie mógł dać rady. Wybrałam je właśnie dlatego, że były tak solidne, dodatkowo wyposażając w tysiąc zamków. Zbudowałam fortecę, która miała mnie ochronić, a teraz skazywała mnie na śmierć.

- Annabelle, Annabelle, Annabelle - krzyczał zza drzwi Bobby.

Tommy szeptał mi do ucha zachrypłym głosem:

- To twoja wina, Amy. To ty mnie do tego zmusiłaś. Nie zostawiłaś mi wyboru.

Gdzieś z daleka dobiegł mnie głos ojca. Jego wieczne kazania i niekończące się pouczenia.

„Czasem, gdy bardzo się boisz, ciężko ci wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Wtedy próbuj coś stłuc. Wal pięściami w ścianę, przewracaj meble. Hałasuj, kochanie, broń się. Zawsze podejmuj walkę”.

Tommy chwytła mnie za ramię. Tommy powalała mnie na ziemię. Tommy trzyma w uniesionej dłoni zakrwawiony nóż Charliego.

- Nigdy mnie nie opuścisz.

- Będę strzelał! - krzyknął Bobby. - Odsuń się od drzwi. Raz, dwa...

Przyciśnięta do podłogi zerwałam fiolkę z szyi. Tommy podniósł ostrze. Zerwałam nakrętkę.

I sypnęłam Tommy'emu w twarz prochami rodziców.

Odskoczył, trąc szaleńczo oczy.

Dokładnie w chwili, gdy Bobby otworzył ogień.

Widziałam, jak ciałem Tommyego wstrząsnął jeden dreszcz,

drugi, trzeci, czwarty. Wtedy Bobbyemu udało się wyważyć drzwi.

Tommy nie upadł, odwrócił się w stronę, z której doszedł go hałas. Zraniona bestia zrywała się jeszcze do ostatniego ataku. Zerwałam się natychmiast. Bobby się odsunął. Tommy wyszedł na klatkę, dopadł do poręczy, desperacko próbując złapać równowagę.

Przeszła mi przez głowę myśl, że jakimś cudem znów może się wyrwie śmierci.

Dla pewności zadałam mu jeszcze jeden silny cios od tyłu. A potem patrzyłam, jak spada bezwładnie w dół. Tatuś byłby dumny ze swojej córeczki.

ROZDZIAŁ 38

PRAWDA CIĘ WYZWOLI. To jedna z wielu mądrości, które usłyszałam z ust ojca. Teraz, gdy znam prawdę o jego przeszłości, chyba wreszcie rozumiem.

Minęło pół roku od krwawego zajścia w moim mieszkaniu. Pół roku wypełnione policyjnymi przesłuchaniami, odzyskiwaniem rzeczy z magazynu, testami DNA, i tak, nawet konferencją prasową. Mam swoją agentkę, która twierdzi, że mogłabym podpisać milionowy kontrakt z Hollywood. W planach jest też książka.

Jakoś ciężko mi sobie wyobrazić siebie w programie Larry'ego Kinga. Nie chcę zarabiać na rodzinnej tragedii. Ale z drugiej strony: z czegoś trzeba żyć, a póki co tłumy klientek nie ustawiają się w kolejce po moje wystroje okienne. Tak czy siak, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

Jestem właśnie po prysznicem. Golę nogi. Podenerwowana. Odrobinę podekscytowana. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wiem, że dużo się jeszcze o samej sobie muszę dowiedzieć.

Oto, co udało mi się ustalić do tej pory:

Po pierwsze, mam silnego psa. Bella nie umarła wtedy na podłodze w kuchni. Nie, moja niesamowita czworonożna towarzyszka zniosła drogę do weterynarza dużo lepiej niż ja. Rana była głęboka, do samej kości. Charlie uszkodził jej jakies

ścięgnę. Straciła sporo krwi. Ale nie takie cuda może zdziałać pierwszej klasy opieka weterynaryjna za bagatela dwa tysiące dolarów. Teraz uwielbia spać w moim łóżku. Ja uwielbiam ją przytulać. Jeszcze nie możemy razem pobiegać. Póki co chodzimy na krótkie spacerki i powoli wracamy do sił.

Po drugie, czas leczy rany. Spędziłam dwadzieścia cztery godziny w klinice, bo nie chciałam ani na moment zostawić jej samej. W końcu weterynarz mnie grzecznie wyprosił. W tym czasie sama straciłam mnóstwo krwi. Na policzku trzeba było założyć dwanaście szwów, na nogach dwadzieścia, na prawym ramieniu trzydzieści jeden. Myślę, że czasy ukrywania się mam już za sobą. Polubiłam swoje blizny. Czasem w środku nocy przejeżdżam palcami po wypukłych śladach. Rany wojenne, Ojciec byłby ze mnie dumny.

Po trzecie, niektóre pytania na zawsze zostaną bez odpowiedzi. W magazynie wynajętym przez ojca odkryłam ulubioną sofę mamy, mój album ze zdjęciami z dzieciństwa, oryginał aktu urodzenia, rozmaite pamiątki rodzinne i wreszcie list od ojca. Napisał go tydzień przed naszym powrotem do Bostonu, gdy jego niepokój musiał przybierać gigantyczne rozmiary. Nie znalazłam w nim odpowiedzi.

Osiemnastego czerwca 1993 mój ojciec napisał jedynie: „Cokolwiek się wydarzy, pamiętaj, że zawsze cię kochałem i zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy”.

Czy on czuł już wtedy, że umrze w Bostonie? Miał przecucie, że powrót na stare śmieci dopełni przeznaczenia? Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że wiedział, iż jego brat wciąż żyje. Musiał śledzić prasę, czekając na komunikat, że w opuszczonym domu w Arlington znaleziono niezidentyfikowane zwłoki, a kiedy przez dłuższy czas żadna taka informacja się nie pojawiała, zdał sobie pewnie sprawę, że nie doprowadził sprawy do końca. Tylko dlaczego nie spróbował ponownie? Czemu wrócił po prostu na Florydę, do

mnie i mamy?

Nie wiem. Pewnie już nigdy się nie dowiem. Może zabić drugiego człowieka wcale nie jest tak łatwo, jak wszyscy myślą. Spróbował raz i to był szczyt jego możliwości. Dlatego od tamtej pory uciekaliśmy. I gdy tylko podawano jakiś komunikat o zaginionym w okolicy dziecku, to był dla nas sygnał. Ojciec kupował nowe tożsamości, mama pakowała walizki i ruszaliśmy w drogę.

Co najśmieszniejsze, policja nigdy nie uwierzyła, że wujek Tommy nas prześladował. Może i kula go nie zabiła, ale na pewno spowodowała trwałe zaburzenia psychiatryczne. Zaczął pracować w UPS. Stał się wzorowym, aczkolwiek odrobinę wyobcowanym obywatelem. I żył dalej.

I tylko moja rodzina nie potrafiła się uwolnić od przeszłości, wечно uciekając, szukając bezpiecznej kryjówki, której nie dane było jej znaleźć.

Po czwarte, niektóre sprawy trzeba przemilczeć. Na przykład po przeprowadzeniu śledztwa policja wydała oficjalne oświadczenie, w którym śmierć Tommy'ego/Bena uznano za wypadek. W zajściu z udziałem uzbrojonego funkcjonariusza policji podejrzany otrzymał trzy strzały przez drzwi. Policjantowi udało się następnie wyważyć drzwi, a podejrzany rzucił się do ucieczki. Na skutek bólu i szoku nieostrożnie przechylił się przez poręcz na klatce schodowej i spadł. Właśnie ten upadek uznano za główną przyczynę zgonu.

Rzecz jasna, nie wracamy z Bobbym do tamtych wydarzeń. Podobnie jak D.D., która była wówczas na parterze, ale według raportu stała w takim miejscu, że nie widziała nic poza lądującymi na ziemi zwłokami.

Tak w ogóle to parę tygodni temu podarowała mi koszulkę z napisem „Wypadki chodzą po ludziach”.

Po piąte, okazuje się, że niektórzy psychopaci świetnie się od-

najdują w społeczeństwie Okazało się, że Charlie Marvin był tak naprawdę dawnym pacjentem szpitala psychiatrycznego, Christopherem Eolą. Bostońska policja ustaliła, że udając zaangażo

wanego w sprawy bezdomnych pastora, zamordował co najmniej dwanaście prostytutek. Idąc śladem słynnego mordercy Teda Bundyego, który jako wolontariusz pracował pod telefonem awaryjnym dla samobójców, Charlie Marvin świetnie odwrócił od siebie uwagę policji, by bezkarnie podchodzić kolejne ofiary.

Zgubiła go jednak zuchwałość, gdy za kolejny cel obrał sobie prowadzącego dochodzenie sierżanta policji, D. D. Warren. Grafolog potwierdził, że list znaleziony za wycieraczką jej samochodu został napisany przez Charliego Marvina. Chipy wszczepione psom, które zostały zastrzelone podczas feralnej schadzki na terenie szpitala, zaprowadziły ich do dwóch handlarzy narkotyków, hodowców psów, którzy potwierdzili, że ich bezcenne „okazy” kupił miły starszy pan.

Wszystko wskazuje na to, że Charlie włączył się do prowadzonego śledztwa właśnie po to, by odszukać właściciela wymyślnej kryjówki. Ale w którymś momencie D.D. zaczęła mu grać na nerwach i postanowił trochę się z nią zabawić.

Policja

odkryła w jego mieszkaniu materiały wybuchowe potrzebne do skonstruowania bomby. Gdyby nie zginął z rąk Tommie'go, zapewne wprowadziłby jeszcze w życie niejednego chory plan.

Rodzice Eoli nie chcieli odebrać jego ciała. Z tego co wiem, został pochowany w jakimś zbiorowym grobie.

Po szóste, zamknięcie pewnego etapu życia wcale nie jest tak łatwe, jak się niektórym może wydawać. Dziś rano pochowaliśmy Dori. Mówiąc my, mam na myśli jej rodziców, siebie i dwustu innych życzliwych ludzi, z których większość nigdy

nie poznała Dori, ale przyszła poruszona tragicznymi okolicznościami jej śmierci. Patrzyłam na płaczących emerytowanych policjantów z Lawrence, sąsiadów, którzy dwadzieścia pięć lat temu na próżno przeczesywali lasy, bostońskich policjantów stojących nieco z tyłu. Po ceremonii państwo Petracelli uścisnęli ręce każdemu z funkcjonariuszy. Gdy przyszła kolej na D.D., pani Petracelli uściskała ją mocno i obie kobiety wybuchły niekontrolowanym płaczem.

Pani Petracelli poprosiła mnie, żebym powiedziała kilka słów. Chciała, żeby ktoś poza księdzem opowiedział zebranym (z których wielu nie miało okazji poznać Dori) jaką ją zapamiętał. Wydawało mi się, że to całkiem dobry pomysł, ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłam wydusić z siebie słowa. Emocje, które mną targały, przybrały taki rozmiar, że nie byłam w stanie podzielić się nimi z resztą. W zasadzie coraz bardziej skłaniam się do podpisania tego kontraktu filmowego, bo mogłabym te pieniądze wpłacić na fundację pani Petracelli, a dzięki temu więcej rodziców zyskałoby w końcu możliwość odzyskania swoich pociech. Prawda cię wyzwoli.

Nie, prawda tylko pomoże ci zrozumieć, dlaczego trzy czy cztery razy w tygodniu miewasz koszmary, dlaczego wciąż masz do zapłacenia rachunki od lekarza i weterynarza, dlaczego kurier z UPS uczynił cię jedyną spadkobierczynią. Pomoże ci zrozumieć, dlaczego ten sam kurier przez ostatnie piętnaście lat nieustannie zmieniał rejon w poszukiwaniu rodziny, która nie mogła się przecież zapaść pod ziemię, aż pewnego dnia jego upór został nagrodzony.

Prawda uświadomiła mi, jak bardzo kochali mnie rodzice i że sama miłość czasem nie wystarcza.

Tak naprawdę to każdy człowiek potrzebuje poczucia tożsamości.

Już nie mogę być czystsza. Nogi i pachy ogolone. Skóra

natarta olejkiem cynamonowym. Powinnam włożyć sukienkę. Tylko że sukienki do mnie zupełnie nie pasują. W końcu decyduję się na czarne spodnie biodrówki i rewelacyjną wyszywaną złotymi cekinami koszulkę na ramiączkach, którą wygrzebałam za bezcen w Filenes Basement.

Obcasy bez dwóch zdań.

Bella popiskuje cicho. Wyczuwa, że gdzieś się wybieram, a nie lubi już zostawać sama w mieszkaniu. Zresztą ja też nie. Ciągłe mam przed oczami rozciągnięte na podłodze ciało Charliego Marvina. Jestem pewna, że Bella wciąż czuje zapach wsiąkniętej w podłogę krwi.

Podejmuję decyzję, że w przyszłym tygodniu zacznę się rozglądać za innym mieszkaniem. Po trzydziestu dwóch latach czas, by przeszłość odeszła w zapomnienie.

Dzwoni dzwonek u drzwi.

Cholera. Dłonie mi się pocą.

Energicznym krokiem idę w stronę moich nowych drzwi, skupiając się na tym, żeby utrzymać równowagę na niebotycznych obcasach. Zaczynam otwierać zamki - trzy, co jest niezwykłym osiągnięciem przy poprzednich pięciu — modląc się, żebym nie miała szminki na zębach.

Otwieram drzwi i nie jestem rozczarowana. Ma na sobie spodnie bojówki, jasnoniebieską koszulkę, która świetnie podkreśla szare oczy, i sportową marynarkę. Włosy ma jeszcze wilgotne po kąpieli, czuję zapach wody kolońskiej.

Wczoraj o godzinie drugiej w nocy, po zidentyfikowaniu ostatnich szczątków i wobec braku sprawcy, któremu można by postawić zarzuty, bostońska policja oficjalnie zamknęła śledztwo.

Wczoraj minutę po drugiej zawarliśmy umowę. Teraz stoi z bukietem i oczywiście z psimi przysmakami w dłoni. Wie, że Bella nie może zejść na dalszy plan.

— Cześć — wita mnie z uśmiechem w oczach. — Bobby Dodge, miło cię poznać. Mówiłem już, że mam słabość do grillowania i białych, hałaśliwych psów?

Biorę kwiaty, Belli podaję smakołyk. Zgodnie ze scenariuszem wyciągam dłoń.

On całuje oczywiście opuszki moich palców, a po całym moim ciele przebiega dreszcz.

- Miło pana poznać, detektywie Dodge - biorę głęboki oddech. — Mam na imię Annabelle.